

Jude Deveraux

Edilean 01

LAWENDOWY PORANEK

## PROLOG

-Helen? - zapytała kobieta po drugiej stronie słuchawki. - Helen Aldredge?

Gdyby ktoś zapytał Helen, czy rozpoznałaby głos Edilean Harcourt, powiedziałyby, że nie. Minęło już tyle czasu, od kiedy ostatni raz ją słyszała. A teraz okazało się, że była w błędzie. Poznała ją od razu. Słyszała ten elegancki, arystokratyczny ton głosu jedynie kilka razy, ale każdy z nich był dla niej ważny. Wiedziała, kim była kobieta, która do niej dzwoniła, dlatego nie wspomniała, że po mężu nazywa się Connor.

- Panna Edi?

- Masz bardzo dobrą pamięć.

Helen wyobraziła sobie postać panny Edilean tak, jak ją pamiętała: wysoka, szczupła, idealna figura i ciemne, zawsze starannie ułożone włosy. Nosila modne i stylowe ubrania z najwyższej półki. Musiała dobiegać już dziewięć-dziesiątki - była przecież w wieku ojca Helen.

- Mam dobrych przodków - powiedziała Helen i od razu pożałowała, że nie ugryzła się w język. Jej ojciec i panna Edi byli kiedyś zaręczeni, ale gdy Edilean wróciła z II wojny światowej, jej ukochany David był już żonaty z matką Helen, Mary Alice Welsch. Szok, jaki przeżyła, był tak ogromny, że panna Edi zostawiła swemu rozrzućnemu bratu ogromny, stary dom, który należał do jej rodziny od kilku pokoleń, opuściła miasto, nazwane na cześć jej przodków, i nigdy nie wyszła za mąż. Po dziś dzień starzy ludzie w Edilean mówili o Wielkiej Tragedii i wciąż rzucali zimne spojrzenia na matkę Helen. Postępek Davida i Mary Alice sprawił, że ród Harcourtów, którzy założyli miasteczko, położone w pobliżu historycznego skansenu Colonial Williamsburg, miał niedługo umrzeć. Utrata potomków ludzi spokrewnionych z Georgem Waszyng-

tonem i Thomasem Jeffersonem była dla mieszkańców wyjątkowo bolesna.

- Tak, masz dobrych przodków - powiedziała panna Edi bez zastanowienia. - W zasadzie to tak bardzo jestem pewna twoich zdolności, że postanowiłam poprosić cię o pomoc.

- Mam pani pomóc? - zapytała zaskoczona Helen.

Przez całe swoje życie słyszała różne historie o sporach i waśniach, jakie wyniknęły z postępu jej ojca. Miała o tym nie wiedzieć, bo każdy przekazywał sobie tę wiadomość w sekrecie, ale Helen zawsze była ciekawską osobką. Siedziała na drugim końcu werandy, bawiąc się lalkami i nastawiała ucho.

- Tak, moja droga. Chcę, żebyś mi pomogła - odpowiedziała panna Edi swoim arystokratycznym tonem głosu, który wprowadził Helen w zakłopotanie. - Nie zamierzam cię prosić o upieczenie stu ciastek na wyprzedaż w kościele, więc możesz wybić to sobie z głowy.

- Nie myślałam... - zaczęła się bronić Helen, ale przestała. Stała teraz przy kuchennym zlewie i widziała, jak jej mąż walczy w tej chwili z nowym karmnikiem dla ptaków. Emerytura dla mężczyzn była totalną pomyłką, pomyślała tysięczny raz. Bez wątplenia James zaraz wpadnie w złość z powodu głupiego karmnika, a ona będzie musiała słuchać jego narzekań. Kierował setkami pracowników w kilku stanach, a teraz pozostało mu rządzenie żoną i synem. Helen nie raz pędziła szukać Luka, by spędzić z nim popołudnie. Syn spoglądał na nią zdziwiony i przydzielał jej pielenie grządek.

-No dobrze - powiedziała Helen. - W czym mogę pani pomóc? - Nie liczyło się w tej chwili, że nie rozmawiała z tą kobietą od ilu? Od dwudziestu lat?

- Dowiedziałam się, że został mi rok życia i... - Przerwała, gdy usłyszała, że Helen zaczyna coś mówić. - Proszę... nie oczekuję współczucia. Nikt na tym świecie nie

chciałby żyć tak długo jak ja. Jestem tu już zbyt długo. Ale gdy dowiedziałam się, ile czasu mi zostało, pomyślałam o tym, co powinnam jeszcze zrobić w swoim życiu.

Helen uśmiechnęła się na te słowa. Panna Edi może i nie mieszkała już w miasteczku nazwanym imieniem jej praprababki, ale mimo to w dużym stopniu przyczyniła się do jego rozwoju. Bez jej wsparcia miasteczko przestałoby istnieć.

-Zrobiła pani tak dużo dla Edilean. Pani...

- Tak moja droga, wiem, że płaciłam za niektóre rzeczy, pisałam listy i wszczęłam awanturę, gdy chcieli zabrać nasze domy. Zrobiłam to wszystko, ale to było proste. Wystarczyły pieniądze i trochę hałasu. Nie naprawiłam jednak błędów z czasów mojej młodości.

Helen cicho westchnęła. No to się zacznie, pomyślała. Znowu ta historia. Ta, w której jej matka, Mary Alice, kradnie chłopaka pannie Edi pod koniec II wojny światowej. Biedna panna Edi. Zepsuta Mary Alice. Już to wszystko słyszała.

- Tak, wiem...

- Nie, nie - powiedziała panna Edi, kolejny raz przerywając Helen. - Nie mówię o tym, co zrobili twoi rodzice w zamierzchłej epoce dinozaurów. To już przeszłość. Mówię o teraźniejszości, dzisiejszym dniu. To, co się stało, dziś się zmieniło.

Helen skrzywiła się i odwróciła wzrok od męża próbującego umocować karmnik, który jak na złość nie chciał stać.

- Ma pani na myśli to, że gdyby mój ojciec ożenił się z *panią*, to miałyby to wpływ na życie innych ludzi -powiedziała wolno Helen.

- Być może - odparła panna Edi, ale wydawała się być zaskoczona. - Co wiesz o czternastym listopada 1941 roku?

- Czy to był dzień tuż przed atakiem na Pearl Harbor? - zapytała ciekawie Helen.

- Wnioskuje, że nie podsłuchiłaś wszystkiego, gdy byłaś małą dziewczynką. Mam rację?

Helen zaczęła się śmiać.

- Ma pani rację. Panno Edi, proszę mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi? Mój mąż przyjdzie zaraz na lunch, więc nie mam zbyt dużo czasu.

- Chcę, żebyś przyleciała do mnie na Florydę. Sądzę, że wytrzymasz z dala od męża przez jakiś czas?

- On dopiero co przeszedł na emeryturę. Mogę się nawet przeprowadzić do pani.

Panna Edi zaśmiała się cichutko.

- No dobrze, ale nie możesz powiedzieć nikomu, gdzie ani do kogo jedziesz. Mam do omówienia z tobą kilka spraw i musimy ustalić, jak to zrobić i co należy zrobić. Oczywiście pokryję wszystkie koszty. Jeśli oczywiście jesteś zainteresowana.

- Darmowa wycieczka? Ujawnienie tajemnicy? Jak najbardziej mnie to interesuje. Jak to zaplanujemy?

- Wszystkie informacje wyślę na adres mojego domu w Edilean i wszystko będziesz mogła stamtąd odebrać. Jak się miewa twój przystojny syn?

Helen zawahała się przez chwilę. Czy powinna udzielić tej samej szablonowej odpowiedzi co wszystkim? Prawie nikt nie wiedział, przez co przechodził Luke przez ostatnie kilka lat swojego życia, ale Helen czuła, że panna Edi wiedziała o wszystkim.

- Powoli dochodzi do siebie. Przez większość czasu chowa się w pobliskich ogródkach i kopie doły. Z nikim nie chce rozmawiać o swoich problemach, nawet ze mną.

- A jeśli odmienię jego życie?

- Na dobre czy na złe? - spytała Helen i wyprostowała się.

Jej syn, jedyne dziecko, cierpiał, a ona nie wiedziała jak mu pomóc.

-Na dobre - powiedziała panna Edi. - No dobrze. Lepiej idź i daj lunch swojemu mężowi. Pamiętaj, że nie możesz nikomu o mnie mówić. Bilety powinny być na miejscu jutro koło dziesiątej, więc zabierz je z domu i zadzwoń do mnie. Wyślę po ciebie kogoś na lotnisko, gdy tu przylecisz.

- Dobrze - powiedziała Helena i zobaczyła, że otwierają się tylne drzwi.

- Cholerny karmnik - mamrotał James. - Będę musiał napisać do biura prokuratora generalnego na temat tego bezużytecznego śmiecia.

Helen przewróciła oczami.

- Zrobię to - szepnęła Helen. - Muszę już kończyć.

Panna Edi odłożyła słuchawkę i usiadła przy telefonie, gapiąc się na niego przez moment. Potem podniosła się z krzesła, podpierając dwoma kulami. Nogi sprawiały jej dziś tak ogromny ból, że chciała się położyć i już nigdy nie wstać. Dokuśtykała do dużego pudełka leżącego na pianinie i pomyślała o zdjęciach, które były w środku, i o wszystkich historiach z dawnych czasów, związanych z nimi.

Wyjęła cienką, zieloną książkę, w której były zdjęcia uczniów szkoły średniej, rocznik 1937. Wcale nie musiała jej otwierać, bo doskonale wszystkich pamiętała i była zadowolona, że przez ostatnie kilka lat nie mieszkała w Edilean, w Wirginii. Tęskniła za tym miejscem, za drzewami i porami roku, ale nie chciała widzieć, jak jej przyjaciele się starzeją. Jak ich imiona pojawiają się na płytach nagrobnych. Kto by przypuszczał, że tylko ona, David i Mary Alice dożyją tych czasów? I jeszcze Pru..., ale jego nie liczyła. Niemal wszyscy odeszli w ciągu ostatnich lat, albo jeszcze wcześniej. Biedna Sara zmarła... Edi nie mogła sobie przypomnieć daty, ale wiedziała, że to było dawno temu.

Odłożyła na bok książkę i spojrzała na małe pudełko, w którym trzymała fotografie wszystkich, ale go nie otworzyła. Dzisiaj czuła się gorzej niż zwykle i była pewna, że doktor się mylił. Zostało jej mniej niż rok życia, ale była z tego zadowolona. Okropny ból jej starych, pokrytych bliznami nóg, był coraz silniejszy. Były dni, kiedy, pomimo wielu prób, nie mogła się podnieść z łóżka. Wtedy przychodziła jej z pomocą mała, irytująco pogodna pielęgniarka, która przynosiła jej laptopa, z którym Edi spędzała cały dzień. Jak cudownym wynalazkiem jest Internet! Tak wiele rzeczy mogła się dowiedzieć dzięki niemu.

Znalazła nawet rodzinę Davida i odkryła, że jego starszy brat przeżył. Odnosił teraz duże sukcesy, prowadząc swoją firmę. Kilka razy była bliska sięgnięcia po słuchawkę, by do niego zadzwonić, ale powstrzymywała ją wizja bólu, który by odczuła. Poza tym wątpiła, czy kiedykolwiek o niej słyszeli. David zginął kilka tygodni po tym, jak się poznali.

Edi szła do kuchni i myślał o Jocelyn. Jak zawsze, sama myśl o niej sprawiała, że ból nieco łagodniał, a jej umysł odpoczywał.

To Alexander McDowell, którego życie było okryte tajemnicami i smutkami, połączył jej życie z małą dziewczynką.

- Jej dziadkowie nazywali się Scovill, byli moimi serdecznymi przyjaciółmi - mówił Alex głosem zachrypłym od palenia cygar. - Ich córka, Claire, uczyła się w najlepszych szkołach. W dniu swoich osiemnastych urodzin dostała jedenaście propozycji matrymonialnych. Jednak wyszła za mąż dopiero w wieku trzydziestu trzech lat. Wybrała mężczyznę, który pracował jako złota rączka w podmiejskim klubie.

Panna Edi przeszła w swoim życiu wystarczająco dużo, żeby nie oceniać ludzi po wykonywanej pracy.

- Jaki był jako człowiek?

- Dobry dla niej. Leniwy, słabo wykształcony, ale dobry dla niej. Urodziła im się córeczka, Jocelyn, ale jej matka zmarła kilka lat później.

Może to imię „Claire”, a może to, że Edi znalazła się w tym czasie na rozdrożu. Spędziła swoje życie, podróżując z dr. Brennerem. Jego rodzinny majątek pozwolił mu wykonywać niepłatną pracę, więc jeździł po całym świecie, pomagając tam, gdzie było to potrzebne. Mówiło się, że dr Brenner rezerwował sobie lot do miejsca, gdzie wybuchła bomba, zanim ona eksplodowała. Prawda była taka, że to Edi rezerwowała bilety i zawsze była z doktorem.

Jednak, gdy on odszedł na emeryturę, ona musiała zrobić to samo. Czy powinna wrócić do Edilean, żeby spędzić resztę swego życia z nudnym bratem? Czy może powinna zadowolić się spokojnym życiem, korzystając z oszczędności i emerytury oraz pisząc swoje wspomnienia - co było kolejną nudną perspektywą?

Kiedy Alex McDowell, którego znała niemal od niemowlęcych lat, zaproponował jej zarządzanie funduszami organizacji charytatywnej i opiekę nad wnuczką jego przyjaciół, zgodziła się.

- Nie znam tego dziecka - powiedział Alex w tamtym czasie. - Przypuszczam, że mogła odziedziczyć rozum po swoim ojcu. Na pewno wiem, że po śmierci matki zamieszkała z dziadkami, a gdy umarli, Jocelyn - tak ma na imię ta dziewczynka - przeszła pod całkowitą opiekę ojca.

- Nie krzywdzi jej, prawda? - szybko zapytała panna Edi.

- Nie. Wysłałem tam nawet prywatnego detektywa, żeby ją obserwował, ale nie dostałem żadnych raportów na ten temat, poza tym, że jej ojciec powrócił do przyzwyczajień z przeszłości.

- Do czego? - zapytała ostro panna Edi. Alex zachichotał.



- Jest gorzej niż myślisz. Ożenił się ponownie, z kobietą, która ma córki bliźniaczki i jeżdżą razem motorem.

Panna Edi zamknęła oczy na kilka sekund. Jej umysł wypełnił się imieniem „Claire” i obrazami motorów.

- ... Boca Raton - mówił Alex.

- Przepraszam, ale nie słuchałam cię przez chwilę.

- Mam dom blisko miejsca zamieszkania młodej Jocelyn, jej ojca i Siostruń, jak ich nazywa. Rozmawiał z nią jeden z moich detektywów.

- Rozmawiała z nieznajomym? - warknęła panna Edi. Alex znowu zachichotał.

- Nie zmieniłaś się nic, prawda? Mogę cię zapewnić, że detektyw był dobrym opiekunem. Byli na wyścigu NASCAR.

- Gdzie?

-Zaufaj mi, to coś, czego nienawidzisz. Edi, chcę tylko zapytać, czy mogłabyś zamieszkać w Boca Raton. Mieszkałabyś trzy domy od córki Claire i miała na nią oko podczas wykonywania dla mnie pracy.

Gdyby chodziło o kogoś innego, to na pewno powstrzymałaby swój entuzjizm, ale Alex był starym i zaufanym przyjacielem.

-Z chęcią to zrobię - powiedziała. - Z ogromną chęcią.

- Pomyślałem, że ciepły klimat Florydy dobrze wpłynie na twoje nogi.

- Najlepszą rzeczą dla moich nóg będzie trzymanie się z dala od Edilean i od ludzi, którzy będą na mnie patrzeć smutnym wzrokiem, bo jestem starą panną.

- Ty i stara panna - mówił Alex. - Zawsze będę na ciebie patrzył jak na dwudziestotrzyletnią, najpiękniejszą kobietę w....

- Przestań albo naskarzę Lissie.

- Ona kocha cię tak samo jak ja - powiedział szybko Alex. - Podaj mi swój adres, a ja prześlę ci wszystkie dane.

- Dziękuję - powiedziała Edi. - Dziękuję bardzo.  
- Przestań - powiedział Alex. - Podziękowania zawsze należą się  
tobie. Gdyby nie ty...

- Wiem. Przekaż wszystkim ucałowania ode mnie - powiedziała i się  
rozłączyła. Upłynęła dłuższa chwila, nim na jej twarzy pojawił się  
szeroki uśmiech. Wierzyła mocno w to, że gdy w życiu jedne drzwi się  
zamykają, to otwierają się drugie. Drzwi z dr. Brennerem zamknęły się,  
a czekały na nią zupełnie nowe.

Teraz, wiele lat później, Jocelyn Minton była miłością jej życia.  
Dziecko, którego nigdy nie miała. Serce prawdziwego domu, za  
którym tak tęskniła.

Gdy tylko Jocelyn mogła się wymknąć z college'u, w którym  
harowała jak wół, a pieniądze były z tego marne, wskakiwała do  
samochodu i wracała do domu. Po obowiązkowej wizycie u ojca i  
macochy, biegła prosto do domu Edi. Obie mocno się przytulały,  
zadowolone, że znowu mogą się spotkać. Jocelyn była jedyną osobą,  
której nie odstraszał wygląd Edi. Dziewczyna obejmowała ją tak samo  
mocno jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

- Moja wybawicielka - nazywała ją Jocelyn. - Nie wiem, jak  
przeżyłabym dzieciństwo bez ciebie.

Edi wiedziała, że to była nieco naciągnięta teza, w końcu ludzie nie  
umierają z braku książek. Nie umierają też od życia w jednym domu z  
ojcem, macochą i dwoma przyrodnimi siostrami, które uważają, że  
wyścigi samochodowe to domena wyższych sfer. Ale można przecież  
umrzeć na wiele sposobów.

Prawda była taka, że ich spotkanie było najlepszą rzeczą, jaka mogła  
się im przytrafić. Edi zamieszkała w uroczym domku, który kupił jej  
Alex, i po czterech miesiącach po raz pierwszy zobaczyła dziewczynkę  
z jej rodziną. Dom, w którym mieszkali, należał w przeszłości do  
dziadków Jocelyn, a po śmierci jej matki został przepisany na  
wnuczkę, zgodnie z testamentem. Nie trudno

się domyśleć, że pieniądze, które odziedziczyła, zostały szybko roztrwonione.

Panna Edi zobaczyła rodziców dziewczynki ubranych w skóry, ich dwie, bardzo wyrosnięte córki, ubrane tak skąpo, jak tylko pozwalało na to prawo, i Jocelyn idącą tuż za nimi. Zwykle trzymała w dłoniach książkę, a jej popielate włosy przykrywały całą twarz, ale już za pierwszym razem, gdy Edi jej się dobrze przyjrzała, zobaczyła inteligencję w jej głębokich, niebieskich oczach. Nie była tak piękna jak jej matka, której fotografie widziała, ale było coś, co ją przyciągało do tej dziewczynki.

Może to kwadratowy kształt brody z malusieńkim dołeczkiem. Przypominała jej inną kwadratową brodę, którą kochała kiedyś z całego serca. A może chodziło o to, że dziewczynka czuła się inna od ludzi, z którymi przyszło jej mieszkać.

Na początku panna Edi zaaranżowała dwa spotkania tak, żeby mogła porozmawiać z dziewczynką. Pierwszy raz spotkały się w bibliotece i przez pół godziny dyskutowały na temat Narnii. Przedstawiły się sobie nim się rozstały. Za drugim razem panna Edi przespacerowała się obok domu dziewczynki. Jocelyn jeździła w kółko na rowerku.

- Gdy byłam dzieckiem, graliśmy w klasy - powiedziała Edi.

- A co to za gra?

- Jeśli masz kredę, to ci pokaże.

Panna Edi czekała na dziewczynkę, która pobiegła do domu po kredę. W tamtych czasach używała jeszcze jednej kuli, żeby się podpierać w czasie chodzenia. Ale wszystkie lata, które przepracowała z dr. Brennerem, pogorszyły jeszcze stan mięśni jej nóg i wiedziała, że w niedługim czasie będzie musiała używać dwóch kul, potem chodzika, a potem... Nie lubiła myśleć o takich rzeczach.

Poczuła, że ktoś ją obserwuje i gdy się obejrzała, zobaczyła ojca Jocelyn. Miał na sobie koszulę, którą ona

nazywała stójkową. Mężczyźni z jej pokolenia zwykli się w nie ubierać. Na całym ciele miał tatuaże, a nie golił się chyba od dobrych kilkunastu dni. Pracował przy motorze i co chwilę poruszał manetką, sprawdzając, czy silnik chodzi głośniejsze. Sąsiedzi się nie skarżyli, ale nie dlatego, że był właścicielem domu na zamkniętym osiedlu. Gdyby tylko o to chodziło, już dawno by go wyrzucili. Ale Gary Minton był złotą rączką, przyjeżdżał w środku nocy do zapchanej toalety i zalanej łazienki. Wyłowił też dziecko z samego dna basenu i zdjął z drzewa przerażonego, małego chłopca. Ostatecznie nie było trudno wytrzymać z hałasem, który robiło kilka motorów.

Przyglądał się pannie Edi, jakby oceniał, czy jej towarzystwo będzie dobre dla jego córki. Panna Edi odwróciła się w końcu od niego. Lepiej zastanowić się, czy dziecko powinno być z *nim*.

Upłynęło kilka minut, zanim Jocelyn wróciła do niej z kredą. Wtedy panna Edi pokazała jej, jak narysować klasy na betonowym podjeździe, rzuciła kamień i skakała na jednej nodze w jego kierunku. Dziewczynka była zachwycona.

Kiedy kilka dni później Edi otworzyła drzwi wejściowe i zobaczyła na schodach wychudzoną, biednie ubraną, małą dziewczynkę, której twarz pokrywały blond włosy mokre od łez, nie była ani trochę zaskoczona.

- Przepraszam - powiedziała dziewczynka i podskoczyła. - Nie chciałam... - Wyglądało na to, że nie wiedziała, co powiedzieć.

Edi spostrzegła kątem oka róg walizki, który wystawał zza krzewu hibiskusa, i zrozumiała, że dziewczynka uciekła z domu.

Pierwszego dnia Edi specjalnie zatrzymała dziecko u siebie przez trzy godziny. Rozmawiały o książkach i o projekcie naukowym, jaki Jocelyn miała przygotować na zajęcia w szkole. Edi chciała, żeby ojciec dziewczynki

odebrał odpowiednią lekcję, chciała, żeby zaczął się o nią martwić. Powinien przywiązywać większą uwagę do tego, gdzie jest jego dziecko.

Edi odprowadzała Jocelyn i myślała o tym, że jej rodzice pewnie odetchną z ulgą, gdy ją zobaczą, a ona powie im, co o tym wszystkim myśli. Przeżyła jednak szok, gdy zrozumiała, że jej ojciec i macocha nawet nie zauważyli, że dziewczynka uciekła z domu. Co gorsza, gdy Edi im powiedziała, nie byli ani zaskoczeni, ani zmartwieni. Wychodzili z założenia, że Jocelyn zrobiła po prostu to, co chciała, a oni nie mieli pojęcia co.

Tamtej nocy Edi zadzwoniła do Alexa i powiedziała mu, że sytuacja dziewczynki jest gorsza niż myślała.

- Jest bardzo inteligentna i uwielbia uczyć się i poznawać kulturę. Szkoda, że nie widziałeś, jaką miała minę, gdy zagrałam jej Vivaldiego! To jakby Szekspir mieszkał razem z miejscowymi kretynami. A mówiłam ci już o jej dwóch odpychających siostrach przyrodniczych?

- Tak - powiedział Alex - ale opowiedz jeszcze raz. W następnym tygodniu, tak jak przypuszczała Edi,

dziewczynka przeszła chodnikiem obok jej domu, udając, że znalazła się tam przypadkiem. Edi zaprosiła ją do środka, a potem zadzwoniła od jej ojca i spytała, czy Jocelyn może jej pomóc przy projekcie, nad którym pracuje. Nawet nie zapytał, co to za projekt, ani jak długo jego córka u niej zostanie. To utrwaliło jeszcze bardziej złe wrażenie, jakie na niej zrobił.

- Tak - powiedział jej ojciec przez telefon. - Słyszałem o pani i wiem, gdzie pani mieszka. Oczywiście, że Joce może u pani zostać. Jeśli ma pani dużo książek, to Joce będzie szczęśliwa. Jest taka jak jej mama.

- Więc może spędzić ze mną popołudnie? - zapytała Edi tonem głosu jeszcze sztywniejszym niż zwykle. Chciała ukryć rosnącą w niej odrazę do tego mężczyzny.

- Pewnie, że może. Jedziemy na wyścigi, więc wrócimy dość późno. Hej! A może pani ją przenocuje? Założę się, że Joce będzie zachwycona.

- Może powinnam - powiedziała Edi i odłożyła słuchawkę.

Jocelyn spędziła swoją pierwszą noc u Edi. Właściwie to były tak szczęśliwe, spędzając ze sobą czas, że dziewczynka wróciła do domu dopiero w niedzielę wieczorem. Zaczęła już iść w kierunku domu, gdy nagle odwróciła się, podbiegła do Edi i objęła ją w pasie.

-Jesteś najmiłszą, najmądrzejszą i najwspanialszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Edi próbowała zachować dystans, ale nie mogła powstrzymać się, żeby nie przytulić dziewczynki.

Potem Jocelyn zaczęła spędzać w domu Edi weekendy i większość wakacji. Były dwiema samotnymi duszami, które potrzebowały siebie nawzajem i były niesamowicie szczęśliwe, że siebie mają. Soboty spędzały na wycieczkach za miasto, w niedziele chodziły do kościoła, a potem siedziały w zaciszu przydomowego ogródka.

Jeśli chodzi o ojca Jocelyn, którego Edi oceniła jako nieopiekuńczego, odkryła z czasem, że kochał swoją córkę tak samo mocno, jak kiedyś jej matkę, i chciał jedynie, żeby jego córka była szczęśliwa.

- Nie mogę jej dać tego, co dałaby jej matka, gdyby żyła - powiedział do Edi - ale może pani jej to da. Joce może do pani przychodzić, kiedy tylko zapragnie, a jeśli czegoś by pani potrzebowała ode mnie, proszę tylko dać znać. - Spojrzał na swoją żonę i pasierbice, czekające na niego w samochodzie. - One są podobne do mnie i pasujemy do siebie, ale Joce... jest inna.

Edi wiedziała, co oznacza bycie odmieńcem. Jocelyn czuła się tak samo w swoim własnym domu, jak Edi od pewnego momentu swego życia.

Lata spędzone z Jocelyn były najszcześniejsze w jej całym życiu. Cudownie było przekazywać swoją wiedzę młodemu człowiekowi i pokazywać mu świat. Gdy jej rodzina pojechała do Disneylandu, Edi zabrała Jocelyn do teatru operowego w Nowym Jorku. Kiedy jej przyrodnie siostry nosiły krótkie spodenki, żeby pokazać długie nogi, Jocelyn nosiła perły należące do Edi oraz eleganckie komplety.

Kiedy latem Joce skończyła szesnaście lat, panna Edi zabrała ją do Londynu, Paryża i Rzymu. Podróżowanie było dość trudne dla starszej pani. Nie miała zbyt dużo energii z powodu wieku i chorych nóg. Ale Jocelyn zwiedzała miasto w dzień, robiąc mnóstwo fotografii, a wieczorami dzieliły się opowieściami z panną Edi.

W Londynie Edi pokazała jej miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkała Davida - jego nazwiska Jocelyn nigdy nie poznała - mężczyznę, którego pokochała i straciła.

- Przeznaczony mi był tylko jeden mężczyzna i on nim był - powiedziała, patrząc na biały marmur znajdujący się na miejscu ich spotkania.

W tamtym czasie Jocelyn słyszała już historię o Davidzie tuzin razy, ale nadal nie była nią znudzona.

- Jedyna miłość. Miłość wszechczasów. Wieczna miłość. - Takie zdania słyszała wiele razy.

-Zaczekaj na nią - mówiła jej panna Edi. - Poczekaj na taką miłość - doradzała, a Jocelyn zawsze się z nią zgadzała. Jedna, prawdziwa miłość.

Oprócz przyjemności, jaką czerpały ze wzajemnego towarzystwa, dorosła Jocelyn pomagała też pannie Edi zarządzać funduszami przeznaczonymi na dobroczynność. Joce badała dokładnie poszczególne organizacje charytatywne i czasami je odwiedzała. Trzykrotnie wykryła oszustwa i w rezultacie zaprzyjaźniła się z kilkoma policjantami z lokalnego posterunku.

Panna Edi nigdy nie zdradziła dziewczynie, że pieniądze, które dawała, nie należały do niej. Skrzętnie ukrywała,

że pochodziły od Alexandra McDowella z Wirginii. Przez wszystkie lata przyjaźni Edi nigdy nie wspomniała jego nazwiska ani nazwy miasta.

Kiedy Jocelyn zaczęła uczęszczać do college'u, położonego niezbyt daleko domu Edi, kobieta czuła się zagubiona. Na początku Jocelyn była tak bardzo zajęta pracą w weekendy, dzięki której mogła utrzymać się w szkole, że nie miała nawet czasu zadzwonić. Wysyłały sobie często maile i SMS-y, ale to nie było to samo.

Po sześciu miesiącach panna Edi zaczęła płacić chesne, żeby Joce nie musiała spędzać całego czasu w szkole. Robiła to bez wiedzy ojca i Siostruń, jak nazywały dwie, chude bliźniacze blondynki. Edi nie sądziła, żeby pan Minton miał coś przeciwko temu, ale wołała nie ryzykować. A w szczególności nie chciała, żeby obie pasierbice zaczęły się domagać pieniędzy dla siebie. Mimo że ludzie mówili o wspaniałej urodzie obu dziewcząt, Edi wcale nie uważała je za piękności. Odwiedziły ją kilka razy w czasie nieobecności Jocelyn i oglądały wtedy dom Edi, jakby chciały odgadnąć wartość każdej rzeczy. Edi nie lubiła ich tak samo mocno, jak kochała Jocelyn.

Jocelyn uzyskała licencjat z literatury angielskiej po ukończeniu college'u i podjęła w tej samej szkole pracę na pół etatu jako asystent nauczyciela. A dzięki przyjaciółce panny Edi, zaczęła też pracę jako wolny strzelec przy poszukiwaniach materiałów do książek biograficznych. Joce doskonale się spisywała w obu pracach, a najbardziej lubiła spędzać całe dnie w bibliotece, myszkując w starych dokumentach.

Kiedy bóle w klatce piersiowej coraz bardziej się nasilały, Edi zaczęła myśleć o przyszłości Jocelyn. Była pewna, że jeśli po śmierci zostawi jej wszystko co ma, tak jak planowała, to z pewnością Siostrunie będą chciały jej to odebrać.

Edi chciała zostawić Jocelyn coś więcej niż dobra materialne. Chciała jej zapewnić dobrą przyszłość. A wła-



ściwie, to chciała ją zostawić z *rodziną*. Jocelyn spędziła większość swego życia ze starymi ludźmi, najpierw z dziadkami, a potem z panną Edi. Długo zastanawiała się, jak dać Jocelyn to, czego najbardziej potrzebowała. Pracowała nad tym przez długi czas i wzięła pod uwagę wszystko, co wiedziała o Jocelyn.

Zamknęła książkę ze wspomnieniami i powoli poszła do kuchni. Co za okropności zostawiła jej pielęgniarka na kolację? To coś zawiera pewnie w nazwie słowo *taco*. Kiedy usłyszała samochód firmy kurierskiej, który zabierał paczkę dla Helen, uśmiechnęła się.

Gdy otworzyła lodówkę, pomyślała, że najbardziej cieszy się, że nie będzie jej tutaj, gdy Jocelyn dowie się o... No, może to nie do końca było kłamstwo, ale po prostu w opowiadaniach o sobie pominęła ogromną część swego życia. Nie było łatwo przeskoczyć i zamazać całą prawdę, bo Jocelyn uwielbiała zadawać Edi różne pytania na temat przeszłości, ale udało się.

Wyciągnęła dużą miskę z sałatką, która została dla niej, i postawiła na stole. Jocelyn nie będzie szczęśliwa, gdy dowie się o niektórych rzeczach, ale Edi miała nadzieję, że dziewczyna będzie wytrwała w swoich poszukiwaniach i znajdzie wszystkie odpowiedzi.

Edi uśmiechnęła się na samą myśl o tym, jak sprytnie pominęła w tym planie te dwie za wysokie i za chude siostry przyrodnie, które paradowały wszędzie niemal bez ubrań. To, że te dziewczyny zyskały taką sławę - Edi nie cierpiała tego określenia - mówiło dużo o tym, jaki jest dzisiejszy świat.

Jocelyn sądziła pewnie, że Edi nie wie, jak dużo poświęciła, żeby opiekować się starszą kobietą, a teraz chciała jej to zrekompensować. Chciała podarować Jocelyn prawdę. Jednak nie zamierzała jej nic mówić, chciała, żeby sama wszystko odkryła, żeby trochę się wysiliła i poszukała, bo przecież była w tym dobra.

- Proszę, wybacz mi - szepnęła Edi. Miała ogromną nadzieję, że Jocelyn wybaczy jej te wszystkie sekrety, które skrywała przez tyle lat.

- Złożyłam przysięgę - szeptała - i dochowałam jej.

Zaczęła układać w głowie list, który chciała zostawić jej w testamencie.

## Rozdział 1

Jocelyn zerknęła na swoje odbicie w hotelowym lustrze po raz ostatni. O to chodzi, pomyślała. To jest właśnie ta chwila. Jej instynkt podpowiadał jej, żeby włożyła na siebie z powrotem koszulę nocną i położyła się do łóżka. Ciekawe co jest w HBO, w dzień? Czy w tym hotelu w ogóle jest HBO? Może powinna poszukać hotelu, w którym mają ten kanał.

Wzięła głęboki oddech, spojrzała jeszcze raz w lustro i wyprostowała plecy. Co by powiedziała panna Edi, gdyby zobaczyła, jak się garbi? Na samą myśl o panie Edi napłynęły jej do oczu łzy, ale powstrzymała je mruganiem. Od pogrzebu minęły już cztery miesiące, ale ona wciąż tęskniła za swoją przyjaciółką, czasami tak bardzo, że nie potrafiła normalnie funkcjonować. Każdego dnia chciała do niej dzwonić, żeby opowiedzieć, co się działo, ale za każdym razem uświadamiała sobie na nowo, że panna Edi odeszła na zawsze.

- Potrafię to zrobić - powiedziała Joce, patrząc w lustro. - Naprawdę potrafię.

Była ubrana dość konserwatywnie, w spódniczkę i białą bawełnianą bluzeczkę, tak jak uczyła ją panna Edi. Sięgające do ramion, ciemnoblonde włosy były zebrane opaską do tyłu, a twarz lekko muśnięta makijażem. O Edilean w Wirginii Jocelyn wiedziała tylko tyle, że panna Edi tam dorastała, nie mogła więc pojechać tam w dżinsach i obcisłej bluzce bez ramiączek, czym zapewne zszokowałyby mieszkańców.

Wzięła kluczyki do samochodu, chwyciła rączkę od swojej czarnej walizki na kółkach i pociągnęła ją do drzwi. Dzisiaj w nocy będzie już spała we własnym domu, którego nigdy wcześniej nie widziała, ani o nim nie sły-

szała. Prawnik powiedział jej, że otrzymała go w spadku, więc był jej. Zaledwie kilka dni wcześniej siedziała w gabinecie prawnika w Boca Raton na Florydzie, a na jej czarnym ubraniu odbijały się białe perły, które dostała od panny Edi. Od pogrzebu upłynęło już trochę czasu, ale panna Edi wyraziła wolę, aby jej testament był odczytany pierwszego maja po jej śmierci. Gdyby zmarła pierwszego czerwca, to oznaczałoby jedenaście miesięcy czekania. Ale Edi zmarła we śnie, w Nowy Rok, więc Jocelyn miała wystarczająco dużo czasu na przeżycie żałoby, nim usłyszała wolę zawartą w testamencie.

Obok niej siedział jej ojciec, a u jego boku żona i dwie Siostrunie: Belinda i Ashley. Były teraz bardziej znane jako Bell i Ash. Dzięki niestrudżonym staraniom ich matki, zaczęły pracować jako modelki, a mediom spodobał się pomysł dwóch identycznych piękności. W ciągu ostatnich dziesięciu lat ich zdjęcia znalazły się na okładkach wszystkich znaczących magazynów mody. Podróżowały po całym świecie i prezentowały na wybiegach ubrania wszystkich projektantów. Gdy wchodziły do centrum handlowego, sznur nastolatek podążał za nimi z ustami otwartymi z zachwytem. A mężczyźni w każdym wieku spoglądali na nie z pożądaniem.

Jednak mimo całej sławy, dla Jocelyn Siostrunie nie zmieniły się ani trochę od czasów dzieciństwa. Gdy były małe, bliźniaczki uwielbiały zmyślać rzeczy, które robiła im Joce, a potem skarżyły matce. Luisa patrzyła wtedy na swoją pasierbicę i mówiła:

- Czekaj, aż wróci twój ojciec.

Ale gdy Gary Minton wracał, potrząsał tylko głową i starał się trzymać z dala od całego zamieszania. Jego życiowym celem było dobrze się bawić i nie chciał być sędzią dla trójki swoich dzieci. Uciekał w zacisze swego

warsztatu w garażu, a jego żona i wyrosnięte pasierbice podążały za nim. Jocelyn szła do panny Edi.

-Więc co ci zostawiła ta stara wiedźma? - spytała Bell, wyciągając swoją długą szyję, żeby zobaczyć Jocelyn siedzącą na samym końcu rzędu krzeseł.

Joce nigdy nie miała problemu z rozróżnieniem jej bliźniaczych siostr. Bell była mądrzejsza i dowodziła, a Ash robiła wszystko, co jej siostra chciała. Zwykle oznaczało to, że musiała powiedzieć coś niestosownego, żeby wywołać śmiech, dlatego Ash często trzymała się z dala od takich sytuacji.

- Swoją miłość - odpowiedziała Jocelyn, nawet nie spoglądając w kierunku przyrodniej siostry. Bell żyła obecnie ze swoim trzecim mężem i jej matka twierdziła, że to małżeństwo zmierza ku upadkowi.

- Dziwna rzecz - powiedziała jej matka. - Ci mężczyźni nie rozumieją mojego małżeństwa.

-Oni nie rozumieją jej przekonania, że może romansować z innymi, choć jest zamężna - wymamrotała Joce pod nosem.

-Co to ma znaczyć? - spytała ostro Luisa, co zabrzmiało, jakby miała zaraz powiedzieć: „Czekaj, aż wróci twój ojciec”. Ta kobieta nie potrafiła zrozumieć, że jej małżeństwa w tym roku skończą trzydzieści lat i że ich dziesięć minut powoli dobiegało końca. W zeszłym tygodniu Joce przeczytała o dwóch osiemnastoletnich dziewczynach, które stały się nowymi „Bell i Ash”.

Jocelyn nie zazdrościła sławy swoim Siostruniom, ani też ogromnej fortuny, jaką roztrwaniały. Dla niej były wciąż takie same: zawsze w złym humorze, zazdrosne o wszystko i gardzące każdym, o kim gazety nie plotkowały co najmniej raz w tygodniu. Kiedy były dziećmi, bardzo zazdrościły Jocelyn, że może spędzać czas „w tym bogatym, starym domu wiedźmy”. Nie wierzyły, że panna Edi nie daje Jocelyn worka pieniędzy co tydzień.

-Jeśli niczego ci nie daje, to po co tam chodzisz codziennie?

- Ponieważ ją lubię! - powtarzała wciąż Jocelyn. -Nie, ja ją kocham.

-Och - odpowiadały tonem, który mówił, że i tak wiedzą swoje.

Joce zamykała im wtedy drzwi do swej sypialni przed nosem albo, jeszcze lepiej, szła do panny Edi.

Ale teraz panna Edi odeszła na zawsze, a Jocelyn została zaproszona na odczytanie testamentu. Prawnik, który wyglądał na starszego od panny Edi, wszedł do środka bocznymi drzwiami i bacznie przyglądał się im wszystkim.

- Mówiono mi, że na odczycie testamentu będzie tylko panna Jocelyn - powiedział, spoglądając na nią, a potem na jej ojca, tak jakby domagał się wyjaśnień.

- Ja... - zaczął Gary Minton. Czas był dla niego łaskawy i nadal był przystojnym mężczyzną. Wyglądał dużo młodziej z czarnymi włosami, przyprószonymi na skroniach siwizną, i czarnymi brwiami.

- Dbamy o swoje - powiedziała jego żona. Wyglądało na to, że to, czego nie zrobił czas z twarzą Gary'ego, odbiło się na twarzy jego żony. Słońce, cygara i wiatr tak zniszczyły jej twarz, że wyglądała jak zwiędnięta śliwka.

- Nie ma pan nic przeciwko naszej obecności, prawda? - Bell zwróciła się niewinnym głosem do prawnika. Obie bliźniaczki miały na sobie super mini spódniczki, a ich długie nogi sięgały prawie do jego biurka. Niewielkie topy, które miały na sobie, ledwo sięgały im do pasa.

Pan Johnson popatrzył na nie znad swoich okularów i zmarszczył nieco czoło. Wyglądało, jakby chciał im powiedzieć, żeby coś na siebie założyły. Popatrzył teraz w stronę Jocelyn, zobaczył jej czarny kostium, a pod spodem wykrochmaloną, białą bluzeczkę oraz perły i lekko się uśmiechnął.

- Jeśli panna Jocelyn wyrazi zgodę, możecie państwo zostać.
- O nie, wszystko dla niej - powiedziała Ash. - Panno Jocelyn. Panno wyedukowana Jocelyn. Poczytasz nam książkę?
- Myślę, że ktoś będzie musiał to dla was zrobić - powiedziała Jocelyn, nie spuszczać wzroku z prawnika. - Mogą zostać. I tak o wszystkim się dowiedzą.
- Dobrze. - Prawnik popatrzył na dokumenty. - Właściwie, Edilean Harcourt zostawiła pannie Jocelyn Minton wszystko.
- To znaczy ile dokładnie? - zapytała szybko Bell. Pan Johnson zwrócił się do niej.
- Nie mogę udzielić więcej informacji na ten temat. Jeśli panna Jocelyn uzna za stosowne, powie państwu, ale ja zamilknę w tym miejscu. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę wracać do pracy. - Wziął brązową teczkę spiętą gumką i przesunął w kierunku Jocelyn. - Wszystkie informacje znajdują się w środku i może je pani przejrzeć w dogodnym dla pani czasie.
- Prawnik cały czas stał, więc Jocelyn podniosła się z krzesła.
- Dziękuję - powiedziała, podnosząc teczkę. - Później to przeczytam.
- Sugeruję, żeby przeczytała to pani na osobności. Gdy będzie pani sama. Edilean napisała rzeczy, które sądzę, że są przeznaczone tylko dla pani.
- Wszystko dla niej? - spytała Ash, która dopiero zrozumiała, co się stało. - A co z nami? Odwiedzałyśmy tę starszą kobietę cały czas.
- Na postarzałej twarzy pana Johnsona pojawił się lekki uśmiech.
- Jak mogłem zapomnieć? - Wyjął z kieszeni kluczyk i otworzył nim jedną z szuflad w swoim biurku. - Zostawiła paniom to.

Trzymał w dłoniach dwa niebieskie, satynowe woreczki, które miały nierówne kształty i wyglądały, jakby zawierały biżuterię.

- Och! - westchnęły jednocześnie Bell i Ash. - Dla nas? Jaka kochana. Nie powinna była. Naprawdę nie spodziewaliśmy się niczego.

Otwierały woreczki ze scenicznymi uśmiechami na twarzach, a potem spojrzały na prawnika.

- Co to ma być?

Ash przesyłała zawartość woreczka na swoją dłoń. Było na niej około dwudziestu małych, czarnych kawałków, niektóre z nich miały kształt szmaragdów, a inne okrągłych diamencików.

-Co to jest? Nigdy wcześniej nie widziałam takich kamieni.

- Czy to czarne diamenty? - spytała Bell.

- W pewnym sensie tak - powiedział pan Johnson i, uśmiechając się, skierował swoje kroki do drzwi, ale zatrzymał się na chwilę przy kłamce, odwrócił lekko i mrugnął do Jocelyn, potem opuścił pokój.

Joce musiała się powstrzymać od śmiechu. Te „czarne diamenty”, które panna Edi zostawiła jej przyrodnim siostram, to były kawałki węgla.

Nie odezwała się ani słowem, gdy opuszczali biuro. Usiadła na tylnym siedzeniu w samochodzie i przysłuchiwała się Bell i Ash, które siedziały obok niej i, podnosząc kawałki węgla do światła, zachwycaly się ich pięknem i zastanawiały się, jak je oprawią.

Joce wyglądała przez okno, żeby nie widziały jej uśmiechu. Żart, jaki zrobiła panna Edi jej zazdrosnym i chciwym przyrodnim siostram, sprawił, że Jocelyn tęskniła za swą przyjaciółką jeszcze mocniej. Panna Edi była dla niej jednocześnie matką, babcią, przyjaciółką i przewodnikiem w życiu.



Joce podniosła głowę i spojrzała w środkowe lustro, w którym odbijała się skrzywiona twarz jej ojca. Widziała, że on znał te „błyszczące kamyki” i bał się awantury, która wybuchnie, gdy Siostronie odkryją prawdę. Ona się tym nie przejmowała. Planowała wyjechać, nim tajemnica czarnych kamieni zostanie odkryta. Była już spakowana, a jej walizki leżały w bagażniku jej samochodu. Jak tylko dotrą do domu, zamierzała wrócić na uniwersytet.

Jocelyn otworzyła testament panny Edi, gdy wróciła do szkoły i znalazła się w swoim małym mieszkanku. Próbowała przygotować się na to, co przeczyta, ale nie była przygotowana na to, że zobaczy kopertę zaadresowaną odręcznym pismem panny Edi.

*DLA MOJEJ JOCELYN* - widniało na kopercie. Otworzyła kopertę drżącymi rękoma, wyjęła list i zaczęła czytać.

*Moja najdroższa Jocelyn,*

*Przyrzekłam sobie, że nie będę narzekać. Nie wiem, ile czasu minęło od mojej śmierci, kilka dni czy całe miesiące, ale znając Twoje miękkie serce, pewnie wciąż mnie oplakujesz. Wiem nazbyt dobrze, jak to jest stracić ludzi, których się kocha. Musiałam przyglądać się, jak większość z nich umiera. Jestem prawie na samym końcu.*

*Ale do rzeczy. Dom w Boca nie należy do mnie, tak samo jak większość mebli. Sądzę, że wszystko zostało już wystawione na aukcji. Ale nie martw się tym kochana, najlepsze co posiadałam, czyli wszystko, co wzięłam z Edilean Manor, wróci na swoje miejsce.*

Jocelyn odłożyła list.

- Edilean Manor - powiedziała głośno. Nigdy nie słyszała o tym miejscu.

Po początkowym zmieszaniu, zaczęło się do jej umysłu wkradać poczucie zdrady. Spędziła większość życia z panną Edi, podróżowała z nią, spotykała różnych ludzi z jej przeszłości i usłyszała setki opowieści o czasie spędzonym z dr. Brennerem. Ale panna Edi nigdy nie wspomniała o Edilean Manor. Musiało to być ważne miejsce, skoro nosiło jej imię, albo na odwrót.

Jocelyn wróciła do czytania listu.

*Wiem, moja droga, że jesteś wściekła i zraniona. Mogę sobie wyobrazić Twoją skrzywioną minę. Opowiedziałam Ci tak dużo o moim życiu, a nawet nie wspomniałam o Edilean w Wirginii. Jak pewnie się już domyśliłaś, po niespotykanej nazwie, miasto kiedyś należało do mojej rodziny, albo myśleliśmy, że do nas należało. Wieki temu mój przodek przybył tam ze Szkocji wraz ze swoją elegancką żoną i wozem złota. Kupił tysiąc arów ziemi niedaleko Williamsburga w Wirginii, zaprojektował rynek i nazwał to miejsce imieniem swej młodej żony. Legenda, która krążyła w mojej rodzinie, mówiła, że jego żona pochodziła z wyższej sfery niż on i gdy jej ojciec odmówił ręki swej córki stajennemu, ten uciekł razem z dziewczyną, zabierając większość pieniędzy należących do jej ojca. Nikt nigdy się nie dowiedział, czy dziewczyna została porwana, czy uciekła z własnej woli.*

*Sądzę, że prawda jest znacznie mniej romantyczna, ale Angus Harcourt rzeczywiście wybudował dom z cegieł w 1770 roku i moja rodzina mieszkała w nim do czasu, aż ja zerwałam z tą tradycją. Mój ojciec zostawił dom tylko mnie, bo mój brat, Bertrand, nie potrafił rządzić pieniędzmi. Gdyby miał dziesięciocentówkę, kupiłby coś, co było warte jednej czwartej tych pieniędzy.*

*Dorastałam w przekonaniu, że będę mieszkała w Edilean Manor z Davidem Aldredge, z którym byłam zaręczona, i że razem stworzymy wspaniałą i szczęśliwą*

*rodzinę. Ale przeznaczenie lubi krzyżować ludzkie plany. Wtedy wojna zmieniła wszystko i wszystkich. Opuściłam Edilean i pozwoliłam mojemu bratu zamieszkać w domu, ale czuwałam nad jego poczynaniami. Bertrand zmarł dawno temu i dom stoi pusty od lat.*

*Droga Jocelyn, zostawiam Ci dom, o którym nigdy nie słyszałaś, który znajduje się w mieście, o którym nigdy nie wspomniałam.*

Jocelyn odłożyła na chwilę list i przez moment utkwiała swój wzrok w oddali. Dom zbudowany w 1770 roku? W pobliżu pięknego Williamsburga? Rozejrzała się po swoim maleńkim mieszkanku. Tylko na takie było ją stać z jej niewielkiej pensji. Ale cały dom! I do tego stary!

Po raz kolejny wróciła do czytania listu.

*Jest jeszcze coś, co chciałabym Ci powiedzieć. Pamiętasz jak dobrze zgadywałam w kościele, kto będzie dobrą parą, a kto przetrwa tylko sześć miesięcy? Jeśli pamiętasz, to nigdy się nie pomyliłam. Na pewno wiesz, że doświadczenie nauczyło mnie, żeby nie wtrącać się do Twojego osobistego życia, gdy byłaś już dorosła. Ale teraz, gdy nie mogę zobaczyć jak się złościsz, chcę Ci coś powiedzieć. W Edilean mieszka mężczyzna, który będzie idealny dla Ciebie. Jest wnuczkiem dwójki moich przyjaciół, z którymi chodziłam do szkoły średniej, Alexa i Lissie McDowell. Oboje już umarli, ale ich wnuczek jest tak bardzo podobny do Alexa, że czuję jakby on nigdy się nie zestarzał. W czasie jednej z moich podróży do Edilean - tak moja droga, pojechałam tam w tajemnicy przed Tobą - powiedziałam to Alexowi, a on bardzo się z tego śmiał. Jego śmiech był naprawdę miły dla uszu, bo w przeszłości nie było łatwo go rozweselić. Jego żona, Lissie, była święta za to, co robiła. Nie mogę się już doczekać, kiedy ich znowu zobaczę, w Lepszym Miejscu.*

Jocelyn przebiegła wzrokiem po liście. Mężczyzna dla niej? Na samą myśl chciało jej się śmiać i płakać jednocześnie. Panna Edi próbowała ją zeswatać dwa razy z młodymi mężczyznami z kościoła, ale za każdym razem Jocelyn nie chciała nawet zjeść z nimi kolacji. Obaj byli nudni i wątpiła, czy któryś z nich miał kiedykolwiek w życiu choć jedną twórczą myśl. Nie podała żadnej przyczyny odrzucenia obu kandydatów, ale panna Edi wiedziała o co chodziło.

- Picie piwa nie zalicza się do dyscyplin olimpijskich - powiedziała cicho i odeszła. - Twarz Joce pokryła się trzema odcieniami czerwieni. Dwa tygodnie wcześniej panna Edi przejeżdżała obok domu Jocelyn, w czasie, gdy dziewczyna rozmawiała z dwoma mężczyznami, którzy siedzieli na motorach i popijali piwo z puszek. Mimo umiłowania dla baletu, Joce ciągnęło czasami do stylu życia, jaki prowadziła jej rodzina.

- Jak moja mama - powiedziała głośno i wróciła do czytania listu.

*Ma na imię Ramsey McDowell i jest prawnikiem. Ale mogę Cię zapewnić, że jest też kimś więcej. Mam do Ciebie ostatnią prośbę, daj temu młodemu mężczyźnie szansę, żeby mógł pokazać, że pasujecie do siebie. I pamiętaj, ja się nigdy nie mylę, jeśli chodzi o te sprawy.*

*Jeśli chodzi o dom, to jest tam kilka mebli, ale niezbyt dużo, a oba skrzydła zamieszkują lokatorki. To dwie młode kobiety pochodzące z rodzin, które znałam od lat. Sara dorastała w Edilean, więc pomoże Ci w znalezieniu wszystkiego, czego będziesz potrzebowała. Tess jest nowa, ale znałam jej babcię lepiej, niż bym sobie tego życzyła.*

*To już wszystko moja droga. Wiem, że zrobisz dobry użytek z tego, co Ci zostawiłam. Przepraszam, że nie będzie w domu gospodyni, ale biedaczka była starsza ode mnie. Pracuje tam ogrodnik, więc może on będzie mógł Ci pomóc.*

*Życzę Ci, żebyś była najszczęśliwsza na świecie, i proszę pamiętaj, że będę Cię obserwowała w każdym momencie Twojego życia.*

Jocelyn dochodziła do siebie cały wieczór po przeczytaniu listu. Był tak bardzo w stylu Edi, że Jocelyn poczuła, jakby stara przyjaciółka siedziała z nią znowu w pokoju. Zasnęła ściskając list w dłoniach.

Następnego ranka obudziła się z głową tak przepełnioną informacjami z ostatnich dwudziestu czterech godzin, że nie mogła się na niczym skoncentrować. Jej praca asystentki nauczyciela stała się niezręczna z powodu jej rocznego romansu z innym asystentem. Kiedy okazało się, że będą pracować razem, on spojrzał na nią krzywo z nad biurka, a to nie było dla niej ani trochę przyjemne.

To był już trzeci mężczyzna z kolei, który miał do niej idealnie pasować, ale ostatecznie nie chciała mieć nic wspólnego z żadnym z nich. Jocelyn wiedziała, że to była wina panny Edi. Opowiedziała dziewczynie historię o miłości do mężczyzny, który zginął w czasie II wojny światowej - jej prawdziwej miłości - a Jocelyn też chciała taką przeżyć.

- Był dla mnie wszystkim - mówiła panna Edi głosem, którego używała jedynie, gdy wspominała o nim. Przy łóżku stało jego jedyne, niewielkie zdjęcie, oprawione w składaną ramkę. Był na nim w mundurze i wyglądał na niezwykle przystojnego mężczyznę, o ciemnych blond włosach i wyrazistej brodzie. Ramka miała owalny kształt, a po drugiej stronie było zdjęcie panny Edi w mundurze. Była taka młoda i piękna. Pod fotografią Davida znajdowały się dwa pukle włosów - jego ciemny i jej jasny - które splatały się ze sobą. Panna Edi przytulała ramkę, mówiąc:

- David - a potem odpływała gdzieś daleko.

Przez wszystkie lata Joce chciała wyciągnąć więcej szczegółów od panny Edi, ale ona mówiła tylko, że był

młodym mężczyzną z wojennych lat, które były bardzo ciężkie, o czym przypominały jej blizny.

W końcu Jocelyn dowiedziała się, że nazywał się David Aldredge. On i panna Edi byli zaręczeni i mieli się pobrać w Edilean, w Wirginii. Ale śmierć Davida pokrzyżowała ich plany.

- Wcale się nie dziwię, że nie potrafiła opowiadać mi o Edilean - wyszeptała Jocelyn.

Dla niej miłość panny Edi stała się swoistą legendą. Uosabiała miłość, której sama pragnęła. Ale dotychczas Joce nie znalazła takiej. Panna Edi nie wiedziała, że Joce mieszkała z mężczyznami już dwa razy i było jej z tym całkiem dobrze. Miło było wracać do domu, w którym czekał na nią ktoś, komu mogła opowiedzieć o całym dniu, i z kim mogła się pośmiać. Ale gdy ci mężczyźni zaczęli wspominać o pierścionkach, kredytach hipotecznych i dzieciach, Joce brała nogi za pas. Nie wiedziała, czego jej brakowało w tych związkach, ale na pewno tego czegoś nie było. Postanowiła, że będzie czekać, aż odkryje, co to jest.

Teraz panna Edi dała jej możliwość zmienienia wszystkiego w jej życiu. Tego wieczoru przejrzała i przeczytała dokładnie wszystkie dokumenty i schowała klucz, który był w paczuszce. Wszystkie prawne dokumenty były przygotowane przez firmę McDowellów, Aldredge&Welsch, w Edilean, w Wirginii.

Dźwięk nazwiska Aldredge sprawił, że na chwilę pogrążyła się w myślach, nim wróciła do pracy. Ciekawe, czy potomkowie Davida wciąż żyją?

W załączonym liście było napisane, że gdy tylko przyjedzie do Edilean, ma zatrzymać się w biurze, gdzie otrzyma informacje na temat finansów. List był podpisany przez Ramseya McDowella.

Jocelyn potrząsnęła głową na wspomnienie o liście Edi.

- Ty nigdy się nie poddajesz, prawda? - powiedziała z oczami wzniesionymi do góry. Prawda była taka, że

panna Edi nigdy nie pomyliła się co do par biorących ślub w kościele. Wiele razy Jocelyn przyłapała pannę Edi, jak wpatrywała się w młodą parę, która była bardziej zainteresowana sobą niż tym, co miał do powiedzenia pastor. Na końcu mówiła Jocelyn - i tylko jej - co myśli o tej parze. Czasami, ale niezbyt często, mówiła:

- To prawdziwa miłość. A raz powiedziała:

- Czysty seks - czym rozśmieszyła Jocelyn. W obu przypadkach jej słowa się sprawdziły.

- Ramsey McDowell - powiedziała Jocelyn i spojrzała jeszcze raz na list. Napisał na nim domowy numer telefonu. Była dziewiętnasta. Kierowana impulsem wzięła do ręki swoją komórkę i zadzwoniła, odebrał po trzecim sygnale.

- Halo?

Jego głos był głęboki, łagodny i przyjemny. Zupełnie jak czekolada, pomyślała Jocelyn.

- Czy to pan McDowell?

- Zawsze myślę, że chodzi o mojego ojca, aleja też się chyba kwalifikuję. Czy to panna Minton?

Zawahała się przez chwilę. Skąd on to wie?

- Identyfikacja numeru?

-Nie przeżyłbym bez tego - powiedział. - Wiesz jak to jest z nami prawnikami. Musimy często walczyć z tłumem ludzi z powodu naszych nieuczciwych układów. Zamierzasz nas wkrótce odwiedzić?

-Nie wiem - powiedziała Joce, śmiejąc się z jego poczucia humoru. - To wszystko jest dla mnie całkiem nowe. Nigdy wcześniej nie słyszałam o Edilean w Wirginii, dopóki nie poznałam testamentu, więc wciąż jestem w lekkim szoku.

- Nigdy o nas nie słyszałaś? Muszę ci uświadomić, że mieszkamy w największym z najmniejszych miasteczek w Wirginii. Albo może lepiej powiedzieć najmniejszym

z największych? Nigdy nie udaje mi się zapamiętać, jak nazywa nas nasz burmistrz. Jeśli chcesz czegoś się dowiedzieć, to pytaj śmiało, wszystko ci powiem. Och! Zaczekaj chwilkę! Muszę zapiąć pampersa. Dobra, już zrobione. A teraz powiedz mi, co chcesz o nas wiedzieć?

- Pampers? Jesteś żonaty? - Jej zszokowany ton głosu ujawnił zbyt wiele i kiedy on wahał się, co ma odpowiedzieć, na jej twarzy pojawił się grymas.

- To moja siostrzenica. Mam niezwykle płodną siostrę, której dzieci rodzą się tak szybko, jak popcorn na patelni. Właśnie pokazała mi język, ale potem dzidzius ją kopnął. Ten, który jest w środku niej. I ten, który jest uczepiony jej biodra. Przepraszam panno Minton, ale muszę przejść z telefonem do innego pokoju, nim moja siostra we mnie czymś rzuci.

Joce uśmiechnęła się, gdy usłyszała kroki, potem zamykanie drzwi i w końcu ciszę.

-No, nareszcie. Jestem teraz w pokoju, który służy w moim domu jako biblioteka i jestem cały twój. Oczywiście mówię to w przenośni. Powiedz mi proszę, co mogę dla ciebie zrobić?

- Naprawdę nie wiem. Nie wiedziałam, że panna Edi była właścicielką domu, a tym bardziej miasta.

- Właściwie to musiała dać nam wolność w 1864 roku i...

- Trzecim - powiedziała Joce nim pomyślała, a potem żałowała, że się odezwała. - Przepraszam, że ci przerwałam.

- Rozumiem... 1863. Proklamacja Emancypacji. Możesz mi podać dokładną datę?

- Pierwszego stycznia - powiedziała ostrożnie, niepewna, czy zostanie nazwana mądrałą, czy gorzej.

- Pierwszego stycznia 1863 roku. No, panno Minton, widzę, że się szybko polubimy. - W jego głosie słychać było delikatną zmianę, gdy przeszedł z żartów do poważniejszych spraw. - Co chciałabyś wiedzieć?



- Nie wiem od czego zacząć. Chcę, żebyś mi opowiedział o domu, o ludziach. Właściwie to o wszystkim.

- Myślę, że nie starczyłoby mi czasu, żeby ci o tym opowiedzieć przez telefon - powiedział. - Sugeruję, żebyś przyjechała do Edilean, wtedy usiądziemy i porozmawiamy spokojnie o wszystkim w cztery oczy. Może przedyskutujemy to przy kolacji? Powiedzmy w następną sobotę o dwudziestej?

Zabrakło jej powietrza. To już za osiem dni.

- Nie wiem, czy dam radę dotrzeć tam tak szybko.

- Może wysłać po ciebie samochód?

-Ja... nie, to nie będzie konieczne. Mam własny. W jaki sposób mam naprawić dach w domu? - wystrzeżiła.

-Jaka praktyczna kobieta - powiedział Ramsey. -Podoba mi się to. Nie wolno mi podać, co dokładnie odziedziczyłaś po panie Edi, ale mogę zapewnić, że będziesz w stanie utrzymać dach w jak najlepszym stanie.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Nie cieszyła ją myśl o wzięciu na siebie odpowiedzialności za utrzymanie i opiekę nad tak starym domem.

-Panno Minton, z jakiego powodu się pani waha? Nasze piękne miasteczko Edilean czeka na ciebie, nie wspominając już o przepięknym, starym domu i Colonial Williamsburgu, który jest tuż obok. Czego jeszcze można chcieć?

Chciała powiedzieć, że czasu, ale się powstrzymała. Nagle ogarnęło ją uczucie, które rzadko pojawia się w życiu. W jednej chwili wiedziała już, co ma robić. Zamierzała zmienić swoje życie. Od śmierci panny Edi, Jocelyn nie zmieniła niczego. Pracowała w tym samym miejscu, którego już nie lubiła, robiła codziennie to samo i mieszkała w tym samym, nudnym i ciemnym mieszkanku. Jej przyjaciele obdarzali ją smutnymi spojrzeniami, bo była sama. Zaczęli już wspominać, że zorganizują jej randki w ciemno. Jedyłą zmianą, jaka dokonała się

w jej życiu, była śmierć najlepszej przyjaciółki. A teraz, jeśli zechce wrócić do domu, to będzie musiała zamieszkać w domu ojca, gdzie na zewnątrz są motory, w środku telewizor nastawiony na kanale z wyścigami NASCAR, i żalosne spojrzenia jej przyrodnich sióstr. Biedna Jocelyn nie miała nikogo ani niczego.

Był piątek, więc jeśli jutro rano złoży rezygnację z pracy, to będzie miała kilka dni na załatwienie wszystkich potrzebnych spraw, jak zakręcenie wody i...

- Przesłać ci jakąś sumę pieniędzy? - zapytał, podejrzewając, że jej milczenie może mieć coś wspólnego z wydatkami. - Nie, proszę zaczekać, tak nie będzie dobrze. Będziesz musiała mi podać numery kont bankowych, a nie powinnaś tego robić. Przecież wiesz, że jestem.... - zawahał się.

- Prawnikiem?

- No właśnie. To znaczy szumowiną. My, prawnicy, spędzamy w szkołach wiele godzin, żeby się nauczyć, jak oszukać ludzi. A może prześlę ci czek ekspresem?

- Mam wystarczająco dużo pieniędzy i dam sobie radę - powiedziała.  
- Chodzi o to, że to duży krok.

- Skoro znasz datę ogłoszenia Proklamacji Emancypacji, to wnioskuje, że kochasz historię. Więc jak możesz odwlekać moment, w którym ujrzysz dom zbudowany w osiemnastym wieku? W środku nie ma żadnych słupków odgradzających z aksamitnymi linami. Możesz wszystkiego dotknąć. Wiesz, że stajnie zostały ostatnio odrestaurowane? A piwnica dotrwała nieuszkodzona do dzisiejszych czasów? I myślę, że na strychu znajdziesz mnóstwo starych pamiątek, ubrań i pamiątek.

- Panie McDowell, myślę, że minął się pan z powołaniem. Powinien pan jeździć po kraju w zadaszonym wozie i sprzedawać cudowny lek na wszystko.

- O nie, żadnych leków. Sprzedaję tylko Złoty Elixir panny Edi. Jest zrobiony z tęczy i odrobiny złotego pyłu

z garnka skrzata. Mogę cię zapewnić, że leczy wszystkie dolegliwości. Masz chłopaka?

- A jak ma zadziałać na niego eliksir? - spytała z uśmiechem.

- Nie - powiedział poważnym tonem. - Pytam serio, masz chłopaka?

- Nie, odkąd poprosił mnie o rękę, a ja uciekłam z wrzaskiem.

- Acha.

Joce pożałowała, swoich słów.

- Znaczy... to nie było tak. On był bardzo miły, a ja nie patrzę krytycznie na małżeństwo, ale...

- Nie musisz mi się tłumaczyć. Moja ostatnia dziewczyna zaprowadziła mnie do jubilera, a zabrała mnie stamtąd karetka.

- Pokrewne dusze.

- Na to wygląda. A teraz powiedz mi, co z kolacją?

- Może na razie niczego nie rezerwuj - powiedziała uważnie. - Mogę się nie wyrobić z załatwianiem wszystkich spraw.

- A kto wspomniał coś o rezerwacji? Myślałem raczej o winie i spaghetti podanymi w twoim osiemnastowiecznym domu, na podłodze przykrytej obrusem. Przy zapalonych świecach. A na deser zjemy truskawki zanurzone w czekoladzie.

- O mój Boże - powiedziała. - Będę miała z tobą problem, co?

- Mam taką nadzieję. Lubię dziewczynę, która zna swoją historię. I podoba mi się fotografia, którą wysłała mi panna Edi w zeszłym roku. Wciąż masz to czerwone bikini?

Jocelyn nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

- Ona rozdała to zdjęcie połowie mężczyzn w naszym kościele. Gdy skończyłam dwadzieścia sześć lat i wciąż nie miałam męża, to myślałam, że panna Edi rozwiesi tę foto-

grafię na wszystkich drzewach w okolicy i dołączy jeszcze numer telefonu.

- Kiedy to zdjęcie było zrobione? - zapytał, a w jego głosie słycać było pewną obawę. Niemal słyszała pytanie: Ile urodzin temu to było?

- Właściwie upłynęło już trochę czasu - powiedziała trochę złośliwie.  
- Więc zobaczymy się pod koniec tygodnia?

- Będę czekał - powiedział, ale jego głos nie brzmiał już tak radośnie. Jocelyn rozłączyła się i w swojej głowie zaczęła układać listę, która zaczynała się od punktu „chodź codziennie na siłownię w tym tygodniu”. Zdjęcie w bikini było zrobione zeszłego lata, ale kto wiedział, co się stało z jej ciałem przez zimę.

Więc to był Ramsey McDowell, pomyślała i podniosła się, żeby przejrzeć swoją szafę. Jutro zatrzyma się w biurze profesora i złoży rezygnację. Wiedziała, że się nie zmartwi, bo na każde miejsce pracy na uniwersytecie było czterech chętnych kandydatów.

Położyła rękę na ubraniach i zamyśliła się. Może teraz będzie mogła napisać książkę. Nie beletrystykę, ale coś historycznego. Może uwieczni historię miasteczka Edilean. Zaczęłaby od historii Szkota, który wykradł pewnemu mężczyźnie złoto i piękną córkę, a potem uciekł do dzikiego kraju zwanego Ameryką. Ciekawe jak wyglądało Edilean w 1770 roku? A co ważniejsze, jak wygląda dziś?

Dziesięć minut później wpisywała nazwę miasta w Google. Jego historia była podobna do tej, którą opisała w liście panna Edilean. Zaczynała się od tego, że Szkot o nazwisku Agnus Harcourt, zbudował ogromny dom dla swojej pięknej żony, a potem zaczął obsiewać całe połacie ziemi kukurydzą. Ale jego żona, Edilean, czuła się samotna, więc zaprojektowała niewielkie miasteczko, które zawierało ulice i osiem terenów zielonych. Na

samym środku wsadziła żołądz, który przywiozła z posiadłości swego ojca. Wyrósł z niego okazały dąb, z którego kilkakrotnie pobrano szczepki i posadzono w różnych miejscach.

Jocelyn przeczytała, że w latach pięćdziesiątych, jej ukochana panna Edilean Harcourt stoczyła w sądzie bitwę, trwającą cztery lata, ponieważ władze stanu Wirginia chciały wysiedlić mieszkańców miasteczka, a ich ziemie przeznaczyć na rezerwat przyrody. „Tylko dzięki pannie Edi - jak wszyscy ją nazywali - czytała Joce - miasto wygrało bitwę i istnieje do dzisiejszego dnia. Mieszkańcy mają zakaz budowy nowych domów, ale te, które tam stoją, są objęte ochroną, więc można się poczuć, jakby czas stanął w miejscu”.

„W mieście jest kilka ekskluzywnych sklepów, które przyciągają turystów z Williamsburga, ale klejnotem w koronie jest posiadłość Edilean Manor, zbudowana przez Agnusa Harcourta w 1770 roku. Od tamtej pory pozostaje cały czas w rękach jednego rodu. Niestety, zarówno dom, jak i cała ziemia wokół, nie jest przeznaczona do zwiedzania”.

- Całe szczęście - powiedziała Jocelyn i przysunęła się bliżej do monitora, żeby przyjrzeć się zdjęciom. Wydawało jej się, że na jednym z białych domów zobaczyła znany jej symbol. Czy to jest biuro Ramseya? Czy mieszkał w tym samym budynku, w którym miał biuro? Zapytał ją o chłopaka, ale czy on miał dziewczynę?

Nacisnęła na napis Edilean Manor i zobaczyła go. Jocelyn wpatrywała się w zdjęcie z szeroko otwartymi oczami. Fasada była idealnie symetryczna: dwupiętrowy dom z pięcioma szerokimi oknami, zbudowany z cegły. Po obu stronach znajdowały się skrzydła z niewielkimi werandami.

- Pewnie tam mieszkają te dwie lokatorki - powiedziała, wciąż zdziwiona myślą, że jest właścicielką tak wspaniałego, starego domu.

Pięć minut później rzeczy z jej szafy wylatywały w powietrze jak liście spod dmuchawy. Zamierzała pozbyć się wszystkich ubrań, których już nie nosiła i przekonać się, co jej zostanie. Piętnaście minut potem patrzyła na niemal pusta szafę i powiedziała:

- Idę na zakupy.

Przez kilka kolejnych dni była bardzo zajęta, ponieważ chciała jak najszybciej zacząć nowy etap w swoim życiu.

Teraz była godzina jedenasta, a była już w Williamsburgu. W sobotę rano wymeldowała się z hotelu i wszystko, co posiadała, spakowała do mini coopera i ruszyła zobaczyć „jej dom” po raz pierwszy w życiu. Nie mogła się zdecydować, czy jest szczęśliwa, czy wystraszona na śmierć. Nowe miasto, nowy stan i wszyscy nowi ludzie, a z jednym z nich miała dziś taką prawie randkę.

- Dasz radę - powiedziała i otworzyła hotelowe drzwi.

## Rozdział 2

Podczas jazdy trzymała w dłoni wydrukowaną mapę z wytyczoną trasą. Droga była prosta. Opuścić Williamsburg, jadąc autostradą nr 5, tą, która prowadziła do wszystkich pól uprawnych, a za kilka kilometrów dojechać do drogi McTern. Jakies cztery i pół kilometra później skręcić w prawo, w drogę prowadzącą do Edilean, a potem jechać przez miasto, aż do nowego domu.

Drogę McTern znalazła z łatwością, ale pomyślała, że się pomyliła, bo jechała przez las, który był tak stary, że chyba pamiętał początki ziemi. Czytała, że Edilean leży po środku rezerwatu przyrody, ale nie spodziewała się, że będzie to wyglądało jak pierwotny las.

Zjechała nieco na jedną stronę, gdy zobaczyła mężczyzn jadących z naprzeciwka w czarnej furgonetce, która ciągnęła kuter rybacki z dwoma motorami na pokładzie. Pomachali jej w geście podziękowania za ustąpienie im drogi.

Droga Edilean była bardzo dobrze oznakowana i utrzymana w naprawdę dobrym stanie, z czego Jocelyn była zadowolona. Martwiła się wcześniej, że trafi na zwirową drogę, porośniętą chwastami aż do centrum miasta.

Gdy była już prawie półtora kilometra od miasta, wyglądający dziko las ustąpił miejsca rozłożystem dębom, ogromnym sykomorom i plązom. Nikt nie musiał jej mówić, że wkroczyła na teren, na którym kiedyś znajdowały się ogromne plantacje.

Gdy dojechała do centrum miasta, zatrzymała się na chwilę, żeby na nie popatrzeć. To co widziała na stronie internetowej, tylko w części oddawało prawdę. Miasto było o połowę mniejsze niż było widać na zdjęciach, ale za to dwa razy bardziej czarujące. Parking był otoczony ze wszystkich stron ogromnymi wierzbami, które dawały

przyjemny cień. Nigdzie nie było nowych budynków, a stare zostały pięknie odrestaurowane.

Po lewej stronie znajdował się kościół, a ona instynktownie skręciła w prawo, tak żeby się przyjrzeć samemu sercu miasta. Chciała zobaczyć parkowe miejsca, które zaprojektowała dawno temu Edilean i oczywiście pragnęła popatrzeć na ten stary dąb.

Gdy po raz kolejny skręciła w lewo, znalazła się na głównej ulicy Lairdton. Jocelyn zauważyła, że prawie wszystkie nazwy ulic pochodziły z języka szkockiego. „Ton” było niegdyś skrótem od słowa „town”, czyli miasto, a słowo „laird” oznaczało właściciela. Pomyślała, że w osiemnastym wieku chłopiec stajenny, Angus Harcourt awansował na właściciela ziemskiego i chciał, żeby ludzie o tym wiedzieli.

Jocelyn zobaczyła budkę z lodami, która wyglądała jak z jakiegoś filmu, i sklep z używanymi książkami.

-Kopalnia złota - powiedziała głośno. Uwielbiała książki, których już nikt nie wydawał.

Zauważyła niewielki spożywczy sklepik, przed którym stały skrzynki z płodami rolnymi, a przy nich krzątała się kobieta ubrana w długą spódnicę i pasek z frędzelkami oraz koszulkę tie-dyed. Wokół głowy miała zawiązaną bandankę.

- Ciekawe czy była na Woodstock? - powiedziała Jocelyn pod nosem.

Przy tej samej ulicy był jeszcze sklep ze starymi meblami i inne małe firmy.

A po środku, na dużym, okrągłym trawniku, rósł niesamowicie ogromny dąb. W jego cieniu stało chyba z pół tuzina ławek, a na jednej z nich siedziała para całujących się nastolatków, z których śmiało się kilkoro młodszych dzieci.

Dwa ostatnie domy, stojące w miejscu, w którym ulica znikwała w gęstwinie drzew, widziała wcześniej w Interne-



cie. Były duże, białe i wyglądały gościnnie. Przed jednym z nich jakaś kobieta zamiatała werandę, a gdy zobaczyła Jocelyn, podparła się na miotle i wpatrywała się w dziewczynę, tak jakby ją znała.

Jocelyn była tak pochłonięta oglądaniem się za kobietą, że prawie przegapiła zakręt na końcu ulicy Lairdton. Gdy minęła jeden budynek, zobaczyła znak, który mówił DROGA THOMASA. Spojrzała we wsteczne lustro i zobaczyła, że kobieta zniknęła z werandy. Pewnie weszła do środka, żeby przekazać dalej najnowsze plotki. Ciekawe co powie? Że w mieście jest jakaś obca kobieta, która przejmie dom po ich ukochanej pannie Edi?

Jocelyn jechała wolno w dół wiejskiej drogi. Minęła tylko trzy domy i, jeśli się nie myliła w swych przypuszczeniach, wszystkie należały kiedyś do Edilean Manor. Widziała, że domy zawierały stare elementy, ale zostały przebudowane i rozszerzone przez szereg lat.

Kiedy dojechała do kamiennych kolumn, które były prawie w całości pokryte pnączami winorośli, wiedziała, że dotarła do celu. Na jednym z filarów wisiała mała marmurowa tabliczka, a na niej napis widoczny na tyle, żeby odczytać nazwę.

Dotarłam, pomyślała i nacisnęła pedał gazu. Wokół rosło wiele tak ogromnych drzew, że nie mogła niczego zobaczyć, i przyszło jej na myśl, że może zdjęcie, które widziała, było zrobione zanim dom został zburzony. Wiedziała ze swych poszukiwań w czasach szkolnych, że trzeba czytać drobny tekst umieszczony pod zdjęciem, żeby dowiedzieć się, czy dom nadal stoi.

Nagle drzewa rozstały się i jej oczom ukazał się dom, dokładnie taki, jak na zdjęciach. W swoim życiu widziała już niejednego stary dom, więc natychmiast zauważyła, że ten jest utrzymany w doskonałym stanie. Nawet niektóre nowe domy nie wyglądały tak dobrze. Każde okno, okiennica i rynna były w idealnym stanie.

Po obu stronach domu znajdowały się skrzydła z małymi werandami i przez chwilę Joce chciała zapukać do jednych z dwójga drzwi, żeby zapytać, czy może wejść. Ale to byłoby niedorzeczne.

Nie mogła nawet na chwilę oderwać oczu od domu, gdy wysiadła z samochodu, otwierała bagażnik i wyjmowała walizkę. Ciągnęła ją za sobą i wchodziła po drewnianych schodach na niewielką werandę przy głównym wejściu.

Wyjęła z kieszeni klucz, włożyła do zamka i gdy go przekręciła, jej serce zaczęło szybciej bić.

- Halo. Jest tu ktoś? - zawołała Jocelyn, gdy otworzyła stare drzwi. Z tego co zauważyła, były oryginalne, co oznaczało, że miały więcej niż dwieście lat. Zostawiła swoją dużą, czarną walizkę przy wejściu i powoli weszła dalej do środka. Jej obcasy stukały głośno o drewnianą podłogę.

Znajdowała się w głównym korytarzu, który, miała nadzieję, ciągnął się przez cały dom. Po prawej stronie były dwie pary zamkniętych drzwi, tak samo jak po lewej stronie.

Miała nadzieję, że dom nie był przebudowany i za tymi drzwiami znajdowały się duże pokoje, a nie małe kabiny podzielone przez kolejnych właścicieli.

Schody były przepięknie wykonane, a poręcz, jak podejrzewała, wyrzeźbiona z jednego kawałka mahoni. Odwróciła się, spojrzała na szczyt schodów i zobaczyła kolejne pozamykane drzwi, nigdzie nie znalazła nawet jednego mebelka.

Doszła na sam koniec ogromnego i pustego korytarza i popatrzyła przez okno. Na zewnątrz rosły rozłożyste drzewa, które mogły być równie stare jak dom. Chciała przespacerować się pod nimi i usiąść na jednym z małych, pomalowanych na biało, metalowych krzesełek.

Gdy z ciekawością przyglądała się krajobrazowi za oknem, zobaczyła młodą kobietę, która szła z prawej strony domu i trzymała w jednej dłoni coś, co było chyba sukienką

zawiniętą w ręcznik, a w drugiej koszyk z najróżniejszymi przyborami do szycia. Joce kilka razy mrugnęła oczami, sądząc, że chyba znalazła się w innym wymiarze czasu. Kto szyje w dzisiejszych czasach? Kto nosi duży koszyk z poduszczką na igły? Czy panna Edi wysłała Joce do miejsca, w którym czas się zatrzymał?

Uśmiechnęła się na samą myśl o takiej możliwości, ale jej radość szybko zniknęła. Mimo że od śmierci jej przyjaciółki minęło już kilka miesięcy, Joce wciąż nie była gotowa, żeby pozwolić jej odejść. Nie dostawała już śmiesznych e-maili i nie rozmawiała przez telefon godzinami. Nie było już panny Edi, do której przyjeżdżała, gdy tylko pojawiła się okazja. Nie mogła już usiąść z nią do gorącej herbatki, żeby powierzyć jej swoje problemy, obawy i opowiedzieć o sukcesach. Już nigdy nie usłyszy tych dobrze znanych słów: „To nie moja sprawa, ale gdybym była na twoim miejscu, to...”.

Joce powstrzymała łzy i spojrzała na zamknięte drzwi, które znajdowały się przy wejściu, a potem jeszcze raz zwróciła wzrok na kobietę, która siedziała w cieniu drzewa. Czekały na nią pokoje, które miała obejrzeć, powinna też pomyśleć o zakupach w sklepie spożywczym i sprawdzeniu, czy jest gdzieś łóżko, na którym będzie mogła spędzić noc. Ale wpatrywała się w kobietę i to ona wygrała.

Joce otworzyła kluczem tylne drzwi, a potem poszła w kierunku nieznanym, wdychając po drodze świeże, wiosenne powietrze. Kobieta była tak bardzo zajęta szyciem, że chyba nie usłyszałaby nikogo, kto by się do niej zbliżał, dlatego też Joce miała okazję dobrze jej się przyjrzeć. Była dość młoda, miała może dwadzieścia kilka lat, a wyglądała jak uosobienie niewinności. Twarz miała idealnie owalną, a cerę porcelanową. Jej brązowe włosy były rozświetlone złotymi refleksami, które wyglądały zupełnie naturalnie. Ubrana była w sukienkę, którą mogła zaprojektować sama Kate Greenaway.

Joce nie chciała jej przestraszyć, więc gdy była już dość blisko, powiedziała:

- Cześć.

Młoda kobieta nie spojrzała nawet na nią i szła dalej. Dopiero, gdy Joce była tuż obok, zauważyła, że kobieta ma w uszach słuchawki. Uśmiechając się, Joce odsunęła krzesło, które stało po drugiej stronie stołu i usiadła.

- Cześć - powiedziała kobieta zupełnie nieprzestraszona. Wyjęła z uszu słuchawki i wyłączyła iPoda.

- Niech zgadnę - powiedziała Joce. - Jesteś Enya. Piękna kobieta zamrugała oczami i uśmiechnęła się.

- Aha, rozumiem. Wyglądam jakbym w swoim całym życiu nie obejrzała nigdy żadnego filmu, więc pewnie muszę słuchać anielskiej muzyki. Wyciągnęła słuchawki z gniazdka i włączyła muzykę. Leciał ZZ Top. - Moja matka jest hipiską-powiedziała. -Mój ojciec jest lekarzem o bardzo konserwatywnych poglądach, ale moja mama lubi rocka i słucha go tak głośno, jak to tylko możliwe. Oczywiście, gdy taty nie ma w domu.

- Sąsiedzi nie narzekają?

- Jednej się zdarzyło, ale moja mama zrobiła jej Margaritę i gdy mój tata wrócił do domu, obie tańczyły. Od tamtej pory nikt już nie narzeka.

Joce wybuchła śmiechem, wciąż przyglądając się kobiecie.

- Jesteś podobna z twarzy bardziej do ojca czy matki?

- Do mojej praciotki Lissie. A przynajmniej tak mi mówiono. Użyła swojej urody, żeby zwabić najbogatszego mężczyznę w całym miasteczku, potem urodziła mu pół tuzina dzieci, a następnie przeszła do wydawania pieniędzy męża.

Jocelyn nie dała po sobie znać, że rozpoznała imię Lissie, które pojawiło się w liście panny Edi. Powiedziała tylko:

-Lubię takie kobiety. Ta sukienka, którą szyjesz, będzie twoja?

- Broń Boże! Nie stać mnie na takie stroje. - Podniosła do góry sukienkę, żeby Joce mogła ją zobaczyć. Była ciemnoniebieska.

- Mówiłam jej, żeby uważała. Mówiłam jej, że schadzki w blasku księżyca są zakazane, podobnie jak migdalenie się na tylnym siedzeniu w samochodzie. Ta sukienka kosztowała tysiące funtów i mówiłam, że należy ją używać z wielką ostrożnością. Ale czy ona mnie posłuchała? Oczywiście, że nie.

- Z tego co widzę, bardzo się migdałiła.

-Też tak myślę. A ponieważ dobijała się do moich drzwi dziś o szóstej rano, mówiąc mi, że muszę to naprawić na dzisiejszy wieczór, to podejrzewam, że nie robiła tego ze swoim mężem.

Joce zaśmiała się.

- Jesteś jedną z moich lokatorek?

- Och! Przepraszam, że się nie przedstawiłam. Jestem Sara Shaw - powiedziała. - Ja mieszkam w tej części, a Tess Newland mieszka w tamtej.

- Jestem...

- Całe miasteczko wie, kim jesteś. Wszyscy czekali na ciebie od samego świtu.

- Jakaś kobieta w sklepie spożywczym gapiła się na mnie.

- Moja mama - powiedziała Sara. - Już do mnie dzwoniła, że jesteś w drodze.

- A kobieta z miotłą na werandzie?

- To moja ciocia Helen. Próbowwała dodzwonić się do mojej mamy, ale ona dzwoniła wtedy do mnie. Pewnie szeryf sprawdził już twoje numery rejestracyjne.

Jocelyn nie wiedziała, co ma powiedzieć, więc tylko zamrugała oczami.

- Może napijesz się mrożonej herbaty? - spytała Sara. - Niedawno zrobiłam cały dzbanek

- Tak, poproszę, ale... - zawahała się.

- Tylko mi nie mów, że chcesz pół łyżeczki cukru? - spytała Sara, po czym wstała, ostrożnie zawinęła suknię w ręcznik i położyła na białym stole.

Joce poczuła, że robi się czerwona.

- Nie martw się. Przywykliśmy tu do Jankesów. - Dużo mi do nich brakuje. Pochodzę z Florydy -

mówiła Joce, gdy szły w kierunku dużego domu, zbudowanego z cegieł. - To na południe stąd.

- Hmm - powiedziała przez ramię. - Sądzę, że bycie południowcem to bardziej kwestia umysłu niż miejsca. Przecież tak dużo ludzi przeprowadziło się z północy na Florydę.

Joce uśmiechnęła się mimowolnie. Doszły do drzwi znajdujących się we wschodnim skrzydle, a ona jeszcze raz zatrzymała się, żeby popatrzeć na dom. Wszystkie okna idealnie pasowały do siebie, żadnych wystających pokoi, nic, co mogłoby uczynić ten dom interesującym we współczesnym znaczeniu tego słowa. Edilean Manor był dziewiczym miejscem i dlatego był tak piękny, jak to możliwe.

Sara zanurzyła się w chłodzie, który bił z części domu, który zamieszkiwała, za nią weszła Joce. Stały w kuchni, która wyglądała, jakby była zbudowana w 1965 roku i choć była remontowana kilkakrotnie, to nigdy nie została odrestaurowana.

- Czy to Formica? A to...?

- Avocado - powiedziała Sara, zaglądając do środka zielonej lodówki.

- Osobiście uważam, że Instytut Smith-sona mógłby się zainteresować tym miejscem. Powinni ten dom zabrać w całości do muzeum.

Joce popatrzyła na biały, emaliowany zlew, znajdujący się przy oknie, i zgodziła się z opinią Sary. Kuchnia nie była na tyle stara, żeby można się było nią zachwycać. Była wręcz brzydka.

- Myślę, że poskarżę się właścicielowi.

- Powinnaś - powiedziała Joce, patrząc na stary piec. Pasował do lodówki. Podniosła głowę. - Och! Czekaj no. Przecież to ja jestem właścicielką.

Sara śmiała się w drodze do lodówki, z której wyjęła duży dzbanek mrożonej herbaty.

- Trochę ci zajęło, nim na to wpadłaś.

- Nie zdążyłam się jeszcze przyzwyczaić do posiadania tak ogromnego domu. Nawet go jeszcze nie obejrzałam w środku.

- Będiesz miała na to czas. Na zewnątrz też jest kilka starych zabudowań, ale może o tym wiesz. - Sara wskazała głową mały chromowy stolik, stojący przy ścianie. Jego powierzchnia była czerwona i pasowała do chromowych krzesełek, których obicia miały identyczny kolor.

Joce usiadła i obserwowała, jak Sara nalewała herbaty do obu szklanek, a potem położyła talerz z ciastkami wyglądającymi na własnoręcznie robione.

- Wiem bardzo niewiele. To wszystko jest dla mnie nowe - powiedziała Joce. - Wciąż nie mogę dojść do siebie po... po...

- Po śmierci panny Edi - spytała delikatnie Sara. Joce przytaknęła głową.

- Znałaś ją?

- Nie, nigdy jej nie spotkałam. Ale na pewno dużo o niej słyszałam.

- Naprawdę? - Joce wypila herbatę jednym ciurkiem. Nie zdawała sobie sprawy, że jest tak bardzo spragniona, potem niemal połknęła całe ciastko. Gdy brała się za drugi kawałek, popatrzyła w stronę Sary, która otworzyła oczy ze zdziwienia. - Przepraszam. Jechałam przez kilka dni i chyba zapomniałam o jedzeniu. - Prawda była taka, że zeszłej nocy tak bardzo się denerwowała, że nie zjadła kolacji, a rano zapomniała o śniadaniu.

-To się nazywa prawdziwy refleks - powiedziała Sara, po czym podeszła do lodówki, wyjęła z niej miskę

z czymś w środku i potem sałatę, majonez i chleb. Odłożyła wszystko na blat i podniosła do góry bochenek.

- Patrz! To jest jankeski chleb. Bez wątpienia dozwolony u mnie w domu.

- A ma w środku ananasy? Sara wyglądała na zmieszana.

- Nie ma ananasów, nie ma chleba. U nas w domu na Florydzie dodajemy je do wszystkiego. Albo wiórki kokosowe.

Teraz Sara zaczęła się śmiać.

- No dobrze. Przeszanę bawić się w stereotypy. Edilean jest tak blisko Williamsburga i z tego powodu odwiedza nas o wiele więcej turystów niż byśmy chcieli. Oni myślą, że my wszystko smażymy.

- A smażyście?

-Nie, odkąd usłyszeliśmy słowo cholesterol. Joce wzięła na talerz jedną kanapkę i powiedziała.

- Nie musiałaś nic przygotowywać. Naprawdę. Sama też potrafię zadbać o odżywianie.

- Musisz się jeszcze dużo nauczyć o nas, Południowcach. To, że karmimy ludzi, mamy już chyba w DNA - powiedziała Sara. - Możemy to wszystko przenieść na dwór, żebyśmy mogła skończyć sukienkę?

- Oczywiście - odparła Joce, wzięła ze sobą szklankę i talerz i wyszła za Sarą. Gdy usiadły przy stole, Sara wzięła sukienkę na kolana i igłę do ręki, a Joce włożyła kolejną kanapkę na talerz.

- Tyją zrobiłaś? - Sałatka na kromce chleba była zrobiona z kurczaka oraz pokrojonych winogron i jabłek. Smakowała wyśmienicie, jak jedzenie z najlepszych delikatesów.

- Nie, to moja mama. Ona jest przekonana, że umrę z głodu, mieszkając sama. Albo, co gorsze, że zjem coś, co nie wyrosło w ogródku i nie jest ekologiczne. Hoduje kury, a jabłka są z naszego sadu.



Joce spojrzała na kanapkę z nieśmiałością.

- Ty znałaś tego kurczaka? Sara wzruszyła ramionami.

- Gdy miałam trzy latka, oduczyłam się nadawać imiona wszelkim żywym stworzeniom, żyjącym w pobliżu naszego domu. Z wyjątkiem moich sióstr. Nazwałam je i do tej pory nie wylądowały w garnku.

Joce prawie się zakrztusiła.

- Lepiej nie zaczynajmy tego tematu! Obojętnie, co mi powiesz o swoich siostrach, jestem pewna, że pokonam cię swoimi opowieściami.

-Naprawdę tak sądzisz? Moje obie siostry ukończyły uniwersytet z wyróżnieniem. Obie wyszły za mąż tydzień po ukończeniu szkoły, oczywiście za lekarzy. I obie zaszły w ciążę tydzień po ślubie. Obie też dochowały dziewictwa do nocy poślubnej.

Joce napiła się, a potem spojrzała z zadowoleniem na Sarę.

-Żadna konkurencja. Ja mam dwie przyrodnie siostry. Obie wyglądają identycznie, są piękne, mają naturalne blond włosy i ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Wiesz jak mnie nazywają? Kopia.

- Kopia - Sara otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. -Nie...

- Tak. To skrót od Kopciuszka.

Sara nie chciała tak łatwo oddać pierwszego miejsca.

-Ja mam dwie siostrzenice i dwóch siostrzeńców, są niemal doskonali. Nigdy nie zapominają powiedzieć proszę i dziękuję.

- Słyszałaś kiedyś od Bell i Ash?

-Tych modelkach? Pewnie że tak. W zeszłym tygodniu ich zdjęcie było na okładce... O nie! - załapała Sara. - To nie może być prawda. One są twoimi...?

- Siostrami przyrodnimi - dokończyła Jocelyn.

- Wygrałaś. Albo przegrałaś, sama nie wiem. Myślę, że zaraz zadzwonię do moich sióstr i powiem im, jak bardzo się cieszę, że je mam. - Popatrzyła na Joce podejrzliwie. - Jak ty to przetrwałaś?

- Jakoś dałam radę - powiedziała, wzruszając ramionami, gdy spojrzała na Sarę. - Nie sędzę, żeby mi się udało, gdyby nie panna Edi. To ona mnie ocaliła. - Popatrzyła w dół na kanapkę. - Tak przy okazji, to panna Edi powiedziała, że będziesz tu mieszkać do końca życia.

- W mieście, nie w tym domu.

- Oczywiście - powiedziała Joce ostrożnie, a potem przełknęła kolejny kęs kanapki, zastanawiając się, jak uprzejmie nawiązać do tematu, który chciała poruszyć. -Znasz mężczyznę, który się nazywa Ramsey McDowell?

- No pewnie - powiedziała Sara, ale nie spojrzała na nią.

- Jaki on jest?

-Przystojny, mądry i wymagający. Co dokładnie chcesz o nim wiedzieć?

- Zatem mam rozumieć, że jest łamaczem damskich serc. Sara zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią,

a gdy się odezwała, w jej głosie brzmiała jakby przestroga.

- Złamał już kilka.

- Ale nigdy kobieta nie złamała jego? Sara spojrzała znad sukienki.

- Myślę, że powinnam ci powiedzieć, że Ramsey to mój kuzyn, więc obowiązuje mnie lojalność rodzinna. Będę musiała cię poznać o wiele lepiej, nim dowiesz się czegoś o nim ode mnie.

-Chodzi o to, że on przyjeżdża tu dziś na kolację i chciałabym wiedzieć o nim coś więcej niż to po jednej rozmowie telefonicznej. Wydaje mi się, że jest...

- Rams przyjeżdża tu dzisiaj? Wieczorem? Co ty zrobiłaś, żeby to osiągnąć? Ale tempo... - Sara była pod wrażeniem.

-Nic, o czym bym wiedziała - powiedziała Joce. - On ma wszystkie prawne dokumenty dotyczące tego domu, więc...

- To jest jego praca i tym zajmuje się w swoim biurze. Co takiego zrobiłaś, żeby ściągnąć go do swojego domu?

- Ja... ja nic nie zrobiłam, poza tym, że znałam datę ogłoszenia Proklamacji Emancypacji.

- Pewnie o to chodzi. Rams uwielbia bystrych i mądrych ludzi i kocha historię. - Sara wyjęła z pudełeczka szpulkę nici i nawlekła igłę. - Właśnie w tym miejscu wszystkie kobiety popełniają błąd, jeśli chodzi o Ramseya.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że Rams jest taki jak inni mężczyźni, którzy uganiają się za kobietami w krótkich sukienkach. Oczywiście, że to też lubi, ale bardziej sobie ceni umysł. Poza tym Tess udowodniła, że tak jest. Jeśli chcesz wiedzieć o nim więcej, możesz spytać Tess o to, jakie kobiety lubi, jakie jedzenie i o cokolwiek innego. Ona zna go lepiej niż my wszyscy.

- Tess? Ach, tak. Druga lokatorka. A co ona ma wspólnego z Ramseyem?

- Ona kieruje jego życiem. - W tym momencie Joce uniosła do góry brwi i Sara potrząsnęła głową. - Nie, to nie jest tak jak myślisz. Tess kieruje jego biuro i jest w tym dobra. Ma też tendencje do kierowania jego życiem. Jeśli dostaniesz od Ramseya kwiaty na urodziny, to możesz być prawie pewna, że to Tess je wybrała i wysłała.

- Aha. To pewnie jedna z *tych* sekretareczek. Świata poza nim nie widzi i jest w połowie zakochana? O to chodzi?

Sara uśmiechnęła się.

- Ona twierdzi, że ledwo z nim wytrzymuje i często daje mu to do zrozumienia.

- Więc dlaczego dla niego pracuje? Dlaczego mieszka w Edilean?

Sara wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Tess jest dla mnie wielką zagadką i wiem, że dla Ramsa też. Ale ona daje mu wyraźnie do zrozumienia, gdy zrobi coś, co jej się nie spodoba.

- Więc co ona ma wspólnego z krótkimi sukienkami?

- Będziesz musiała poprosić Ramsa, żeby ci opowiedział tę historię.

- Wiesz co, myślę, że wyczytałam w jakiejś książce, że gdy idziesz na pierwszą randkę, to nie pytasz faceta, co ma wspólnego jego sekretarka i krótka sukienka.

Sara się zaśmiała.

- Jestem pewna, że masz rację, ale Rams zawsze umiał śmiać się z samego siebie. Posłuchaj, wiem, że to zabrzmiało jak ostrzeżenie, ale kiedy spotkasz Tess, nie nazywaj jej sekretarką i nie pytaj o tę sukienkę. Ma już dość tej historii.

-No dobrze - powiedziała Jocelyn i odsunęła swój pusty talerz. Zaczynało jej się kręcić w głowie na samą myśl o tym, ile będzie musiała się jeszcze dowiedzieć.

Sara chyba domyśliła się, o czym myśli.

- Poradzisz sobie. Ludzie są po prostu ciekawi i tyle. Ale muszę cię ostrzec, że wszyscy w tym miasteczku, to znaczy wszyscy, którzy tu mieszkają, będą chcieli, żebyś opowiedziała im o pannie Edi.

- To dla mnie zrozumiałe - powiedziała Joce. - Mieszkańcy musieli ją bardzo kochać.

- Kochać? - powiedziała Sara. - Prawda jest taka, że żyje już niewielu ludzi, którzy ją naprawdę znali. Poza ciocią Mary Alice, oczywiście, ale ona nie może jej przecież kochać, prawda?

- Nie wiem - powiedziała Joce - dlaczego twoja ciocia Mary Alice miałyby jej nie kochać.

- Myślałam, że byłyście przyjaciółkami. Na pewno znasz tragiczną historię miłości panny Edi?

Joce westchnęła.

- Jeszcze kilka dni temu powiedziałabym, że wiedziałam o niej prawie wszystko, ale odkrywam coraz bardziej,

że się myliłam. Nigdy nawet nie wspomniała o Edilean ani o domu. Wiem, że kiedyś kochała młodego mężczyznę, który pochodził stąd i został zabity w czasie II wojny światowej.

- Zabity! - krzyknęła Sara. - Zabity przez narwaną małą Mary Alice Welsch, która zaszła z nim w ciążę i zmusiła go do małżeństwa. Kiedy panna Edi wróciła z wojny, jej ukochany był już mężem innej kobiety.

Po raz kolejny Jocelyn poczuła ukłucie zdrady w sercu. Ta opowieść różniła się od tej, którą słyszała. Więc ta cała miłość, o której opowiadała jej panna Edi, ta wielka, głęboka miłość do Davida Aldredgea nie zakończyła się śmiercią. Jej koniec nastąpił przed ołtarzem. Nie dziwiła się teraz, dlaczego panna Edi nigdy nie wspomniała nawet o Edilean i że skłamała o śmierci swego ukochanego. Lepsza śmierć niż zdrada!

Joce próbowała ukryć swe uczucia przed Sarą.

- Czy to wszystko nie stało się dawno, dawno temu? - spytała. - Powiedziałaś to tak, jakby wydarzyło się wczoraj.

- To jest Wirginia, a my pamiętamy takie rzeczy. Moja babcia opowiadała mi historie związane z wojną secesyjną. Wiedziała kto kochał kogo, a kto kogo porzucił. A teraz ja opowiadam historie z kolejnej wojny. Tak czy siak, słyszałam już o panie Edi tysiące razy. Rodzina Harcourtów założyła to miasteczko, miała największy dom, zaprojektowała rynek miasta i całą resztę. Nawet gdy stracili większość swych pieniędzy, wciąż byli najbardziej znaczącą rodziną. Gdy wybuchła II wojna światowa, rodzina McDowellów była o wiele bogatsza, ale nie miała takiego uznania jak Harcourtowie.

Gdy Joce wypila herbatę, próbowała złożyć całą historię razem.

- Więc panna Edi wróciła z wojny, jej nogi były całe pokryte bliznami i odkryła, że mężczyzna, którego kochała, poślubił inną?

- Zgadza się.
- Więc co zrobiła? - spytała Joce.
- Dom i cały majątek, jaki posiadała jej rodzina, był zapisany na pannę Edi, ale ona zostawiła dom swemu młodszemu bratu. Nie wiem, co się stało z pieniędzmi. Moja praciocia Lissie powtarzała, że Bertrand nie był prawdziwym mężczyzną.
- Co to znaczy? Że nie jeździł konno po schodach o północy?
- Nie pozwól, żeby twoja jankeska dusza cię owładnęła.
- Przepraszam - powiedziała Joce z uśmiechem. -Przeczytałam zbyt dużo powieści romantycznych.
- Tak jak my wszyscy, prawda? Tak jak mówiłam, panna Edi wróciła, zobaczyła, że inna kobieta ukradła jej ukochanego, więc oddała dom swemu leniwemu bratu i wyjechała z miasta. Ale dopiero wtedy, gdy jej brat podpisał czterdziestopięciostronicowy kontrakt w biurze MAW. Była zraniona, ale nie głupia.
- MAW? - spytała Joce.
- Miejscowe biuro prawnicze. McDowell, Aldredge i Welsch.
- Aldredge - powiedziała Joce pod nosem, a potem dodała głośniej. - Zawsze te same nazwiska. Powiedz mi, czy wy w ogóle wyprowadzacie się kiedykolwiek ze swojego rodzinnego miasta, tak jak pozostała część USA.
- *Oni* tak, *my* nie. Joce pokiwała głową.
- No tak, turyści. Obcy. Oni przychodzą i odchodzą, ale wy wszyscy zostajecie. - Joce próbowała użyć południowego akcentu, ale jej to nie wyszło.
- Nie udało ci się dobrze tego powiedzieć, więc więcej nie próbuj. Musiałabyś mieszkać na południu co najmniej od trzech pokoleń, żeby poprawnie powiedzieć „wy wszyscy”.

- Zapamiętam to sobie. A co się stało z bratem panny Edi?

- Zmarł w czasie snu już kilka lat temu. Ciocia Lissie mówiła, że to był facet, który mógł absolutnie nic nie robić i uważał, że to była praca.

- Myślę, że spotkałam nie jednego podobnego typu -powiedziała Joce.  
- Chyba nawet się z nim umówiłam.

- Wiedziałam od razu, że ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

Uśmiechnęły się do siebie, dwie kobiety, które rozumiały się bez słów, a potem siedziały przez jakiś czas w milczeniu. Joce przyglądała się swojej posiadłości. Nie przywykła jeszcze do myśli, że to wszystko należy do niej. Spojrzała w kierunku domu, ujrzała po raz kolejny jego czyste piękno i poczuła ciarki, które przebiegły jej po ramionach.

Nie mogła też przyzwyczać się do myśli, że kobieta, która prawie była jej matką, zatrzymała dla siebie większą część informacji o swoim życiu, albo opowiadała jej same kłamstwa. Jocelyn od dziecka dorastała w cieniu „doskonałej miłości” do żołnierza, o której często opowiadała jej panna Edi. To wyobrażenie o miłości stało się jej przewodnikiem i miarą, którą przykładała do każdego swojego związku. Kiedy tylko mężczyzna zaczynał myśleć o niej na poważnie, Jocelyn pytała się, czy kocha go z taką samą namiętnością jak panna Edi swego Davida. Żaden mężczyzna ani żadne uczucie nie zbliżyło się nawet do obrazu „prawdziwej miłości”, jaki zakorzeniła w niej panna Edi.

A teraz odkrywała, że wielka miłość panny Edi to tylko tandetny romans. Jej mężczyzna zostawił ją dla innej kobiety.

- Co zamierzasz zrobić z domem? - spytała Sara, wrywając Joce z zamyślenia. - Sprzedaż go? Zamienisz na hotel?

Joce nie zwiódł lekki ton głosu, który sugerował, że to tylko zwykłe pytanie. A więc dlatego tak gorąco została

przywitana, pomyślała. Czy ktoś poprosił Sarę, żeby dowiedziała się, co dziewczeczka panny Edi zamierza zrobić ze starym domem?

- Jak sądzisz, ile dostanę za taką kupę starych cegieł? Czekala, aż Sara zaczęła się śmiać, ale nie zaczęła.

Spuściła głowę i przyszywała koraliki do sukienki.

- Sara - powiedziała Joce. - Kocham historię. Odkąd ukończyłam szkołę, pomagałam ludziom w odkrywaniu ich przeszłości.

Sara popatrzyła na nią zimnym wzrokiem.

- Jedno i drugie doskonale do siebie pasują. Joce skrzywiła się.

-Ja taka nie jestem. Jestem bardziej introwertykiem. Mogę rozmawiać z jedną osobą na raz, ale jak znajduję się w tłumie ludzi, to chowam się z powrotem do swojej muszelki.

Sara patrzyła na nią i było oczywiste, że czeka na zdanie, które będzie mogła powtórzyć ludziom z miasteczka. Joce wyobraziła sobie przez chwilę, że linie telefoniczne będą tak bardzo obciążone, że zaczną się palić. Albo ludzie będą tak bardzo zajęci plotkowaniem przez telefony, że przyćmi to nawet oglądanie telewizji.

Joce nie potrafiła wytrzymać spojrzenia Sary, która nawet nie mrugnęła okiem.

- Nie wiem co zrobić. Naprawdę nie wiem. Panna Edi zostawiła mi dom i, jak podejrzewam, jakieś pieniądze, ale nie mam pojęcia ile. - W tej chwili Joce poczuła, że nie chce powiedzieć o sobie już nic więcej. Zbyt wiele działo się teraz w jej umyśle, żeby mogła myśleć jasno i nie zamierzała nikomu mówić, że chce napisać książkę o panie Edi. - Wiesz może, gdzie mogę tu znaleźć pracę?

- Tess zajęła ostatnie atrakcyjne miejsce pracy w mieście.

Joce spojrziała na skrzydło domu znajdujące się po przeciwnej stronie. Drzwi i okiennice były zamknięte.



- A tak przy okazji, to czym się zajmujesz? Oprócz reperowania sukienek oczywiście.

- Tylko to robię - powiedziała Sara, odcinając nitkę. -Przeważnie szyję sukienki dla kobiet, które kupują rozmiar sześć, a potem, gdy przychodzi ten wieczór, kiedy mają się w nie ubrać, okazuje się, że się nie mieszczą.

-Dajesz radę przeżyć z tych pieniędzy? - spytała Joce.

Sara wzruszyła ramionami.

Joce była pewna, że jej lokatorka zarabiała jeszcze w inny sposób na życie, ale najwidoczniej nie chciała jej nic więcej powiedzieć. Joce miała tylko nadzieję, że to nie było jakieś nielegalne zajęcie. Miała nadzieję, że Sara nie uprawia marihuany gdzieś w kącie sypialni. Ta myśl nasunęła jej pytanie, czy wszyscy właściciele domów czują to samo. Co by zrobiła, gdyby się okazało, że wanna jej przecieka? A co z termitami? Panna Edi wspomniała o jakimś ogrodniku. Jakie było jego wynagrodzenie?

Joce spojrzała na dom i zastanowiła się, gdzie będzie dziś spała. Czy tam w ogóle jest łóżko?

Sara wyjęła telefon ze skrzynki z przyborami do szycia, otworzyła go i spojrzała na godzinę.

- Muszę już iść. Ta sukienka musi wrócić do właścicielki nim jej mężulek wróci do domu. - Pospiesznie zwinęła sukienkę w ręcznik i wzięła rulon w obie ręce.

- Mogłabyś zanieść te rzeczy do mojego mieszkania? - pokazała głową na talerze i pudełko.

- No pewnie - powiedziała Joce. - Jeśli mi na tyle ufasz.

- Nie tylko ci ufam, ale myślę, że to całkiem możliwe, że cię polubiłam. Do zobaczenia wkrótce - zawołała, biegnąc w stronę domu.

Jocelyn usiadła z powrotem na swoim miejscu, spojrzała na dom i próbowała poukładać wszystkie wiadomo-

ści, które zebrała, od kiedy wyszła z biura prawnika po odczytaniu testamentu.

Pewnego dnia, kiedy Joce miała szesnaście lat, wróciła do domu ze szkoły i zobaczyła, że Siostrunie i macocha gdzieś poszły, a w domu panowała błoga cisza. Jej ojciec był sam w garażu i naprawiał jeden ze swoich motorów. Przez chwilę stała w drzwiach i przyglądała się mu. Rzadko mieli okazję ze sobą rozmawiać, bo jego „nowa rodzina”, jak ją nazwała Joce, zabierała mu cały czas i energię.

- Idziesz do panny Edi?

- Tak. Czytamy teraz Thomasa Hardy'ego. - Tak jak myślała, nie miał jej nic do powiedzenia na ten temat. Gary Minton nie przywiązał uwagi do takich rzeczy.

- Skarbie? - powiedział, gdy przechodziła obok niego. - Mam nadzieję, że nie poświęcisz jej całego życia. Mam nadzieję, że zostawisz trochę dla siebie.

Było jej miło, że nazwał ją „skarbem”, ale nie przywiązała wtedy uwagi do jego słów. Jak zawsze, myślała jedynie o tym, żeby wyjść z domu nim wróć Siostrunie i przejmą kontrolę nad domem, nad ojcem, nad wszystkim. Czasem wydawało się jej, że jej przyrodnie siostry potrafiły nawet rządzić kosmosem.

Teraz popatrzyła na zegarek. Miała jeszcze kilka godzin do wizyty Ramsey'a, ale chciała zdążyć obejrzeć cały dom i dobrze się przygotować do spotkania. Kupiła sobie sukienkę, która idealnie nadawała się na kolację w starym domu.

- Jej domu - pomyślała i uśmiechnęła się do tej myśli.

### Rozdział 3

Luke obserwował jak ona - nowa właścicielka Edilean Manor - wyszła z domu i, spacerując po trawniku, podeszła do Sary. Wiedział jak się czuła. Sara przyciągała ludzi i było tak od dziecka. Zawsze troszczyła się o wszystkich i miała czas, żeby wysłuchać ich problemów. Wiedział dobrze o tym, że połowa kobiet, które umawiały się z nią na zszycie lub zacerowanie ich ubrań, dzwoniła do niej, bo chciały z nią pogadać.

Zeszłego lata on oraz jego kuzyni, Charlie, Ramsey i kuzynka Sara, jedli razem kolację w Williamsburgu, gdy Charlie powiedział, że Sara powinna założyć swój własny biznes i ustalić stawkę naliczaną za godziny, podczas których wysłuchuje ludzi zwierających się jej ze swoich problemów.

-Nie cierpiałam tych wszystkich lat spędzonych w szkole - powiedziała.

- Kto tu mówi o szkole? - spytał Rams. - Po prostu wymyśl szyl. Luke ci go wystruga albo namaluje, albo cokolwiek innego.

- A ty podpiszesz z nią kontrakt i będziesz od niej wyciągał więcej niż zdoła zarobić w ciągu roku - odstrzelił Luke.

- Jeśli zamierzacie się kłócić dziś wieczorem, to ja wychodzę - ostrzegła ich Sara. - Chcę z wami spędzić miły wieczór, bez waszych przepychanek o pierwsze miejsce.

Kiedy wszyscy trzej mężczyźni ucichli i wyglądało na to, że zamierzają tak milczeć cały wieczór, Sara potrząsnęła głową.

-No dobrze. Zaczynajcie. Poszarpcie na kawałki wszystko, na czym mi zależy. Charlie zamów mi jeszcze raz tego samego drinka.

- Jesteś pewna? - spytał Charlie. - Nigdy nie miałaś zbyt mocnej głowy do likierów.

- Więc któryś z was potrzyzyma mi włosy jak będę rzygała, a drugi zanieś mnie do samochodu.

Luke wyjął z kieszeni dwudziestopięciocentówkę i spojrzał na Ramseya.

- Awers i ja trzymam włosy. Rewers niesiesz ją do samochodu. Za dużo waży jak dla mnie.

- Jesteście obaj okropni - powiedziała Sara, śmiejąc się. A teraz Luke ostrzył o ostrzałkę noże do kosiarki

i wyglądał przez małe, okrągłe okienko w ścianie zbudowanej z cegieł. Stał w pomieszczeniu, które dawniej było stajnią, ale większość z niej dawno temu uległa zniszczeniu. Gdy pan Bertrand jeszcze żył, dom był prowadzony według zaleceń panny Edi, ale inne budynki powoli niszczały.

- Nie zawarłeś w kontrakcie sprawowania opieki nad nimi? - spytał Luke Ramseya. - Pamiętałeś tylko o domu, a o przyległej ziemi nie?

- Czy ty insynuujesz, że to ja zawarłem kontrakt w 1946 roku?

- Ok. Więc to twój ojciec.

- Miał wtedy jeden roczek.

- Ktokolwiek i kiedykolwiek, ale dbanie o to miejsce, to twoja praca - powiedział Luke, gdy wrócił do Edilean i zobaczył, w jakim stanie są budynki.

- Może powinieneś być tu zostać i zająć się nimi - powiedział Ramsey, niewzruszony gniewem kuzyna. - Może nie powinieneś uciekać na drugi koniec świata i robić coś, co sprawiło, że teraz jest w tobie tyle złości.

Luke otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale się powstrzymał.

- Idź do swojego małego biura i zajmij się swoimi sprawami, a mnie pozwól się tym zaopiekować.

Luke remontował przyległe budynki całymi miesiącami. Zdołał przebudować jedynie część stajni, ale użył do tego materiałów z czasów, gdy budowano całą posiadłość. Wykopywał z ziemi stare cegły. Dokopał się nawet do

studni wypełnionej cegłami, które były wypalane ręcznie w czasach, gdy Edilean Manor stał w samym centrum plantacji.

Była to bardzo ciężka, fizyczna praca, ale Luke potrzebował jej w tamtym okresie i cieszył się, że może popracować sam w spokoju i ciszy. Nikt jeszcze nie mieszkał wtedy w domu, a stary Bertrand już zmarł. Była tu też kiedyś stara gospodyni, która ledwo wdrapywała się do domu po schodach. Kiedy Luke zobaczył ją kuśtykającą i zbyt słabą, żeby cokolwiek zrobić, przejął ster. Przyniósł jej ogromne krzesło oraz radio i usadził ją w salonie. Gdy Ramsey, który sprawował opiekę prawną nad posiadłością w imieniu panny Edi, zobaczył, co się dzieje, powiedział, że napisze do panny Edi i powie jej, że gospodyni powinna być zwolniona. Rams popatrzył uważnie na Luka, gdy to mówił. Obaj wiedzieli, że rodzina kobiety potrzebuje pieniędzy, więc gospodyni została, a Luke wykonywał całą pracę. Kontynuował remont domu, a gdy przywieźli meble, zdecydował, gdzie je rozmieścić. W którąś sobotę pownosił większe części po schodach z pomocą kuzynów, pizzy i piwa.

Nie licząc obu lokatorek, to tak właściwie dom należał od kilku lat do Luka. To on nareperował dach i wydostał ze ściany zdechłego gołębia. Odbudował też część komina, w którą uderzył piorun.

Gdy dowiedział się, że panna Edi zmarła i zostawiła w spadku całą posiadłość jakiejś dziewczynie, która nigdy nie widziała tego miejsca, Luke miał ogromną chęć podpalić wszystko. To będzie lepsze niż oddanie go komuś, kto go nie doceni.

- Może jest historyczką - powiedział Ramsey. - Albo może jest architektem, a może nawet budowniczym. Nie wiemy, kim ona jest.

Lukowi nie podobało się, że jego kuzyn tak broni nieznajomej kobiety, która miała przejąć to, co większość

ludzi w miasteczku uważało za serce Edilean. Całe swoje życie słyszała, jak ludzie mówili, że jeśli Edilean Manor zostanie zburzony, to miasto nie przetrwa nawet roku.

Ale Ramsey był tak zadowolony z nowej spadkobierczyni domu, że Luke domyślał się, że coś jest na rzeczy. Któregoś dnia po pracy poszedł odwiedzić Tess. Otworzyła mu drzwi, ale nie zaprosiła go do środka.

- Co on kombinuje z tą nową właścicielką? - spytał Luke, nie dbając o kurtuazyjne wstępy. Nie było też potrzeby wyjaśniania, kto to jest „on”.

Tess była kobietą bardzo konkretną.

- Edilean Harcourt wysłała mu jej zdjęcie. W bikini.

Luke załapał w lot, o co chodzi. O ile znał swojego kuzyna, to na pewno planował odegranie jakiejś sceny przed nią. Kochał Edilean Manor prawie tak samo jak Luke.

- Teraz rozumiem - powiedział Luke.

Tess odsunęła się na bok i otworzyła szerzej drzwi.

- Napijesz się piwa?

- Z przyjemnością.

A teraz „ona” przyjechała, a Luke obserwował ją, jak siedziała i rozmawiała z Sarą. Była ładna, ale nie powalała urodą. Miała średni wzrost, a jej brązowe włosy z jasnymi pasemkami wyglądały jak włosy większości dziewczyn latem. Zastanawiał się, czy to był naturalny efekt działania promieni słonecznych, czy może spędzenia kilku godzin u fryzjera.

Była ubrana tak samo staromodnie jak Sara, co przywołało uśmiech na jego twarzy. Sara uwielbiała nosić suknie z długimi rękawami nawet w czasie gorącego lata. Ale zdawała sobie sprawę, że dobrze w nich wyglądała. Była piękna i prawie tak delikatna jak kwiat i gdy założyła jakiś jaskrawoczerwony top, a do tego dżinsy, wyglądała nieomal dziwnie.

Luke pomyślał, że gdyby miał ze sobą aparat, to zrobiłby im zdjęcie. Sara siedziała w skromnej sukience,

a na jej kolanach leżała krawiecka robótka, naprzeciwko siedziała ta nowa kobieta, która miała na sobie strój niczym z „Alicji w Krainie Czarów”. Do tego miała na głowie opaskę, co było idealnym dopełnieniem stroju.

Dumna paniusia, pomyślał. Oto komu panna Edi zostawiła swoją posiadłość. Kobiecie zbliżającej się do staropanieństwa, która zapewne poświęci całe swe życie temu domowi. Niewątpliwie bardzo się postara, żeby znaleźć meble pochodzące z tej samej epoki co dom i w kilka miesięcy zamieni Edilean Manor w muzeum.

Wyrobił sobie o niej zdanie w ciągu kilku pierwszych minut, od kiedy ją zobaczył i, gdyby nie jego matka, na pewno zrezygnowałby z pracy. Niech Ramsey sobie ją bierze, pomyślał. Niech roztoczy swoje wdzięki nad nią i sprawi, że się w nim zakocha. Oczywiście, pewnie zrobi to, co zawsze: znajdzie w niej jakąś małą wadę i ją zostawi. Ale może wszystko się jeszcze odwróci i będzie miała tak złamane serce, że wystawi dom na sprzedaż.

Tak, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Może ona sprzeda to miejsce.

Ale głos jego matki wciąż dźwięczał mu w uszach, dlatego pozostał w starej stajni i obserwował Sarę i nową właścicielkę.

Wiedział, że coś jest nie tak, gdy jego matka stanęła dziś o szóstej rano w jego drzwiach, trzymając zakryty talerz naleśników z czarnymi jagodami. Luke uśmiechnął się.

- Co tym razem przeskrobał mój tata, że oddajesz mi jego śniadanie? - Ojciec Luka odszedł na emeryturę rok wcześniej i od tamtej pory doprowadzał swoją żonę do szaleństwa, wykonując w kółko jakieś drobne prace wokół domu.

- Nic takiego. Namówiłam go, żeby pojechał na pokazy traktorów.

- Bez ciebie?

- Gdyby cię pytał, to miałam najsilniejszy ból głowy, jaki kiedykolwiek istniał na ziemi. To tyle co do mnie. Dziewczyna od panny Edi przyjeżdża dzisiaj i chcę, żebyś mi obiecał, że będziesz dla niej miły - mówiła do niego i jednocześnie podgrzewała naleśniki i sprzątała kuchnię.

Luke skrzywił się.

- Co tym razem mam zrobić? Zabrać ją na kolację? Pokazać jej widoki? Za wcześnie, żeby iść do parków wodnych, więc mam ją zabrać na koncert muzyki folkowej?

- Chcę, żebyś ją zostawił w spokoju. Ona należy do Ramseya.

Luke otworzył szeroko oczy.

- O nie - powiedziała Helen, stawiając przed nim talerz naleśników. - Nie potraktujesz tego jako wyzwania. Ona rozmawiała już z Ramseyem i lubi go.

- Nie marnował ani chwili, co? Ale słyszałem, że najpierw polubił jej zdjęcie w bikini, nim z nią porozmawiał.

- Mężczyźni już tacy są - skwitowała Helen.

- Jacy jesteśmy? - spytał Luke z pełną buzią. - Zrozumiałeś mnie? Bądź miły i trzymaj się od niej z daleka. Zajmuj się ogrodnictwem.

- A co jeśli *ja* ją polubię? - Powtarzał sobie, że jest już dorosłym mężczyzną i nie miało znaczenia, że jego własna matka trzymała stronę jego kuzyna, ale jednak poczuł ukłucie zdrady.

- Nie polubisz. Była wychowana przez pannę Edi, co oznacza, że lubi mężczyzn w garniturach, a nie w... - Spojrzała na jego przetarte dżinsy i brudną koszulkę. - Czy wyraziłam się wystarczająco jasno?

- Oczywiście - powiedział Luke. Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej chciał, była kobieta. - Niech Ramsey sobie ją bierze. Niech się wprowadzą do Edilean Manor i wychowają tuzin dzieci. Co mnie to obchodzi?

Ale teraz Luke przyglądał się Sarze i kobiecie... Jak ona miała na imię? Jocelyn. To staromodne imię pasowa-



ło do niej. Gdy tak ją obserwował, zaczynał powoli zmieniać o niej zdanie. Śmiała się często i z łatwością. I cokolwiek powiedziała, było ciekawe dla Sary. Właściwie to Sara mówiła przez większość czasu, co nie było normalne. Zazwyczaj słuchała.

Gdy Luke zobaczył ją po raz drugi, Jocelyn przyglądała się domowi z wyrazem miłości i niedowierzania na twarzy, tak jakby była w szoku, że dom należy do niej. Ale to przecież niemożliwe. Panna Edi na pewno jej powiedziała, że zostawia jej po sobie to miejsce.

Ostrze kosiarki było już tak ostre, że można było pokroić nim salami, ale Luke wciąż stał i patrzył na Sarę i Jocelyn. Otworzył sobie butelkę wody, oparł się o ścianę i pił, wyglądając przez małe okienko. Jeśli teraz wyjdzie, to go zobaczą, a on tego nie chciał. Sara wiedziała, że on tam jest, ale nie zawołała go, żeby przedstawić nową właścicielkę. To oznaczało, że prowadzą jakąś poważną, kobiecą rozmowę.

Nagle Sara podniosła się, wzięła sukienkę, nad którą pracowała i pobiegła do domu. To, że zostawiła swoją skrzynkę z przyborami do szycia na stole, dużo Lukowi powiedziało. Sara polubiła Jocelyn.

Kobieta siedziała jeszcze chwilę na miejscu, a potem pozbierała naczynia, wzięła skrzynkę i zabrała do swojego domu. Z tego, co Luke się domyślał, nie zdążyła jeszcze obejrzeć domu w środku. Wiedział, że na górze stoi łóżko z nowymi poduszkami i pościelą, przygotowanymi specjalnie dla niej. To była wczorajsza robota jego matki. Gdy tylko wyszła, Luke poszedł na górę i spojrzał na małe mydełka i świeże ręczniki, które jego matka zostawiła dla niej. Nawet gdyby członek królewskiego rodu zawitał w te strony, nie zrobionoby niczego więcej.

Luke nie wiedział, dlaczego to wszystko go złościło, ale właśnie takie uczucie mu towarzyszyło. Co oni wiedzieli o tej kobiecie? Oczywiście oprócz tego, jak wygląda w bikini.

Gdy była już w środku domu, Luke opuścił stajnie i posprzątał swoje narzędzia. Jego furgonetka była zaparkowana z tyłu domu, z hukiem wrzucił na nią łopaty i sekator. Jeśli wyjdzie i powie mu... powie mu cokolwiek, to on jej odpowie, że odchodzi.

Wsiadł do samochodu, odpalił go i pojechał tylną drogą przeznaczoną dla służby. Ale wiedziony przecuciem skierował się do głównej bramy wjazdowej.

Gdy znalazł się przy bramie, Ramsey parkował właśnie swojego czarnego mercedesa, blokując wyjazd. Luke chciał po prostu stamtąd wyjechać, ale zobaczył, że Rams wcale nie zamierza go przepuścić. Gdy jego kuzyn opuścił szybę w samochodzie, Luke wychylił głowę z furgonetki.

- Widziałeś ją już?

- Kogo? - spytał Luke.

- Ducha panny Edi. Wiesz o kogo pytam. Widziałeś ją?

- Może.

- Więc jak wygląda?

- Źle. Naprawdę źle. Jest tak brzydka, że musiałem użyć lustra, żeby na nią spojrzeć - powiedział Luke.

- Jest aż tak dobrze? - powiedział Rams. - Miałem taką nadzieję. Martwiłem się trochę o... o nic. Niczym się nie martwiłem.

- Mógłbyś ruszyć tego pożeracza benzyny i nie tarasować drogi?

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział Ramsey. - Ciocia Ellie powiedziała mi, że Jocelyn jest z Sarą, więc chciałbym cię prosić, żebyś powiedział Sarze, by zajęła ją jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut, nim się naszykuje.

- Naszykujesz? - spytał Luke. - O czym ty mówisz? Planujesz pokaz sztucznych ogni?

- Może - powiedział Ramsey z uśmiechem. - Ona wie, że przyjadę i przywiozę kolację, ale nie chcę, żeby widziała, jak to wszystko wyjmuję z samochodu i taszcę

do domu. Hej! Już wiem. Ja pójdę i pogadam z Jocelyn, a ty wszystko przygotujesz. Wiesz jak schłodzić szampana, co?

- Trzeba go wstawić do strumyka razem z piwem -powiedział Luke, cofając swój wóz. - Co do cholery się stało z tym miastem? - zastanawiał się. Najpierw jego własna matka ostrzegła go, żeby się trzymał z dala od tej kobiety, a teraz Ramsey chce bawić się w kamerdynera.

Gdy obaj wjechali przed dom, na dość duże miejsce utwardzone szlaką, zaparkowali samochody obok srebrnego mini coopera Jocelyn i wysiedli. Ramsey miał na sobie czarne spodnie, białą koszulę i niebieski krawat. Zdjął go i rzucił na tylne siedzenie.

- Co za dzień! Zaplanowałem sobie, że przyjadę tu godzinę temu, ale ten stary Segal prawie doprowadził mnie do szaleństwa. Znowu pokłócił się z synem, więc po raz kolejny zmieniał testament. - Otworzył tylne drzwi auta, wyciągnął duży, piknikowy koszyk i spojrzał w okna domu.

- Sądzisz, że nas obserwuje?

- Dlaczego mnie pytasz? Wiesz o niej zdecydowanie więcej niż ja - odparł Luke.

- Co cię ugryzło? - spytał Ramsey. - Pokłóciłeś się ze swoją ostatnią dziewczyną?

-Nie i nie zamierzam w przyszłości. Możesz mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo interesuje cię ta kobieta?

- Sądzę, że to może być ta jedyna.

- Proszę, nie zaczynaj od nowa - powiedział Luke z grymasem na twarzy.

- Ta kobieta spędziła większość swego życia z panną Edi. W weekendy chodziła na balet. Umie grać na pianinie i tańczyć walca. I do tego potrafi myśleć.

-A to oznacza, że będziesz mógł pokazać się z nią w miejskim klubie i uzyskać prowizje, które ci odcięli w Williamsburgu.

- Jeśli to oznacza, że chcę poznać kobietę wykształconą, która przy okazji jest piękna, to się zgadza.

Luke popatrzył w okna.

- Wygląda na to, że *powinienem* ją poznać. Ramsey wybuchnął śmiechem. -Przestraszyłbyś ją pewnie na śmierć. Albo by zemdląła od twojego zapachu.

- Wiele takich kobiet lubi niegrzecznych chłopców. -Nie pochlebiaj sobie. Niegrzeczny chłopczyku. Daj

mi trochę czasu. Idź do Sary, zapukaj do niej i powiedz, żeby zajęła się Jocelyn jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut. Zadzwoń dzwonkiem, gdy będę gotowy. Myślę, że możesz to dla mnie zrobić?

Luke zamierzał mu właśnie powiedzieć, że Sary nie ma w domu, który należy przecież już do Jocelyn, ale powstrzymał się. Jego matka przecież go prosiła, żeby był miły dla nowej właścicielki. Nie wspomniała nic o tym, żeby nie złościć Ramseya. A to akurat Luke uwielbiał robić.

- Oczywiście - powiedział Luke, próbując udawać znudzonego, ale uśmiechnął się, gdy się odwrócił.

\*\*\*

Jocelyn spojrzała na mały zegarek, który stał na stoliku obok łóżka, i zorientowała się, że miała jeszcze trzydzieści minut do pojawienia się Ramseya. Była tak zdenerwowana, jak nastolatka przed swoją pierwszą randką. Po wyjściu Sary obejrzała szybko cały dom i zauważyła, że pokoje nie zostały zmienione. Tak jak jej powiedziano, ta niewielka ilość mebli, które tu stały, zostały przywiezione z domu panny Edi na Florydzie. Nie było żadnych bibelotów, tylko puste szafki i półki. W trzech pokojach leżały chodniki i stało cztery albo pięć mebelków, nic więcej. Kuchnia była urządzana w latach pięćdziesiątych, wyglądała tylko trochę lepiej niż kuchnia Sary. Spodobał jej się duży zlew i ogromny sosnowy stół, ale jeśli chodziło o kuchenkę,

to najpewniej będzie mogła posadzić na niej kwiaty, nic więcej.

Po pobieżnych oględzinach domu, wciągnęła na górę swoją walizkę i zaczęła się szykować do randki.

Była zachwycona, gdy zobaczyła łóżko ze świeżą pościelą i łazienkę wypełnioną ręcznikami i pięknie pachnącymi mydełkami. Nie wiedziała, kto przygotował jej takie przywitanie, ale chciała podziękować tej osobie.

Wzięła długi prysznic, umyła włosy, a potem je wysuszyła suszarką. Wyjęła swoją nową, białą, bawełnianą sukienkę z koronką Battenburg na dole i czuła, że będzie to idealny strój na dzisiejszy wieczór. Będąc wciąż w koszuli nocnej, włączyła do gniazdka swoje podróżne żelazko, a potem wyprasowała każde zagniecenie sukienki. Panna Edi przywiązywała dużą wagę do dobrze wyprasowanych ubrań. Nie uznawała odzieży typu non-iron, a nawet dzianiny.

- Damę rozpoznaje się po jakości jej ubrania i po tym, jak o nie dba - powtarzała wiele razy.

Kiedy Jocelyn już się ubrała, pomyślała: „A teraz co mam robić?” Przyszło jej na myśl, że może sprawdzi, czy Sara już wróciła. Zostawiła jej skrzynkę i naczynia w swoim domu, więc może teraz powinna je odnieść.

Kilka minut później była już w domu Sary, która zostawiła tylne drzwi otwarte, ale jej samej nie było. Gdy tylko położyła naczynia w zlewie, usłyszała pukanie do drzwi. Nie była pewna, czy powinna je otworzyć. W końcu była w domu Sary. Ale był to także jej dom.

Jocelyn otworzyła drzwi i zobaczyła wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę. Miał na sobie džinsy, brudną koszulkę i nie golił się od kilku ładnych dni, ale to nie przeszkadzało dostrzec, że był przystojny. Miał ciemnozielone oczy, nos, który można by nazwać arystokratycznym, oraz pełne wargi, osadzone na dobrze zbudowanej szczęce. Sara powiedziałaby, że jest „piękny” i taki był.

- Jesteś nową właścicielką - to było stwierdzenie, nie pytanie.

Miał głęboki i ciepły głos, taki jak przez telefon, i była przekonana, że jeszcze żaden mężczyzna nie zrobił na niej takiego wrażenia.

- Tak, jestem. A ty jesteś Ramsey?

- Ramsey? Broń Boże! On jest prawnikiem. Czy ja wyglądam jak prawnik?

- Och - powiedziała rozczarowana. Odwróciła wzrok, żeby ukryć, jak bardzo jest nim oczarowana. - Nie myślę, że nie wyglądasz jak prawnik. Przyszedłeś do Sary, tak? Nie ma jej.

- Wiem, widziałem jak wychodziła.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, wciąż stojąc w drzwiach wejściowych.

- Skoro wiesz, że jej nie ma, to dlaczego pukałeś do jej drzwi?

- Jestem twoim ogrodnikiem, Luke Connor - przyglądał się jej z uwagą, tak jakby chciał ją rozszyfrować.

Nim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli jakiś hałas na zewnątrz, z prawej strony, a on wychylił się, spojrzął w kierunku głównego wejścia i machnął do kogoś ręką, tak jakby pokazywał, żeby ten ktoś sobie poszedł. Następnie delikatnie wepchnął ją do środka i wszedł.

- Wypraszam sobie! - powiedziała Joce. - Nie możesz tak po prostu wdzierać się do środka i...

- Schowaj swoje nastroszone piórka - powiedział, zamykając za sobą drzwi wejściowe.

- To nie jest mój dom i nie sądzę, że powinieneś tu wchodzić.

- Tak, jest. -Co jest?

- Twój dom.

- Tak, technicznie jest, ale tę część wynajmuje Sara Shaw. Ona...

- Ona jest moją kuzynką - rzucił przez ramię, wchodząc do kuchni. Jocelyn szła tuż za nim.

- Jeśli jesteś kuzynem Sary, to czy to oznacza, że jesteś też bratem Ramseya?

Otworzył sobie lodówkę i wyciągnął z niej piwo. Oparł się o blat i zlustrował ją od góry do dołu wzrokiem, którego nigdy nie znosiła. W ten sposób mężczyźni, którzy zdawali sobie sprawę, że są przystojni, patrzyli na kobietę jakby należała do nich - jeśli jej pragnęli.

- Co jest między tobą a moim kuzynem Ramseyem? Jest coś między wami?

Cofnęła się od niego o krok. Pierwszy zachwyty nim powoli odpływał.

- Nie twoja sprawa, ale nigdy go jeszcze nie spotkałam. Sara powiedziała mi, że to jej kuzyn, a jeśli i ty jesteś jej kuzynem, to wywnioskowałam, że jesteś spokrewniony z Ramseyem.

- Jestem. Ale my wszyscy jesteśmy kuzynami. Sara, Rams, Charlie, Ken i ja. Mamy tych samych prapradziadków.

Było w nim coś, czego nie lubiła. Śmiał się z niej, ale nie miała pojęcia, czym tak bardzo go rozbawiła. Z tego, co się zorientowała, to równie dobrze wszyscy mieszkańcy Edilean mogli być ze sobą spokrewnieni.

- A co z Ramseya siostrą? Ona też jest twoją kuzynką? Wyglądał na zdziwionego.

- Oczywiście, że tak. Ona... - przerwał, bo zrozumiał, że się z nim droczy. Pomiął kilka nazwisk na liście kuzynów i kuzynek. Zdażył się już przekonać, że ludzie, którzy nie pochodzili z Południa, śmiali się, gdy wspominało się o krewnych. - A ty jesteś...?

- Jeśli spytasz, czy jestem Janeską, to ja...

- Co, ty? - spytał, unosząc do góry brwi z ciekawości.

- To ja poobcinam pąki różom. Nie wiem. Jaką karę można wyznaczyć ogrodnikowi?

Popatrzył na nią takim wzrokiem, że aż poczerwieniała.

- To najbardziej interesujące pytanie, jakie mi dziś zadano.

Jej niechęć do mężczyzny zwiększała się z każdą minutą. Spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść. Jestem umówiona na spotkanie z kimś.

- Tak, z Ramsem. Już tam jest i pracuje w pocie czoła, żeby przygotować dla was krainę czarów.

- To okropne z twojej strony, że zepsułeś niespodziankę. -To całkowita strata czasu, jeśli miałbym wyrazić swoje zdanie.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i miała nadzieję, że widział jej pogardę.

- Z tego wnioskuję, że twoja idealna randka to sześciopak i torba ziemniaczanych chipsów.

-Kukurydzianych chipsów... Lubię kukurydziane chipsy. A w szczególności te niebieskie. Gdyby tylko przyszła do mnie dziewczyna z niebieską torbą kukurydzianych chipsów i sześciopakiem piwka Samuel Adams, mogłoby się jej poszczęścić.

- Podejrzewam, że to miało być śmieszne.

- Jestem tylko szczery.

-Jesteś jak większość facetów, których spotkałam i już nigdy więcej nie chciałam ich widzieć. - Podeszła do tylnych drzwi, żeby je otworzyć i wyjść, ale on zagroził jej drogę.

- Nie możesz jeszcze wyjść. Rams powiedział, że zadzwoni dzwonkiem, gdy będzie gotowy.

- Przysłał cię tutaj, żebyś mnie zatrzymał?

- Nie jest *aż* tak głupi. Wysłał mnie, żebym powiedział Sarze, żeby cię trochę przetrzymała, ale zapomniał zapytać, czy Sara jest w domu. Może usiądź sobie spokojnie w jednym miejscu, żebyś nie pogmiotła swojej



ślicznej, nowej sukienki. Ja zrobię sobie w tym czasie jakąś kanapkę. Zaproponowałbym jedną i tobie, ale Ramsey ma tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla połowy miasteczka, więc będzie lepiej, jak trochę zgłodniejesz.

Jocelyn stała na końcu blatu i rozważała, co ma robić dalej. Zostać w środku i pozwolić, żeby ten próżny facet naśmiewał się z niej, z niezrozumiałych dla niej powodów, czy wyjść i zepsuć niespodziankę Ramseya? W sumie wolała zobaczyć się z Ramseyem, niż znosić towarzystwo tego faceta.

Joce odwróciła się w momencie, kiedy Luke zamierzał położyć na blacie składniki do swojej kanapki. Zderzyła się ramieniem z jego ręką i plastikowy dozownik z musztardą wylądował prosto na niej. Jasnożółta musztarda rozlała się na białej sukience.

- Zrobiłeś to specjalnie - powiedziała. - Chciałeś to zrobić.

- Nie, nie chciałem - powiedział z wyraźną skruchą w głosie. - Naprawdę nie chciałem. - Zniknęło jego negatywne podejście do niej oraz w połowie złośliwy uśmieszek, który nosił od momentu wejścia do mieszkania. - Przepraszam. Naprawdę mi przykro.

Odwrócił się, wziął czystą ściereczkę z wieszaka nad zlewem i zmoczył ją.

- Proszę - powiedział - pozwól sobie pomóc.

Trzymała górę sukienki z dala od ciała, myśląc jednocześnie o tym, jak mogłaby się wślizgnąć niepostrzeżenie do swojego mieszkania, żeby się przebrać, tak żeby Ramsey tego nie zauważył. Ale on przecież mówił, że urządzi piknik na podłodze. Jeśli miał na myśli korytarz wejściowy, to nie miała żadnych szans, żeby się przemknąć, co z kolei oznaczało, że będzie musiała się z nim spotkać zaplamiona z przodu musztardą.

- Co wy robicie do cholery?

Jocelyn i Luke odwrócili się w stronę tylnych drzwi, w których tym razem z pewnością stał Ramsey. Był o cen-

tymetr lub dwa niższy od Luka i nieco cięższy, ale miał takie same ciemne włosy i zielone oczy, i niemal tak samo zbudowaną szczękę i nos. Obaj byli naprawdę przystojnymi facetami.

Jocelyn przeniosła swój wzrok z Ramseya na Luka i zobaczyła, że w rękę trzymał mokrą szmatkę. Natychmiast cofnęła się z zasięgu jego dłoni.

-Wyrzucił na mnie musztardę - powiedziała, zwracając się do Ramseya.

Ramsey popatrzył złowrogo na Luka.

Luke uniósł ręce w geście poddania.

-To był wypadek. Przysięgam. Ona jest twoja. -Wycofał się z pokoju z podniesionymi rękoma, a po chwili usłyszała, jak drzwi wejściowe się otworzyły i zamknęły.

- Wszystko w porządku? - spytał Ramsey.

-Tak. Naprawdę jest ok, ale wyglądam okropnie. Chciałam przynajmniej trochę się przygotować na nasze spotkanie.

- Wyglądasz wspaniale! - powiedział Ramsey z taką radością, że uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś bardzo miły.

-Ani trochę. Przecież jestem prawnikiem, pamiętasz? Może pójdziemy do twojego domu, ściślej mówiąc, do jego głównej części, i coś zjemy? Jesteś głodna?

- Jak wilk.

Poszedł wzdłuż korytarza i otworzył przed nią drzwi, a gdy przechodziła obok, powiedział:

- Przepraszam za mojego kuzyna. Luke jest... -Wzruszył tylko ramionami, jakby nie znalazł słów, które mogłyby opisać jego krewnego.

-Nic się nie stało - powiedziała Jocelyn. - Wszyscy mamy krewnych.

- Na nieszczęście ja mam ich więcej niż dużo.

Gdy wyszli na zewnątrz, zobaczyła jak Luke odjeżdża trochę podstarzałą furgonetką, która przypominała jej

auta, jakie widywała w dzieciństwie przy domu swego ojca. Jak dotąd Luke Connor okazał się typem mężczyzny, przed którym panna Edi zawsze ją przestrzegała. A co gorzej, był typem mężczyzny, w którym tak bardzo zakochała się jej urocza, elegancka i wykształcona mama. Po ślubie Gary Minton robił wszystko, co mógł, żeby być takim, jakiego chciała wytworna rodzinka jego żonki, ale już miesiąc po jej śmierci wskoczył z powrotem w skórę, zapuścił wąsy i dosiadł motoru.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytał Ramsey. - Czy to Luke tak bardzo cię rozzłościł?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Jocelyn z uśmiechem, wracając do teraźniejszości. - Pozwolisz, że się przebiorę i wszystko będzie dobrze.

-Dzisiejszego wieczoru twoje najmniejsze życzenie jest dla mnie rozkazem - powiedział Ramsey i lekko ją przytulił.

- Zatem prowadź mnie, mój panie, do swego zamku, żebym mogła się dla cię strojnie przyodziać.

Ramsey uśmiechnął się szeroko, objął ją ramieniem i weszli razem do Edilean Manor przez główne wejście.

## Rozdział 4

- Jak tutaj pięknie - powiedziała Jocelyn i naprawdę tak myślała. Ramsey zadał sobie wiele trudu, żeby przygotować kolację i doceniała to. Na podłodze w dużym przedpokoju leżała stara, biała narzuta z wzorem trapunto, a po obu stronach były umieszczone duże poduchy. Danie składało się z cienkiego makaronu w lekkim sosie ze smażonych w niewielkiej ilości tłuszczu pomidorów, posypanych bazylią, a do tego chleb i sałatka.

- Kupiłeś warzywa u mamy Sary? - spytała. - Oczywiście, że tak. Gdybym je kupił w innym miejscu, to założę się, że zorganizowałyby protest przed moim biurem.

Talerze były z Limoges i miały jeden z jej ulubionych wzorów, a kieliszki do wina z pewnością pochodziły ze skansenu w Colonial Williamsburgu. Były ręcznie zdobione wzorem pochodzącym z osiemnastego wieku.

Ramsey rozciągnął się na poduszce naprzeciwko niej i w świetle świec wyglądał jeszcze przystojniej, niż gdy go zobaczyła pierwszy raz. Prawdę mówiąc, czuła się przy nim lekko spięta. Było coś w jego totalnym perfekcjonizmie, co kazało jej sądzić, że ona nie jest wystarczająco dobra.

- Dlaczego w domu jest tak mało mebli? - spytała Joce. Siedziała naprzeciwko niego, po drugiej stronie narzuty. - Nie chciałabym uchodzić w twoich oczach za jakąś chciwą kobietę, ale wydaje mi się dziwne, że dom, który był zamieszkiwany od pokoleń, jest tak skromnie umeblowany. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że był załadowany po sufit mebelkami z ornamentami wiktoriańskimi.

- Wystarczy, że powiem jedno słowo: Bertrand - stwierdził Ramsey. Skończył właśnie jeść makaron i popi-

jał białe wino. - Nie posiadam zbyt wielu informacji na ten temat, ponieważ mój ojciec prowadził sprawy panny Edi osobiście, ale zawsze mamrotał coś pod nosem, jak tylko ktoś wspomniał imię Bertranda. Sądzę, że miał problem z końmi.

- Twój ojciec zajmował się hazardem? - spytała Joce. Ramsey spojrział na nią, bo chciał zobaczyć, czy żartuje.

- Przepraszam. Mam takie poczucie humoru - powiedziała. - Więc Bertrand był hazardzistą.

Ramsey popatrzył na nią znad kieliszka z winem.

- Miał z tym jakiś problem. Z tego co wiem. Nigdy nie spotkałem panny Edi osobiście, ale z tego, co o niej słyszałem, to zawsze wydawało mi się dziwne, że pozwoliła swemu bratu sprzedać większość rzeczy znajdujących się w domu. Pewnego dnia, gdy byłem jeszcze chłopcem, pod dom podjechała duża ciężarówka.

- Dała radę przejechać przez tak wąską bramę?

- Słuszne spostrzeżenie! - powiedział. - Nie, absolutnie żadna ciężarówka nie przejedzie między tymi filarami. Luke nie raz zadrapał już swojego pikapa.

Ramsey upił łyk wina i podniósł się, żeby sprzątnąć naczynia po makaronie i sałatce. Gdy Joce chciała mu pomóc, powiedział jej, żeby siedziała spokojnie. Czekala więc, a on zaniósł talerze do kuchni i wrócił z niej, trzymając w ręku coś, co wyglądało jak naczynie do fondue.

- Moja siostra zapewniła mnie, że ta rzecz idealnie się nadaje do rozpuszczenia czekolady. Powiedziała mi, że jej drugie dziecko poczęło się tego samego wieczoru, gdy to kupili. - Popatrzył na nią. - Przepraszam. Kiepska historia jak na pierwszą randkę.

-Wybaczę ci pod warunkiem, że dokończysz mi opowieść o ciężarówce.

- No tak. Musieli zaparkować na drodze, a mała furgonetka dowoziła do nich meble z domu. Była sobota i my,

wszystkie dzieciaki, doprowadzaliśmy gości od przeprowadzki do szaleństwa. Chowaliśmy się w furgonetce, w domu, w szafkach, które musieli przenosić. Myśleliśmy, że w końcu powrzucają nas do stawu.

- A co na to wasi rodzice? Czy to nie było niebezpieczne?

- Stali tak i przyglądali się wszystkiemu, a dorośli, którzy nie mogli tam być, żeby popatrzeć, płacili nam, żebyśmy co godzinę przynosili im nowe wieści. Sara miała rower, więc była z nas najszybsza i to ona rozwoziła wiadomości. Wiesz, ciągle uważam, że nie podzieliła uczciwie pieniędzy. Myślę, że większość zostawiła sobie.

- Ach ci krewni - zaśmiała się Joce. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Połamiał czekoladę do małego garnuszka, który był podłączony do gniazdka i mieszał rozpuszczające się kawałki.

- Też tak myślę. Gdy byliśmy dziećmi, to wszystko było dobrą zabawą, ale teraz uważam, że to było dość prymitywne. Jak na przykład dzisiaj. Naprawdę przepraszam cię za to, co...

Joce nie chciała już słyszeć ani jednego słowa o Luku i musztardzie.

- Co wtedy zabrali w tej ciężarówce?

- Same rzeczy w dobrym stanie.

- Żółta kanapa, stolik, wielka szafa, cztery krzesła do jadalni - mówiła Joce. - To wszystko było w domu panny Edi na Florydzie. Sądzę, że to, czego nie odesłała tutaj, zostało sprzedane na aukcji.

- Tak, wiem o tym.

- A pieniądze...?

-Nie - powiedział Rams. - Nie zamierzam dzisiejszego wieczoru rozmawiać o pieniądzach. Oznacza to, że będziesz musiała przyjść do mnie do biura z samego rana w poniedziałek i wtedy wszystko ci powiem.

- Założę się, że są jakieś warunki dotyczące zachowania własności domu, prawda?

Ramsey potrząsnął głową.

- Nie próbuj ze mnie niczego wyciągać. Nie powiem ani słowa.

-No dobrze - powiedziała, popijając wino. - Więc panna Edi zabrała stąd dobre meble i zostawiła te złe swojemu bratu, żeby je sprzedał i spłacił swoje hazardowe długi.

- Moja mama mówiła, że sądzi, iż panna Edi umyślnie powierzyła swojemu bratu przeprowadzenie wyprzedaży podwórkowej. Dzięki temu oszczędziła pieniądze, a on miał co robić.

- To podobne do niej.

-Proszę bardzo! - powiedział Ramsey. - Czekolada gotowa. Weź jeden - podał jej małe pudełko z długimi widelczykami - i poczęstuj się.

- Otworzył pojemniczek wypełniony dużymi, dojrzałymi truskawkami.

- A potem zanurz.

I tak zrobiła.

-Cudowne. Naprawdę przepyszne. Już się czuję, jakbym była w ciąży.

- Gdy nic nie powiedział, spojrzała na niego. - Znowu moje głupie poczucie humoru.

- Nie, wszystko w porządku. To ja nie jestem przyzwyczajony do pięknych kobiet, które sobie żartują.

- One nie muszą. Wystarczy, że są.

- Miałem na myśli... - zaczął, a potem się uśmiechnął. - Wyszedłem na kretyna. Po prostu chcę, żeby ten wieczór był udany.

Jocelyn starła z brody odrobinę czekolady.

- Ze mną na pewno będzie. Hej! Dziękuję, że urządziłeś dla mnie sypialnię.

- Sypialnię?

-No wiesz, pościel, mydło i takie tam. Musiałabym spać dzisiaj gdzieś indziej, gdybyś tego nie zrobił. To ty to zrobiłeś, prawda?

- Obawiam się, że nie. Pewnie któraś pani z kościoła.
- O właśnie, widziałam kościół, gdy wjeżdżałam do miasta. Chodziłyśmy z panną Edi do kościoła co niedziela i brakuje mi tego.
- Kościół - powiedział Ramsey, jakby pierwszy raz słyszał o tym miejscu. - Jeśli pokażesz się tam w niedzielę, moja matka pomyśli, że jesteś ideałem i pobiegnie kupić nam ślubne obrączki.
- A to niedobrze, co?
- Żartujesz sobie? Mam trzydzieści dwa lata i nie spłodziłem jeszcze żadnego dzieciaka.
- A twoja siostra i pozostałe rodzeństwo?
- Jest nas tylko dwoje - powiedział Ramsey - i mojej mamie nie wystarcza gromadka zrodzona przez Viv. Chce mieć wnuki ze mnie.
- Patrzył na nią w taki sposób, że Jocelyn nie wiedziała, czy ma mu się rzucić w ramiona, czy wyrzucić go za drzwi i je zaryglować.
- Noszę numer pięć i chcę czterokaratowy pierścionek z różowym brylantem.
- Tym razem Ramsey uśmiechnął się szeroko.
- Powiedz to jej i już przepadłem.
- Sara szyje suknie ślubne? Jeśli tak, to mam już kilka pomysłów na swoją.
- Ramsey zaczął się śmiać.
- Mówię serio. Myślisz, że mama Sary będzie w stanie zdobyć tyle róż, żebyśmy mogła ozdobić nimi cały kościół?
- Przestań! - powiedział ze śmiechem. - Naprawdę, lepiej o tym nie rozmawiajmy, bo moja mama jakimś sposobem to usłyszy i zaraz stanie w drzwiach. Nie potrafisz sobie wyobrazić przez co przechodzę... - uciał w połowie zdania. - Chciałbym, żebyś mi opowiedziała o tobie i pannie Edi.
- Byłyśmy pokrewnymi duszami - powiedziała Jocelyn. Otworzyła usta, żeby opowiedzieć mu o swoim życiu,



ale się zatrzymała. Jeśli dziś wieczorem powie mu wszystko, to o czym będą rozmawiać na drugiej randce? Miała prawdziwą nadzieję, że spotkają się kolejny raz, bo polubiła go.

-Okay - powiedział Ramsey. - Zatrzymaj swoje tajemnice. Ja i tak wyciągnę je z ciebie.

Obserwowała go, a on podniósł się z poduszki i, stojąc, przeciągnął się. Wtedy koszula przywarła do jego klatki piersiowej i ramion, a ona nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Spojrzał na nią, a ona odwróciła oczy w drugą stronę, ale nie zrobiła tego na tyle szybko, żeby uniknąć zawstydzenia.

- Grasz w golfa? - spytał.

- Słucham?

- Golf? Grasz w golfa? -Nie.

- W tenisa? - spytał.

- Przykro mi. Nie gram. I zanim zapytasz, nie pływam zbyt dobrze, nie gram w brydża i nie chodzę po klubach.

- Więc co lubisz robić? - zapytał. - Nie, zaczekaj. Nie mów mi. Pozwól, że zgadnę. Musisz zajmować się czymś oprócz marzeniem o ślubie.

- Nie jest tego zbyt dużo.

Uśmiechając się, zaczął sprzątać naczynia, ale tym razem Joce mu pomogła.

- Więc jak sobie wyobrażasz pannę młodą? - spytał. -Jako niebieskooką blondynkę - odpowiedziała natychmiast i Ramsey się roześmiał.

-Zasłużyłem sobie na to. - Położył naczynia na dużym stole i rozejrzał się. - Pewnie będziesz chciała wyremontować kuchnię.

Z sufitu zwisały trzy gołe żarówki, które rzucały mroczne światło na wszystko, nadając ponury wygląd całemu pomieszczeniu.

- Jak możesz myśleć o tym, żeby tutaj coś zmieniać? - powiedziała, udając przerażenie.

- Co byś powiedziała na marmurową wyspę zamiast stołu? - spytał, patrząc na nią. -I nowy zlew, oczywiście.

Popatrzyła na zlew i poczuła wyrzuty sumienia na samą myśl o pozbyciu się go. Był ogromny, z dwiema wielkimi misami, wysokim, porcelanowym wykładem i dwoma kanałami odpływowymi po bokach. Odwróciła od niego wzrok.

- Czy ty chcesz mnie zapytać, czy potrafię gotować? -Nim odpowiedział, sama stwierdziła. - Nie umiem. Panna Edi zatrudniała kobietę, która pracowała dla niej ponad dwadzieścia lat i gotowała wspaniałe posiłki. W tym samym czasie, w domu moich rodziców... Im mniej o tym powiem, tym lepiej. Ale umiem robić babeczki.

- Babeczki?

- Miałam w szkole taki projekt i panna Edi udostępniła mi swoją kuchnię. Potrafię nawet używać rękawa cukierniczego.

- To świetnie - powiedział, ale w jego głosie było słychać powątpiewanie i na kilka chwil zapadła cisza między nimi, aż Jocelyn ziewnęła. - To był długi dzień.

- Wiesz co, myślę, że będzie lepiej, jak już sobie pójdę - powiedział. - Robi się późno. Mogę przyjechać po ciebie jutro w drodze do kościoła?

- Jeśli wejdziemy razem do kościoła, to będziemy już na zawsze połączeni - zażartowała, ale on się nie śmiał.

- Słyszałem o gorszych rzeczach.

- Tak, ja też - powiedziała, ale ich oczy nie spotkały się. - A może spotkamy się na miejscu? O dziesiątej, tak?

- Jeśli chcesz opuścić Szkołkę Niedzielną, to tak. Ja zwykle opuszczam.

- Późno wstajesz?

- Późno się kładę - powiedział. - Dziś jeszcze przede mną trzy godziny pracy papierkowej.

- Naprawdę?

- Tak - odparł.

- Może mogłabym ci pomóc?

Przez moment wyglądał na zmieszanego, bo nie wiedział, czy ona znowu żartuje.

- Dziękuję, ale nie. Prowadzimy dużą sprawę rozwodową i próbuję odnaleźć zaginione pieniądze. Jak to możliwe, że faceta stać na kupno domu za trzy miliony dolarów w gotówce, jeśli zarabia sześćdziesiąt tysiąków na rok? Przynajmniej jego żona chce znać odpowiedź na to pytanie.

- Nie jestem za dobra w liczeniu pieniędzy - powiedziała - ale mogłabym... Wiele razy prowadziłam jakieś poszukiwania, więc jeśli będziesz potrzebował pomocy w tej dziedzinie, to daj mi znać.

- Są jeszcze babeczki - powiedział z uśmiechem. - Nie możemy zapomnieć o nich.

- Nigdy o nich nie zapominam - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Gdy sięgnął po talerz, powiedziała:

-Zostaw wszystko. Jutro posprzątam. Powinieneś wziąć się jak najszybciej do pracy i zrobić ile się da, żebyś mógł jutro rano przyjechać do kościoła.

- Dziękuję - powiedział i wydawało się, że nie wie, co mógłby dodać.

- Więc widzimy się jutro w kościele?

- Jeśli wygramolisz się z łóżka - odpowiedziała. Zaczął iść w kierunku drzwi wejściowych, a ona za

nim. Otworzył je, na chwilę się zatrzymał i przez moment myślała, że ją pocałuje, ale wyszedł na małą werandę.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała. - Naprawdę dobrze się bawiłam.

- Tak - powiedział, schodząc po schodkach. - Ja też. Jocelyn zamknęła drzwi i oparła się o nie. Co się z nią

działo? Przed chwilą skończyła randkę z mężczyzną, którego panna Edi nazwała miłością jej życia. A ona jakimś sposobem wszystko zepsuła. Nie wiedziała jak, ale to zrobiła. Zapewne jej kiepskie dowcipy na temat małżeństwa nie pomogły. Dziwne, że on nie wybiegł przez drzwi. Jak

on to powiedział przez telefon? Że ostatnim razem, gdy kobieta wspomniała mu o małżeństwie, przyjechała po niego karetka.

Spojrzała na zegarek. Była dopiero dwudziesta pierwsza trzydzieści. I już po „randce”. Mimo wczesnej godziny, zaczęła ziewać. Może po prostu była zmęczona. Poznała nowych ludzi, zobaczyła nowy dom i miała randkę w tym samym dniu, to chyba jednak za dużo na jedną głowę.

Zostawiła brudne talerze na stole, przekręciła pstryczek, żeby zgasić ohydne światło w kuchni, a potem poszła w kierunku schodów, żeby położyć się spać. Przechodziła właśnie obok tylnych drzwi, gdy usłyszała jakiś trzask i jej serce podskoczyło do gardła. Ktoś stał za drzwiami! I próbował się włamać!

Mózg Jocelyn zaczął intensywnie pracować, gdy próbowała sobie przypomnieć, gdzie zostawiła telefon. Na górze. A może na dole? Nie pamiętała. Czy linia telefoniczna jest już podłączona? W natłoku dnia nie pomyślała nawet, żeby poszukać aparatu telefonicznego.

Ktoś stał przy drzwiach, a ona przyłgnęła do ściany z bijącym głośno sercem. Schyliła się i przeszła pod oknem przy drzwiach, tak żeby intruz jej nie zobaczył. Jeśli dobiegnie do drzwi wejściowych, nim on zdoła to zrobić, wydostanie się z domu.

Gdy przechodziła obok drzwi, spostrzegła cień, a potem całą postać w świetle księżyca. Był wielki. Miał ciemne włosy. Był...

Wyprostowała się. To był Ramsey. Pewnie czegoś zapomniał. Złapała za klamkę i pociągnęła, stanęła oko w oko z Lukiem.

- Co ty wyprawiasz?

Wyglądał na bardziej zaskoczonego niż ona.

- Sprawdzam drzwi - powiedział. - Myślałem, że mogłaś zapomnieć je zamknąć, więc...

- Sara zostawia drzwi otwarte. Myślałam, że jestem w jednym z tych miast, gdzie nie trzeba zamykać drzwi.

- Nie oszukuj się - powiedział, robiąc krok do tyłu.

- Naprawdę przepraszam. Światło się nie świeciło, więc pomyślałem, że poszłaś spać.

- Obserwowałaś dom?

- Tym się zajmuję - powiedział. - Taką mam pracę, nie pamiętasz? Nikt ci o mnie nie powiedział? Czy jesteś wciąż wściekła na musztardę?

Zrezygnowała z wrogiego tonu.

- Nie, wiem, że to był wypadek. Może chciałbyś wejść i napić się herbaty i coś przekąsić?

- Z tobą i Ramseyem?

- Mówisz jakbyś nie wiedział, że wyszedł dziesięć minut temu - powiedziała.

Uśmiechnął się do niej i wszedł do środka. Narzuta i świece wciąż były na podłodze, razem z miseczką czekolady i truskawkami. - Wyrzuciłaś go?

- Nie wyrzuciłam go. Musiał jechać do domu, żeby popracować.

Schylając się, przejechał palcem po jeszcze ciepłym brzegu miseczki, a potem zanurzył czekoladowy palec w ustach.

- To nawet ma sens. Pewnie dlatego, gdy wyszedł od ciebie, poszedł do Tess.

Joce zatrzymała się i spojrzała na niego. W ręku trzymał miseczkę i właśnie zanurzał truskawkę w czekoladzie.

- Gdzie poszedł?

- Poszedł do swojej asystentki, Tess. Mieszka obok. Kieruje jego życiem.

- Już o tym słyszałam. Ale ona tam teraz jest?

- Oczywiście - powiedział Luke, kierując swe oczy na nią. - Od kogo słyszałaś o Tess? Na pewno nie od Ramseya.

- Co to znaczy? - Zaczęła znowu iść w stronę kuchni.

- Wejdz - powiedziała - i weź to ze sobą, jeśli chcesz.

- Dziękuję - powiedział, idąc za nią, wlekąc za sobą przewód od miski. - Myślałem, że może jutro moglibyśmy porozmawiać o tym, co mam zrobić w ogrodzie.

- Nie znam się na ogrodnictwie. - Otwierała kolejno drzwiczki kuchennych szafek w poszukiwaniu imbryka, herbaty albo czegośkolwiek.

- Widzę, że sprawiłem ci kłopot. Naprawdę nie chciałem zawracać ci głowy. Kupię sobie coś do jedzenia w drodze do domu. W Williamsburgu mają kilka fast foodów. Gdzieś przy autostradzie. To niezbyt daleko. Jakies kilka godzin jazdy.

Nie mogła przestać się śmiać.

- Dobrze już, usiądź - powiedziała. Wyjęła z lodówki pojemnik z makaronem, który został po kolacji i włożyła go do podstarzałej kuchenki mikrofalowej.

- Dlaczego sądzisz, że Rams nie powiedział mi o swojej sekretarce? - Próbowwała udawać, że ją to nie obchodzi i specjalnie zdrobniła jego imię, żeby nadać intymniejszy ton ich relacji.

- Zakładam, że nie spotkałaś jeszcze Tess - powiedział Luke, po czym wstał i udał się do szafek, a potem sięgnął ręką nad jej ramieniem i wyjął talerz. Potem wyciągnął widelec i nóż z szuflady.

Jocelyn nie zdążyła jeszcze przejrzeć szafek, więc nie wiedziała, co gdzie jest.

-Nie, jeszcze jej nie spotkałam, ale o niej słyszałam.

- Od Sary? Powiedziała ci o czerwonej sukience?

- O co chodzi z tą krótką, czerwoną sukienką? -spytała Joce, otwierając mikrofalówkę.

- Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć?

- Jestem już duża. Myślę, że to zniosę. Co się stało z sekretarką i sukienką?

Luke wziął z jej ręki miskę z makaronem, postawił na talerzu, a potem na stole.

- Chcesz trochę?

-Nie, dziękuję. Zjadłam wcześniej. Z Ramseyem, pamiętasz?

- A, tak. Spędziliście razem tak krótki czas, że prawie zapomniałem o tej randce. Bo to była randka, prawda?

Joce nie wysiliła się na odpowiedź, tylko naląła sobie trochę wina do kieliszka i upiła łyczek.

- Przepraszam, ale nie mam już więcej - powiedziała, ale ton jej głosu mówił Lukowi, że wcale jej nie było przykro. Co ten mężczyzna miał w sobie, że wpadała w najgorszy z możliwych nastrojów? A może miała tak zły humor, bo Ramsey dał jej do zrozumienia, że byli na dobrej drodze, żeby zostać parą, a potem poszedł do kobiety, która mieszkała obok?

Luke wstał, otworzył lodówkę i wyciągnął z niej piwo.

- Czujesz się w moim domu jak u siebie.

- Spędzam tutaj dużo czasu, więc lepiej się przyzwyczaj. - Spróbował makaronu. - Jest całkiem smaczny. Rams go robił? Zawsze dobrze gotował. Potrafi nawet zrobić ciasteczka z mrówkami. Powinnaś go o nie zapytać.

- Przed czy po tym, jak mi opowiesz o czerwonej sukience?

-Aaa, o tym - powiedział Luke z pełnymi ustami. - Tess nie znosi, gdy ktoś jej rozkazuje. Dla niej wygląda to tak, że można od niej wymagać tylko tego, żeby dobrze wykonywała swoją pracę. Cała reszta to jej prywatna sprawa.

- A czy nie wszyscy tak myślimy? - spytała Joce. Usiadła na krześle naprzeciwko niego.

- Na pewno nie w taki sposób jak Tess, ale Rams zawsze był nieco wybredny.

- Rozumiem - powiedziała Joce z chłodnym uśmiechem. - Najpierw mówisz, że potrafi gotować, a teraz słyszę, że jest wybredny. Ciekawe co jeszcze usłyszę od ciebie? Że kiedyś był kobietą?

- Nic mi o tym nie wiadomo - stwierdził niewinnie Luke. - Mówił ci może, że chce? Słyszałem, że są teraz

kliniki, w których robią takie rzeczy. Nie żebym o nich coś wiedział, ale założę się, że Rams wie o nich wszystko. Joce nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Jesteś okropny. Opowiedz mi w końcu tę historię. Luke zjadł kilka kęsów i powiedział:

- To bardzo krótka opowieść. Rams powiedział Tess, że nie podoba się mu jej ubranie.

- I co? Zdjęła je?

- Czy tak robią sekretarki w biurach prawniczych na Florydzie? Jeśli tak, to mieszkam nie w tym stanie, co trzeba. Joce popatrzyła na niego, mrużąc oczy.

- Nie, niczego nie zdjęła. To się wydarzyło zaraz po tym, jak zaczęła pracować dla MAW. To znaczy...

- Wiem co oznacza ten skrót. Opowiadaj dalej.

- Widzę, że już sporo rzeczy się dowiedziałaś. Więc Tess pracowała tam zaledwie sześć tygodni, ale zdążyła już uporządkować wiele rzeczy w biurze. Zwolniła dwie sekretarki i sprawiła, że te dwie, które zostały, zaczęły wreszcie pracować. Była swoistym olśnieniem dla mojego kuzyna. Kobieta, która wykonywała swoją pracę tak dobrze, że rzeczywiście zasługiwała na swoje wynagrodzenie.

- Czy on wie, że w ten sposób się o nim wyrażasz?

- On ci mówił coś o mnie?

- Z radością mogę ci oznajmić, że nie wspomnieliśmy o tobie ani jednym słowem przez cały wieczór.

- Godzinę i pół. - Luke pomachał widelcem. - Miałem tylko na myśli, że, patrząc na to praktycznie, to nie spędziliście ze sobą całego wieczoru. Tylko półtorej godziny. Całkiem krótka ta randka, co nie? Gdybym ja zabrał kobietę na randkę...

- Tak, wiem. Kochalibyście się na chipsach z niebieskiej torebki. Opowiedz mi do końca historię o Ramseyu.

- Kochać się na łóżku pełnym moich ulubionych chipsów. No tego jeszcze nie próbowałem. Czy ty znasz to z własnego doświadczenia?



- To akurat nie twoja sprawa. Co zrobił Ramsey?

- Niczego nie *zrobił*. On więcej gada niż robi. Za to ja... Okay, przestań na mnie tak patrzeć. W każdym razie wszyscy mężczyźni w biurze byli zadowoleni z Tess pod każdym względem. Mam na myśli to, że jest bystra i harda, a czy osoba, która ci o niej mówiła, wspomniała o tym, że Tess jest powalająco piękna?

-Nie - odpowiedziała Joce, nie rozwodząc się nad tematem.

- Naprawdę. Powala z nóg. Czasem, gdy spaceruje po trawniku, to po prostu wyłączam kosiarkę, siadam i patrzę na nią. Ale Rams nie był zadowolony z tego, co miał. Jak zwykle chciał mieć *więcej*. Zawsze chce więcej. Wezwał ją do swego gabinetu na tak zwaną ewaluację i powiedział jej, że wykonuje swoją pracę doskonale, ale nie jest zbyt zadowolony z jej sposobu ubierania się. Nie podobały mu się dzinsy i koszula, a kowbojskich botków nienawidził. Powiedział jej, że chciałby, żeby zaczęła ubierać się do pracy w sukienki. Żadnych spodni.

Jocelyn odchyliła się do tyłu na krześle i otworzyła szeroko oczy.

- I co ona zrobiła?

- Założyła sukienkę. Masz jeszcze trochę tego czosnkowego chlebka? Jocelyn wstała i podała mu koszyczek z pieczywem.

- Sara powiedziała, że była krótka, a ty, że czerwona. Więc jak wyglądała w końcu ta sukienka?

- Nie byłem tego dnia w mieście i nie było mi dane jej zobaczyć, ale... Poczekaj chwilkę. - Odchylił się do tyłu i wyjął telefon komórkowy z pokrowca przypiętego do paska przy biodrze. - Muszę ją mieć cały czas przy sobie, bo jestem ochotnikiem w straży pożarnej. - Nacisnął kolejno kilka przycisków. - O, jest. To zdjęcie, które mi wysłał mój kuzyn Ken. Litera W nazwie MAW oznacza jego nazwisko.

Jocelyn wzięła do ręki telefon i spojrzała na zdjęcie. Była na nim kobieta w czerwonej sukience, która wyglądała, jakby komuś zabrakło materiału na jej dokończenie. Była tak krótka, jak najkrótsza spośród sukienek Siostruń. Z boków była wykrojona tak samo głęboko jak z przodu. Kobieta miała odwróconą twarz, więc nie mogła się jej przyjrzeć, ale za to jej długie, kasztanowe włosy, opadające kępkami na ramiona, były doskonale widoczne. Jej ciało było idealne.

- Widzę - powiedziała Joce, wręczając mu telefon z powrotem.

- Tego dnia wszyscy tak mówili. „Widzę”. Najgorsze, że tamtego dnia do Ramsa przyjechała delegacja prominentów z Williamsburga i widzieli Tess w tej sukience. Ale Ken powiedział, że przyjęli ten widok dość dobrze. Otworzyli szeroko usta, a Tess powiedziała im, że Ramseyowi nie podobał się jej codzienny ubiór, więc kazał jej założyć sukienkę i go posłuchała. Od tamtego dnia Rams stał się źródłem żartów.

- I myślę, że teraz Tess może się ubierać jak chce.

- Tess i tak robi, co chce i nikt nawet nie śmie jej zasugerować, że coś powinna zrobić inaczej.

-I to właśnie do niej poszedł Ramsey, gdy wyszedł ode mnie.

- Zwykle to robi - powiedział Luke. Podniósł do góry przewód od miseczki z czekoladą. - Mogłabyś to podłączyć dla mnie?

Rozglądała się za gniazdkiem, ale nie mogła żadnego znaleźć, więc on wstał, wyciągnął z szuflady przedłużacz i podłączył go na krótko do światła. Zwisający przewód nie wyglądał zbyt ładnie, ale wszystko działało.

- Przyłączysz się do mnie? - zapytał i zanurzył truskawkę w czekoladzie, ale ona potrząsnęła przecząco głową. Zastanawiała się, co robił Ramsey w mieszkaniu obok.

- Myślisz o Ramseyu? - spytał Luke. A gdy nie odpowiadała, powiedział. - Więc jak to jest między tobą

a moim kuzynem? Czy jesteś jedną z tych kobiet, która chce zagiąć parol na nim i zostać panią McDowell pod koniec tego roku?

-Nie, nie zamierzam „zaginać na nim parolu”. Co za staroświeckie wyrażenie. Dokończyłeś już jedzenie truskawek? Późno już i chce iść spać. Wybieram się jutro do kościoła.

- Rams po ciebie przyjeżdża?

Nagle Joce przestała się podobać ta cała sytuacja. Nie chciała iść jutro do kościoła, żeby wszyscy ludzie gapili się na nią, jakby wiedzieli, że jednego wieczoru gościła u siebie dwóch mężczyzn. A co ważniejsze, nie chciała być wmieszana w to, co się działo między tymi dwoma kuzynami. Było dla niej jasne, że Luke interesuje się nią, bo Ramsey zwrócił na nią uwagę.

- Wiesz co, myślę, że powiedziałam już wystarczająco dużo na temat mojego życia osobistego. Jeśli masz tu nadal pracować, musimy wyjaśnić sobie kilka rzeczy. Od tej pory sama będę sprawdzała drzwi, więc nie będziesz się musiał włóczyć koło mojego domu do późnego wieczora.

- Ty to nazywasz późnym wieczorem? Zignorowała jego pytanie.

- Po drugie, chcę, żebyś trzymał się z dala od mojego życia. To jest małe miasteczko i jeśli ty, i ja zaczniemy... - Odgoniła ręką obraz dwóch mężczyzn w jej ciemnej kuchni. - Sądzę, że będzie lepiej, jeśli to się nie powtórzy.

- Pewnie - powiedział, zdejmując swoje długie nogi z krzesła. - Przepraszam za kłopot.

Jocelyn nie chciała być dla niego taka zimna, a z pewnością nie chciała urazić kogoś, kto dla niej pracował, kogoś, kogo będzie widywała codziennie, ale jednocześnie uważała, że to najlepszy sposób, by nie dać nikomu powodu do plotek.

Odprowadziła go do tylnych drzwi, gotowa, żeby je zamknąć, gdy wyjdzie. On zatrzymał się na progu.

- Proszę mi powiedzieć, panno Minton - powiedział bardzo oficjalnie  
- miałaś z moim kuzynem randkę dziś wieczorem, a co byś powiedziała, gdybym ja cię zaprosił na randkę?

Cofnęła się o krok.

- Luke, wydaje mi się, że jesteś miłym facetem i z tego, co widziałam w ogrodzie, dobrze wykonujesz swoją pracę, ale nie sądzę, że ty i ja... To znaczy... My nie...

- Rozumiem - powiedział, pochylił głowę do przodu i pokłonił się w staroświecki sposób, tak jak służący. - Dobranoc panno Minton - powiedział, a potem zszedł po schodkach i zniknął w mroku.

Jocelyn zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie plecami. Co za dzień! - pomyślała. Za dużo tego wszystkiego na raz i za szybko.

Poszła na górę do swojej sypialni i kolejny raz uśmiechnęła się do świeżo pościelonego łóżka. Jutro w kościele będzie musiała się dowiedzieć, kto jej przygotował takie przywitanie i mu podziękować.

Próbowała się powstrzymać, ale jednak wyjrzała przez okno, żeby spojrzeć na drogę. Samochód Ramseya ciągle tam stał, więc cały czas siedział u Tess. Tej powalająco pięknej Tess.

Jocelyn umyła twarz, wklepała krem nawilżający, założyła koszulę nocną i położyła się na łóżku. Natychmiast pomyślała o Luku. Nie była aż tak naiwna, żeby nie wiedzieć, że wszystko, co zrobił dziś wieczorem, było tylko częścią tak zwanej samczej rywalizacji o kobietę. Poczowała się przy nim jak łania, o którą walczą dwa jelenie. Z tego, co zdążyła usłyszeć, domyśliła się, że Luke i Ramsey całe życie rywalizowali ze sobą o wszystko.

Teraz ona stanowiła nowe trofeum. Zupełnie nowa w całym mieście, nieznana nikomu, nowa właścicielka „dużego domu”. Bez wątpienia była najcenniejszą zdobyczą.

Wiedziała, że Luke bierze udział w tej gonitwie, ale pytanie, czy Ramsey też. Z obu mężczyzn zdecydowanie bardziej lubiła Ramseya. Zadał sobie wiele trudu, żeby przygotować cały posiłek dla niej i stworzyć romantyczną atmosferę w jej pustym i samotnym domu.

Z drugiej strony Luke okłamał ją, gdy mówił o sprawdzaniu drzwi, żeby mógł wejść do niej późnym wieczorem. A potem zjadł wszystko, co zostało po kolacji, którą przygotował Ramsey.

Z tego, co mogła powiedzieć, Ramsey był tym, który daje, a Luke tym, który bierze.

Bądź co bądź, gdy układała się do spania, myślała o tym, co powiedział Luke, gdy wychodził. Nie sądziła, żeby mówił poważnie o tej randce. W wyobraźni widziała go, jak siedzi w barze ze swoimi pięćdziesięcioma, lub coś koło tego, kuzynami i śmieje się z tego, że odbił dziewczynę Ramseyowi.

- Pocziwy Ramsey nawet nie wiedział, że przyszedłem - prawie słyszała jego głos. - Wślizgnąłem się i sprzątnąłem mu ją sprzed nosa.

Wizja była tak niepokojąca, że aż walnęła pięścią w poduszkę i popatrzyła w sufit. Jeśli „wygra” ją Ramsey, to czy będzie opowiadał to samo na przyjęciach? Mogła sobie wyobrazić go w jednym z miejskich klubów, gdy, unosząc szklankę whisky, mówi do grupy mężczyzn.

- Wznoszę toast za kolejne zwycięstwo nad moim kuzynem.

Gdy Joce usłyszała samochód Ramseya, który odjeżdżał, pomyślała, że jest jeszcze jeden problem. Ta Tess była zbyt blisko Ramseya, żeby go tylko lubić. Wieczorem, gdy Luke pokazał jej zdjęcie Tess, natychmiast poczuła zazdrość. Zazdrość! Co za absurdalne uczucie. Zazdrosna o kogo? O mężczyznę, którego poznała dzisiaj wieczorem? O mężczyznę, który mógł albo nie mógł brać udziału w głupiej rywalizacji ze swoim kuzynem?

Kiedy jego samochód odjechał, jej ciało wreszcie się zrelaksowało i przez to wpadła w jeszcze większą złość. Czy ona była spięta, bo facet, którego dopiero co poznała, był w mieszkaniu u innej kobiety?

- Okay, Jocelyn - powiedziała do siebie. - Najpierw musisz wziąć sprawy w swoje ręce. Zanim nawet pomyślisz o jakimś mężczyźnie, musisz...

W pokoju panowała głęboka cisza i Joce w końcu zasnęła.

## Rozdział 5

- Schrzaniłem to - powiedział Ramsey, gdy tylko Tess otworzyła mu drzwi. - Prawie się rozdziwiłem, żeby zrobić na niej dobre wrażenie, ale to schrzaniłem. Ona sobie żartowała, a ja siedziałem i się na nią gapiłem. Zachowywałem się tak, jakbym nawet nie rozumiał, co ona mówiła.

- Doliczę to sobie do pensji - powiedziała. - Jak za nadgodziny.

- Proszę bardzo - powiedział, siadając na dużym krześle w jej salonie. - Wino, truskawki w czekoladzie. Przygotowałem to wszystko, bo bardzo chciałem, żeby sobie pomyślała, że... Nie wiem, co właściwie chciałem osiągnąć, ale mi nie wyszło.

- Chciałeś, żeby sobie pomyślała, że mimo, że mieszkasz w tym zabitym dechami miasteczku, to jesteś mężczyzną obytym w świecie. Więc kto dla ciebie to wszystko przygotował?

-Moja mama i Viv. - Spojrzał na nią. - Dlaczego myślisz, że nie ja to zrobiłem?

- Ty z ledwością potrafisz wykarmić samego siebie. Przygotowałeś dla niej ten swój makaron?

- Oczywiście. Co innego miałbym upichcić? To jedyna rzecz, którą umiem ugotować. - Znowu na nią popatrzył. -Co ty na siebie włożyłaś, do cholery?

- To, w czym sypiam - powiedziała Tess, spoglądając w dół na swój biały, jedwabny szlafroczek, pod którym miała do kompletu koszulkę nocną na ramiączka.

- Załóż coś na siebie.

- Jeśli tak cię to kręci, to sugeruję, żebyś nie wpadał do mnie więcej w środku nocy.

- Czy zamierzasz dodatkowo obciążyć mój rachunek za to podkręcanie mnie? - powiedział ponuro Ramsey.

- Nie, to tylko taka myśl.

- Masz coś do picia?

- Dużo - powiedziała - ale ty nic nie dostaniesz. Musisz jeszcze jechać do domu, pamiętasz? Poza tym spodziewam się jeszcze dziś odwiedzin.

- Kogo? - wypalił.

- Jednego z twoich kuzynów.

- Pomóż mi, jeśli to Luke, to...

- Co? - spytała. - Zabronisz mi się z nim widywać? Luke jest przystojniejszy od ciebie, a do tego nie rośnie mu na brzuchu oponka od siedzenia cały dzień za biurkiem. Zaczynam też myśleć, że jest bystrzejszy od ciebie.

Ramsey patrzył w podłogę.

- To za niego wyjdź. Życzę ci tego. - Zamilkł na chwilę. - Podoba mi się ta kobieta.

- Która? - spytała Tess, siadając naprzeciwko niego. W rękę trzymała szklankę whisky i popijała ją, patrząc na niego.

- Wiesz przecież która - powiedział. - Jocelyn. Protegowana panny Edi.

- A, ta! Lubisz ją czy jej dom? Dobrze byś się prezentował w oczach mężczyzn z Colonial Williamsburga, gdybyś zamieszkał w domu, który wygląda, jakby go zbudowali ojcowie założyciele. Może nawet przekazaliby ci część swoich spraw. Co wiązałoby się z większymi pieniędzmi.

- Czasem potrafisz być naprawdę zabawna. Ha ha. Zaraz pęknę ze śmiechu. - Wstał i podszedł do szafki stojącej przy ścianie. - Nic nie mów, chcę sobie nalać tylko toniku. Masz lód?

- Trafisz sam do kuchni.

- Z pewnością wiesz, jak dobrze ugościć mężczyznę - powiedział z nutą sarkazmu.

- Jeśli sama go zapraszam, to wiem - zawołała za nim, gdy zniknął w kuchni.

Chwilę później pojawił się z miską lodu.



- Nie cierpię twojej kuchni - powiedział. - Jest gorsza niż Sary. Gorsza niż Joce.

- Więc zamień ją dla mnie na nową - powiedziała, odrzucając do tyłu swe długie włosy, opadające jej na oczy.

-I co? Może jeszcze wliczyć to sobie w koszty? Może gdybyś była moją kochanką... - Popatrzył na nią znad szklanki z napojem. Nigdy wcześniej nie widział jej w nocnych ubraniach, a wyglądała lepiej niż zazwyczaj. Jeśli w ogóle to było możliwe. Jej migdałowe oczy pociemniały, a usta zrobiły się czerwieńsze.

- Jeśli będziesz ciągle patrzył na mnie w ten sposób, to cię wyrzucę za drzwi. A właściwie to dlaczego nie pojedziesz teraz do domu?

Ramsey usiadł jeszcze głębiej w krześle i odwrócił od niej wzrok.

-Ja ją znam. -Co?

- Znam ją. Jocelyn. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem, ale mój dziadek czytywał mi listy, które pisali do siebie z panną Edi.

- Czy to nie twoja matka i cała reszta była uwikłana w jeden z tych południowych skandali czy sekretów, czy coś podobnego?

-Moja matka pochodziła z Oregonu - powiedział Ramsey. - W pokoleniu moich rodziców nie było żadnego skandalu. Cokolwiek masz na myśli, to na pewno dotyczyło moich dziadków. Zawsze ci się mieszają sprawy związane z miasteczkiem.

- Doliczę sobie dodatkową godzinę za tę uwagę. Więc w czym tkwi problem? I pamiętaj, zegar tyka. Przeczytałeś jakieś stare listy i co?

- Panna Edi pisała bardzo dużo listów. Myślę, że korespondowała z ludźmi z całego świata, a mój dziadek był jednym z nich. Kilka razy ją odwiedził i sądzę, że moja

babcia była o to nieco zazdrosna. Powiedziała, że zawsze umiał znaleźć jakąś wymówkę, żeby mógł lecieć na Florydę i spędzić kilka dni z panną Edi.

-I? - Tess powiedziała szybko. - Mógłbyś trochę skrócić tę historię? Mówiłam ci, że mam randkę.

- Jest dziesiąta w nocy, wszystko jest pozamykane, a do tego jesteś w szlafroku. Po co miałabyś się spotykać... - przerwał i otworzył szeroko oczy. - Och.

-Wiesz co, myślę, że powinieneś usiąść ze swoją siostrą, żeby ci opowiedziała, jak się robi dzieci. Albo przynajmniej co ludzie robią, żeby je mieć.

- Próbuję ci powiedzieć coś, co jest dla mnie bardzo ważne, coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem, a ty naśmiewasz się ze mnie.

- A czy ja cię zaprosiłam, żebyś tu dzisiaj przyszedł i opowiadał mi o nieudanej randce z panną, która ma bzika na punkcie dobrych manier?

- Poznałaś ją?

- Nie, ale ją widziałam i Luke mi o niej opowiadał.

- Czy to na niego czekasz?

- Czekam na miejscową drużynę futbolową.

- Wiesz co, Tess, mogłabyś nauczyć się kilku dobrych manier od Jocelyn.

- Gdybym je miała, to nie wpuściłabym cię do domu dziś wieczorem, żebyś wywnętrzał się na temat swojej dziewczyny.

-I w tym tkwi problem! To nie jest moja dziewczyna i jeśli nie wymyślę czegoś lepszego niż dzisiejszy wieczór, to ona nigdy nie zostanie moją dziewczyną.

Tess napełniła znowu swój kieliszek i usiadła na powrót na swoim miejscu naprzeciwko niego.

- Zatem nie pozbędę się ciebie, dopóki nie wypijemy piwa, którego nawarzyłeś.

- Piwo? Świetny pomysł. Masz jakieś?

- Luke trzyma sześciopak u mnie w lodówce. Ramsey podniósł do góry ręce w geście poddania się, potem wstał i poszedł do kuchni. Gdy nie wracał do salonu, poszła do niego.

- Co tam robisz w mojej lodówce? Nie ma tam nic do jedzenia.

- Masz jajka.

- Tylko dlatego, że Sara mi je dała. Mają niebieskie skorupki - dodała zdziwiona.

- Ameraucanas.

- Co?

- Ameraucanas to gatunek kur hodowanych przez rodzinę Sary, znoszą niebieskie lub zielone jajka - powiedział cierpliwie Ramsey, wydostając z lodówki miseczkę jajek i masło. Miało naklejkę Shaw Farms, podobnie jak bochenek chleba. - Umieram z głodu. Chcesz tosty i jajecznicę?

- Sądziłam, że potrafisz gotować tylko ten swój makaron.

- Nie uważam, żeby zrobienie jajecznicy wymagało umiejętności kucharskich.

- Gdybym umiała zrobić jajecznicę, to zgłosiłabym się do jakiegoś programu kulinarnego w TV.

Ramsey spojrział na nią, gdy wydostawał patelnię z szafki. Na ostatnie Boże Narodzenie podarował jej komplet garnków i patelni. Miesiąc później, gdy wciąż go nie otworzyła, powyjmował je, umył i poukładał na miejsce. Inni mężczyźni z pracy dawali jej prezenty o dużej wartości za to, co dla nich robiła, za to Ramsey dawał jej zawsze rzeczy, których potrzebowała. Ale z kolei on był jedynym, który widział jej mieszkanie w środku i wiedział, czego nie miała. W większości jego prezenty zostawały w kuchni, ponieważ dawał jej noże, naczynia, szkło kuchenne i podręczny sprzęt. Luke twierdził, że Ramsey miał wtedy pretekst, żeby iść do mieszkania Tess, żeby pomóc jej

w rozpakowaniu, ale to nie była prawda. Chciał, żeby żyło jej się wygodniej i chciał, żeby została w małym miasteczku Edilean. Od kiedy tu przyjechała, jego życie stało się prostsze, a najlepsze było to, że miał przyjaciółkę, której mógł wszystko powiedzieć. Prawdziwy przyjaciel, a nie cholerny krewny. Wiedział, że cokolwiek powie Tess, to nie wyjdzie poza mury jej domu. Mógł jej się zwierzać z najbardziej osobistych spraw i był pewny, że nikt o tym nie usłyszy.

- Zatem? - spytał. - Chcesz te jajka czy nie?

- Czy jak je zjem, to szybciej się ciebie pozbędę?

- Tak - powiedział, uśmiechając się ironicznie. - Co sobie pomyśli twój randkowicz, gdy przyjedzie i mnie tu zastanie?

- Że nad czymś pracujemy - powiedziała, zajmując miejsce przy małym stoliku obok ściany.

- No dobrze, to nic mi nie mów - powiedział i zaczął wbijać jajka do miski, potem je wymieszał widelcem i wlał na rozgrzaną patelnię.

- Wiesz co ci powiem? Że jesteś głupi. Niezależnie co ci powiem i tak będziesz myślał, że chcę być przy tobie.

- Tess, czy ci się to podoba, czy nie, ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. - Przerwał na chwilę, szukając w szufladzie szpatułki. - Potrzebne ci są rękawice i nowe ręczniki kuchenne. Wezmę ci kilka u Williams - Sonoma.

Tess pokiwała głową.

- A kim ja jestem? Starą panną, o którą musisz się troszczyć? Mógłbyś mi w końcu powiedzieć to, co masz do powiedzenia i wyjść? Mam...

- Tak, wiem, tajemniczą randkę z kimś, kto nie pojawił się do tej pory, choć jest już po dziesiątej. - Rozłożył jajecznicę na dwa talerze i jeden postawił przed nią. - Jedz - rozkazał jej. - Myślę, że tracisz na wadze.

- Seks spala dużo kalorii. A tak przy okazji, podejrzewam, że nie przespałeś się z twoją małą Alicją.

- Alicją?
- Luke powiedział, że ubiera się jak Alicja z Krainy Czarów.
- Kiedy się z nim widziałaś?
- Kilka godzin temu? Zazdrosny? Ramsey szyderczo prychnął.
- O Luka? Chyba żartujesz. Wracając do tematu, tak jak mówiłem, mój dziadek pozwalał mi czytać listy panny Edi, gdy dorastałem. Pisała dużo o tej małej dziewczynce, Jocelyn Minton, z którą w połowie mieszkała.
- Niech zgadnę, zakochałeś się w niej, czytając listy, a teraz chcesz, żeby została twoją żoną i żebyście żyli długo i szczęśliwie. Dobrze! A teraz, jak mi już to powiedziałeś, to możesz sobie iść.
- Dokończ jajecznicę - powiedział, wstając. - Nie rozumiem, dlaczego musisz być taka cyniczna.
- Może dlatego, że większość czasu spędzam z prawnikami. Dlatego widzę świat jako jeden długi proces sądowy.
- Ja to widzę tak, że pomagam ludziom.
- Tak jak przy rozwodzie Bernersów? Zarówno ty, jak i ja wiemy, że ten facet ukrył swoje dochody przed żoną, bo w przeciwnym razie nie zostawiłaby mu złamanego centa. Kupił jej ten wielki dom, na który nie było go stać, tylko po to, żeby ją udobruchać, ale ona chce go ogołocić. Gdybyś miał sumienie, powiedziałbyś jej, że nie dostanie niczego i że sama musi zarobić na swoje utrzymanie. Ale nie, dzięki twojej mądrości zabierze mu wszystko, a on popadnie w długi. Wyjdzie na prostą, gdy będzie miał siedemdziesiątkę na karku.
- Więc może to nie jest najlepszy przykład pomocy ludziom.
- Więc co jest?
- A co powiesz na pannę Edi?
- Stara, bogata kobieta, która zapłaciła fortunę twojej firmie. Jaki bohater z ciebie! Przyszedłeś dzisiaj, aby mnie

prosić, żebym ci pomogła zbliżyć się do nowej właścicielki? Po co? Żebyś mógł się z nią ożenić? Żebyś mógł przeżyć płomienny romans?

- Czemu jesteś tak do niej uprzedzona? Tess odepchnęła pusty talerz.

-Nie wiem. Może chodzi o to, że byli dziś u mnie dwaj - niejeden, ale dwaj - mężczyźni, którzy wciąż o niej gadali. Czy ona ma jakąś tajemnicę? Widziałam ją i nie jest jakąś piękną. Nie słyszałam też, żeby była szczególnie mądra, więc co was tak do niej ciągnie?

Ramsey patrzył na nią z otwartymi ustami.

- Jesteś zazdrosna o Jocelyn, prawda? Tess machnęła rękami i wstała.

- No właśnie. Chcę, żebyś natychmiast wyszedł. I dla twojej wiadomości, nie jestem zazdrosna o nią ani o żadną inną. Gdybym chciała ciebie albo Luka, to mogłabym was mieć.

Ramsey parsknął śmiechem.

- Znam cię zbyt dobrze, żeby mieć do ciebie jakieś romantyczne uczucia. Czy to jest twój problem? Późno w nocy przychodzi do ciebie mężczyzna i nie mdleje na widok twego piękna?

- Jesteś chory, wiesz o tym? - Prawie kopnęła drzwi, gdy je otwierała.

- Zmiataj do domu. Natychmiast.

-Już dobrze - powiedział Ramsey. - Przepraszam. Myślałem, że przeżyję cudowny wieczór z Jocelyn, ale...

- Ale co? - zapytała niecierpliwie, trzymając szeroko otwarte drzwi.

- Skończyły nam się tematy do rozmowy.

Po tych słowach cała złość opuściła Tess. Jedno, co na pewno umiał robić Ramsey McDowell, to dużo gadać. Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- Spytałeś ją, co zamierza teraz zrobić ze swoim życiem, gdy jest obca w mieście, w którym wszyscy nie tylko się znają, ale na dodatek są ze sobą spokrewnieni?

Twoi kuzyni muszą szukać sobie żon poza miastem, bo w przeciwnym razie będą płodzić kretynów. Spytałeś ją o plany na przyszłość?

- Nie - powiedział Ramsey. - Przypuszczam, że nie spojrzałem na to w ten sposób. Edilean to dla mnie dom, więc... - Podniósł głowę. - Ona lubi robić babeczki.

- Babeczki. Byłeś z nią na pierwszej randce i to wszystko, czego się o niej dowiedziałeś? Że lubi robić babeczki?

- Nie jestem kompletnym idiotą, rozmawialiśmy też o innych rzeczach.

- Tak, a o jakich?

- Dla twojej wiadomości, rozmawialiśmy o małżeństwie.

Przymykając oczy, Tess pokiwała przecząco głową.

- Nie wiem, jakim cudem skończyłeś prawo. Nie masz mózgu.

Stał w drzwiach, a ona wiedziała, że naleci jej do mieszkania pełno komarów, ale wiedziała też, że jeśli nie da mu jakiejś rady, to on nigdy nie odejdzie.

- Wymyśl pogotowie babeczkowe.

-Co?

- Stwórz sytuację, w której babeczki będą natychmiast potrzebne i tylko ona będzie mogła je zrobić.

- W jakiej sytuacji babeczki mogą być natychmiast potrzebne?

- Nie wiem. Pogadaj ze swoją siostrą. Dzieci i babeczki współgrają razem. Viv na pewno ci pomoże. I od tej pory zwierzaj się ze swoich miłosnych problemów komuś innemu, a nie mnie. Zrozumiałeś?

- Tak, być może - odpowiedział.

Tess zobaczyła, że dała mu do myślenia, więc wypchnęła go za drzwi i je zamknęła.

„Sobotnia noc, pomyślała. Tak właśnie wyglądają sobotnie noce w miasteczku takim jak to. W czasie, gdy

ona udawała, że czeka na jakiegoś mężczyznę, który się nie pojawił, musiała się zmagać z zakochanym szefem, który nie wiedział, o czym rozmawiać ze swoją nową dziewczyną".

- Czego on ode mnie oczekiwał? - wymamrotała Tess. - Że wezmę go za rękę i wysłucham, a potem udzielę mu rad, jak zdobyć kobietę?

Jak mam to zrobić? Tess nie miała pojęcia, jaka była ta Jocelyn Minton. Sara ją polubiła, a Luke był nią chyba zahipnotyzowany, ale to nie mówiło jej nic.

Prawda była taka, że, póki co, nie lubiła tej nowej kobiety. A może Ramsey miał rację i ona była o nią zazdrosna. Ale nie w taki sposób, o jakim myślał Ramsey. Tess czytała dokumenty prawne w biurze Ramseya i wiedziała, że Jocelyn całe swoje życie wszystko dostawała. Gdy była dzieckiem, zaprzyjaźniła się ze starszą kobietą, która umarła i zostawiła jej wszystko w spadku. To było jak żywcem wzięte z powieści Dickensa.

Jeśli Tess mogła być zazdrosna, to tylko o to, że Jocelyn dostała tak dużo od życia, za to Tess nie dostała niczego. Jej rodzice zmarli, gdy była jeszcze mała i była wychowywana przez babcię, która traktowała nienawiść jako jedną z czterech głównych grup żywieniowych i nalegała na jedzenie pełnej dawki każdego dnia.

- Zniszczyli mi całe życie - mawiała jej babka. - Edilean Harcourt i cała reszta zabrali mi moje życie. Mogłam coś w życiu osiągnąć, być kimś, ale to miasto zniszczyło wszystko, co miałam. Gdyby nie to, co mi zrobili, obie byłybyśmy teraz bogate. Opływałybyśmy w dostatki. McDowell i Harcourt. To oni mi wszystko zabrali.

Tess potrząsnęła głową, żeby oczyścić ją ze wściekłego głosu starej kobiety. Oddawała babci pieniądze za wszystko, co od niej dostała, to znaczy za jedzenie, ubrania i dach nad głową, więc dlaczego głos tej starej kobiety nie chciał jej opuścić?



Tess włożyła naczynia do zmywarki, wyłączyła światło w kuchni i poszła do sypialni. Zdjęła z siebie drapiący, biały szlafrok z jedwabiu oraz koszulkę i założyła za dużą koszulę z krótkim rękawkiem, w której zazwyczaj spała. Zdażyła włożyć inny szlafrok, gdy zobaczyła, że Ramsey odjechał. Z tego, co jej powiedział Luke, domyśliła się, że jego kuzyn i Jocelyn nie zaprzyjaźnią się ze sobą tak szybko.

Gdy Ramsey spędzał czas z nową właścicielką na pikniku, Luke przyszedł do Tess.

-Zawsze mu coś nie wychodzi, gdy się denerwuje - powiedział Luke i ułożył swoje długie nogi na stoliku, popijając piwo z butelki. Luke nigdy nie dawał jej takich praktycznych prezentów jak Ramsey. Właściwie to Luke nigdy jej nie dał niczego. Tess miała wrażenie, że jeśli Luke Connor podaruje jakiejś kobiecie chociażby stokrotkę, to już będzie znaczyło bardzo dużo.

Po wyjściu Luka zastanawiała się, czy chciał ją ostrzec, że ta randka nie wyjdzie Ramseyowi, a jeśli tak, to oboje wiedzieli, że zjawi się w mieszkaniu Tess po wszystkim. Rozczarowanie w połączeniu z sąsiedztwem Tess oznaczało dla Ramsey'a tylko jedno.

Więc Tess przygotowała się, w pewnym sensie, na wizytę Ramsey'a. Włożyła na siebie biały, jedwabny komplet ze szlafrokiem, za który zapłaciła całą tygodniówkę, a potem lekko się umalowała.

Wciąż nie wiedziała, co ją popchnęło, żeby to zrobić. Może dlatego, że zanim w miasteczku zjawiała się Jocelyn, to Tess była głównym tematem rozmów. Udawała, że nie wie o kolacji, którą przygotowuje Ramsey, ale prawda była taka, że trzy kobiety opowiedziały jej w szczegółach, co on robi.

- Jego matka pożyczyła ode mnie narzutę - słyszała. -Viv pożyczyła mój najlepszy świecznik. Wiecie, ten, który mam po mojej mamie.

Nim przyszła sobota, dokładnie wiedziała, co Ramsey zaplanował na ten wieczór. A wszystko dla jakiejś kobiety, której nigdy wcześniej nie spotkał.

Tamtego popołudnia Tess była w ogrodzie, przyglądając mu się z żalem, bo już nie miał należeć tylko do niej, Sary i Luka. Cała ich trójka stanowiła zgraną paczkę, co oznaczało, że jedno drugiemu nie deptało po piętach. Wiedzieli, jak zapewnić sobie nawzajem prywatność. Ale teraz wszystko miało się zmienić, bo nowa właścicielka przejmie ogród i dom, i wszystko się zmieni.

Gdy Tess odwróciła się w stronę domu, zobaczyła „ją” pierwszy raz. Spacerowała po trawie, trzymając koszyk Sary w rękach i idąc w stronę jej mieszkania. To, że Sara zaufała tej nowej na tyle, żeby powierzyć jej swój cenny koszyk z przyborami do szycia, bardzo ją uderzyło. Sara nigdy nie zaufała by na tyle Tess! Jednak, prawdę mówiąc, było bardzo możliwe, a nawet prawdopodobne, że w razie nagłego wypadku w MAW - jakiejś katastrofy, na przykład, gdyby Ken nie mógł znaleźć swoich sądowych notatek albo ksero by się zacięło - a Tess musiałaby tam szybko biec, koszyk Sary mógłby przepaść.

Kilka minut potem Luke wyszedł ze swojego warsztatu w tak złym humorze, że nawet nie zauważył Tess, która stała kilka metrów od niego. Widziała, jak wsiadał do swojej furgonetki, a potem, zamiast wyjechać tylną bramą, tak jak zwykle, skręcił w lewo i pojechał w kierunku głównego wjazdu.

Tess stała nieruchomo i przyglądała się Jocelyn, która spacerowała trawnikiem. Miała na sobie białą sukienkę, której nie powstydziliby się żadna zakonnica. Strój nie miał nawet najmniejszego zagniecenia. Czy ona nigdy nie siadała? - zastanawiała się Tess.

Tess nie mogła się powstrzymać i popędziła wkoło domu w kierunku głównego wejścia, żeby zobaczyć, co się dzieje. Luke i Ramsey stali na drodze wjazdowej i, jak zwykle,

sprzeczali się ze sobą. Kiedy Tess przyjechała do Edilean, wydawało się jej, że ci dwaj spędzają większość swojego życia, próbując udowodnić, kto z nich jest lepszy, i wtedy nie podobało jej się to, ale teraz zdążyła już przywyknąć. Nie słyszała ich, ale wcale nie musiała. Wiedziała, że jeden mówi drugiemu, co ma zrobić, a ten drugi mu odmawia.

Tess była zdziwiona, gdy Luke poszedł do mieszkania Sary i zapukał do drzwi. Musiał wiedzieć, że Sary nie ma.

Tess stała pod drzewami i obserwowała, jak Luke rozmawia z nową właścicielką, a potem prawie forsuje sobie drogę, żeby wejść do środka. Gdyby tylko spróbował tego z Tess, to wypchnęłaby go z powrotem za drzwi. Interesujące - pomyślała.

Kilka minut potem Ramsey zadzwonił małym dzwoneczkiem, który wisiał przy bocznej ścianie domu. Dawno temu zastąpił go elektryczny dzwonek do drzwi, ale zdawało się, że rodzina lubiła wszystko, co było staromodne, i używała dzwoneczka, kiedy to było możliwe.

Gdy nie było odzewu, Ramsey poszedł w kierunku tylnego wejścia, a Tess ukryła się głębiej między drzewami. Usłyszała, że drzwi się otwierają i domyśliła się, że Ramsey poszedł po Jocelyn do mieszkania Sary. Tess nie musiała długo czekać. Kiedy Luke wyszedł z mieszkania z gradową miną, wyglądał na strasznie wściekłego. Wszyscy wiedzieli, że Luke szybko się denerwował, ale nigdy wcześniej nie widziała, żeby był zły na Ramseya. Co prawda grali w swoje małe gierki i lubili udawać, że są wściekli, ale tak naprawdę nie byli. Ale tym razem Luke był całkiem wściekły, gdy wszedł do ciężarówki i odjechał.

Ramsey opuścił mieszkanie Sary, obejmując Jocelyn, a jej nieskazitelna sukienka była poplamiona czymś, co wyglądało jak musztarda. Tess zastanawiała się, czy to sprawka Luka. Dobrze zrobił! - pomyślała.

Kiedy Ramsey i Jocelyn weszli do domu, Tess poszła do swojego mieszkania. Za jakieś trzydzieści minut w jej

drzwiach pojawił się Luke, już drugi raz tego samego dnia. Na jego przystojnej twarzy wciąż malowała się złość.

- On ciągle tam jest? - spytał, jak zwykle nie siląc się na wyjaśnienia, kto to jest „on”.

- Z tego co wiem, to tak - powiedziała Tess, kierując się w stronę kanapy, a gdy on usiadł, podała mu piwo. - Jeśli tak bardzo ci się podoba, to czemu nie zaprosisz jej na randkę?

- Słyszałem, że należy do Ramseya.

- Po co ktoś mówiłby takie rzeczy? - Kiedy Luke siedział w milczeniu, ona podniosła dłoń. - Dobra, nie mów mi. I tak nie chcę wiedzieć. Przypuszczam, że ta kobieta, o której wszyscy mówią - Edi - za tym...

- Panna Edi - powiedział Luke. - Trochę szacunku dla starszych.

Tess nie odzywała się zbyt dużo potem, ale za to Luke tak.

Najpierw mówił jej, że chciałby posadzić w ogrodzie zioła, bo to pasowałyby do domu.

- Nie wiem tylko, czy jej się to spodoba, czy nie. Gdy Luke opowiadał jej o Jocelyn, o tym, jak była

ubrana i jaki miała kolor włosów, Tess zacisnęła zęby. Czy to było kolejne współzawodnictwo między kuzynami, czy kryło się za tym coś więcej?

Tess postawiła przed nim miskę niebieskich chipsów.

Luke wyszedł za jakieś pół godziny, a instynkt podpowiadał Tess, że Ramsey zajrzy do niej, gdy wyjdzie od Jocelyn - obojętnie, o której godzinie stamtąd wyjdzie.

Teraz Tess zmywała makijaż z twarzy i oglądała w lusterku swoją skórę po raz czwarty. Zadowolona, że wyglądała tak samo jak poprzedniego dnia, nałożyła krem nawilżający i położyła się do łóżka. Co za idiota z tego Ramseya! Jak mogłaby umówić się z jakimś mężczyzną na noc, tak żeby całe miasto o tym zaraz nie trąbiło? Albo przynajmniej z mężczyzną innym niż ci dwaj, którzy byli

w jej mieszkaniu. Oni byli częścią „rodziny”, jak to się mówiło w mieście. Czasem Tess czuła, jakby pracowała dla Mafii.

Dobrze! - pomyślała Tess. - Niech się skupią na kimś innym niż ona sama. Niech zajmą się Jocelyn, a ją zostawią w spokoju.

Gdy kładła się spać, zastanawiała się, czy ta cała Jocelyn wie, że Ramsey był u niej w mieszkaniu zaraz po ich randce. I czy wie, że Luke też u niej dzisiaj był?

Uderzyła ze złością w poduszkę. Jocelyn odziedziczyła dom, podczas gdy Tess dostała... Co? Wciąż jeszcze nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Tuż przed zaśnięciem pomyślała: babeczki! Czy spotkaliście w swoim życiu coś nudniejszego? Może ona i Ramsey zasługiwali na siebie.

## Rozdział 6

W dziesięć minut po przybyciu do kościoła, Jocelyn miała ochotę spakować rzeczy i wyjechać z miasta. Wszyscy byli dla niej bardzo mili, ale Joce słyszała niewypowiedziane pytania tak głośno, jakby ludzie do niej krzyczeli.

To najważniejsze miało brzmieć: *Co zamierzasz zrobić?* Mieli oczywiście na myśli ich cenny dom. Czowała, jakby pojawił się w nich strach przed dzikim tłumem ludzi, którzy pojawią się w Edilean w poniedziałek rano.

Mały kościółek był wypełniony po brzegi ludźmi. Kiedy usłyszała, jak pastor mówił o tym, że Bóg używa różnych metod, by przyciągnąć ludzi do kościoła, Jocelyn starała się powstrzymać rumieniec, który chciał się wydostać na jej twarz, ale nie udało się jej. Wiedziała dobrze, że wielu ludzi przyszło tu dziś, żeby ją zobaczyć.

Zajęła miejsce pośrodku ławki, z lewej strony ołtarza, a gdy Sara usiadła obok niej, myślała, że uściska ją z radości.

- Nie martw się, będzie coraz gorzej - powiedziała Sara, gdy już szósta para z kolei szła w stronę ołtarza i przyglądała się Jocelyn.

- Przestań mnie rozśmieszać. - Joce próbowała się rozejrzeć, żeby zobaczyć, czy kogoś poznaje. Kobieta ze sklepu spożywczego pomachała do niej.

- To twoja matka, tak?

- Strzał w dziesiątkę. Powiedziałam jej, że jeśli usiądzie obok ciebie i zapyta, co sądzisz o produktach ekologicznych, to kupię jakiś środek owadobójczy i spryskam nim jej roślinki.

- Twoje okrucieństwo mnie zadziwia. - Kiedy Jocelyn rozpoznała kolejną kobietę, przysunęła się bliżej do Sary. - Widziałam, jak stała z miotłą na werandzie.

-To matka Luka i to ona przygotowała dla ciebie sypialnię.

-Myślałam, że to Ramsey - powiedziała Joce. -Nawet mu za to podziękowałam.

- Chyba nie wziął uznania na siebie? - spytała ostro Sara.

- Nie, był szczery. Powiedział, że sądzi, iż to kobiety z kościoła. Będę musiała jej podziękować.

-I Lukowi. To on wniósł na górę łóżko i materace oraz pomógł wszystko zorganizować.

Jocelyn nie była pewna, co czuła, gdy dowiedziała się, że to Luke przygotował dla niej łóżko.

- Nie wiem, czy Luke mnie lubi, czy nienawidzi, albo czy posługuje się mną, żeby prowadzić gierki z Ramseyem.

- Pewnie wszystko na raz - powiedziała Sara i skinęła głową ludziom, którzy wchodzili do kościoła. - Wiem, że pewnie się martwi, czy będziesz dbała o ten dom. On znaczy naprawdę dużo dla całego miasteczka. Ludzie myślą o nim jak o swoim własnym i martwią się, co z nim zrobisz.

- Masz na myśli, że go sprzedam?

- Na pewno wiesz, że i tak nie mogłabyś tego zrobić, co? Nawet gdybyś chciała go sprzedać, musisz najpierw złożyć propozycję do National Register of Historic Places.

Jocelyn miała zamiar rzucić jakąś sarkastyczną uwagę, ale się powstrzymała. Nikt z tych ludzi jej nie znał, ale była pewna, że panna Edi dobrze ją poznała i dlatego zostawiła jej dom. Joce zmieniła temat.

- Czy Tess też tutaj jest?

-Tess w kościele? - Sara zaśmiała się cichutko. -Wtedy to pewnie dach by z kościoła odfrunął. -Nie wiem, czy chcę ją poznać, czy nie.

- Ona potrafi być... kaśliwa, myślę, że to słowo jest najodpowiedniejsze.

-Prawdziwa suka? - powiedziała Jocelyn i dodała ściszym głosem.  
- Myślę, że właśnie zamknęłam sobie drogę do nieba.

- Ale ty przecież mówiłaś o psach myśliwskich, prawda? - spytała Sara z niewinnym wyrazem twarzy, który sprawił, że Joce się uśmiechnęła. Muzyka zaczęła grać, więc wzięła do ręki śpiewniczek.

Ramsey wślizgnął się do ławki obok Jocelyn.

- Przepraszam, prawie się spóźniłem. Która strona? Jocelyn pokazała mu i sądziła, że weźmie do ręki swój

własny śpiewnik, ale on postanowił dzielić z nią ten, który trzymała w rękach. Jego głos brzmiał przyjemnie i zauważyła ze sposobu, w jaki śpiewał, że musiał dobrze znać słowa.

- Dokończyłeś swoją pracę? - szepnęła, gdy odchyłili się do tyłu.

- Większość.

- Tess ci pomogła? - spytała lekko, jakby odpowiedź zupełnie ją nie interesowała.

- Nie z pracą. Rozmawiałem z nią o tobie.

I po tym rozbrajającym zdaniu odwrócił się w stronę pastora.

Po nabożeństwie Jocelyn została oddzielona od Sary i Ramseya, zagarnięta przez morze ludzi, z których każdy miał jej coś do powiedzenia.

Otrzymała wiele zaproszeń na kolacje i przyjęcia, do klubów i na zwykłe odwiedziny. Na schodach kościoła złapały ją trzy kobiety ze skansenu, które namawiały ją na przyłączenie się do komitetu ochrony historycznych zabytków, a wtedy Sara szepnęła:

- Daj mi swoją torebkę.

Joce wciąż patrzyła na kobietę, a w tym samym czasie podawała swoją małą torebeczkę Sarze. Kilka minut potem wyjrzała zza tłumu i zobaczyła, że Sara siedzi w jej samo-



chodzie, w którym drzwi od strony pasażera były szeroko otwarte, i przywołuje ją ręką.

-Przepraszam, ale muszę już iść - powiedziała Jocelyn. - To naprawdę ważna sprawa, w przeciwnym razie bym została.

- Proszę wziąć nasze wizytówki, żeby mogła pani do nas zadzwonić - powiedziała jedna z kobiet.

Joce zabrała trzy wizytówki, a potem pobiegła przez chodnik i trawnik do samochodu.

- Szybko, zamykaj drzwi! - powiedziała Sara i ruszyła z miejsca na parking, zostawiając za sobą chmurę żwiru. -Będziemy tu kłaść kostkę w przyszłym miesiącu - powiedziała. - Ale zdzieranie powierzchni jest o wiele bardziej pasjonujące.

Joce zdjęła z głowy kapelusz, wyjęła wsuwki z włosów i pozwoliła, by opadły swobodnie na szyję.

- To była masakra. Nawet na zwierzęta w zoo ludzie się nie gapią tak, jak dziś na mnie.

- Matki mają synów, ludzie potrzebują pracy, a organizacje charytatywne potrzebują wolontariuszy i pieniędzy. Jesteś dla nich jak otwarcie sezonu łowieckiego.

-Nie, nie - powiedziała Joce, odchylając głowę do tyłu. - Powiedz mi, że tak nie jest.

- Niestety, tak to właśnie jest. Jesteś głodna?

- Tak - powiedziała Joce. - Może pojedziemy do sklepu spożywczego i coś kupimy? Nie mam w domu nic do jedzenia. Nie mam nawet rondla, żeby cokolwiek ugotować.

- Sądzę, że nie będziesz miała problemów z brakiem jedzenia, przynajmniej przez najbliższe dni.

- O czym ty mówisz?

- Zobaczysz - powiedziała tajemniczo Sara, wjeżdżając na drogę wjazdową do Edilean Manor. - Aha.

-Co?

- To Tess. Obudzili ją.

Na podjeździe stała prześliczna Tess i Joce musiała przyznać, że fotografia nie oddała w pełni jej urody. Była wysoka, piękna i do tego wyglądała na rozzłoszczoną.

Sara zaparkowała samochód Joce i wysiadła.

- Było aż tak źle? - spytała Tess.

- O której ona wyjechała do kościoła? - spytała Tess, wskazując głową na Joce, która wciąż siedziała w samochodzie.

- Wcześniej - powiedziała Sara, nie pytając Joce. Jocelyn wysiadła z auta i stanęła obok Sary. Żadna

z nich na nią nie spojrzała.

- Zaczęli przyjeżdżać o ósmej - mówiła Tess. - Wiedzieli, że te cholerne drzwi są zamknięte i nic ich nie powstrzymało, żeby dobijać się do moich, tylko po to, żeby mi powiedzieć, że główne drzwi są zamknięte. Otworzyłam więc je, ale to im nie wystarczyło. Wciąż się do mnie dobijali. - Tess odwróciła się, żeby spojrzeć na Jocelyn. - Nie mieści mi się w głowie, że jesteś warta całego ich zachodu. - Jej migdałowe oczy były przymrużone, a usta wygięte ironicznym uśmiechem.

- A ty pewnie jesteś Tess - powiedziała Jocelyn z wymuszonym uśmiechem. - Jestem...

- Wszyscy doskonale wiedzą kim jesteś - rzuciła Tess. - Zarówno tutaj, jak i w Williamsburgu cię znają. Jesteś bogata i odziedziczyłaś ogromny dom. Tak, można powiedzieć, że stałaś się atrakcją dla całego rejonu.

- Tess, proszę cię - powiedziała Sara błagalnym głosem.

- Prosisz mnie o co? - spytała Tess. - To ja muszę wyskakiwać z łóżka w niedzielę rano, żeby odebrać jej jedzenie, tylko dlatego, że się przyssała do jakiejś starej kobiety i dostała od niej pieniądze?

- Tess - powiedziała Sara. - Proszę, bądź miłsza. Nawet jej jeszcze nie znasz.

Tess zlustrowała Joce od góry do dołu i z pewnością znalazła to, czego chciała.

- Teraz, gdy jesteś już bogata, może będzie cię stać, żeby coś ze sobą zrobić.

Oczy Sary zrobiły się jeszcze większe, ale siedziała cicho. Nie umiała odpowiedzieć na złośliwą uwagę Tess. Joce lekko się uśmiechnęła.

- Ty jesteś piękna, ale ja jestem miła i to ja zdobyłam nagrodę. Od razu widać, co ludzie cenią bardziej, prawda?

Przez chwilę Sara i Tess wpatrywały się w nią.

-To wszystko, co masz do powiedzenia? - spytała Joce spokojnym tonem głosu. - No dalej, przecież stać cię na więcej. Jakaś stara kobieta zostawiła mi dom i pieniądze, więc musiałam zrobić coś złego, żeby sobie na to zasłużyć. Na pewno dasz radę coś jeszcze z tego wycisnąć. A może nie?

Sara wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć od tego, co słyszała. Czy te kobiety walczyły ze sobą? Czy będzie musiała się przyglądać, jak wrywają sobie włosy i jak się drapią?

Tess przyjrzała się Joce z zainteresowaniem.

- Gdzie się nauczyłaś tak odpowiadać?

- Jej siostry są... - zaczęła Sara, ale Joce powstrzymała ją gestem dłoni.

- Słucham i uczę się - powiedziała Joce i spojrzała na Sarę, ignorując Tess. - O jakim jedzeniu mówiłyście?

- Wszyscy w miasteczku chcieli cię powitać, więc przynieśli ci coś do jedzenia - powiedziała Sara w taki sposób, jakby to był ogólnie przyjęty zwyczaj. - Ciocia Martha, matka Ramseya, powiedziała ludziom, żeby wczoraj się powstrzymali, więc kulminacja nastąpiła dziś rano. Ale ciebie tutaj nie było.

- Tak, wyszłam... - Jocelyn przerwała zdanie. Nie zamierzała tłumaczyć się ludziom, gdzie była w każdej minucie swojego dnia. - Nie było mnie. Wyszłam wcześniej.

- Więc dobijali się do mnie, żebym im pozwoliła wejść do „dużego domu” - powiedziała Tess, lustrując Jocelyn od góry do dołu, jakby się zastanawiała, kim i czym ona jest.

- Daj spokój - powiedziała Sara. - Chodźcie, zobaczymy, co zostawili.  
- Kiedy Tess została na drodze wjazdowej, Sara odwróciła się i krzyknęła. - Idziesz?

Jocelyn popatrzyła na Tess stojącą w świetle słońca, jej kasztanowe włosy błyszczały i miała ochotę powiedzieć, żeby nie wchodziła. Tess aż za bardzo przypominała jej siostrę.

- No chodź - powiedziała. - Może Sara i ja później powyrywamy ci włosy.

- Zgadzą się - powiedziała Tess, nim pomyślała.

- Ja też - odpaliła Joce.

- A ja nie - powiedziała Sara. - Jeśli zamierzacie rzucać się na siebie jak kotki, będę musiała zadzwonić po swoich kuzynów, żeby mogli sobie popatrzeć. Nigdy by mi nie wybaczyli, gdyby przegapili takie widowisko.

Joce zrobiła krok w tył i przepuściła Tess, żeby dać jej znać, że jest mile widziana w jej domu. Trzeba będzie trochę czasu, żeby mogła polubić tę kobietę - pomyślała Joce, patrząc tęsknie na Sarę. Dlaczego w drugim skrzydle domu nie mieszka kopia Sary. A potem pomyślała, że może uda jej się znaleźć jakieś mieszkanie dla Tess gdzieś indziej. Może w jakimś pokoju razem z mężczyznami. Patrząc na nią, pewnie byłaby zachwycona!

Jocelyn nie była przygotowana na to, co zobaczyła w kuchni. Zarówno stół, jak i blaty pokryte były setkami pojemników z jedzeniem.

Sara otworzyła lodówkę. W środku niej było jeszcze więcej naczyń z jedzeniem i zafoliowanych paczek.

Były tam różne potrawy, kurczaki przygotowane na różne sposoby, szynki, koszyki pełne pieczonych dobroci, ciastek, placków oraz torebki napełnione produktami, pochodzącymi z przydomowych ogródków.

- Przecież ja nie jem tego wszystkiego - wyszeptała Jocelyn, z zachwytem patrząc na taką ilość jedzenia.

Tess stała z boku i obserwowała, jak obie kobiety krążą wokół stołu i blatów. Najwidoczniej nie miały zielonego pojęcia, co zrobić z tak dużą ilością jedzenia, które szybko się zepsuje. Cała sytuacja przypomniała jej o MAW. Mężczyźni u niej w pracy nie wiedzieli, co robić przez połowę spędzanego tam czasu. Za to Tess doskonale wiedziała, co należy zrobić. Prawnicy mawiali, że miała specjalny dar do tego i rzadko spotykany talent.

Sara zatrzymała się i popatrzyła na Tess.

- Co powinniśmy zrobić?

Joce nie spojrzała na Sarę, ale sądziła, że ponieważ jest w swoim domu, pytanie było skierowane do niej.

- Mam jutro spotkać się z Ramseyem i jeśli dostanę trochę pieniędzy, to kupię zamrażarkę i... - przerwała, gdy zobaczyła, że Sara patrzy na Tess.

Jocelyn też patrzyła teraz na nią.

- Masz jakiś inny pomysł? - Nie mogła wyzbyć się wrogości, która brzmiała w jej głosie. Czy ona jest już skazana na walkę z tą kobietą?

- Sugeruję, żebyśmy zjadły to, na co mamy ochotę, a potem zapakujemy to co chcemy do samochodu i rozdamy. Trzeba zostawić wszystkie naczynia i opakowania, bo kobiety będą chciały je odzyskać, ale jedzenie możemy rozdać i nawet wiem gdzie. - Spojrzała na Joce. - To znaczy, jeśli zdołasz się rozstać z czymkolwiek.

Sara spojrzała na Jocelyn, żeby podjęła decyzję.

- Podoba mi się - powiedziała Jocelyn. - Bardzo mi się ten pomysł podoba. - Patrząc na Sarę, otworzyła szafkę, z której Luke wyciągnął talerz poprzedniego wieczoru. Była pusta. Wiedziała, że jeden talerz był w zmywarce, ale one potrzebowały więcej. - Czy któraś z was wie, gdzie są talerze?

- Luke jest na zewnątrz, on wie - powiedziała Tess. - Zaprosimy go i będziemy musiały się nasłuchać o Ramseyu? - spytała Jocelyn.

- Szybko się uczysz - stwierdziła zaskoczona Tess.

- Głosuję za tym, żeby nikogo nie zapraszać. Urządzimy sobie przyjęcie tylko dla kobiet - powiedziała Sara, otwierając szafkę na samym końcu i wyciągając z niej trzy talerze.

- Niewiele zostało z tego, czego Bertrand nie sprzedał. Moja matka kupiła piękny zestaw porcelany Wedgwood od niego.

- Podaruję ci go, jak wyjdiesz za mąż - powiedziała Tess.

Jocelyn popatrzyła na Sarę z zainteresowaniem.

- A gdzie ja sobie kogoś znajdę? - spytała Sara. - Nigdy nie wyjeżdżam z tego miasta, chyba że muszę dostarczyć sukienkę jakiejś kobiecie.

- A one nie mają synów? - spytała Joce.

- Żaden mi nie odpowiada.

- Sara jest znana jako najbardziej wybredna kobieta w stanie - powiedziała Tess. - Popatrz na nią, to spełnienie marzeń każdego faceta. Piękna i dziewicza.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała Sara.

- Liczy się jakość opakowania - stwierdziła Tess, pakując sobie na talerz stertę jedzenia. - Ty wyglądasz tak niewinnie, a ja tak, jakbym próbowała w życiu już wszystkiego.

-I wszystkich - dodała Joce, napełniając swój talerz.

- Przepraszam, ale po prostu zgadzam się z tobą. A co myślisz o mnie? Nie jestem ani jedną, ani drugą.

- Ty jesteś żoną - powiedziała Tess. - Wyglądasz jak żona i matka. Więc jak to się stało, że nie masz męża i trójki dzieciaków?

- Tess... - powiedziała ostrzegawczo Sara.

- Miałam zobowiązania - odpowiedziała Joce, robiąc sobie na stole miejsce i siadając. - Nie mogłam oddalić się za daleko od... tego, co się działo w moim życiu.

- Od starej kobiety - stwierdziła Tess.

Jocelyn wzruszyła ramionami, ale nic nie powiedziała. Nie chciała, żeby ta kobieta wiedziała coś więcej o jej życiu, niż już usłyszała.

Cała trójka siedziała przy stole, otoczona jedzeniem ze wszystkich stron i przez chwilę wszystkie milczały.

- Słyszałam, że umiesz piec babeczki - rzuciła frywolne oskarżenie Tess.

Joce spojrzała na Sarę.

- Czy tylko mi się wydaje, czy wszystko, co ona do mnie mówi, jest okraszone złośliwą nutą?

- Nie wydaje ci się - stwierdziła Sara i spojrzała na Tess. - Przepraszam, ale to prawda. Tess, zwykle zachowujesz swoje nienawistne uwagi dla mężczyzn, u których pracujesz, więc co cię napadło, żeby dogryzać Jocelyn?

Tess rozejrzała się po kuchni.

- Aha - mruknęła Sara.

- Co to znaczy? - spytała Joce. - Czy coś przegapiłam?

- To ty odziedziczyłaś ten dom. Odziedziczyłaś... Czy o to chodzi Tess? O te miliony?

- Nie wolno mi nic powiedzieć.

Obie kobiety patrzyły na nią bez mrugnięcia i czekały. Tess wzruszyła ramionami i ugryzła kawałek pieczonego udka.

- Jeśli wygadacie Ramsowi, że wam coś powiedziałam, to podpalę ten dom z wami w środku.

- Całkiem sprawiedliwie - stwierdziła Joce.

- Pieniądze zostają razem z domem - powiedziała Tess. - Jeśli tu zostaniesz, to będziesz miała je wszystkie, ale jeśli wyjedziesz, to zarówno pieniądze, jak i dom zostaną przekazane na rzecz jakiejś fundacji.

- Ciężki grzech - powiedziała Jocelyn. - Jeśli wyjadę, obcy ludzie przybędą do Edilean. Jak to przeżyją mieszkańcy?

- Obcy są potrzebni dla podtrzymania gatunku - odpowiedziała Tess. - Żeby zapewnić różnorodność genetyczną swoim potomkom.

- Przestań! - krzyknęła Sara. - Muszę ci przypomnieć, że Edilean to bardzo przyjemne miejsce do życia.

- Czy tak jest, od kiedy w Williamsburgu wybudowali outlet? - powiedziała Tess.

- Outlet? - zdziwiła się Joce. - Dlaczego nikt do tej pory nie przekazał mi tej cennej informacji?

- Bo spędziłaś cały swój czas z najprzystojniejszym mężczyzną w tej maleńkiej mieścinie.

- Miau - miauknęła Sara.

- Jesteś zazdrosna, bo mogłabyś zdobyć wszystkich mężczyzn stąd, ale nie możesz. Bo to twoi krewni - powiedziała Tess.

- Co jest między tobą i Ramseyem? Widziałam twoje zdjęcie w czerwonej sukience - stwierdziła Joce.

Tess lekko się uśmiechnęła.

-Co to był za dzień! Wyglądałam najlepiej w swoim życiu, a tu jakiś dupek powiedział mi, że mam się ubierać bardziej konserwatywnie. Czy on myślał, że ja nie wiem, że ci wszyscy mężczyźni obserwowali każdy mój ruch? A gdybym zaczęła nosić sukienki, nadskakivaliby mi jak John Candy.

Joce popatrzyła na nią pytająco.

- Gdybym upuściła coś na podłogę, to pewnie rzuciliby się, żeby to podnieść.

- Mam nadzieję, że przesadzasz - powiedziała Joce. - Z pewnością nie...

- Może i nie, ale na pewno by o tym pomyśleli. A ja tego nie chciałam.

-Okay, mężczyźni to mężczyźni. Z pewnością im pokazałaś.

Tess wzruszyła ramionami.

- Może. Zapłaciłam za to wysoką cenę, bo moje zdjęcia były opublikowane w Internecie. Ken chciał nawet umieścić moje zdjęcie w ulotce naszego biura, ale jego żona mu nie pozwoliła.

- Skąd przywiózł swoją żonę? - spytała Joce.

-Z Massachusetts - powiedziała szybko Tess. -Poznał ją przez Internet.



- Obie jesteście wstrętne - powiedziała Sara. - Myślicie, że nie lubicie tego miasta.

- A skąd mam to wiedzieć? - spytała Joce. - Dopiero co tutaj przyjechałam. Jak do tej pory spotkałam prawnika, który przygotował dla mnie romantyczną kolację na podłodze, ale wyszedł po zaledwie półtorej godziny. I gburowate-go ogrodnika, który lubi się popisywać i wyłudzać jedzenie.

- Luke - Sara i Tess powiedziały jednocześnie.

- Jaki on ma problem?

Tess i Joce spojrzały na Sarę.

- Nie patrzcie tak na mnie, ja nie wiem. Jasne, że z nim dorastałam, ale jest ode mnie starszy o wiele lat, więc w zasadzie nigdy go dobrze nie znałam. Wielkie gwiazdy atletyki w szkole średniej nie zwracają zbyt dużo uwagi na swoje małe kuzynki z podstawówki. Po ukończeniu liceum wyjechał z miasta i.... - przerwała myśl, wzruszając ramionami.

-I rozpoczął karierę koszeniem trawników. Wydaje się, że jest inteligentny, więc dlaczego nie znajdzie sobie jakiejś dobrej pracy? - spytała Joce.

Sara spuściła głowę i nie odpowiadała.

- A dlaczego ty jesteś tylko asystentką nauczyciela, a teraz to nawet już nie masz tej pracy? - spytała Tess. - Gdyby panna Edi nie zostawiła ci swojej fortuny, gdzie byłabyś teraz?

- Czy to naprawdę jest fortuna? - spytała Joce, unikając odpowiedzi na pytanie.

- Myślę, że to dobre pytanie - powiedziała Sara, spoglądając na Joce. - Co byś teraz robiła, gdybyś nie spotkała na swojej drodze panny Edi?

- Mówię z ręką na sercu, że nie mam pojęcia - odpowiedziała Joce. - I mogę was zapewnić, że dużo o tym myślałam.

- A co z tobą Tess? - spytała Sara. - Pracujesz w MAW, ale nie cierpisz żadnego mężczyzny, który tam pracuje. Co chciałabyś robić?

- Chciałabym, żeby jakaś stara kobieta zostawiła mi w spadku miliony.

- To niesprawiedliwe-powiedziała Sara. -Powinnaś...

- Pozwól, niech mówi - wtrąciła się Jocelyn. - Okay, więc jeśli dostałabyś w spadku duży, stary dom i furę pieniędzy, co robiłabyś przez cały dzień? Zostałabyś damą, która jada obiadki w towarzystwie?

- Broń Boże! Chyba bym zwariowała. Ja...

-Ty co? - drążyła Jocelyn. - Chciałabym usłyszeć twoje pomysły.

- Nie wiem. Może zacząłabym swój własny biznes? -powiedziała Tess.

- Jaki biznes? - spytała Sara. Jocelyn popatrzyła na nią podejrzliwie.

-Masz coś, co lubisz robić, prawda? Słyszę to w twoim głosie.

Tess wzięła do ręki oliwkę i wyssała z niej nadzienie z czerwonej papryczki.

- Widziałaś ubrania, które ona projektuje?

-Nie powiedziałaś mi, że projektujesz ubrania -powiedziała Joce do Sary z wyrzutem w głosie.

- Dopiero raz z tobą rozmawiałam. Nie mogłam ci powiedzieć wszystkiego.

- Sklep z ubraniami to dobry biznes - powiedziała Joce domyślnie. - Nie głupi pomysł. A co z tobą Tess?

- Nie patrzcie na mnie. Nie jestem zbyt kreatywna. Jestem dobra w liczeniu i organizacji.

- Musisz dobrze sobie radzić z mężczyznami - powiedziała Joce. - Dlatego tak wielu cię odwiedza.

-Naprawdę? - spytała Tess, jakby nigdy wcześniej o tym nie myślała.

- Tess - powiedziała Sara - bądź uczciwa. Ramsey i Luke byli wczoraj u ciebie.

- A skąd o tym wiesz? Powiedzieli ci, prawda? Więc co ci powiedział o mnie Ramsey? - spytała Tess.

- Nic. To Luke mi powiedział - odrzekła Sara.  
- Kiedy się z nim widziałaś?  
- Dziś rano. Kopał w ogrodzie. Chce zrobić ogródek ziołowy, ale teraz musi uzyskać pozwolenie właścicielki, nim zrobi cokolwiek.  
- Mnie też o tym mówił - powiedziała Tess.  
Obie kobiety spojrzały na Jocelyn, jakby żądały odpowiedzi.  
- Może sobie sadzić cokolwiek zechce - odpowiedziała Joce. - Co mnie to interesuje.  
- Teraz to ty jesteś odpowiedzialna za cały dom - powiedziała Tess. - Powinnaś szanować jego długą historię i doceniać, co on znaczy dla Amerykanów, jesteś to winna ludziom z miasteczka, stanowi, a przede wszystkim krajowi. Powinnaś...  
Joce rzuciła w nią kawałkiem chleba i wszystkie wybuchły śmiechem.

## Rozdział 7

- Cześć - powiedziała Jocelyn do Luka, gdy uniósł łopatę i rzucił ziemię na kupkę. Spojrzał na nią, ale nic nie odpowiedział. - A to co? Nie rozmawiasz ze mną?

- Odezwę się, jak będę miał coś do powiedzenia. - Podniósł wielki worek ze ściółką i wrzucił na swojego pi kapa.

Pomyślała, że może chce, żeby zostawiła go w spokoju i odeszła, ale ona została. Było późne, niedzielne popołudnie i była bardzo zmęczona wydarzeniami ostatnich dwóch dni.

- Widziałeś jedzenie w mojej kuchni?

- Nie byłem w twoim domu odkąd mnie z niego wyrzuciłaś wczorajszej nocy. I nie sprawdzałem ani drzwi, ani okien.

- Dziękuję, że nie powiedziałeś Sarze, że byliśmy wczoraj sami o tak późnej porze. Wiem, że jej powiedziałeś, że poszedłeś do Tess, ale o mnie nie pisałeś słówka.

- Zatem Tess może mieć złą reputację, ale nie ty? - Myślę, że Tess mogłaby stać jak kołek i nic nie

robić, a i tak miałyby złą reputację. Wystarczy tylko na nią spojrzeć i już się ma sprośne myśli.

Luke odwrócił się szybko, ale widziała jego uśmiech.

- Widziałam! Jeśli wciąż śmiejesz się z moich żartów, to znaczy, że nie jesteś na mnie aż tak zły.

- Widziałaś się z Ramseyem w kościele?

- Usiadł obok mnie, spytał czy za niego wyjdę, a ja się zgodziłam.

- Moje gratulacje. Stworzycie oboje cudowną parę. O tej porze za rok będziecie umieli rozmawiać już tylko o zasłonkach.

- Jeśli potrafisz przewidywać przyszłość, to mogłabym cię prosić, żebyś mi powiedział, co ja mam *robić*?

Luke zaczął znowu kopać.

- Co rozumiesz przez „robić”?

Joce rozejrzała się, żeby znaleźć coś do siedzenia, ale nic takiego nie było, więc usiadła na trawie.

- Panna Edi... - zaczęła.

- Co z nią?

- Była bardzo ważną osobą w moim życiu.

- Wszyscy mamy ludzi, którzy są dla nas ważni.

- Tak? A ty masz kogoś takiego?

Luke stał przez chwilę z uniesioną łopatą pełną ziemi.

-Zwyczajnie: rodzice, przyjaciele, krewni. Mój dziadek był dla mnie kimś ważnym nim zmarł.

-A teraz już nie jest ważny? - spytała delikatnie Jocelyn.

Luke uśmiechnął się lekko.

- Czasem wydaje mi się, że teraz jest dla mnie ważniejszy, niż gdy dorastałem. Byłem wtedy... Powiedzmy, że jako dziecko byłem nieco uparty.

-Uparty jak osioł, chciałeś wszystko zrobić po swojemu, bo w przeciwnym razie nie chciałeś tego zrobić.

- Czy to ty byłaś moją nauczycielką w podstawówce, tą, która kazała mi stać w kącie po pół dnia?

- Nie, ale trzymam jej stronę - powiedziała Joce. -A jaki był twój dziadek?

- On był samotnikiem, lubił robić wszystko na swój sposób, tak jak ja.

-Jeśli to ma być wskazówka, żebym sobie poszła i dała ci spokój, to od razu mówię, że tego nie zrobię. Ten dom jest zbyt duży, zbyt pusty, zbyt... W każdym razie wolę być tutaj. Opowiesz mi coś o sobie?

- Nie ma co opowiadać. Byliśmy z dziadkiem bardzo do siebie podobni i to wszystko. Lubilem być sam, tak jak on, więc często byliśmy samotni razem.

-„Samotni razem”. To idealne określenie mnie i panny Edi. Dzieciaki w szkole myślały, że mi odbiło, bo

chciałam spędzać czas ze starą kobietą, która miała nogi pokryte bliznami. Wymyślały nawet różne historie o tym, jak to się stało, że jej nogi były tak poranione. Oni...

- Co się stało z jej nogami? - spytał Luke.

- II wojna światowa - powiedziała Joce. - Była w Londynie, siedziała w jednym z samochodów, na które spadła bomba. Ta strona samochodu, po której siedziała, eksplodowała i ona... - Joce się zawahała. - Ona zaczęła płonąć. Jej nogi były prawie całkowicie spalone od kolan w dół. - Joce wzruszyła ramionami. - Nikt nie sądził, że z tego wyjdzie. Przewożono ją z jednego szpitala do drugiego, czekając na jej śmierć, ale panna Edi nie umarła. Jej wola życia była tak silna, że nie tylko przeżyła, ale zaczęła znowu chodzić, a po wojnie zaczęła pracować dla pewnego lekarza. Razem jeździli po całym świecie. Po powrocie miał w zwyczaju często ją odwiedzać i snuł różne opowieści. Mogłam go słuchać całymi godzinami.

Zatrzymała się na chwilę, myśląc nad czymś.

- Panna Edi mówiła mi o dr. Brennerze, widziałam go na niezliczonej liczbie zdjęć i zawsze roztaczałam w swojej głowie romantyczne myśli na temat ich obojga. Wiedziałam, że był żonaty i miał dwie córki, ale wciąż sądziłam, że między nimi istnieje jakaś wielka, nieodwzajemniona miłość. Ale pięć minut po tym, jak go poznałam, zrozumiałam, jak bardzo się myliłam. Byli razem jak dobrze naoliwiona maszyna, on wiedział, kiedy bolały ją nogi i nie przestawał gadać nawet na trzy sekundy, gdy odprowadzał ją do sofy, przykrywał jej nogi i przynosił filiżankę herbaty. A ona robiła dla niego podobne rzeczy. W końcu jego serce wysiadło, a ona dopilnowała, żeby wziął swoje leki, które i tak nie za wiele mogły pomóc.

Jocelyn przerwała na moment, chcąc zapanować nad swoimi emocjami.

-Ale dzieci nie przejmowały się takimi sprawami. Potrafiły tylko myśleć, że jej nogi wyglądały śmiesznie.

Latem nosiła nawet czarne, grube pończochy, ale i tak było pod nimi widać blizny. Z wiekiem zaczęła chodzić o dwóch kulach.

Luke przerwał na chwilę kopanie i spojrzał na nią ostro.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Poszłaś do małego college'u i przyjęłaś pracę jako asystentka nauczyciela, żeby być blisko niej, prawda?

-Nie, lubiłam swoją szkołę i lubiłam swoją pracę. Zrobiłam to... - przerwała, bo Luke wciąż patrzyła na nią tym swoim wzrokiem. - Tak, masz rację, zrobiłam to właśnie po to, ale nigdy jej tego nie powiedziałam.

-I jak sądzę, ona się nie domyśliła. Była zbyt tępa, żeby zrozumieć, co?

Jocelyn zaśmiała się cicho.

- Pewnie o tym wiedziała, ale nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. Przypuszczam, że gdy dożyjesz wieku panny Edi, będziesz wiedział, że przychodzi taki czas, w którym... Gdy już wszyscy, których kochałeś, umrą, przyjdzie czas na robienie rzeczy, których nie robiłeś, nawet na pójście do szkoły czy znalezienie dobrej pracy. -Spojrzała na dom w oddali i pomyślała o przodkach panny Edi, którzy tam mieszkali. Oczami wyobraźni widziała, jak mała panna Edi wybiega tylnymi drzwiami.

-Więc dostałaś to, czego od niej chciałaś, prawda? Zostawiła ci dom i kupę pieniędzy.

-*Nie* byłam przy niej dlatego, że *czegoś* od niej chciałam! - powiedziała Jocelyn, zrywając się na nogi. -Byłam z nią, bo ją kochałam. Może ty tego nie rozumiesz, ale ja... - spojrzała na niego. - Dlaczego się do mnie tak uśmiechasz?

- Zdołałem powstrzymać twoje łzy.

Minęło kilka chwil, nim Jocelyn ochłonęła i zrozumiała, co zrobił.

- Sprytnie.

- To moje drugie imię.

Usiadła z powrotem i przez chwilę obserwowała, co robi. Usunął już niemal całą wierzchnią warstwę z prostokątnego obszaru, wrzucił wszystko na jedną kupkę, a teraz zaczął przekopywanie kolejnego pokładu ziemi.

- Co ty właściwie robisz?

- To się dokładnie nazywa głębokie przekopywanie, a tak w ogóle, to zamierzam tu założyć ogródek zielony. Pytałem cię o to, ale nic nie odpowiedziałaś, więc kopię dalej. Jeśli się nie odezwiesz w tej kwestii, to nie będziesz miała udziału w jego projektowaniu.

-Nie wspomniałaś mi nawet słowem o ogródku zielonym. Wczoraj mówiłaś mi o Ramseyu i... I, niech pomyślę, o Ramseyu, ale nie usłyszałam od ciebie słowa *ziola*. Z tego, co mi wiadomo, nawet nie znasz takiego słowa.

-Chcesz mi powiedzieć, że spędziłaś cały dzień z Sarą i Tess, a one nie przekazały ci wiadomości ode mnie?

- Wiadomości? - zdziwiła się Joce. - Powiedziały mi, że mówiłaś *im* o zielonym ogrodzie. Nie miałam pojęcia, że to ma być wiadomość dla *mnie*.

- A kogo innego miałbym pytać? Przecież to ty jesteś właścicielką tego miejsca.

-Doprawdy? - spytała Joce. - Przekopujesz moje podwórko, a ja nie mam nawet nic do powiedzenia, co i gdzie kopiesz, więc kto tu jest właścicielem?

- Dobra - powiedział Luke, wbijając szpadel w ziemię, a potem opierając się na nim. - Czy podoba ci się mój pomysł przywrócenia w tym miejscu osiemnastowiecznego ogródka zielonego, czy nie? A może wolałabyś coś z czasów wiktoriańskich? A może chromowany parkan i szklaną fontannę pośrodku? Na pewno pasowałaby do domu. Daj mi tylko znać, a ja dopilnuję, żeby tak się stało



jak chcesz. Jestem tylko ogrodnikiem i robię tylko to, czego życzy sobie pani tego domu.

Jocelyn otworzyła usta, żeby rzucić jakąś ripostę, ale nic jej nie przyszło do głowy.

- Podziękuj ode mnie swojej mamie za przygotowanie dla mnie sypialni.

- Podziękuję - powiedział Luke i znowu musiał się odwrócić, żeby ukryć swój uśmiech.

-I dziękuję, że wniosłeś mi łóżko na górę.

- Proszę bardzo - powiedział.

Przez chwilę zapadła między nimi cisza, w czasie której Jocelyn go obserwowała. Jego mięśnie ruszały się pod koszulką, a dżinsy przylegały mocno do umięśnionych ud. Miał ciało pracującego fizycznie mężczyzny.

Zmusiła się, żeby odwrócić od niego wzrok.

- Wiesz co robiłyśmy dziś po południu z Tess i Sarą?

- Z tego, jak się śmiałyście, mogę przypuszczać, że paliłyście trawkę i jadłyście czekoladę.

- Sądzisz, że mama Sary sprzedaje w swoim sklepie trawę?

- Jeśli tak, to idę o zakład, że jest ekologiczna. Joce uśmiechnęła się.

- Gdy już najadłyśmy się tak, że prawie nie mogłyśmy chodzić, zapakowałyśmy całe jedzenie i rozwiozłyśmy do kilku kościołów w... Nawet nie wiem gdzie, ale Tess wiozła nas tam z prędkością stu kilometrów na godzinę, a potem zapełniłyśmy stoły jedzeniem. Było całkiem miło. Opowiedz mi coś o Tess.

Luke lekko chrząknął.

- Mogę ci powiedzieć wszystko, co o niej wiem, jednym słowem: nic.

- Ale Sara mówiła, że byłeś u niej wczoraj.

- U ciebie też byłem, ale to wcale nie oznacza, że się znamy. Trzymam u niej piwo w lodówce i zaglądam do niej, gdy mam jej coś do powiedzenia.

- O ogrodzie?
- Ona wie mniej o ogrodach niż ty. Zwykle rozmawiam z nią o Ramseyu.
- No tak - powiedziała Joce. - O Ramseyu. Spojrzał na nią ostro.
- Powinnaś wiedzieć, że cokolwiek zaplanujesz z moim kuzynem, to w przyszłości i tak będziesz musiała dzielić go z Tess.
- W biurze - powiedziała Joce.
- Nie, wszędzie. Rams... - Luke podniósł rękę z rezygnacją. - Nie zamierzam mówić o Tess i Ramseyu. Sama ich spytaj. Przysłaś tu, żeby wyciągnąć ode mnie miejscowe ploteczki.
- Chciałam zobaczyć, co robisz w *moim* ogródku. Luke rozłożył szeroko ramiona.
- To co widzisz.
- Więc dlaczego akurat zioła?
- A dlaczego nie? Jocelyn skrzywiła się.
- Czy twój brak umiejętności podtrzymywania rozmowy wynika z tego, że jako dziecko byłeś samotnikiem, czy może twój brak odpowiedzi na pytania odstrasza od ciebie ludzi?
- Przypuszczam, że po trochu jednego i drugiego. Co Sara mówiła o mnie?
- Dlaczego myślisz, że ją o ciebie pytałam? Podniósł do góry brew.
- No dobrze, więc może pytałam. Powiedziała mi, że jesteś od niej o wiele, wiele starszy, że zajmowałeś się sportem w czasach szkoły średniej i więcej nic o tobie nie wie.
- Kocham szczerzę tę dziewczynę - powiedział Luke.
- Więc kłamała?
- Pomińmy tę kwestię. Zatem jakie rośliny zamierzasz tu posadzić?

- Zioła - odpowiedziała szybko Jocelyn.
  - To już słyszałem. Jakie zioła?
  - Nie wiem - powiedziała. - Może takie do pizzy i spaghetti?
  - To są te same. Co jeszcze?
  - Do... - podniosła szybko głowę. - Wiem, chcę mieć lawendę.
  - Jaki gatunek?
  - Czy to nie zabrzmiałby głupio, jeśli powiem, że taki, który można jeść?
  - Doskonały wybór - powiedział Luke, patrząc na nią jakby był z niej zadowolony. - Lawenda pośrednia jest najlepsza do jedzenia. Lepiej jest znana pod nazwą lawenda z Prowansji.
  - Brzmi świetnie. Możesz posadzić kilka krzaczków w ogrodzie?
  - To zależy, ile z nich będziesz chciała zjeść.
  - Nie wiem... - powiedziała z wahaniem. - Zamierzasz przyprawić niajagnięcinę, żeby lepiej smakowała, czy może chcesz upiec kilka tuzinów ciastek? - spytał niecierpliwie.
- Joce zmarszczyła brwi.
- Chcę zrobić twoją lalkę Voodoo i wbijać w nią gałązki lawendy. Zaczął się śmiać.
  - Chodź, pokażę ci, gdzie możemy zasadzić trochę lawendy. - Odłożył na bok łopatę, wziął do ręki ręcznik z furgonetki i wytarł nim swoją spoconą twarz.
  - Właściwie to nie przyjrzałam się jeszcze ani trochę swojemu ogrodowi - powiedziała, spoglądając w dal przez wielkie drzewa.
  - Byłaś zbyt zajęta...
  - Nie kończ! - rozkazała Joce.
  - O co chodzi? - spytał Luke z przesadną niewinnością.

- Nie chcę znowu słyszeć, że byłam zajęta Ramseyem.  
- Zamierzałem powiedzieć, że byłaś za bardzo zajęta poznawaniem ludzi, żeby spędzić trochę czasu w ogrodzie, ale jeśli twoje myśli pobiegły do Ramsey'a i tam pozostają, to kim ja jestem, żeby zaprzeczyć.

- Potrafisz być niezłym łobuziakiem, wiesz o tym?

- Nigdy wcześniej żadna kobieta mi tego nie powiedziała. Moja matka tak, kuzyni dość często i kilku moich wujków, ale kobieta nigdy mi nie powiedziała, że jestem urwisem.

- Daruj sobie - powiedziała Joce, uśmiechając się. - Masz brudną twarz.

- Tak, to mi ją wytrzyj.

Pochylił się do przodu, tak że jego twarz znalazła się bardzo blisko niej. Delikatnie wytarła dłonią jego policzek, ale zabrudzenie nadal tam było. Potarła mocniej.

- Czy to jest przyklejone?

- Zdejmij swoją koszulę i wytrzyj mocniej - powiedział bez cienia uśmiechu.

Joce potrząsnęła głową i cofnęła się do tyłu.

- Sam sobie wytrzyj.

Otarł przedramieniem twarz i starł brud.

- Teraz lepiej?

Przez moment Jocelyn przyglądała się mu. Wyglądał bardzo przystojnie z ciemnymi włosami i zielonymi oczami.

- Kiedy ostatni raz widziałeś maszynkę do golenia?

- Dokładnie w tym samym czasie, co House. Zajął jej chwilę nim zrozumiała, że mówił o serialu

„Dr House”. To był jeden z jej ulubionych filmów. Uśmiechając się, poszła za nim, gdy prowadził ją wśród drzew.

Gdy tak rozglądała się wokół siebie, wciąż myślała o tym, że to wszystko należy do niej. Wszystko, co widziała, było jej własnością.

- Mógłbyś mi pokazać granice posiadłości?

- Z przyjemnością - odpowiedział Luke. Oprowadził ją po siedmiu hektarach ziemi, które teraz

posiadała. Było to wszystko, co pozostało z czterystu pięciu hektarów, które kiedyś nabył młody mężczyzna ze Szkocji dla swojej porwanej narzeczonej. Luke znał tę ziemię bardzo dobrze i pokazywał jej, gdzie kiedyś stały chaty, altanka i gołębnik. Zatrzymał się na kawałku ziemi bez drzew i powiedział, że kiedyś w tym miejscu była kuźnia.

- Gdy byliśmy dziećmi, przychodziliśmy tutaj, kopaliśmy w ziemi i znajdowaliśmy ręcznie robione wyroby z żelaza. Charlie znalazł trzy podkowy.

- A Sara też coś znalazła?

- Była dobra w znajdowaniu grot od strzał. Mówiła, że dziewiętnasty wiek jest dla niej zbyt młody, żeby sobie zawracać głowę takimi znaleziskami, więc nie zawracała sobie głowy podkowami.

- To interesujące, że tyle o niej wiesz, a ona wręcz przeciwnie.

Luke uśmiechnął się lekko, a potem poszedł dalej między drzewa.

- Kiedyś były tu piece do wypalania cegieł. Spójrz. - Odsunął kilka gałęzi krzewów i jej oczom ukazała się niska ściana z cegieł. - Poskładałem te cegły z powrotem, żebyś mogła zobaczyć fundamenty.

- Rozłożył szeroko ramiona. - Tutaj możemy posadzić twoją lawendę. Ziemia jest tu piaszczysta, a lawenda to lubi. Poza tym ta część ogrodu jest dobrze nasłoneczniona.

- Prawie potrafię sobie wyobrazić, jak to wszystko kiedyś wyglądało. Może powinnam to odbudować, żeby wyglądało tak, jak kiedyś.

- Koszty takiego przedsięwzięcia byłyby bardzo duże, a poza tym Colonial Williamsburg wykonał znacznie lepszą robotę niż my moglibyśmy zdziałać tutaj.

Podobało jej się, że użył wyrazu „my”. To dało jej poczucie, że jest częścią czegoś.

- Myślę, że to miejsce lubiło tutaj być przez te wszystkie lata - powiedział Luke. - Podobało mu się tętniące tu życie i lubiło ludzi, którzy tu mieszkali. Sądzę, że dom odetchnął z ulgą, gdy stary Bertrand zmarł.

- Może dom był szczęśliwy, że nie posunął się do sprzedania gałek od drzwi.

- Prawie to zrobił, ale Ramsey go powstrzymał.

- Pomogłeś mu? - spytała Joce.

- Nie było mnie tutaj wtedy - odpowiedział szybko Luke. - Co myślisz o tym miejscu na lawendę?

- Wygląda idealnie, ale ja się na tym nie znam. Masz na myśli, że nie było cię tutaj w tamtym czasie, czy że w ogóle nie mieszkałeś w Edilean?

- Zatem powiedz mi coś więcej o kochaniu się na niebieskich chipsach kukurydzianych.

- Punkt dla ciebie - powiedziała. - Żadnych więcej pytań osobistych. Zastanawiam się, czy panna Edi pozwoliła sprzedać swemu bratu tak dużo, bo chciała wyczyścić dom dla kolejnej rodziny.

- To samo powiedział Rams, ale ja myślę, że po prostu chciała się pozbyć starych rupieci. Na strychu jest ich wciąż pełno. Byłaś już tam?

- Nie. Weszłam na górę, ale drzwi są zamknięte, a ja nie mam do nich klucza.

- Rams ci da, gdy ci wyjawি, co odziedziczyłaś. - Luke zaczął iść, a ona za nim.

- Ile wiesz o umowie związanej z domem?

- Jeśli zostaniesz, dostajesz wszystko. Jeśli wyjedziesz, pieniądze zostają z domem.

- Tak właśnie słyszałam - powiedziała Joce - ale czy to nie miała być tajemnica?

Luke wzruszył ramionami.

- Ktoś komuś dyktował dokument, ktoś inny go pisał. Kto to wie, jak pewne rzeczy wychodzą na światło dzienne?

- Domyślam się, że ty wiesz doskonale, jak to się stało, ale pewnie mi nie powiesz.

- Jesteś bystra, co?

- Czy stanowią jakiś wyjątek od kobiet, które znasz? Luke nie odpowiedział na pytanie, tylko wskazał długi, niski budynek z cegieł w oddali.

- To ja poskładałem to wszystko do kupy.

- Wygląda staro.

- Dziękuję - powiedział Luke. - To naprawdę miły komplement. Wykopałem stare cegły, a potem, zanim ich użyłem, musiałem je oczyścić.

Dotarli do budynku i Jocelyn przyglądała się, jak dłoń Luka dotyka bocznej ściany.

- Pracowałeś z wielką miłością, prawda? - stwierdziła Jocelyn.

- Mniej więcej.

- Zawsze chciałeś być ogrodnikiem?

Popatrzył na nią dziwnie i już miał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

-Nie, ta myśl zaświtała mi w głowie nieco później w moim życiu. Zrozumiałem, że nie ma nic lepszego niż praca z ziemią. Nic nie daje mężczyźnie więcej przyjemności i satysfakcji.

- Może masz to we krwi po przodkach? Czy pochodzisz z rodziny farmerów, którzy troszczyli się o ziemię?

- Nic mi o ty nie wiadomo - powiedział Luke. - Mój ojciec był menedżerem, a mój dziadek lekarzem.

- Tak jak ojciec Sary.

- Tak - odpowiedział Luke, mile zaskoczony, że Joce o tym wie. - Wujek Henry pracował przez lata z moim dziadkiem, nim ten odszedł na emeryturę.

- Żebyście mogli jeździć na ryby? - spytała Joce. - Tylko wy dwaj.

- To był inny dziadek.

- Och - westchnęła.

Luke otworzył drzwi budynku i Joce domyśliła się, że znaleźli się w jego warsztacie. Było tu miło. Nad stołem warsztatowym z narzędziami było okrągłe okienko. Stała na palcach, żeby przez nie wyrzeć i zobaczyła, że znajdowali się blisko domu. Właściwie, gdy przekręciła lekko głowę, mogła zobaczyć cały tył domu i drzwi do obu bocznych mieszkań. Widziała stąd mały, biały stolik, przy którym siedziały z Sarą, ucinając sobie pogawędkę.

Opuściła stopy i popatrzyła na Luka, który z wielką uwagą układał jakieś narzędzia na szczycie starej szafki, stojącej przy przeciwnej ścianie.

- Gdy jesteś tutaj, dobrze widzisz wszystko, co się dzieje z tyłu domu.

- Naprawdę? - spytał Luke. - Nigdy nie zauważyłem tego.

Wlepiła w niego wzrok, aż w końcu odwrócił się i spojrzał na nią, uśmiechając się do niej krzywo. Kolejna rzecz, której się o nim dowiedziała. Teraz, kiedy Luke wyglądał, jakby miał poczucie winy za przypuszczalne szpiegowanie, sądziła, że mogła o wiele łatwiej wyciągnąć z niego informacje, jakich potrzebowała.

- Więc z kim rozmawiała dziś Tess przez telefon? Luke podszedł do drzwi warsztatu.

- Koło trzeciej po południu? Jocelyn przytaknęła głową.

- Ze swoim bratem. Rozmawia z nim co niedziela po południu, obojętnie, co by się działo. Możesz ją zabrać na koncert rokowy albo ją zahipnotyzować, ale jeśli jest niedziela po południu, to ona na pewno zadzwoni do brata.

- To zabrzmiało, jakbyś był zazdrosny.

- A ty nigdy nie byłaś zazdrosna o dzieci, które miały rodzeństwo? Przecież też jesteś jedynaczką.

- Jedynaczka - powiedziała Joce. - Co za cudowna myśl. Ja mam... - przerwała. W żadnym wypadku nie mogła mu powiedzieć, kim są jej siostry. - Tak. Wiele razy



wyobrażałam sobie, że mam siostry, które są dobre, miłe i mnie naprawdę lubią. Uniósł do góry brwi.

- Czy wsadziłem kij w mrowisko?

- Nawet jeśli, to powiemy Ramseyowi, żeby nam zrobił kotlety - rzuciła, szybko rozśmieszając Luka.

- Placki. On robił placki z zaschniętego błota - powiedział. - Gdy miał prawie siedem lat, a Sara ledwo rok, prawie ją zmusił, żeby zjadła jeden, ale na szczęście zauważyła to jego mama i... - rozejrzał się dokoła, jakby patrzył, czy nikt nie podsłuchuje. - Nikt z nas nie wie, co stało się potem, ale ciocia Ellie, mama Sary, zabrała Ramseya do swego domu, a gdy z niego wyszedł, był bladozielony i już nigdy nie zrobił błotnego placka z mrówkami.

- Nie wiem, czy chciałabym dorastać w tym miasteczku, czy jestem szczęśliwa, że mnie tu nie było.

- A jak wyglądało twoje życie, gdy mieszkałaś z panną Edi? Popołudniowa herbatka i koncerty w weekendy?

- Ja nie... - zaczęła Jocelyn, ale zamknęła szybko usta. Niech sobie myśli, że mieszkałam z panną Edi przez cały czas, jeśli tak chce. Jak miała mu wyjaśnić, że jej elegancka matka zakochała się w mężczyźnie, który uważał malowidło na zbiorniku paliwa w Harleyu za dzieło sztuki. Za dużo tłumaczenia o tym, że jej matka zmarła, ojciec ponownie się ożenił, a Jocelyn dorastała z ludźmi, którzy się od niej tak bardzo różnili, że często myślała, iż pochodzi z innej planety. Dopóki nie spotkała panny Edi, Jocelyn nie знаła innego świata.

- Czego nie robiłaś? - spytał.

Zacząła już układać w głowie historyjkę dla niego, gdy zadzwonił mu telefon. Otworzył klapy i powiedział „Tak” cztery razy, a potem wręczył go Jocelyn.

- To do ciebie.

- Do mnie? Ale kto... - Oczy Luka jej odpowiedziały. Ramsey.

- Halo - powiedziała. - Wszystko okay?
- Zatem zwiedzacie z Lukiem ogród - powiedział Ramsey. - Szkoda, że nie wiedziałem, że chcesz go zwiedzić. Mogłem przecież cię oprowadzić.
- Albo ja równie dobrze mogłam iść sama - powiedziała. - Luke dla mnie pracuje, pamiętasz?
- Jak mógłbym zapomnieć, skoro podpisuję jego czeki.
- Naprawdę? - spytała Joce z zainteresowaniem. - Ja nienawidzę płacenia rachunków. Możesz się tym nadal zajmować?
- Jocelyn, mogę to nadal robić, jeśli sobie tego życzysz. Dziś po kościele wszyscy mówili tylko o tym, jak ślicznie wyglądałaś w tej różowej sukience. Podobał im się też twój kapelusz.
- Luke wpatrywał się w nią, jakby chciał usłyszeć każde wypowiedziane słowo. Odwróciła się do niego plecami.
- Możesz przyjechać jutro do biura? - spytał Ramsey. - Będziemy mogli porozmawiać o warunkach utrzymania domu.
- Zatem będziesz chciał porozmawiać ze *mną o interesach*?
- Tak, oczywiście, że chcę - powiedział, ale słyszała, że się uśmiecha.
- Nie chciałabyś przecież zjeść ze mną lunchu, prawda?
- Zapraszasz mnie na randkę?
- Jeśli tylko chcesz przyjechać do mego domu i zjeść ze mną kolejny raz makaron. A tak przy okazji, potrzebne mi to naczynie do grzania czekolady mojej siostry, Viv.
- Urodziła dziecko?
- Ramsey nie mógł się powstrzymać od śmiechu.
- Nie urodziła dziecka ani nie próbuje zrobić kolejnego. Potrzebuje go na przyjęcie dla jednego z dzieciaków, które już ma. Chciałabyś pójść ze mną?
- Pewnie. Kiedy to będzie?

- We wtorek po południu. Koło trzynastej. Mogę po ciebie podjechać? Czy może uważasz, że gdy przyjedziemy razem na przyjęcie, to ludzie sobie pomyślą, że jesteśmy parą?

- Może powinniśmy zabrać Luka, żeby ich zmylić.

- On nienawidzi dzieci i dziecięcych przyjęć. Lepiej go nie bierzmy. Więc może przyjechałabyś do biura około jedenastej, a potem zjemy lunch? Brzmi dobrze?

- Wyśmienicie. Do zobaczenia. Zamknęła telefon i oddała go Lukowi.

- Kolejna randka?

- Interesy, a potem lunch, a we wtorek przyjęcie u jego siostry w domu.

- Jakie przyjęcie? - spytał szybko Luke.

- Ramsey powiedział, że dla jednego z dzieciaków jego siostry. Przyjęcie urodzinowe?

- Żadne z dzieci nie ma teraz urodzin. To jest... - Wycofał się, marszcząc przez chwilę brwi, a potem na nią spojrzał. - Myślę, że będę musiał zaklepać sobie u ciebie termin, jeśli chcę, żebyś pojechała ze mną do sklepu ogrodniczego po sadzonki ziół. Co powiesz na jutro? Jeśli oczywiście zdołasz się odkleić od Ramsey'a po lunchu.

- Dlaczego chcesz, żebym pojechała z tobą po zioła? Nie potrafię nawet odróżnić jednego od drugiego.

- No dobrze. Więc wsadzę trochę lulka czarnego i cykuty.

Pomyślała sobie, że Ramsey musiał żartować, gdy powiedział, że Luke nienawidzi dzieci, jednak ta uwaga sprawiła, że Joce nie wiedziała, co ma o nim myśleć.

- Nic trującego.

- No dobrze, mówiłaś, że nie masz żadnych preferencji co do ziół, ale nie tak dawno powiedziałaś, że chcesz lawendę, a teraz, że nic trującego. A co powiesz na miętę?

- Lubię miętę - powiedziała uważnie. Zmierzał do czegoś, ale ona nie wiedziała do czego.

- Okay. Zatem chcesz mieć w całym ogrodzie mięętę i nic więcej.

- Nie w całym ogrodzie, tylko gdzieniegdzie.

- Dla twojej wiadomości, mięta jest jednym z najszybciej rozrastających się roślin jakie znam, więc jak posadzisz ją w ogrodzie, to wkrótce nie będzie tam nic innego. Więc chcesz mięętę czy nie? Zaczekaj! Wezmę coś do pisania i kartkę papieru, bo lista rzeczy, które chcesz i nie chcesz robi się za długa, żebym ją zapamiętał.

- No dobrze! - burknęła. - Pojadę z tobą jutro po rośliny. Nie wiem co prawda po jakie, ale weźmiemy wszystko, co powiesz, że jest potrzebne. Dlaczego chcesz, żebym z tobą jechała? Żeby podrażnić się z Ramseyem?

- Nie musisz ze mną jechać - powiedział, zniżając głos. - Mogłabyś powiedzieć Ramseyowi, że możesz zostać na lunchu całe popołudnie, bo nie masz żadnych innych zajęć. Albo możesz mu powiedzieć, że musisz iść, bo jedziesz ze mną kupić kwiaty.

Jocelyn zamrugnęła oczami, a potem się uśmiechnęła.

- Masz mózg pod tymi włoskami, prawda?

- Moja mama też tak uważa, tata już nie jest tego aż tak pewien.

- O której chcesz pojechać?

- O czternastej. Punktualnie. Podjadę po ciebie do restauracji.

- Skąd wiesz, gdzie mnie zabierze na lunch? Luke chrząknął.

- Do „The Trellis”. Zawsze zabiera tam kobiety na drugą randkę, to znaczy, jeśli dojdzie do drugiej. Ta restauracja jest w Colonial Williamsburgu. Zamówi specjalne danie, a potem powie ci, żebyś zjadła z nim ciasto czekoladowe. To jest naprawdę pyszne ciasto. Najlepsze. Pewnie skończysz jeść około czternastej trzydzieści.

Znaleźli się na powrót w nowym ogródku ziołowym, tam, gdzie stała furgonetka Luka.

- Więc mam mu powiedzieć, że muszę wyjść o czternastej? - spytała, myśląc o tym, co powiedział. Szczerze mówiąc, podobało jej się to. - Gdybym była odrobinę mniej cyniczna, to pomyślałabym, że próbujesz mi pomóc, jeśli chodzi o Ramseya.

- On jest moim kuzynem - powiedział Luke, wzruszając ramionami, ale odwrócił się, żeby nie mogła zobaczyć jego uśmiechu.

- To miło z twojej strony - powiedziała z wahaniem. Klapnęła ręką komara, który usiadł jej na ramieniu i zdecydowała, że już czas wrócić do domu. - Myślę, że to już koniec mojej pracy na dziś. - Światło słońca powoli zaczęło gasnąć. - Zamierzasz jeszcze pracować?

- Nie, obmyję się i pojadę do domu.

Chciała go zapytać, gdzie mieszka, ale pomyślała, że to zbyt osobiste pytanie.

- Tess pozwoliła ci zatrzymać trochę jedzenia na dzisiejszy wieczór? - spytał, zeskrobując resztki ziemi z łopaty i wkładając ją na tył pikapa.

- Tak, ale będę musiała kupić sobie trochę naczyń do kuchni - powiedziała. - I powinnam pojechać do sklepu spożywczego.

- Łatwo tam trafić - powiedział, ładując na samochód widły. - Może jutro moglibyśmy...

- Pokaż mi tylko, gdzie co jest, a ja sobie znajdę - powiedziała, idąc w stronę domu. - Do zobaczenia jutro o czternastej.

Chwilkę później była z powrotem w domu i jego spokój był niemal przerażający. Ten dom potrzebował ludzi. Gdy tylko była w nim jedna osoba więcej, albo kilka, dom ożywał. Wydawało się nawet, że się uśmiecha. Ale gdy Jocelyn była w nim sama, chciała wbiec szybko na górę i zatrzasnąć za sobą drzwi sypialni.

Poszła do kuchni i wzięła kilka pomarańczy z miski. Stół był nakryty czystymi naczyniami, w których było

jedzenie podarowane przez ludzi. Sara powiedziała, że na tygodniu kobiety będą tu zaglądać, żeby odebrać swoje naczynia i pogawędzić chwilę.

- Ludzie od lat nie odwiedzali tego domu i umierają z pragnienia, żeby zobaczyć go od środka - powiedziała Sara.

Jocelyn skrzywiła się ze strachu przed ludźmi, których będzie musiała oprowadzać.

- Nie martw się tym - powiedziała Sara. - Będą przychodzić grupkami, żebyś nie miała zbyt dużo pracy.

Joce uśmiechnęła się słabo. Wyłączyła światło, poszła do dużego przedpokoju i sprawdziła, czy wszystkie drzwi są zamknięte. Zostawiła zapalone małe światełko i zaczęła wchodzić po schodach. Na górze był taki sam duży przedpokój, prowadzący do wszystkich pokoi. Po jednej stronie była duża sypialnia z ogromną łazienką, a po drugiej były dwie małe sypialnie z łazienkami.

Wzięła prysznic, nałożyła balsam nawilżający na całe ciało, założyła koszulę nocną i poszła prosto do łóżka. Instynktownie wyjrzała przez okno, odsłaniając zasłonki, tak żeby mogła coś zobaczyć. Pickup Luka stał na podjeździe z włączonym silnikiem. Czy on czekał na Tess? - zastanawiała się. Sięgnęła do lampki, która stała na stoliku i gdy w pokoju zrobiło się ciemno, Luke powoli przejechał przez bramę. Czekał, aż ona zgasi światło.

Jocelyn zamierzała położyć się do łóżka, odczekać chwilę, a potem zapalić światło i poczytać trochę, ale kolejną rzeczą, którą zobaczyła, były promienie słońca wdzierające się do sypialni przez zasłonki. Był ranek.

## Rozdział 8

Jocelyn poleżała chwilę w łóżku z rękoma założonymi za głowę, wpatrując się w sufit. Ten dom należał do niej, ale od kiedy tu przyjechała, miała dla siebie bardzo mało czasu.

Spojrzała na budzik, na którym nie było jeszcze siódmej, a ona nigdzie nie musiała wychodzić aż do jedenastej. Skorzysta z tego czasu, żeby obejrzeć dokładniej wnętrze domu, nie tak pobieżnie jak do tej pory.

Umyła się i ubrała szybko, nie wysuszyła nawet włosów, tylko odgarnęła je do tyłu. Spojrzała na swoją błyszczącą skórę twarzy i pomyślała o makijażu, ale zrezygnowała z niego. Panna Edi podzielała zdanie Estee Lauder, która twierdziła, że kobieta powinna mieć pełny makijaż w każdym momencie. Nawet pod koniec swego życia panna Edi pięknie się ubierała i zawsze używała lekkich kosmetyków.

Jednak tego ranka głos panny Edi wydawał się być bardziej odległy niż zwykle i Jocelyn nie zamierzała tracić czasu na nakładanie barw wojennych, jak mawiał jej ojciec.

Wędrowała po piętrze, zapamiętując, co gdzie jest. W jej sypialni było najwięcej mebli. W kolejnej było łóżko i mały stolik obok, ale nic poza tym, a trzecia sypialnia była pusta.

Na końcu korytarza było okno, a obok niego drzwi. Już wcześniej je odkryła, otworzyła je lekko i zobaczyła strome schody, które prowadziły do kolejnych drzwi, które były zamknięte. Strych. Przypomniała sobie, że Ramsey mówił jej, że jest tam pełno skrzyń ze starymi ubraniami i pamiętnikami. Jako badacz nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła obejrzeć te wszystkie pamiętniki, i zastanawiała się, czy prawdziwa historia Davida była tam gdzieś zapisana.

Na dole udała się do salonu, popatrzyła na znajome meble i przez moment zatopiła się we wspomnieniach. Spędziła z panną Edi wiele popołudni na tej żółtej kanapie. Gdy przyszedł czas na zmianę tapicerki, poświęciły trochę czasu na przejrzenie wszystkich próbek tkanin i w końcu wybrały taką z motywem pszczoł. Siadały potem na tej kanapie, rozmawiały i śmiały się i...

Jocelyn musiała wyjść z pokoju, bo wspomnienia były zbyt mocne. W jadalni potrzebny był stół i więcej krzeseł. Na dole była też łazienka, mniejszy pokój, w którym była szafka z dwiema lampkami i nic więcej.

Weszła do kuchni, usiadła przy stole i zaczęła się rozglądać. Bardzo jej się podobał duży zlew i ciężki, sosnowy stół, ale widok kuchenki kłuł ją w oczy. Podniosła do góry dłonie, uformowała z palców i kciuków kwadrat i wyobraziła sobie dużą, sześciopalnikową kuchenkę ze stali nierdzewnej.

- Z podwójnym piekarnikiem - powiedziała głośno.

To byłoby niedorzeczne, żeby wstawiać tak drogą kuchenkę - pomyślała. Przecież i tak nie umiała gotować. To, że często piekła pannie Edi babeczki albo ciasteczka na proszone herbatki, nie zaliczało się do umiejętności kucharskich. Ale rozmowa z Lukiem o ogródku ziołowym i jej wspomnienie lawendowych ciasteczek, które piekła, sprawiło, że jej myśli skierowały się w stronę kuchni i... no właśnie, domu.

Zajrzała do lodówki i zobaczyła tam trzy jajka, mleko, sok pomarańczowy i chleb. Przez chwilę zmarszczyła czoło, a potem potrząsnęła głową w zastanowieniu. Wyglądało na to, że, gdy była wczoraj wieczorem z Lukiem, ktoś włożył to wszystko do lodówki. Sara? Ramsey? Tess jakoś nie przyszła jej do głowy.

Wzięła jedną z patelni, których używały wczoraj, i usmażyła sobie jajecznicę, zrobiła tosty i zjadła wszystko, rozglądając się wkoło siebie. Gdyby miała pieniądze na remont kuchni, co by zrobiła? Zburzyła i położyła mar-



mur, a do tego oświetlenie halogenowe? Na samą myśl przeszedł ją dreszcz.

Zanim się obejrzała, była już dziesiąta i musiała zacząć się przygotowywać na spotkanie z Ramseyem.

Jocelyn słyszała już o restauracji „The Trellis” i wiedziała, że to miejsce dość ekskluzywne, założyła więc nowe, szaro-brązowe, płócienne spodnie i nowy, blad różowy top zrobiony na drutach. Wydawało się jej, że podoba się Ramseyowi jej konserwatywny, kobiecy strój.

Jej walizka leżała na podłodze, wciąż nie do końca rozpakowana. Z tylnej, zasuwanej na suwak, dużej kieszeni wyciągnęła zdjęcie w ramce, na którym była ona i panna Edi. To była jedyna fotografia, jaką miała. To Bell zrobiła ją pewnego słonecznego dnia, gdy dostała nowy aparat na urodziny. Oczywiście obie Siostrunie nie były zapraszane do domu panny Edi, ale lubiły się tam zjawiać bez zapowiedzi, jakby miały nadzieję, że zobaczą coś, czego nie powinny.

- Co masz z tego, że przebywasz tam cały czas? -pytały ją. - W domu jest nudno, a stara kobieta jest skąpa. Nie ma tam co *robić*.

Jocelyn nie silła się nawet, żeby odpowiedzieć dwóm dziewczynom, które myślały tylko o tym, jak mogą jeszcze bardziej przyozdobić swoje ciała.

Jocelyn wiedziała dobrze, że lepiej nie prosić o zdjęcie, Siostrunie nigdy nie będą tak miłe, żeby je po prostu dać. W najlepszym wypadku każą jej coś zrobić, na przykład napisać jakieś prace do szkoły. W najgorszym, zniszczą je dla czystej przyjemności.

Joce poczekała aż wyjdą z domu, wyjęła kartę pamięci z aparatu, skopiowała zdjęcia na laptopa i włożyła kartę na miejsce. Potem Siostrunie wyśmiewały jej zdjęcie, bo wiedziały, że będzie je chciała, ale Jocelyn tylko wzruszała ramionami. Jak się potem dowiedziała, skasowały zdjęcie z karty.

A teraz mogła je postawić obok stolika nocnego. Ona i panna Edi stały obok siebie na tle różanego krzewu Mr Lincoln. Ciemna czerwień róż ładnie kontrastowała z białą, lnianą sukienką panny Edi. Uśmiechała się do Jocelyn, tak że było widać całą miłość, jaką do niej czuła, a Joce odwzajemniała swym uśmiechem to samo uczucie. Kiedy zobaczyła to zdjęcie po raz pierwszy, zrozumiała, dlaczego Siostronie były tak o nią zazdrosne. Nawet ich pedantyczna matka nie patrzyła na bliźniaczki w taki sposób, jak panna Edi na nią.

Spojrzała po raz kolejny na zegarek i zaczęła się szybciej ubierać, tak że wkrótce biegła już po schodach w stronę frontowych drzwi. Gdy je otworzyła, oniemiała. Na schodkach stały trzy kobiety i prawie na nie wpadła.

- Bardzo przepraszamy, że cię przestraszyliśmy - powiedziała jedna z nich.

- Wychodzisz, żeby się spotkać z Ramseyem, prawda? - spytała druga. Miała na sobie dżinsy i koszulkę, wyglądała zbyt młodo na to, żeby mieć siwe włosy.

Widziała już je w kościele, a nawet zostały sobie przedstawione, ale nie pamiętała ich imion. Wiedziała na pewno, że jedna z nich to matka Ramseya. Albo Luka.

- Przepraszam najmocniej, ale nie mogę zostać. Jestem już spóźniona - powiedziała Joce.

- Nic nie szkodzi, on na ciebie zaczeka - powiedziała trzecia kobieta. - Przyszliśmy po nasze naczynia i zobaczyć, jak sobie radzisz. Smakowała ci pieczona dynia, którą zrobiłam?

- Ja... - zaczęła Jocelyn. Nie wiedziała, które danie było czyje.

- Nie przejmuj się - powiedziała kobieta w dżinsach. - Wszystkie wiemy, co zrobiłaś z jedzeniem. To był pomysł Tess, prawda? Jak szlachetnie z waszej strony, dziewczyny, że to zrobiłyście.

- Tak - powiedziała pierwsza kobieta. Włosy miała ufarbowane na ciemnoczerwony kolor, w którym było jej

dobrze, a widząc jej zaokrąglony brzusek, domyśliła się, że nie w głowie jej chodzenie na siłownię. - Wiemy jak szlachetna jest Tess. - Gdy to mówiła, przewróciła oczami i wyglądała, jakby chciała zachichotać.

Sposób, w jaki mówiły o Tess, sprawił, że po cichu podziękowała Lukowi, że nikomu nie powiedział o swojej wizycie u niej po wyjściu Ramseya. Nie chciałyby, żeby te kobiety przewracały oczami na jej widok.

-Naczynia stoją na stole w kuchni - powiedziała, schodząc po schodkach do samochodu. - Czujcie się jak u siebie w domu i dziękuję bardzo za wszystko. Nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności. - Otworzyła drzwiczki auta i weszła do środka.

Potem wystawiła rękę przez szybę i pomachała im na pożegnanie, wyjeżdżając przez bramę. Kobiety stały na schodach i przyglądały się jej.

-Pewnie mnie uznają za najbardziej niewychowaną Jankekę, jaka kiedykolwiek przeprowadziła się do Edilean - wymruczała pod nosem.

Kilka minut później zobaczyła biuro Ramseya, a on siedział na chodniku tuż przed nim. Obok niego stał duży kosz piknikowy, a pod nim zwinięta narzuta. Gdy zobaczył, że nadjeżdża, wstał i przerzucił narzutę i koszyk przez ramię. Zaparkowała przy krawężniku, on otworzył drzwi od strony pasażera, wsiadł i położył wszystkie rzeczy na tylnym siedzeniu.

- Jest większy niż się wydaje - powiedział, rozglądając się po wnętrzu samochodu.

- Mogę się założyć, że mówisz to każdej kobiecie.

- Tylko kilku - powiedział ochryłym głosem.

- Zatem gdzie jedziemy? - spytała, choć zaczęła już jechać w stronę Williamsburga.

- Nie - powiedział Ramsey. - Skręć w prawo. -Ale...

- Ale co? - spytał.

- Nic takiego - odpowiedziała. - Sądziłam, że pojedziemy do Williamsburga.

- Myślałem o tym, ale na to będziemy mieli jeszcze czas. Pomyślałem, że możemy spędzić trochę czasu sami.

- Samotni razem - powiedziała pod nosem.

- Słucham?

- Słyszałam to niedawno i bardzo mi się spodobało. „Samotni razem”.

- Skręć tutaj - powiedział Ramsey, gdy mijali znak, który mówił, że przejechali granicę Stanowego Rezerwatu Dzikiej Przyrody. - A może chcesz, żebym ja poprowadził.

- Nie, lubię jeździć.

- Więc ile pań ugościłaś dzisiaj rano? - spytał.

- Zaskakująco mało. Na schodach stały trzy kobiety, gdy wychodziłam z domu. Prawie na nie wpadłam.

- Kim one były? Spojrzała na niego.

- No tak - powiedział, uśmiechając się. - Nie masz pojęcia. Opisz je.

- Ciemnoczerwone, farbowane włosy. Figura niewysportowana.

- „Niewysportowana”. Jakie dyplomatyczne określenie. To matka Kena. Jeszcze go nie spotkałaś, prawda?

- Myślałam, że go dzisiaj spotkam, ale czekałeś na mnie przed biurem.

- To pomysł Tess. Powiedziała, że pewnie wszyscy będą ci się przyglądać, więc jeśli naprawdę chcę z tobą porozmawiać, to muszę cię gdzieś zabrać.

- Och - powiedziała Jocelyn.

- To nie zabrzmiało zbyt dobrze. Co oznacza to „och”?

- Luke powiedział mi, że Tess kieruje twoim życiem. A właściwie, to wszyscy tak mówią.

- I świetnie sobie z tym radzi - powiedział Ramsey. - Proszę, powiedz mi, że jesteś o nią przeraźliwie zazdrosna i chciałabyś powyrywać jej wszystkie włosy.

Joce zaśmiała się.

- Przepraszam, ale nie jestem. Ona jest szczerą do bólu i szybko wpada w złość, ale prawie ją polubiłam.

-Jeśli rzeczywiście tak jest, to jesteś drugą kobietą w tym miasteczku, która tak czuje. Ty i Sara. Dziewczyny w biurze panicznie boją się Tess. Biegną do toalety i obgadują ją tak intensywnie, że, gdy ona tam idzie, krzyczy po prostu „nadchodzę”. I daje im trzy sekundy, żeby zamknęły buźki.

- A za co miałyby jej nienawidzić? - spytała Joce z szeroko otwartymi oczami.

-Nie mam pojęcia - powiedział Ramsey z uśmiechem. - Skręć tutaj, w tę piaszczystą drogę. To tam! Już jesteśmy. Zaparkuj pod tamtym drzewem.

Zatrzymała się pod dużym, rozłożystym dębem, i wysiadła z samochodu. Ramsey wyjął narzutę i koszyk z tylnego siedzenia.

- Przeżyjesz kolejny piknik? - spytał.

Miejsce, w którym się znajdowali, było prześliczne. Z każdej strony otaczały ich drzewa, jakby zamykając ich w środku, a w oddali słyszała szum wody.

- Jeśli to jest miejsce na pikniki, to mogłabym tu przyjeżdżać codziennie.

-Zatem chodź - powiedział Ramsey i zaczął iść. Ona podążała ścieżką za nim, aż doszli do łąki pokrytej białymi kwiatkami.

Gdy przechodzili przez łąkę, Joce przyszło do głowy, że Ramsey musi jej mieć coś ważnego do powiedzenia, coś, czego nie chciał mówić w miejscu publicznym, jak jego biuro czy restauracja. Miała tylko nadzieję, że nie chodzi o coś, co doprowadzi ją do łez.

Gdy Ramsey obejrzał się na nią, powiedziała:

- Tutaj jest pięknie - nie dając mu poznać, gdzie biegły jej myśli.

- Wirginia nawet w najgorszy dzień jest wciąż piękna w tym zakątku.

- Czy to wynika z obserwacji naukowych?

- Tak. I to zupełnie obiektywnych. - Szedł przez łąkę, zwrócony twarzą do niej, promienie słońca odbijały się na jego włosach i niebieskiej koszuli. - Jak będziesz tak na mnie patrzyła, to nigdy nie wrócimy do biura - powiedział, drażniąc się z nią.

- Dlaczego pan tak myśli, panie McDowell?

Gdy dotarł do rzędu drzew zwolnił nieco i poczekał na nią.

- Mój dziadek posadził te drzewa - powiedział, gdy szli już w ich cieniu.

- Czy to znaczy, że to twoje ziemie?

- Moje i mojej siostry. Ona z mężem budują tu dom po drugiej stronie łąki.

- Czy ty też zamierzasz się tu budować?

- Może - powiedział Ramsey. Doszli do niewielkiej rzeczki otoczonej wierzbami, których gałęzie wisiały nad wodą. - Podoba ci się to miejsce?

- Bardzo - odpowiedziała. - Kiedy tu wybudujesz dom? Spojrzał na nią zaskoczony.

- Pewnie się obawiasz, że wybuduję jakieś wielkie betonowe monstrum na środku łąki, prawda? - Rozłożył narzutę na płaskim kawałku ziemi.

- Przeszło mi to przez myśl.

- Tam dalej jest takie miejsce, w którym dawno temu stał dom, ale spłonął. Nie ma tam drzew, tylko otwarta przestrzeń. Tam się pobuduję, a tutaj zachowam wszystko tak jak jest. - Podeszedł do rzeczki, postawił koszyk na narzucie i zaczął go otwierać. - Nie mam pojęcia, co jest w środku. Tess... - przerwał.

- Tess go spakowała - dokończyła Joce. - Wiem. Zaczynam pojmować. Przypuszczam, że już wiesz, co zrobiłyśmy z całą żywnością, którą dostałam.

- Tak - powiedział z uśmiechem. - To podobne do Tess. Ona myśli o ludziach, którzy mają od niej mniej.

Jocelyn spojrzała na niego i zaczęła się zastanawiać, jak dużo łączy go z Tess.

- Ty też zaczynasz - powiedział, wyjmując bochenek chleba z koszyka, a ona wiedziała, że miał na myśli spekulacje na temat jego i Tess. - Jeżeli to jest ze sklepu cioci Ellie, idę o zakład, że jest zrobione z gałązek i kory.

- Nie lubisz?

-Uwielbiam! - powiedział głośno, a potem ściszył głos. - Ale czasem, gdy wyjadę z miasta, zamawiam sobie białego tuńczyka. Do tego nie pełnoziarniste pieczywo, tylko zwykły, biały chleb. Za każdym razem, gdy to robię, myślę, że zaraz pojawi się w drzwiach ciocia Ellie i wygłosi wykład na temat mojego układu pokarmowego.

- Powiedz jej, że białe pieczywo pasuje do tequili. Słyszac to, Ramsey wybuchnął śmiechem.

- Zdążyłaś się już sporo dowiedzieć o naszych mieszkańcach, co?

-Tylko kilku rzeczy. - Uklękła, zabrała jego ręce z koszyka i zabrała się za rozpakowanie. Było tam mnóstwo rzeczy, które uwielbiała: serek brie, krakersy, oliwki, trzy rodzaje jagód, coś, co wyglądało na domowy pasztet, surówka z białej kapusty, marchwi i majonezu i butelki z sokiem. - Cudownie.

- Domyślam się, że Tess obserwowała wczoraj co jadłaś, zapamiętała sobie i włożyła potem do koszyka.

- Co za naukowe podejście - stwierdziła Jocelyn, rozkładając posiłek na narzucie. Na spodzie koszyka były talerze, które wyjęła. Odkręciła sok i zaczęła napełniać jednorazowy kubek, a on trzymał butelkę w dłoni. Patrzyła jak wkładają do ust i pije. Podobało jej się, że nie wziął do ust całej szyjki butelki, tylko pił małymi łydkami.

Joce spojrzała na strumień i powiedziała.

- Czy mógłbyś mi zdradzić, czego tak bardzo boisz się mi powiedzieć?

Popatrzył na nią zdziwiony i pokręcił głową.

- Przypomnij mi, żebym w przyszłości nigdy przy tobie nie udawał. Co takiego zrobiłem, że się domyśliłaś?

-Nie wiem. Jest dziś w twoich oczach coś poważnego. I z tego co słyszałam, nie leży w twoim zwyczaju zabieranie dziewczyn na drugą randkę w to miejsce.

- To są przekleństwa życia w mieście, w którym wszyscy mnie znają - powiedział bez uśmiechu. - Całą noc nie zmrużyłem oka. A mój ojciec razem ze mną, bo powiedział mi coś, co mogę śmiało nazwać Wielką Rodzinną Tajemnicą.

- A teraz musisz wyjawić ją mnie? Czy jest aż tak straszna?

- Może - powiedział, odwracając od niej wzrok. - To zależy, jak ty to przyjmiesz.

- No to mi powiedz.

Nałożył sobie coś do jedzenia na talerz i zaczął chwilę, nim się odezwał.

-Panna Edi bardzo przyjaźniła się z moim dziadkiem, pisali do siebie listy dopóki nie umarł. Gdy byłem małym chłopcem, czytał mi te listy, a gdy on się zestarzał, ja mu je czytałem. Panna Edi pisała dużo o tobie. Była dumna z twojej inteligencji, ale nigdy nie wspomniała, jak dobrze potrafisz obserwować ludzi.

Przyglądała mu się uważnie. Jeśli czytał listy pisane przez pannę Edi, to musiał o niej dużo wiedzieć. I to było dla niej szokiem. Próbowła uspokoić swoje bijące serce. Czy on miał jej do powiedzenia coś naprawdę obrzydliwego?

- Żeby przetrwać z Siostruniami, musiałam być prawie jasnowidzem. Ramsey uśmiechnął się.

- Śledziliśmy drogę ich kariery - powiedział. - Od pierwszych zdjęć, aż do Milanu. Czy one były tak okropne, jak opisywała panna Edi?

- O wiele gorsze - powiedziała Joce z niecierpliwością. - Czy to, co chcesz mi powiedzieć, jest tak straszne, że aż trudno ci znaleźć słowa?



- Nie ma żadnych pieniędzy - powiedział szybko.
  - Nie ma pieniędzy?
  - Zeszłej nocy mój ojciec mi powiedział, że dostajesz dom, ale pieniędzy nie ma. Żadnych.
  - Nie rozumiem - powiedziała. - To znaczy nie spodziewałam się milionów, ale panna Edi żyła przecież dość dostatnio. Potrafię zadbać o siebie, ale ten dom potrzebuje remontu.
  - Wiem - powiedział Ramsey spokojnie. - I ja, to znaczy moja rodzina, pomożemy ci w tym. Ale nie ma żadnych pieniędzy. Ponieważ wydatki panny Edi... - wzruszył ramionami.
  - Jak dawno skończyły się jej fundusze?
  - Utrzymywała się sama, dopóki nie przeprowadziła się na Florydę. Potem dom w Edilean i cała praca, jaką zrobiła dla miasta, była opłacana. Tak samo jak długi Bertranda.
  - Kto płacił za jej dom na Florydzie i pracę charytatywną?
  - Mój dziadek.
  - To znaczy?
  - Alexander McDowell.
- Jocelyn przez chwilę wpatrywała się w strumień, myśląc o tym, co usłyszała przez kilka ostatnich dni.
- Mąż Lissie? - spytała spokojnie.
  - Czy panna Edi opowiadała ci o nim?
  - Ani jednym słowem. Nie wspomniała też nawet słowem o Edilean ani o ludziach, którzy tu mieszkają. Nie wiedziałam, że miała tak ogromny dom, nie wiedziałam... - Musiała złapać kilka oddechów, żeby się uspokoić. - Panna Edi wspomniała o Alexie i Lissie McDowell w liście, który mi zostawiła w testamencie. Sara też wspomniała o Lissie, która wyszła za „najbogatszego mężczyznę w mieście”, więc złożyłam jedno z drugim.
  - To jej praciocia - powiedział Ramsey pod nosem.
  - Słucham?

- Lissie była praciotką Sary. Wyszła za mąż za mojego dziadka na początku II wojny światowej i, z tego co wiem, wszystko zaczęło się tuż przed wojną.

- Co się zaczęło? - spytała Joce i gdy na niego spojrzała, na jego twarzy rysowało się napięcie. Nie podobało mu się, że musiał jej to wszystko mówić. Uśmiechnęła się do niego.

- No już, rozchmurz się! Wczoraj byłam biedna i dziś też jestem. I co z tego? Nigdy nie oczekiwałam żadnej finansowej nagrody od panny Edi, więc nie rozczarowałam się.

Kiedy się do niej odwrócił, wyglądał na tak przejętego, że naląła mu soku do kubka i podała.

- Żałuję, że to nie wino.

- Ja też.

Stuknęli się kubkami.

-Wznoszę toast za ciebie, panno Jocelyn, najprawdziwszą damę, jaka kiedykolwiek żyła. Jocelyn roześmiała się.

- Myślałeś, że co zrobię? Wpadnę w szal? Wścieknę się na kobietę, która nie zostawiła mi pieniędzy w testamencie?

- A co zrobiłyby twoje Siostronie?

- Już zrobiły - powiedziała Joce, a potem opowiedziała mu o kawałkach węgla, które panna Edi kazała wyszlifować jak drogocenne kamienie i zostawić im w spadku. - Gdy odkryły prawdę, byłam w pracy i nie mogłam odbierać ich telefonów, ale zostawiły mi kilka pikantnych wiadomości na poczcie głosowej. W kółko ich słuchałam. Myślę, że nigdy w życiu tak dobrze się nie ubawiłam.

Kiedy Ramsey na nią spojrzał, zobaczyła, że wciąż był rozpalony wiadomościami, które uważał za przerażające.

- Opowiedz mi całą historię - powiedziała. - Dlaczego twój dziadek utrzymywał kobietę, z którą nie był nawet spokrewniony?

- Ani ja, ani mój ojciec nie mamy o tym pojęcia. Wiemy tylko, że rodzina panny Edi należała do najbardziej prestiżowej w mieście, a rodzina Alexa McDowella była najbogatsza. Wiemy, że coś złego... stało się w 1941 roku i panna Edi pomogła wtedy mojemu dziadkowi, nie znamy jednak żadnych szczegółów. Przez większość swego życia panna Edi pracowała...

- Z poparzonymi ludźmi na całym świecie - wtrąciła Joce.

- Zgadza się, utrzymywała też swego brata i płaciła za opiekę nad Edilean Manor. Gdy poszła na emeryturę, przeprowadziła się do Boca Raton.

- Do domu blisko nas. - Jocelyn podkurczyła kolana i objęła je ramionami, słuchając uważnie tego, co mówił. - On należał do twego dziadka.

- Tak. Całe swoje fundusze panna Edi wydała na utrzymanie swego brata i domu oraz na pomoc dla ludzi w potrzebie. Mój dziadek kupił ten dom, a ona mieszkała w nim i nie musiała płacić czynszu.

- Dlaczego nie wróciła do Edilean? - spytała.

- To jest częścią Wielkiej Tajemnicy - stwierdził Rams. - Mój ojciec powiedział, że Bertrand chciał jechać na Florydę, żeby zamieszkać z siostrą, ale panna Edi powiedziała mu, że musi zostać w Edilean i dbać o dom. Musi zachować go w nienaruszonym stanie dla przyszłych pokoleń. Ale żadne z nich nie wzięło ślubu, więc nie zostawili po sobie dziedziców.

- Więc on nie roztrwonął rodzinnego majątku przez hazard? - spytała Joce.

- Nie - odrzekł Ramsey. - Mój ojciec powiedział mi, że Bertrandowi podobało się to, że ludzie uważali go za hazardzistę, który wydaje każdego dolara na konie. Stwierdził, że to było o wiele lepsze, niż uchodzenie za kompletnie spłukanego.

- Zatem panna Edi zostawiła mi białego słonia.

- Można tak to nazwać, ale dobra wiadomość jest taka, że hipoteka twojego domu nie jest obciążona długami, więc możesz go w każdej chwili sprzedać. Dostaniesz za niego około milion dolarów.

- Około milion? - Siedziała nieruchomo z kolanami przytulonymi do brody i wpatrywała się w wodę. - A co z Lukiem? Mówiłeś, że płacisz mu pensję. Nie powinnam ci zwrócić pieniędzy, kiedy okazało się, że odziedziczyłam fortunę?

Ramsey wzruszył ramionami.

- Nie zarabia dużo, więc mu płacę...

- Swoimi pieniędzmi - powiedziała beznamiętnie Joce. - Daj spokój, nie musisz się martwić o Luka. Nie

brakuje mu pieniędzy pod żadnym względem. On ma... inne źródło dochodu.

- Czyli?

- Nie do mnie należy mówienie ci o interesach mojego kuzyna. Powiedzmy, że Luke nie miał łatwego życia, ale pieniądze nie są jego problemem.

Widziała, że Ramsey nie zamierza jej nic więcej powiedzieć na ten temat.

- Nie rozumiem zupełnie, jakim sposobem panna Edi żyła na takim poziomie, jeśli nie miała swoich własnych pieniędzy. Chodziłyśmy do opery. Brała udział w spotkaniach dobroczynnych i wiem, że dawała datki. *Razem* to robiłyśmy. Jakim cudem było ją na to stać?

- Taką miała pracę - powiedział Ramsey. - Mój dziadek założył fundusz powierniczy, którego panna Edi była administratorem. Wiedział, że jego syn, a mój ojciec, znienawidziłby takie spotkania, więc zostawił to zadanie pannie Edi.

- A ona kierowała wszystkim z domu w Boca? - powiedziała Joce. - Nie wydaje ci się to dziwne?

- Tak i nie. Myślę, że mój dziadek ufał pannie Edi bardziej niż komukolwiek innemu, a ponieważ ona nie chcia-

ła wrócić do Edilean, gdzie ludzie wciąż gadali o jej staropanieństwie, to taki układ był jak najlepszy. Poza tym mój tata mówił, że wydawało mu się, że ona nie chciała mieszkać ze swoim bratem.

- A do tego chłodniejszy klimat nie był dobry dla jej nóg.

-Jestem pewien, że istniały tysiące powodów, żeby tak to wszystko urządzić. Myślę, że mój dziadek i panna Edi ułożyli wszystko tak, żeby oboje byli zadowoleni. Mój tata stwierdził, że ona naprawdę wspaniale radziła sobie z funduszem.

-Wydawała na mnie mnóstwo pieniędzy - powiedziała miękko Joce.

-Zeszłej nocy tata powiedział mi, że mój dziadek przyjaźnił się z twoimi dziadkami. Myślę, że to wyjaśnia, dlaczego kupił ten dom, żeby być blisko nich.

Joce westchnęła.

- Kolejne kłamstwo. Albo coś zatajonego. Panna Edi nigdy mi nie mówiła, że moi dziadkowie byli przyjaciółmi jej przyjaciela. - Wzięła głęboki oddech. - Tak dużo tajemnic. - Popatrzyła na niego. - Czy całe miasto wie, że rodzina Harcourtów była pozbawiona środków do życia?

-Nie - skrzywił się Ramsey. - To było częścią tajemnicy aż do zeszłej nocy, nawet ja nie wiedziałem. Mój tata powiedział, że chodził do Bertranda dwa razy w roku, popijali wtedy pięćdziesięcioletnią brandy i śmiali się z ubóstwa rodziny Harcourtów. Jocelyn, musisz mi uwierzyć, że nic o tym wszystkim nie wiedziałem. Wierzyłem dokumentom, które widziałem, i sądziłem, że odziedziczyłaś trzy miliony dolarów i dom. Nim się tutaj zjawiłaś, pytałaś mnie przez telefon o pieniądze i powiedziałem ci całą prawdę, jaką wtedy znałem. Nigdy bym...

Usłyszała w jego głosie błagalny ton, wywnioskowała, że nie chciał, żeby o nim źle myślała. I tak też było,

ale pomyślała, że ocali go od upokorzenia, jeśli nic na ten temat nie powie.

- Co ona takiego zrobiła, że skłoniła twojego dziadka do utrzymywania jej i Bertranda przez tyle lat?

- Nie mam pojęcia. Tak samo jak i mój tata. Zeszłej nocy powiedział mi, że gdy jego ojciec przekazywał mu konto Harcourtów, zadał mu to samo pytanie, ale dziadzio nic nie odpowiedział. Tata mówił, że przez lata powtarzał to pytanie wiele razy, ale dziadzio nie chciał mu zaufać. Dowiedział się tylko, że Edi wierzyła w niego, kiedy wszyscy inni przestali, i gdyby nie ona, jego życie stałoby się koszmarem. Powiedział, że wszystko co ma, zawdzięcza panie Edi.

- Co to może znaczyć? - spytała Joce. - Czy ona doradziła mu, żeby kupić akcje U.S. Stell po dziesięć centów każda? Kupił je, notowania na giełdzie podskoczyły i voila! Był bogaty. Może właśnie tak było.

- To nie mogło być takie proste. Jeśli by tak było, to dziadunio mógłby założyć fundusz powierniczy, o którym wszyscy by wiedzieli. Stało by się to miejscową legendą i wszyscy przyznaliby, że jest jej to winien. Ale to wszystko było zrobione w tajemnicy. Cokolwiek panna Edi zrobiła dla mojego dziadka, pozostaje sekretem dla wszystkich po dziś dzień.

- W tym mieście?! Dwóch mężczyzn odwiedziło Tess w sobotni wieczór i następnego ranka wiedziało o tym całe miasto.

- Dokładnie. Ale coś jednak się wydarzyło, coś wielkiego, i z tego powodu, gdy panna Edi poszła na emeryturę, mój dziadek zaopiekował się nią i jej bratem.

- Zaczynam myśleć, że wszystko, co mi mówiła, było kłamstwem.

- Ona nie kłamała, gdy mówiła, że cię kocha. Pisała do dziadunia, że byłaś darem Bożym dla niej na stare lata - powiedział Ramsey, wyciągając do niej dłoń i kładąc ją na jej ramieniu. - Pomogę ci. Naprawdę.

- Chcesz mi powiedzieć, że założysz dla mnie fundusz na prowadzenie działalności charytatywnej, tak jak twój dziadek? To twoja rodzina tak naprawdę jest właścicielem Edilean Manor.

- To znaczy, że Luke pracowałby dla mnie? - powiedział Ramsey, a w jego głosie było tyle radości, że aż się roześmiała.

- Co on by powiedział, gdyby wiedział, że to ty mu płacisz?

- Pewnie by mnie uderzył w twarz. Miał najsilniejszy lewy sierpowy, jaki kiedykolwiek widziałem. Myślę, że miałem podbite oczy przez połowę swojego dzieciństwa.

- A jakie on miał obrażenia?

- Żadnych - odpowiedział Ramsey. - Nadstawiałem drugi policzek.

Znowu się roześmiała, ale tym razem szczerze. Spojrzała znowu na wodę.

- No dobrze, więc muszę sobie znaleźć pracę. Hej! Już wiem. Może zwolnisz Tess i *mnie* zatrudnisz?

Kiedy Ramsey popatrzył na nią z szeroko otwartymi z przerażenia oczami, ona się promiennie uśmiechnęła.

-Dlaczego nie? Będę nosiła sukienki sięgające do kolan i nie będzie żadnych butów kowbojskich.

-Jeśli nie przestaniesz mówić takich rzeczy, to naskarzę na ciebie Tess.

Jocelyn zakryła twarz dłońmi w obronnym geście.

- Wiesz co mi powiedziała, gdy mnie zobaczyła pierwszy raz?

- Nie - odpowiedział - ale wiem, co jej odpowiedziałas. Coś o miodzie, który wabi więcej pszczoł niż piękna twarz?

-Dobre porównanie. - Zaczęła pakować rzeczy do koszyka, ale Ramsey siedział nadal na miejscu.

- Mam ci coś jeszcze do powiedzenia. Jocelyn usiadła z powrotem na narzucie.

- Co jeszcze mógłbyś mi powiedzieć? Że mam długi? Proszę, nie mów mi, że odziedziczyłam długi i jeśli ich nie spłacę, to pójdę siedzieć do więzienia.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Czytacie z Sarą takie same książki? -Zapewne tak. Więc co jeszcze chcesz mi powiedzieć?

- Zaplanowałem sobie, że utrzymam to w sekrecie. -Wziął głęboki oddech. - Prawda jest taka, że sam to zorganizowałem i nie zamierzałem ci o tym mówić, ale gdy zeszłej nocy dowiedziałem się o wszystkich kłamstwach... Stwierdziłem, że nie mogę dodać do nich kolejnego.

- Dziękuję za wyrozumiałość - powiedziała Joce bez uśmiechu na twarzy.

-Zatem - mówił Ramsey - dzisiejszego popołudnia ktoś użyje podstępów wobec ciebie.

- Tak, wiem.

- Wiesz?

- Luke mi powiedział. Odbierze mnie dziś o czternastej. No, przynajmniej miał mnie odebrać o tej godzinie. Powiedział, że zawsze zabierasz kobiety do restauracji „The Trellis” na drugą randkę, więc miał mnie stamtąd odebrać.

Ramsey chrząknął.

- On chce, żebyś myślała, że jestem konserwatywny i mam swoje zwyczaje co do kobiet. To nie jest prawda, nie mam jakichś ustalonych zwyczajów i nie mam też zbyt wielu randek. Ale to nie o Luku chciałem ci powiedzieć. Chodziło mi o babeczkowy podstęp.

-Babeczkowy podstęp? Czy to jakiś południowy slang, którego nie rozumiem?

-Nie, to moje gadulstwo. Gdy wyszedłem od ciebie w sobotę, poszedłem do Tess.

-I rozmawialiście o mnie - powiedziała Jocelyn. -Mówiłeś mi już o tym.



Ramsey spojrział na nią szybko, tak jakby chciał zgadnąć, co oznaczał jej ton głosu.

- Powiedziałem jej.... - Machnął ręką z rezygnacją. -Nieważne co i dlaczego, ale powiedziałem jej, że umiesz piec babeczki, a ona stwierdziła, że muszę wymyślić „babeczkowe pogotowie”.

- Babeczkowe pogotowie? Co to takiego?

- Powiedziała mi, żebym znalazł kogoś, kto może potrzebować babeczek bardziej niż wody do życia, a ty miałabyś być jedyną osobą, która umie je piec.

Joce popatrzyła na niego zmieszana.

- Myślę, że nie widzę w tym żadnego sensu. Po co miałby znaleźć się ktoś, kto potrzebowałby, żebym upiekła babeczki?

- Chcesz znać prawdę?

- Byłoby miło.

- Zaczęło się od tego, że miał to być sposób na lepsze poznanie ciebie, sposób na spędzenie więcej czasu razem. Po naszej pierwszej randce poczułem, że...

- Skończyły się nam tematy do rozmów?

- Dokładnie - powiedział.

- Więc, gdy wyszedłeś ode mnie, poszedłeś do Tess, żeby jej zapytać, jako kobiety, co masz zrobić, żebyśmy się do siebie zbliżyli?

- Tak - powiedział nieśmiało. - Przepraszam, ja... Przerwała mu, całując go w usta. To może nie był zbyt

namiętny pocałunek, ale przynajmniej pokazał mu, że ona nie jest zła na niego za to, co przed chwilą powiedział.

- Wow - powiedział, mrugając oczami. - Czy to za to, że... Znaczy, czy to dlatego, że powiedziałem prawdę?

Nie chciała mu mówić, dlaczego go pocałowała. Może dlatego, że on naprawdę poszedł do Tess, żeby porozmawiać o niej, o Joce. Wiedziała, że to było głupie, ale panna Edi napisała jej, że Ramsey jest dla niej idealnym mężczyzną i czuła, jakby był już jej.

Oparła się łokciami o narzutę i popatrzyła na liście ponad jej głową.

- Więc powiedz mi o tym pogotowiu babeczkowym. Ramsey przysunął się do niej.

- Wolałbym porozmawiać o całowaniu.

-Nie teraz - powiedziała, patrząc na niego kątem oka. - Myślę, że najpierw muszę rozwiązać kilka spraw, nim zacznę całować się na poważnie.

Ramsey westchnął ostentacyjnie i położył się z powrotem na narzucie, między nimi stał koszyk.

-Tess się o nie zatroszczyła. Znaczący o pogotowie babeczkowe.

- Więc nim mnie poznała, wiedziała, że potrzebuje jakiegoś zajęcia.

- Tak - powiedział Ramsey, zakładając jednocześnie ręce za głowę, zaczął przyglądać się liściom na drzewach. - Ale ona nic nie wie o pieniądzech. Joce, wiem, że pewnie wszyscy ci mówią, że Tess...

- Ostrzegają mnie, że Tess...

- No dobrze, ostrzegają cię, że Tess dba o wszystko w moim życiu, ale to nieprawda. Tak, nauczyłem się udawać głupiego, żeby ona mogła wykonywać swoją pracę. Ona jest jak koń pociągowy i to taki, jakiego świat nie widział, ale jest wiele spraw, których Tess o mnie nie wie. I ty jesteś na szczycie tej listy. Jestem pewien, że to ma coś wspólnego z listami, które czytał mi dziadek, gdy byłem małym chłopcem, i wiem, że może jest na to za wcześnie, ale bardzo cię lubię. Jesteś bystra, zabawna, dobrze mi jest z tobą. Sprawiasz, że czuję się szczęśliwy. Czy to wystarczy na początek, żeby zbudować coś między nami?

- Tak. - Każde słowo, które wypowiedział, sprawiało, że czuła się coraz lepiej. Nie chciała myśleć o tym, że była zazdrosna o Tess, ale miło było się przekonać, że nie miała do tego powodu.

Usiadła i spojrzała na koszyk.

- Zjadłeś cały pasztet?

- Każdy kęs - przekręcił się na bok i podparł głowę dłonią; jego oczy spoglądały na nią ciepło.

Musiała się zmusić, żeby odwrócić od niego wzrok. Za wcześnie, pomyślała. Zdecydowanie za wcześnie. Panna Edi mawiała, że kobiety, które natychmiast przywiązują się do jednego mężczyzny, spędzają potem całe życie, żałując, że nie przeżyły zalotów. Powiedziała, że David żarliwie się do niej zalecał.

- Minał długi czas, nim zgodziłam się... zostać jego dziewczyną. - Kiedy to mówiła, zawsze się rumieniła.

Jocelyn nie chciała się zastanawiać, do czego te zaloty doprowadziły. Panna Edi wróciła do domu po II wojnie światowej z bliznami na nogach, a jej ukochany David był już żonaty z inną kobietą.

- Powiedz mi coś więcej o babeczkach - powiedziała ponownie Joce, kładąc sobie żółty ser na krakersa.

- Nie znam szczegółów. Ktoś do ciebie zadzwoni, prawdopodobnie moja siostra, prawdopodobnie dziś wieczorem i spyta, czy umiesz piec babeczki.

- Chodzi o to przyjęcie urodzinowe, na które mnie zaprosiłeś?

Ramsey wziął od niej krakersa, którego mu podała.

- Tak.

- Widziałeś moją kuchnię?

- Pewnie - mówił, chrupiąc krakersa. - Jest... - spojrzał na nią. - Jest pusta. Więc jak zrobisz babeczki bez... tego, co jest potrzebne do ich zrobienia?

- Myślałam, że umiesz gotować.

- Siostra mnie nauczyła robić to danie z makaronu. Tylko to potrafię ugotować.

Jocelyn zrobiła krakersa z serem dla siebie i jadła go, zastanawiając się.

- Przypuszczam, że twoja siostra robi to, żeby sparować swojego biednego, nieżonatego brata z kobietą, która,

jak sądzi, jest bogata i żyje w największym i najstarszym domu w mieście.

-Zapewne tak. Moja matka straciła już prawie nadzieję, że się ożenię i moja siostra też chyba machnie na to ręką.

- Więc jestem twoją ostatnią szansą.

- Całkiem ostatnią. - Uśmiechnął się teraz szeroko. -Dochodzę do wniosku, że coś wymyśliłaś.

- Wiesz, co ostatnio robi furorę w dziecięcym menu?

- Jedzenie barwione na fioletowo?

- To stara szkoła - powiedziała. - Nie, ostatnim hitem jest porcja zmielonego szpinaku oblane czekoladą.

Ramsey spojrział na nią z takim przerażeniem w oczach, że się roześmiała.

- To tylko tak źle brzmi. Ale smakuje zupełnie dobrze. Ukradkiem wkładają dynię do fast foodów oraz ser i cukinię do hot dogów. Oczywiście dzieciaki dorastają, nie znając nawet smaku brokuł, bo nie ma ich ani w jednym, ani w drugim. Chodzi o to, żeby wyrosły na dużych i silnych ludzi. Kiedy znajdą się w college'u, same już sobie radzą.

-Całe pokolenia dzieciaków rosną, nie znając nawet smaku prawdziwej czekolady - powiedział Ramsey, patrząc na nią wciąż tak, jakby to był najgorszy na śmiecie pomysł.

- Czy twoja siostra ma pieniądze? Jeśli jest w twojej rodzinie, to musi być bogata.

- Słucham? - Ramsey spojrział na nią, jakby nie dowierzał w to, co właśnie usłyszał.

- Gdyby twoja siostra zadzwoniła do mnie dziś rano i poprosiła mnie o upieczenie kilku babeczek na przyjęcie dla dzieci, zrobiłabym je dla niej za darmo. Ale wtedy sądziłam jeszcze, że razem z domem odziedziczyłam fortunę, a nie skarbonkę, która pochłonie moje wszystkie oszczędności na utrzymanie termitów na werandzie. Chcę tylko wiedzieć, czy twoja siostra będzie mi mogła zapłacić za te babeczki.

-Pewnie, stać ją na to. Jej mąż pracuje u Buscha i bardzo dobrze zarabia.

-I pewnie jest jeszcze fundusz powierniczy po twoim dziadku.

-I jest jeszcze fundusz powierniczy po moim dziadku - przyznał Ramsey z uśmiechem. - Jaki pomysł rodzi się w tej małej główce?

-Nie sędzę, żebym chciała spędzić swoje życie na pieczeniu babeczek, ale w tym momencie nic innego nie przychodzi mi do głowy. Sara powiedziała, że w Edilean nie ma już żadnych dobrych posad.

-Ja też o żadnych nie wiem. Ludzie pracują poza miastem albo otwierają na miejscu swoje własne firmy. Może otworzycie coś razem z Sarą.

- Otworzymy sklep z sukienkami, w którym będę serwowała babeczki? Nie sędzę. Poza tym, gdybym zaczęła piec babeczki na pełny etat i zarabiać na tym pieniądze...

-Miałabyś na karku od razu kontrolę z sanepidu -dokończył Ramsey.

- No właśnie. Czasem prawie zapominam, że jesteś prawnikiem.

- Czy mogę to odczytać jako komplement? Jocelyn wpatrywała się w strumień i intensywnie o czymś myślała.

- Okay, więc będę miała jedyną, niepowtarzalną szansę, żeby pokazać światu, to znaczy Edilean i całej okolicy, co potrafię. Jeśli się postaram i babeczki mi wyjdą, to może zarobię trochę pieniędzy, żeby się wyżywić dopóki... dopóki...

- Twoje słowa mnie przygnębiają - powiedział Ramsey. - To ja cię namówiłem na porzucenie pracy i przyjazd tutaj. Powiedziałem ci, że razem z domem odziedziczyłaś pieniądze.

- Proszę, przestań się obwiniać. Użyję tego argumentu, gdy będę potrzebowała pożyczki. - W oddali usłyszała odgłos klaksonu. - Która jest godzina?

Na twarzy Ramseya pojawił się grymas.

- Nie potrzebuję zegarka, żeby wiedzieć, że jest czternasta. Dlaczego jedziesz z Lukiem?

Joce wkładała rzeczy do koszyka.

- Po rośliny. Musimy kupić lawendę.

- Do czego? - Złapał jeden róg narzuty, a ona drugi.

- Do ciasteczek. Będę robiła lawendowe ciasteczka.

- Ty rzeczywiście nie przejęłaś się brakiem pieniędzy.

- Myślę, że ktoś dodał mi po prostu zapalu. - Gdy usłyszeli po raz drugi trąbienie, ona spojrzała na niego.

- No leć - powiedział. - Ja to posprzątam. -Dziękuję - powiedziała, kierując się w stronę

ścieżki, a potem obejrzała się za nim.

- Trzy dwadzieścia pięć.

- Słucham?

- Tyle chcą w Nowym Jorku za superbabeczki. Trzy dolary dwadzieścia pięć centów za jedną.

- No pewnie, że tak - powiedział zszokowany ceną. - Dobrze. Przekonam swojego szwagra, żeby zgodził się na taką cenę. Wychwałę cię, ale jeśli twoje babeczki będą niedobre, to wyjdę na głupca. I już nie dostaniesz pracy w całej okolicy.

-Będiesz dumny - powiedziała i znowu usłyszeli sygnał trąbki. - Kluczyki od mojego samochodu są w koszyku. - Skinął głową, a ona pobiegła w kierunku drogi.

## Rozdział 9

Jocelyn biegła przez łąkę do furgonetki Luka zaparkowanej pod dębem, tuż obok jej auta. Luke nie wysiadł i nie otworzył przed nią drzwi, tylko czekał z włączonym silnikiem. Sama otworzyła zieloną furgonetkę, postawiła nogę na progu i wskoczyła do środka. Luke ruszył, nim zamknęła drzwi.

- Jesteś zły, bo się pomyliłeś? - spytała.

- Nie jestem zły i nie myślę się, więc na co byłbym zły, gdybym się pomylił?

-Na to, że Ramsey nie zabrał mnie do Williamsburga, tak jak mówiłeś.

Luke wzruszył ramionami.

- Podejrzewam, że Tess kazała mu jechać gdzieś indziej.

Jocelyn nie odezwała się ani słowem, bo to, co powiedział, było zbyt bliskie prawdy. Ramsey chciał jej powiedzieć kilka ważnych rzeczy i cieszyła się, że byli sami, gdy jej to mówił. Tak czy siak, pomyślała, że dobrze zrobiła, ukrywając szok, jaki wywołały jego słowa. Brak pieniędzy na utrzymanie starego domu trochę ją przeraził, ale mogła sobie z tym jakoś poradzić. Są na pewno jakieś rządowe projekty, wspierające tak stare domy.

Tak naprawdę, to zmartwiły ją wszystkie wiadomości na temat panny Edi. Wydawało się jej, że co godzinę odkrywała nową prawdę. Od czasów dzieciństwa spędzała większość czasu z kobietą, która nauczyła ją wszystkiego, co było w życiu ważne. Jocelyn patrzyła na pannę Edi jak na osobę najmądrzejszą na świecie. Ale teraz odkrywała, że panna Edi nie była z nią szczerą. Wmawiała sobie, że kobieta miała wszelkie prawa zachować dużą część swego osobistego życia w tajemnicy, ale to i tak bolało.

- Hej! - powiedział miękko Luke. - Co się stało, że tak marszczysz czoło? Pokłóciliście się?

- Nie - powiedziała, opierając głowę o szybę w drzwiach i spoglądając na drogę. - Czy zdarzyło ci się, że ufałeś komuś bezgranicznie, a potem odkryłeś, że ta osoba była kimś kompletnie innym?

- Tak - powiedział. - Dowiedziałaś się czegoś o Ramseyu?

- Nie, to znaczy tak. On naprawdę się troszczy o ludzi, prawda?

Luke spojrzał na nią przelotnie, gdy wchodził w zakręt.

- Przypuszczam, że tak. A o co tak się troszczy?

- O wszystkich. O wszystko. - Wyprostowała się. - Gdzie jedziemy?

- Po roślinki, pamiętasz?

- Nie stać mnie na nie - powiedziała, nim pomyślała. Przez minutę Luke jechał prosto przed siebie, a potem

zawrócił i jechał tą samą drogą, którą tam dotarli.

- Co robisz?

- Zabieram cię do domu, a potem usiądziemy, a ty wyjaśnisz mi to, co przed chwilą powiedziałaś.

Ramsey nie powiedział jej, że to, czego się dowiedziała, jest tajemnicą, ale Joce czuła, że to było tylko przeoczenie z jego strony. Cokolwiek wydarzyło się między panną Edi i jego dziadkiem, trzymane było w sekrecie przez tyle lat, że nie powinna chyba teraz o tym paplać.

- Chodzi o stronę prawną - powiedziała. - Chodzi o... potwierdzenie prawomocności testamentu. Potrzeba długiego czasu, żeby odzyskać pieniądze, które mi zostawiła panna Edi, żebym mogła opiekować się domem, więc muszę poczekać. Tymczasem nie mam nic, prócz moich oszczędności, czyli niewiele. Ale Ramsey załatwił mi u swojej siostry pracę na jutro. Upiekę trochę babeczek, choć w domu mam tylko blachę do pieczenia, ale przecież



umiem piec babeczki, więc wszystko będzie dobrze. Tak myślę. Mam nadzieję.

Luke wjechał na drogę wjazdową do Edilean Manor, zgasił silnik, potem podszedł od strony pasażera i otworzył drzwi.

-Wysiadaj - powiedział, gdy nadal nie ruszyła się z miejsca. - Jeśli nie chcesz, żebym cię wyniósł, to lepiej wysiądź.

Wyszła z samochodu, podeszła do frontowych drzwi i zaczęła szukać w kieszeni klucza.

- Klucz od domu mam przy kluczykach od mojego auta, a te ma Ramsey.

Luke wyciągnął przed nią rękę, nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

- Kto zamyka drzwi wejściowe w tym mieście? -Ale ty przecież powiedziałaś... - Nie siłała się na

dokończenie, bo wszedł do kuchni, a ona za nim. Wysunął krzeselko spod dużego stołu i czekał, aż ona usiądzie, a potem wstawił czajnik na herbatę.

- A skąd to się tutaj wzięło? - spytała.

- Od mojej matki. Powiedziałem jej, że lubisz herbatę, więc dała mi jeden zestaw dla ciebie. No dobrze, a teraz do rzeczy. Gadaj.

- Potwierdzenie prawomocności testamentu-zacząła.

- Ramsey powiedział...

- Ramsey nic takiego nie powiedział i jeśli nie przestaniesz mnie kłamać, to zacznę krzyczeć. Potrafię to robić naprawdę głośno, jeśli tylko chcę. Mam za sobą kilka lat sportowych zmaganiań.

- Nie krzycz - powiedziała, opierając głowę o dłoń.

- Dlaczego to robisz? Myślałam, że mamy pojechać do sklepu ogrodniczego i... - zamarła.

- Wyglądasz, jakby przejechał cię pociąg towarowy

- powiedział, zdejmując czajniczek z palnika i nalewając herbaty do pięknego imbryka, którego Joce nigdy wcze-

śniej nie widziała. - Chcę wiedzieć, co takiego powiedział ci mój kuzyn, że jesteś w takim stanie.

- Nic takiego, żebyś musiał używać swojego prawego sierpowego.

- Lewego.

- Słucham?

- Lewego sierpowego. Nie zamierzam pobić Ramseya, ale dam mu dobrą radę. O czym on myślał, że pozwolił ci odejść w takim stanie, jakby jakiś wampir wypił z ciebie krew.

- Przesadzasz. Powiedział mi tylko o kilku prawniczych sprawach i...

- Jego spojrzenie zamknęło jej usta. - No dobrze, nie dałam mu poznać, że jego słowa wywarły na mnie takie wrażenie. Właściwie, to pozwoliłam mu myśleć, że jestem szczęśliwa. Pełna życia. Nic nie złamię starej Jocelyn.

- Ale potem wsiadłaś do mojej furgonetki i wyglądałaś jakby...

- Wiem - przerwała mu Joce. - Jakby mnie przejechał pociąg towarowy albo napadł wampir. Wiesz, co zrobić, żeby kobieta lepiej się poczuła.

Postawił przed nią imbryk oraz filizankę ze spodkiem, do kompletu, a potem poszedł do lodówki po mleko.

- Więc teraz, gdy już to ustaliliśmy, powiedz mi, co się stało.

- Nie mogę. To moje... moje osobiste sprawy.

- Wszyscy wiedzą, że masz dostać około trzy miliony dolarów. Czy to cię tak martwi? Jesteś zachwycona pieniędzmi?

- Niezupełnie - powiedziała, popijając jednocześnie herbatę. - Pyszna. Poczęstuj się.

-Nie, dziękuję. - Wyciągnął sobie z lodówki piwo, a potem usiadł na krześle obok niej. - Jeśli nie byłaś zachwycona, to w takim razie zniesmaczona? Pieniądzy było mniej, niż się spodziewałaś?

-Nie chodzi o pieniądze! - prawie wykrzyczała. -Nie ma żadnych pieniędzy, o które mogłabym się martwić! - Zakryła ręką usta. Nie chciała tego powiedzieć.

- Zatem - powiedział Luke, odchylając się na krześle do tyłu - nie ma pieniędzy.

- Słuchaj, nie mogę nic więcej na ten temat powiedzieć. Potrzebuję trochę czasu, żeby o wszystkim spokojnie pomyśleć i chcę cię prosić, żeby nikt się nie dowiedział

o tym, czego się dowiedziałeś.

- Sądzisz, że wybiegnę stąd i będę krzyczał o wszystkim na całe gardło? - Zmarszczył brwi, tak że prawie się złączyły, tworząc linię prostą.

Nagle poczuła, że już dłużej nie wytrzyma. Objęła twarz dłońmi i zaczęła płakać.

- Cicho - powiedział, przytulając ją lekko do siebie, tak że jej głowa spoczęła na jego ramieniu. - Nie chciałem cię zdenerwować.

-Nie zdenerwowałaś mnie. Chodzi o to, co powiedział mi Ramsey.

- Że nie ma pieniędzy? Czy o tym ci powiedział?

- Tak, nie - powiedziała, wciąż płacząc. - Wszystko okazało się kłamstwem. Odkrywam, że wszystko, co wiedziałam o kobiecie, którą tak bardzo kochałam, było kłamstwem. To, kim była, skąd pochodziła, nawet to, kogo kochała, wszystko to były kłamstwa. Każde słowo. Dlaczego mnie tak okłamała? Nie ufała mi? Nie rozumiem.

Luke wyciągnął chusteczkę do nosa z pudełka na stole

I podał jej. Siedząc, wydmuchwała nos, a Luke wstał.

- Masz coś przeciwko, żebym zrobił sobie kanapkę? Nie miałem czasu zjeść lunchu.

- Przepraszam. Narzucam ci się. Nigdy nie zamierzałam. Kiedy odchodziłam od Ramsey'ego, czułam się dobrze, ale...

- Gdy zobaczyłaś mnie, załamałaś się - powiedział, a w jego głosie słychać było zaskoczenie.

- To nie tak. Ramsey jest... wiesz przecież, więc nie chciałam się rozkleić przed nim.

- Nie mam pojęcia, co ma znaczyć „wiesz przecież”. Jaki jest Ramsey?

- Jest mężczyzną, którym jestem zainteresowana -powiedziała. - W „taki” sposób.

- Rozumiem - powiedział Luke. - Więc kiedy jesteś z nim, to starasz się trzymać fason, mieć suche oczy i nie dopuszczasz, żeby zobaczył cię z usmarkanym nosem.

- Tak - odpowiedziała Joce, wydmuchując swój nos po raz kolejny. - Nie wiedziałam, że tak źle się czuję, dopóki od niego się nie oddaliłam. On jest dla mnie zawsze taki miły. Przynosi ze sobą jedzenie, gdziekolwiek nie pojedzie, i zawsze mówi mi komplementy. Mówi mi, że jestem bystra i zabawna, i że on... - znowu wydmuchała nos, tym razem głośniej. - Przepraszam. Jaką ty jesz kanapkę?

- Szynka i ser. Chcesz jedną?

- Masz jakieś ogórki kwaszone?

- Nie wiem. To twoja lodówka.

- Ta lodówka jest zaczarowana, bo już dawno powinnam iść do sklepu spożywczego, ale ona jest wciąż pełna jedzenia.

- Jestem pewien, że to się skończy pod koniec tego tygodnia. Wszyscy w miasteczku przyzwyczajają się, że jesteś, i nie będą się już starali cię poznać. Szczególnie, jeśli się dowiedzą, że nie masz pieniędzy.

- Ha ha - zaśmiała się. - Chyba ty im nie powiesz, co? Przerwał nakładanie musztardy na cztery kromki chleba.

- Martwisz się, że nikt nie będzie cię lubił, gdy nie będziesz bogata?

- Nie chcę, żeby się dowiedzieli, że ich ukochana panna Edi nie miała pieniędzy! Nie chcę, żeby myśleli o *niej* źle.

- Więc nie obchodzi cię to, że dowiedzą się, że *jesteś* biedna. - Stał do niej plecami, ale ona wiedziała, że się uśmiechał.

- Pewnie, że nie - powiedziała, biorąc od niego talerz z grubą kanapką. - Wygląda znakomicie.

- Dopiero co skończyłaś jeść lunch z Ramseyem, więc jak to się stało, że jesteś głodna?

- Przecież nie mogłam się napchać jedzeniem, będąc z nim, sam pomyśl.

- Lustrzane odbicie panny Scarlet - wymamrotał pod nosem.

- A to co ma znaczyć?

- Pikniki - powiedział Luke. - Ashley lubił jej zdrowy apetyt.

- Ach, no tak, teraz sobie przypomniałam. Ale to jest dobre. Jaka musztardę dodałaś?

- Nie wiem. Spytaj ciocię Ellie. Myślę, że musisz mi powiedzieć, czego dowiedziałaś się od Ramseya, a jeśli się nie odezwiesz, to powiem całemu światu i ukarzę cię tak srogo, jak tylko potrafi ogrodnik.

Uśmiechnęła się, gdy zrobił aluzję do jednej z ich pierwszych rozmów.

- Gdzie mam zacząć? Przed czy po II wojnie światowej? Luke otworzył szeroko oczy.

- Interesujące. Zaczynaj przed.

- Ramsey powiedział mi, że w 1941 roku wydarzyło się coś strasznego, zaraz przed tym, jak przyłączyliśmy się do wojny, a potem Alexander McDowell był tak wdzięczny pannie Edi, że, gdy przeszła na emeryturę, kupił okazały dom w Boca Raton, gdzie zamieszkała, i powierzył jej dużo swoich pieniędzy, którymi zarządzała. Nie znam się na finansach, ale nawet ja widzę, że to nie była taka zwyczajna sprawa. Poza pracą w dobroczynności, dokładała też z tych pieniędzy do chesnego za moją szkołę i utrzymywała swego leniwego brata. Co skłoniło pana McDowella, żeby to zrobić?

- Dlaczego mnie pytasz? Pierwszy raz w życiu o tym słyszę. Ramsey ci nie powiedział, co panna Edi zrobiła dla jego dziadka?

- Ani on, ani jego ojciec nie mają pojęcia. Myślę, że ludzie, którzy wiedzieli, zabrali tę historię do grobów.

- Co ta historia ma wspólnego z pieniędzmi?

- Cokolwiek się wydarzyło, Alex McDowell wydał dużo pieniędzy. Nie mam pojęcia dlaczego aż tyle. Tak łatwo je oddał?

- Łatwo? - spytał Luke, gdy skończył jeść kanapkę. - Chyba nie sądzisz, że panna Edi go szantażowała?

- Przyszło mi to do głowy - powiedziała miękko.

- Więc wyrzuć tę myśl szybko ze swojej małej, podstępnej główki - powiedział Luke, podnosząc dwa puste talerze, które włożył do zlewu.

- Ty nie znałaś Alexa McDowella, ale ja tak. Baliśmy się go straszliwie jako dzieci, tak samo jak połowa dorosłych. Mruk to naprawdę lekkie określenie, które nawet w połowie nie opisuje jego usposobienia. Wrzeszczał na pracowników i zawsze trzymał rękę na pulsie, jeśli zainwestował choćby jednego pensa. Gdyby ktoś próbował go szantażować, to złapałby go za szyję i rzucił na drugi koniec pokoju.

- A przecież był żonaty z kobietą, która miała wygląd anioła, jak Sara.

- Była tak słodka, jak on był kwaśny. Nikt nie rozumiał nigdy tych dwojga, ale wszyscy wiedzieli, że stary Alex uwielbia swoją żonę. To było czyste uwielbienie, bliskie ubóstwieniu.

- Właśnie o to chodziło - powiedziała Jocelyn, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty. Wystygła już nieco, ale nadal była dobra. - Gdybym miała mężczyznę, który by mnie uwielbiał, to pewnie też przytknęłabym oko na jego wady.

- Więc wyjdź za Ramsey'a - powiedział Luke. Stał przy zlewie, odwrócony do niej plecami.

- Nie sądzisz, że jeszcze nieco za wcześnie, żeby o tym myśleć? Spotkałam go zaledwie kilka dni temu.

- Okłamałaś go, nie mówiąc jak się czujesz, co cię denerwuje, ukryłaś przed nim nawet, że masz wilczy apetyt. Brzmi zupełnie jak początek zakochania.

- Nie okłamałam go! Odwrócił się i spojrzał na nią.

- No dobrze - powiedziała. - Powiedzmy, że przybrałam odważny wyraz twarzy, ale to nie było kłamstwo. Lubię go. Ma wszystko, czego zawsze szukałam u mężczyzny.

- Więc wyjdź za niego. Jest bogaty. Utrzyma ciebie i dom. Będziesz miała problem z głową.

- Tak dla twojej informacji, Ramsey nawet jednym słowem nie zbliżył się do tematu ślubu. Poza tym, gdybym za niego wyszła teraz, to zawsze byłabym mu wdzięczna. Gdyby mnie czymś rozzłościł, to ja nie odezwałabym się nawet słowem, bo czułabym się zobowiązana do bycia mu wdzięczną za to, że mnie uratował, a potem dostałabym wrzodów i najprawdopodobniej zmarłabym młodo, gdy zaczęłyby pękać.

Luke trawił przez chwilę usłyszane słowa.

- Cieszę się, że jednak nie przyszedł ci do głowy pomysł poślubienia mojego kuzyna.

- Nie miałam zbyt wiele czasu, żeby o czymkolwiek pomyśleć. Wiesz w czym tkwi największa ironia? Nie oczekiwałam niczego od panny Edi po jej śmierci. Może jakiś upominek, ale nic więcej. Wspierała wiele organizacji dobroczynnych, więc sądziłam, że to im przekaże pieniądze. Dlaczego ona mi to zrobiła?

- To najbardziej interesujące pytanie, jakie dziś zadałaś. Wiedziała, że nie ma swoich pieniędzy, ale zostawiła ci stary dom, który - możesz mi w tej kwestii zaufać - rozpadnie się, jeśli ktoś nie będzie go regularnie co sześć miesięcy finansował.

- Nie jestem pewna, czy potrafię o tym myśleć w tym momencie. W każdej chwili może do mnie zadzwonić siostra Ramseya i powiedzieć, że potrzebuje babeczek, a ja

muszę wymyślić, jak mam je zrobić. Myślisz, że piecyk w tym czymś działa? - Wskazała głową na brzydką kuchenkę stojącą pod ścianą.

Luke przez chwilę mrugał oczami, ponieważ zdał sobie sprawę, że ona nie zamierza wracać już do tematu. Ale to mu odpowiadało, bo w jego głowie pojawiły się pytania i sam chciał popracować nad odpowiedziami.

- Nie mam pojęcia - powiedział, włączając piecyk. -Więc co planujesz upiec?

-Zmielony szpinak w czekoladzie i, nim powiesz choć słowo, Ramsey już mi powiedział, że to jest zły pomysł. Ale ja sprawię, że to będzie naprawdę pyszne, nie martw się.

- Panna Edi zostawiła ci magiczną różdżkę?

- Chciałabym, żeby tak było. Powiedziałam Ramsowi, że jedna babeczka będzie kosztować trzy dolary i dwadzieścia pięć centów, więc muszę stanąć na wysokości zadania, tylko że potrzebuję do tego odpowiedniego sprzętu, którego nie mam. Jest jakiś sklep gospodarstwa domowego gdzieś w pobliżu?

Luke otworzył drzwiczki piecyka i włożył do środka rękę.

- Póki co jest zimny. A może pożyczysz to, co będzie ci potrzebne?

- A kto mi pożyczy mikser z misą i rękaw cukierniczy? -Zapomniałaś, że należysz do kościoła baptystów?

Oni uwielbiają jedzenie. Wszystko, czego ci potrzeba, jest w kuchniach kobiet w tym miasteczku. Zrób mi listę, a ja poproszę mamę, żeby ci wszystko znalazła. Twoja kuchnia będzie zapełniona sprzętem mniej więcej za półtorej godziny.

Jocelyn usiadła za stołem, przyglądając mu się uważnie.

- No tak, ale jeszcze nikt do mnie nie zadzwonił. Luke wyciągnął komórkę z pokrowca przy pasku i wcisnął guzik.



- Mamo? - spytał. - Myślisz, że tata będzie chciał pomóc Joce w pieczeniu babeczek? Przez chwilę słuchał. - Tak przypuszczam. Pewnie, porozmawiam z nią. A czemu ty nie porozmawiasz z Viv? - Uśmiechał się, słuchając matki. - Myślę, że będzie chciała to zrobić, ale może za to pobrać od ciebie opłatę. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Taki plan pomoże ci pozbyć się taty na cały tydzień z domu, właśnie dlatego. Okay, ale powiem jej, że ty tak powiedziałaś. Ja mam mu powiedzieć, czy ty to zrobisz? Tchórz! Będę tam za piętnaście minut. - Posłuchał jeszcze przez chwilę, a potem uśmiech opuścił jego twarz. - Tak, zachowuję się. Możesz zapytać ją, jeśli mi nie wierzysz.

Luke wyciągnął telefon w kierunku Jocelyn.

- Moja mama chce wiedzieć, czy nie przystawiałem się do ciebie.

- Żaden mężczyzna w tym mieście nie przystawiał się do mnie - powiedziała głośno. - Nie padło nawet jedno dwuznaczne słowo. Zostałam tak nakarmiona, że zaraz pęknę, ale nikt się do mnie nie przystawiał.

Luke patrzył przez chwilę na Jocelyn, a potem przyłożył telefon z powrotem do ucha.

- Nie mam pojęcia - powiedział. - Spytaj Ramseya. Okay, będę tam za kilka minut, ale nic nie mów tacie. Wszystko mu wyjaśnię.

Skończył rozmowę i spojrzał na Jocelyn. - A teraz mi powiedz, o czym ty mówiłaś.

- Takie babskie sprawy. A co powiedziała twoja mama?

- Już wie o trzech dolarach i dwudziestu pięciu centach. Podejrzewam, że Ramsey powiedział komuś w biurze i już się rozniosło po całym mieście. Mama powiedziała, że wydawanie przyjęcia dla dzieci w środku tygodnia i serwowanie wtedy babeczek to absurd. Chce zaangażować mojego ojca, żeby zorganizował wielkie wydarzenie, na które zaprosi połowę Williamsburga.

- Połowę... - Joce otworzyła szeroko oczy. - A co ja mam zrobić? Założyć sklep z babeczkami?

- Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o życiu panny Edi i znaleźć odpowiedzi na pytania, które cię tak nurtują, musisz poznać trochę ludzi stąd. Upewnię się, że mama zaprosi staruszków, którzy ją znali. Czy to dobry pomysł?

- Najlepszy - powiedziała, patrząc na niego z wdzięcznością.

- Ciekawe, czy nadal tak będziesz myśleć po tygodniu pracy z moim ojcem.

- Czy on jest aż taki zły? - powiedziała spokojnie, gotowa zabawić się w terapeutkę.

- Okropny! Odszedł na emeryturę.

- Co to oznacza?

- Przekonasz się - powiedział Luke. - Daj mu jakiś projekt, a on poczuje się jakby był panem całego świata. Będzie rządził tobą i kobietami wokół, aż się zbuntujecie.

- Kobietami? Kto jeszcze będzie piekł babeczki?

- Witaj w Edilean - powiedział Luke z szerokim uśmiechem. - Muszę już jechać. - Sprawdził piecyk jeszcze raz. - Jest zimny jak lód.

- Nie stać mnie na nowy... Luke podniósł do góry dłoń.

- Niech tata się tym martwi. On poczuje się jak ryba w wodzie. - Zaczął iść w stronę drzwi, ale zatrzymał się i obejrzał się na nią. - Tak dla twojej wiadomości - powiedział łagodnie. - Ramsey zamierza ci się oświadczyć. On zabiera tylko te kobiety, które chce poślubić, na miejsce, gdzie zbuduje swój dom. - Luke rozejrzał się po przedpokoju.

- Albo w ustronne miejsce.

- A ile było tych kobiet? Uśmiechnął się do niej.

- Chciałbym powiedzieć, że całe mnóstwo, ale przed tobą była tylko jedna.

- To dlaczego się z nią nie ożenił?
- To nie moja sprawa, żebym o tym mówił - powiedział.
- To samo Ramsey powiedział o tobie.
- A o co go zapytałaś?

Otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, ale się wycofała. Jeśli Luke nie wie, że Ramsey płaci mu za pracę, to ona tym bardziej nie powinna mu mówić o tym.

- O nic.

- No dobrze - powiedział Luke, mierząc ją wzrokiem z góry na dół. - Idź wziąć prysznic i zdejmij te odświętne ubrania. Myślę, że przez kolejne dni będziesz zajęta pieczeniem babeczek.

Patrzyła na niego jak odjeżdżał, potem zamknęła drzwi i przez moment oparła się o nie, myśląc o kilku ostatnich dniach. Tak dużo się działo, że miała mętlik w głowie. Za chwilę pędziła już po schodach do łazienki. Gdy spojrzała w lustro, zobaczyła, że cały makijaż spłynął jej z oczu na twarz i uświadomiła sobie, że wyglądała tak przez większość czasu, który spędziła z Lukiem. Uśmiechając się, poszła pod prysznic i myślała o tym, co powiedziała jego mamie. Gdyby to była matka Ramsey, zachowałyby się jak na damę przystało, ale z matką Luka umiała sobie pożartować.

Gdy wyszła spod prysznica, założyła na siebie dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem. Zaraz potem usłyszała, że jakiś samochód podjeżdża pod dom. Wyrzwała przez okno i zobaczyła jakiegoś mężczyznę, który wysiadał właśnie z auta. Nawet z daleka widziała, że wyglądał jak starsza wersja Luka: przystojny, wysoki, z siwymi włosami na głowie, wyglądał jak mężczyzna gotowy do pracy. Zbiegła na dół po schodach i szybko otworzyła drzwi, nim zapukał.

- Więc przyjechał pan, żeby wszystko zorganizować - powiedziała z poważną miną.

Nawet się nie uśmiechnął.

- Zejdź mi z drogi albo zacznę krzyczeć.

- A jeśli będę grzeczna?
- To każe Lukowi zasadzić ten ziołowy ogródek dla ciebie za darmo. Na te słowa porozumiewawczo uścisnęła jego dłoń.
- Pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem, mistrzu. Otworzył szeroko oczy.
- Całe życie czekałem, żeby usłyszeć takie słowa od kobiety. Wyjdiesz za mnie?
- Wpiszę pana na listę oczekujących - powiedziała z uśmiechem, udając się do kuchni.
- Proszę wejść i spojrzeć na moją kuchenkę. Jest taka stara, że chyba ją sprzedam na eBay-u za milion dolarów.
- Nie jest aż tak stara, bo sprzedałem ją bratu panny Edi jakieś czterdzieści lat temu.
- Jocelyn zatrzymała się.
- Sprzedaje pan wyposażenie kuchni?
- Sprzedawałem, ale trzy lata temu skończyłem z tym. Mogę ci załatwić zarabiste zniżki na wszystkie rzeczy, których potrzebujesz..
- Mam zapłacić gotówką czy w naturze? - spytała poważnie.
- Muszę się skonsultować najpierw z żoną - uśmiechał się, gdy wchodzili do kuchni.

## Rozdział 10

Lukowi i jego rodzicom dwie godziny zajęło przygotowanie wszystkiego. Jego matka okupowała telefon, dzwoniąc do ludzi z dwóch hrabstw, żeby ich powiadomić o sobotnim przyjęciu. Opowiadała o Jocelyn tak, jakby dopiero co wróciła z Brukseli i była ciastkarzem o międzynarodowej sławie.

Luke poszedł do ojca i wystarczyło, że powiedział mu kilka słów, a mężczyzna już był przy drzwiach, gotowy do przejęcia pałeczki nad organizacją wszystkiego, wszędzie i o każdej porze. Był naprawdę zagubiony, nie mając pracy, która pochłaniała mu pięćdziesiąt godzin tygodniowo. Luke powiedział tylko, że kuchenka Jocelyn jest zepsuta i Jim Connor natychmiast zabrał ze sobą telefon i wyszedł. Luke zastanawiał się, czy Joce zniesie obecność Wilka, albo lepiej Wikinga, przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

Gdy Luke wychodził z domu, przypomniał matce, że miała zadzwonić do siostry Ramseya, żeby powiedzieć jej o przyjęciu, które miało się odbyć, jak wcześniej zaplanowano, przy jej domu. A ponieważ Viv wciąż jeszcze nie zadzwoniła do Jocelyn, to na pewno będzie zaskoczona, gdy usłyszy, że w sobotę może się spodziewać niewiadomej liczby gości.

Luke pojechał do swego domu, założył świeżo uprasowaną koszulę i spodnie khaki, a potem wyprowadził z garażu swoje BMW. Jechał do dziadka Davida i wiedział, że wyciągnie z niego o wiele więcej informacji, jeśli ubierze się w coś innego niż dżinsy i brudna koszula.

Dziadek David uwielbiał powtarzać Lukowi, że nie potrafi zrozumieć, że jego wnuczek, mimo swojego dobrego wykształcenia, nie nosi czystych ubrań.

- Jeśli już musisz być ogrodnikiem, to wyglądaj przynajmniej jak podróżnik - powtarzał mu tysiące razy.

Babcia Mary Alice ciągle mu mówiła, żeby przestał tak gadać, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Dziadek należał do starej szkoły i uważał, że zawsze trzeba wyglądać dobrze.

Luke dogadywał się doskonale ze swoim drugim dziadkiem, ojcem jego ojca, człowiekiem, od którego ludzie woleli się trzymać z daleka. Jego niekończący się zły humor odstraszał ludzi, ale nie Luka. Zawsze czuł się najszcześliwszy, gdy mógł z dziadkiem łowić ryby, oglądać sport w telewizji albo po prostu jeździć z nim furgonetką. To właśnie dziadek Joe ratował Luka od kary, gdy jego wnuczek wpadł w jakieś tarapaty w szkole średniej. Luke był zawsze pełen wigoru i nienawidził, gdy ktoś mu mówił, co i jak ma zrobić. Jego nauczyciele chcieli, żeby był posłuszny i nie zadawał zbędnych pytań, ale Luke zawsze miał swój własny pomysł, jak coś zrobić.

Raz Luke pobił się z trenerem swojej drużyny, który zagroził, że go wyrzuci. Jego ojciec był na niego tak wściekły, że o dziesiątej kazał mu iść do pokoju i siedzieć tam, dopóki nie wymyśli, co ma z nim zrobić. W południe dziadek Joe pojawił się w oknie pokoju Luka na drugim piętrze. Stał na drabinie. Nie odezwał się nawet słowem, tylko podał Lukowi rękę, zeszli razem na dół i poszli nad jezioro, gdzie spędzili resztę dnia na łowieniu ryb. O szóstej wieczorem Luke był z powrotem u siebie w pokoju, a gdy jego ojciec wszedł, nawet się nie domyślił, że Luke spędził całe popołudnie z jego własnym ojcem.

Zawsze tak było z dziadkiem Joe, zupełnie inaczej, niż z ojcem matki Luka. Poza tym, że dziadek David był lekarzem, był też diakonem w kościele, masonem i był kochany przez wszystkich.

Luke zjechał na autostradę nr 5, prowadzącą do Williamsburga, a potem skręcił na Governor Land przy Two Rivers. Był tam ekskluzywny miejski klub, w którym sześćdziesiąt procent ziemi było przeznaczone do użytku publicznego. A co najlepsze, było tam też pole golfowe,

na którym jego dziadek grywał niemal codziennie. Luke znalazł dziadka przy piątym dołku, tak jak przypuszczał.

- Zastanawiałem się, kiedy do mnie wreszcie zajrzysz
- powiedział David Aldredge, spoglądając w dół na zieleń.
- Jak ona się miewa?

- Kto? - spytał Luke. - Masz na myśli twoją córkę? Moją matkę?

David uderzył, a piłka poszybowała idealnie w tym kierunku, w jaki chciał.

- Jeśli zamierzasz grać ze mną w jakąś grę, to zajmie nam to dużo czasu. Może zaczniemy jeszcze raz. Jak ona się miewa?

Dziadek szedł przodem, a Luke niósł za nim dużą torbę z kijami. Dr David nie ufał osobom noszącym kije golfowe ani wózkom, wierzył za to w młodych i zdrowych wnuczków, którzy nosili mu torbę z kijami.

- Podejrzewam, że chodzi ci o Jocelyn - powiedział Luke.

- Słyszałem, że tak ma właśnie na imię, ale nie mieszkam już w Edilean, więc nie docierają do mnie wszystkie plotki tak jak kiedyś. Jednak doszło do mnie, że spędzasz z nią sporo czasu. Niektórzy mówią nawet, że spędzasz tam noce.

- Ludzie za dużo gadają i do tego kłamią.

- A więc to Ramsey z nią sypia?

- Nie! - powiedział Luke. - Ramsey był tylko... - przerwał, gdy spojrzał na dziadka. - Myślę, że istnieje jedenaste przykazanie, które mówi, że dziadkowie nie powinni się podśmiewać z własnych wnuków.

- Zdradzę ci pewien mały sekret. W dniu, kiedy rodzi się pierwszy wnuk, dostajemy podręcznik, w którym jest napisane, że możemy robić z naszymi wnuczkami, co nam się tylko podoba, dręcząc tym samym własne dzieci.

-Nie mogę się doczekać, żeby przeczytać ten podręcznik.

- W twoim wieku może już być za późno na dzieci, a co dopiero na wnuki.

- Dziadku, dzięki tobie czuję się znacznie lepiej.

- Zawsze do usług - powiedział dziadek, zatrzymując się w miejscu, w którym upadła piłka. - Co wprawiło cię dzisiaj w taki ponury nastrój?

Luke włożył ręce do kieszeni.

- Nic. Nikt. Pomyślałem, że zajrzę dziś do ciebie. David uderzył w piłeczkę tak mocno, że poszybowała

wysoko w powietrze, a potem spojrzął na swego wnuczka, gdy zaczęli znowu iść.

- Okay. Powiedz mi, jaka ona jest?

- Masz na myśli Jocelyn?

- Tak, dziewczynę Ramseya. Jaka ona jest?

- Ona nie jest... - Luke wziął głęboki oddech po raz kolejny. - Przypomnij mi, żebym kupił ci kolejny krawat na Boże Narodzenie. Jakiś naprawdę brzydki. Jocelyn jest miła.

-I to wszystko? Jest miła? A gdzie namiętność? Nie chciałbyś się na nią rzucić?

- Wulgarni dziadkowie przyprawiają mnie o mdłości.

- No dobrze. Wasze pokolenie wie wszystko na temat seksu, ale moje nie. Dla twojej wiadomości, twoja babcia i ja..

Luke podniósł do góry rękę.

- Nawet nie myśl, żeby mi wyliczać, co robiłeś z Mary Alice Welsh. Ludzie wciąż opowiadają różne historie, nawet po pięćdziesięciu latach.

- Czterdziestu - poprawił go David.

- Sześćdziesiąt trzy, ale kto by to liczył?

David oparł się na kiju do golfa i popatrzył na swego wnuka.

-No dobrze, gadaj, co cię gryzie aż tak bardzo, że zostawiłeś uprawianie ziemi i przyjechałeś aż do Williamsburga.

- To tylko 16 kilometrów.



- 16 kilometrów, których nie przejeżdżasz zbyt często - powiedział David i uderzył perfekcyjnie piłeczkę, a potem dodał po cichu. - Pytała już o mnie?

- Nie, jeszcze nie, ale dziś była bardzo smutna i zdenerwowana. Panna Edi nie zostawiła jej żadnych pieniędzy.

- Wiem. Alex ją utrzymywał. Albo raczej utrzymywał Bertranda, a Edi dawał pieniądze.

-Właśnie to powiedział Ramseyowi jego ojciec. Rams opiekuje się prawnie całym majątkiem panny Edi i nie wiedział, że nie ma pieniędzy?

-Tak, wszyscy zgodziliśmy się okłamać młodsze pokolenie. Szkoda, że Ben nie wyciągnął prawdy ze swego ojca, gdy ten jeszcze żył.

-Myślę, że próbował, ale wujek Alex nie chciał mu powiedzieć. - Luke popatrzył na dziadka surowym wzrokiem, gdy szli. - Więc jaka jest prawda?

- Są rzeczy, o których nie wolno mi mówić. Niektóre sprawy lepiej zostawić w spokoju. - Uniósł do góry rękę, gdy Luke chciał coś powiedzieć. - To, co stało się w przeszłości, nie ma nic wspólnego z teraźniejszością.

- Poza tym, że Jocelyn nie ma pieniędzy.

- A kto z nas miał w jej wieku?

- Ma na głowie potężny dom, który pochłania dużo zielonych.

- Więc niech wyjdzie za Ramseya. On jest bogaty.

- Ale... - Luke przerwał, nie kończąc zdania.

- Ale co? - spytał dziadek. - Nie sądzisz, że wspaniale do siebie pasują? Pieniądze Ramseya i dom Harcourtów. Lepiej już trafić nie można.

- Nie jestem pewien, czy byłoby im dobrze razem.

- Z tego co słyszałem, zostali dla siebie stworzeni. Jej perły pasują do jego krawata. Razem przemienią ten dom w wizytówkę miasta. Będzie mógł rywalizować z najlepszymi w Williamsburgu za perfekcją.

- Perfekcja. A komu ona jest potrzebna? - Luke włożył znowu ręce do kieszeni, a dziadek uderzył kolejny raz w piłeczkę. - Pewnie wybudują sobie tam basen i nie będą pozwalali swoim dzieciom bawić się w stawie.

- Ten staw był zawsze brudny i brzydki - powiedział David i zaczął znowu iść spacerkiem. - Na dnie zalegają kacze odchody zapewne na wysokość metra.

- Naprawdę? Może trochę pogrzebię i będę miał nawóz.

- Też tak myślę. Kto by chciał, żeby jego dzieci pływały w oborniku?

- Mnie to nigdy nie zaszkodziło - powiedział Luke trochę nadąsany, czym sam się zdziwił.

- Ty byłeś dziwakiem, mój drogi chłopcze. Lubieś bawić się na świeżym powietrzu.

- Tak samo jak Ramsey, gdy był mały.

- Nie, on to tylko dobrze znosił. Ramsey był zawsze schludny i czysty. Kiedy bawiłeś się w błocie, wskakiwałeś w nie i się tarzałeś. Ramsey...

- Ostrożnie robił placki z błota.

- Właśnie to miałem powiedzieć. On i Jocelyn są idealną parą. Ich dom będzie piękny, a dzieci czyste i dobrze wychowane.

- Dlaczego to brzmi tak okropnie dla mnie? - wymamrotał Luke.

- Nie mam pojęcia.

Luke przyjrzał się bliżej swemu dziadkowi.

- Czy ty się ze mnie nabijasz?

- Stary koń, a robi sobie żarty. Dopiszę ci to do rachunku. Nie wiem, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłem.

- Dziękuję dziadku, naprawdę równy z ciebie gość. Bardzo mnie rozweseliłeś.

- Proszę bardzo. Gdy będziesz chciał, żebym znów się z ciebie pośmiał, daj mi tylko znać. Będę miał niezłą używkę.

Włożył kij do torby, którą nosił Luke.

- Dość na dziś. Teraz możemy zjeść razem lunch i pogadamy.

- Pogadamy? Jeszcze trochę twojego „gadania” i będziesz mi musiał przepisać leki antydepresyjne. Poza tym, jest już po czwartej, więc za późno na lunch.

David zerknął na wnuczka.

- Jeśli nie zmienisz do mnie nastawienia, to zabiorę cię do domu, do Mary Alice, i powiem jej, że masz depresję, a wtedy ona nie wypuści cię, dopóki nie opowiesz jej o wszystkich traumach z dzieciństwa i o Ingrid.

Na samo wspomnienie tego imienia Luke zrobił się blady i cofnął się o krok.

Kilka minut potem David zatrzymał zaprzyjaźnionego golfistę, który podwiózł ich z powrotem do klubu golfowego. Luke nie powiedział nic, dopóki nie usiedli za stolikiem w rogu, a jego dziadek zamówił czajniczek herbaty dla nich, talerz kanapek i po szklaneczce Jacka Danielsa.

- No dobrze - powiedział David. - Powiedz mi teraz, o co chciałeś mnie zapytać, że przejechałeś taki szmat drogi.

- Są pewne różnice między tym, co ludzie wiedzą o panie Edi, a tym, jaka jest prawda.

- Masz na myśli brak pieniędzy czy to, że zerwaliśmy nasze zaręczyny, nim oboje wyjechaliśmy na II wojnę światową?

Luke spojrzał na dziadka z otwartymi ustami.

- Zerwaliście zaręczyny? - wyszeptał.

- Dlaczego wy, młodzi ludzie, jesteście zaskoczeni tym, że inni ludzie w przeszłości też mieli swoje tajemnice? Zapomniałeś, że byłem lekarzem w mieście? W latach sześćdziesiątych wybuchła w mieście epidemia rzeżączki i ja wiedziałem, kto od kogo się zaraził. Nigdy nie pisałem nawet słówkiem. To było...

- Jaka tak naprawdę była panna Edi? - spytał Luke, przerywając dziadkowi. Nie chciał wiedzieć nic więcej o prywatnym życiu ludzi z miasteczka.

- Doskonała - powiedział David. - Jej włosy były zawsze starannie ułożone. Nigdy nie wypowiadała słów, których by potem żałowała. Była silna i wiedziała, czego chce.

- To nie zabrzmiało, jakbyś ją szczególnie lubił.

- Uwielbiałem ją. Gdy byłem malutkim dzieckiem, Alex McDowell ciągle zabierał mi zabawki, aż do chwili, kiedy Edi walnęła go w głowę drewnianym klockiem i już nigdy nie ośmielił się mi dokuczyć. Przez całe swoje życie była damą. Wiesz przecież o tym, że poświęciła swoje życie na ratowanie ofiar poparzeń?

- Coś o tym słyszałem.

- Trudno sobie nawet wyobrazić, co ona robiła. Przyłączyła się do doktora Nigela Brennera i podróżowali razem po całym świecie. Edi dbała o wszystko. Dwukrotnie wydostała ich z krajów, w których w ciągu jednej nocy wybuchała wojna. Za każdym razem pielęgniarki Nigela wpadały w histerię, ale Edi nigdy nie straciła odwagi ani sprytu i przedostawali się w bezpieczne miejsce.

- Ale ożeniłeś się z babcią Mary Alice - powiedział. David się uśmiechnął.

- Przebojowa, zabawna i seksowna Mary Alice Welsch. Dopóki Edi nie wyjechała z kraju, nie zwracałem nawet uwagi na tę kobietę. Gdy wróciłem z wojny z raną w ramieniu, która była na tyle poważna, że groziła mi amputacja, zobaczyłem ją. Wiesz, jakie było najlepsze lekarstwo, jakie mi aplikowała?

-Jeśli powiesz, że seks, to wychodzę - powiedział Luke.

- Śmiech. Rozśmieszała mnie, a najbardziej śmiałem się z samego siebie.

- Aż do dzisiejszego dnia, ludzie starej daty myśleli...

- Że Mary Alice uwiodła mnie i jest trochę więcej warta niż ulicznica, za to, że mnie odbiła Edi. Jej się to bardzo podoba. Chciałem powiedzieć ludziom prawdę, ale

Mary Alice powiedziała, że lubi być uważana za złodziejkę męskich serc. Przyznała, że to czyni ją tak pociągającą, jak gwiazda filmowa.

Luke zaczął się śmiać, bo te słowa brzmiały dokładnie tak, jakby użyła ich jego babcia. Była ciastkarką, zawsze gotowa pomagać ludziom w potrzebie i daleko jej było do „złodziejki męskich serc”. Ale Luke wiedział, że jego babcia lubiła uchodzić za seksbombę.

- Powiesz mi, co przeszłość Edi ma wspólnego z tobą, czy mam zamówić kolejny talerz tych małych kanapeczek? - spytał David.

- Chodzi o tę dziewczynę... - Luke wpatrywał się w szklaneczkę z drinkiem. Prawie nic z niej nie upił.

- Lubisz ją, prawda? - spytał David poważnym tonem głosu.

- Tak. Lubię. Poszła do pierwszego lepszego college'u tylko po to, żeby być bliżej panny Edi. Tess pokazała mi oceny Joce i z takimi wynikami mogła iść gdziekolwiek zapragnęła, ale tego nie zrobiła.

- Pod koniec swego życia Edi nie miała przy sobie nikogo - powiedział łagodnie David. - Jej brat nie żył, ale i tak nigdy nie byli sobie bliscy, więc w zasadzie nie miała nikogo.

- Dlaczego zamieszkała w Boca Raton? Czemu nie wróciła do Edilean?

- Nie jestem pewien, ale przypuszczam, że tutejsi ludzie wiedzieli o niej zbyt dużo. Przyjeżdżała tu często i zrobiła wiele dla tego miasta, ale zapewne o tym wiesz. Jednak wolała mieszkać na Florydzie.

Luke popatrzył na dziadka.

- Co się stało w 1941 roku?

David przytulił plecy do oparcia krzesła i ściągnął mocno twarz, która stała się jakby z kamienia.

- Są rzeczy, o których nie powinno się mówić. Niezależnie, ile razy mnie spytasz, nie opowiem ci tej historii.

- Ale myślę, że ona ma coś wspólnego z terażniejszością. Panna Edi okłamała Jocelyn, albo raczej ukryła przed nią dużo rzeczy. Mnie by to nie ruszyło, ale Joce wypłakuje oczy. Z tego, co mogę powiedzieć, Joce nie miała słodkiego życia. Nie wiem o tym zbyt wiele, ale myślę, że panna Edi była jedyną dobrą rzeczą, która ją spotkała. A teraz ta kobieta zrobiła jej kiepski żart, zostawiając jej stary dom bez pieniędzy na jego utrzymanie. Panna Edi mogła przecież użyć funduszu powierniczego Alexa McDowella, żeby otrzymać dotację dla domu przedstawiającego dużą wartość historyczną, ale tego nie zrobiła. I jeśli panna Edi usilnie ukrywała przed nią istnienie Edilean, to dlaczego zostawiła jej dom? Przecież to nie ma sensu.

David zastanawiał się dłuższą chwilę nad odpowiedzią.

- Ta Edi, którą znałem, nie robiła niczego bez wyraźnego powodu i myślę, że chciała, żeby twoja Jocelyn odgadła ten powód.

- Nie zaczynaj od nowa. Ona nie jest „moją” Jocelyn. David nie przejął się nerwowym tonem głosu wnuka.

- Czytałeś listy Edi do Alexa?

- Listy? - spytał Luke, jakby w życiu nie słyszał o żadnych listach.

- Tak, listy. Alex i Edi korespondowali ze sobą przez całą wojnę i po jej skończeniu. Ramsey powinien je mieć.

Luke pomyślał chwilę. Jeśli Alex i Edi wysyłali do siebie listy, to Ramsey na pewno je czytał i zachował to w tajemnicy. Ramsey przekonywał do siebie Joce z wielkim entuzjazmem. Piknikowe koszyki, truskawki w czekoladzie, pytanie Tess o radę... Nagle pewne rzeczy zaczęły mieć sens. Mama Luka miała w zwyczaju często odwiedzać Alexa McDowella. Czy ona czytała listy? Czy ktoś uknuł plan, żeby połączyć ze sobą Joce i Ramsa?

Luke spojrzął na dziadka.

- A co z tobą?

David spojrział na kelnerkę i skinął, żeby przyszła z rachunkiem.

- Jak to, co ze mną?

- Listy - powiedział Luke. - Czy ty i panna Edi pisaliście do siebie listy?

- Przez jakiś czas - powiedział David ledwo słyszalnym głosem.

Luke gapił się na swego dziadka, gdy ten podpisywał czek i gdy podniósł się, gotowy do wyjścia, Luke wciąż siedział i wpatrywał się w niego.

David niechętnie usiadł z powrotem.

- No dobrze, wymieniliśmy kilka listów, ale... Luke uważnie przyglądał się twarzy dziadka.

- Babcia Mary Alice nic o nich nie wie, tak?

- Teraz już wie, ale kazała mi przysiąc, że je spalę, i to zrobiłem.

Twarz Luka zbladła.

- A czy przez przypadek nie zostały ci jakieś?

- Nie. Twoja babcia zapominała o wielu rzeczach, ale nie cierpiała być porównywana do Edi. Stała obok mnie, gdy każdy kolejny list lądował płomieniach.

Luke spojrział na swój talerz, a David milczał przez chwilę.

- Jednakże...

- Jednakże, co?

- Prawda jest taka, że te listy nie były zbyt interesujące. Wyliczała w nich jedynie miejsca, w których była, i co robiła w czasie wojny. Nie wdawała się w szczegóły, pisała powierzchownie. Ale historie, które wysyłała Alexowi... To już zupełnie inna para kaloszy.

- Masz na myśli listy, które ma Ramsey?

-Nie. Mówię o tych, które pisała, gdy leczyła oparzenia. Napisała Alexowi prawdę o tym, co się z nią działo w czasie wojny, opowiedziała mu też o mężczyźnie imieniem David, w którym się zakochała.

- Masz te opowiadania? - spytał Luke z błyszczącymi oczami.
  - Tak i nie - David przerwał na moment. - Wiesz jak Alex czuł się pod koniec życia. Przypadkowo zobaczyłem te opowiadania i myślę, że niektóre z nich zostały zniszczone. Mam wszystko, co znalazłem.
  - Gdzie one są?
  - W depozytowej skrytce, o której nie wie moja żona.
  - Kiedy możemy po nie jechać? David spojrzał na swego wnuczka.
  - Spotkajmy się jutro o dziesiątej w tym miejscu i pojedziemy do Richmond.
  - Musiałeś otworzyć tę skrytkę aż w Richmond?
  - Ciesz się, że nie otworzyłem jej w Nevadzie. Spotkamy się tu jutro i pojedziemy razem.
  - Już nie mogę się doczekać - powiedział Luke.
  - Nie pojedziemy razem na ryby, ale może uda nam się pojechać gdzieś samochodem - powiedział David, a Luke wiedział, że to aluzja do dziadka Joe. Nigdy dotąd Luke nie zastanawiał się nad tym, że dziadek David mógł być zazdrosny.
  - To może będziesz mógł mi doradzić, jak sprawić, żeby zadziorna dziewczyna zaczęła myśleć o mnie nie tylko jak o najlepszym koledze - powiedział Luke.
- W tym momencie przechodziły obok nich dwie piękne dziewczyny i na widok Luka zaczęły chichotać i trzepotać rzęsami.
- Nie sądzisz, że z tym problemem sam sobie dasz radę? Chodź, odprowadzę cię do furgonetki.
  - Przyjechałem innym samochodem.
  - Gdybym wiedział, że aż tak bardzo zależy ci na wyciągnięciu ode mnie informacji, kazałbym ci zapłacić rachunek. Powiedz, jak się czuje twój ojciec?
- Luke zaczął się śmiać.
- Pomaga właśnie rozwiązywać „babeczkowy kryzys”.



Gdy Luke chciał powiedzieć coś więcej, David powstrzymał go gestem ręki.

- Zachowaj to na jutro, powiesz mi, jak będziemy jechać. Nie będę dziś spał całą noc, czekając z wielką niecierpliwością.

- A ty będziesz mógł mi opowiedzieć o zerwanych zaręczynach z panną Edi.

Byli już na parkingu i nagle Luke popatrzył na dziadka z wielką miłością. Wiedział z doświadczenia, jak szybko ludzie odchodzą z tej ziemi.

- Nie patrz tak na mnie. Idź już! - rozkazał David. -Do zobaczenia jutro.

- Dziękuję - powiedział Luke, wsiadając do samochodu, ale wcześniej wyciągnął ramię i mocno objął swego dziadka.

## Rozdział 11

- Jeśli już nigdy nie zobaczę w swoim życiu babeczek, to i tak będzie za wcześnie - mruzczała pod nosem Sara, obracając w dłoni małe ciasto, na którym próbowała narysować różę za pomocą rękawa.

- A ja myślałam, że polubisz tę pracę - odezwała się Tess. Właśnie zdołała zrobić wielką, kremową stokrotkę.

- Tobie się podoba, bo to o wiele lepsze niż praca z prawnikami - odrzekła Sara. - Nie lubię tego bałaganu. Nie lubię tego zapachu i nawet nie lubię cukru.

- Nie musisz tu być - powiedziała Joce. Stała obok dużej i cudnej kuchenki gazowej, którą Jim, ojciec Luka, przywiózł jej cztery dni wcześniej. Przeszła już tak dużo, że można ją było nazwać weteranką.

- Idź! - powiedział Jim do Sary, gdy wszedł do środka z przedpokoju, a w rękach trzymał zakupy ze spożywczego. - Idź i szyj sukienki kobietom, które za dużo jedzą.

Sara wręczyła swoją babeczkę Tess i prawie wybiegła z kuchni.

Jim ocenił wygląd babeczek na stole i blacie, jakby był inspektorem rządowym.

- Zdałyśmy? - spytała Joce.

- Dla mnie wyglądają dobrze, ale myślę, że to Luke powinien je odrzucić albo przyjąć. On wie o kwiatach znacznie więcej niż ja.

Tess odłożyła na bok rękaw cukierniczy i przeciągnęła się. Niewiele ludzi wie, jak dużo mięśni pracuje, gdy się wyciska tłustą i ciężką masę cukrową z dużych rękawów przez małe otwory w nakładkach, żeby stworzyć dekoracje.

- Napiszę kryminał, w którym mordercą jest kobieta zajmująca się dekorowaniem ciast. Nikt jej nie podejrzewa, bo do popełnienia morderstwa ktoś użył ogromnej siły.

Kto by pomyślał, że pani dekorująca ciasta ma siłę dziesięciu mężczyzn, skrytą w przedramionach?

Jim podniósł babeczkę, która wyglądała jak biedronka. Powierzchnia była czerwona w czarne kropki, z czarną głową. Tess dodała białe oczka, czerwony nosek i lśniący biały uśmiech. Zrobiła też zielonego żółwia, który miał czekoladowe nóżki i głowę. Ale szczytem artyzmu był jasno-żółty, uśmiechnięty kurczaczek z zamkniętymi oczkami i małymi skrzydełkami podniesionymi do góry, co sprawiało wrażenie, jakby zaraz miał się unieść w powietrze.

- Musisz otworzyć swoją firmę - powiedział Jim, unosząc do góry babeczkę pokrytą różowymi i żółtymi kwiatuskami, z białymi środkami.

- Nie - powiedziała powoli Tess. - Jestem dobra jedynie w rozkazywaniu leniwym facetom. - Wzięła nieudekorowaną jeszcze babeczkę i popatrzyła na nią. - Jak sądzisz? Zrobić trzmiela?

- Myślę, że cokolwiek zrobisz, to i tak wyjdzie świetnie - odpowiedział Jim, spoglądając na Jocelyn, która precedzała porcję zmielonego szpinaku. Pracowali nad babeczkami już od kilku dni, a największą niespodzianką dla wszystkich był niesamowity talent dekoratorski Tess.

Pierwszego dnia Jim przejął dowodzenie. Gdy razem z Joce nie mógł znaleźć Luka w ogrodzie, pojechali do jego domu, żeby pożyczyć od niego pikapa. Jocelyn była ciekawa, gdzie mieszka Luke, ale widziała jedynie dom z zewnątrz. Był mały, ale za to miał dużą werandę i wyglądał pięknie. Nie wiedziała, czego właściwie się spodziewała, ale nie trzeba było eksperta, żeby ocenić wysoko wartość finansową domu. Miał podwójne okna z litego drewna, ozdobnie frezowanego. Dach wyglądał na pokryty dachówką. Gdy wyjrzała za róg, zobaczyła z tyłu wspaniały ogród.

Wtedy spojrzała na Jima i zobaczyła, że się jej przyglądał.

- Widzę, że nie byłaś tutaj wcześniej - powiedział, wstępując kod na pilocie. Drzwi garażu zaczęły się otwierać.

- Nie. A w mieście mówią, że byłam?

- W mieście to można usłyszeć wszystko. - Gdy drzwi garażu się otworzyły, powiedział. - Zabrał samochód.

- Luke ma samochód i furgonetkę?

Jim spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

- Pojechał pewnie do dziadka do Williamsburga.

- Myślałam, że jego dziadek zmarł.

- Tak ci powiedział?

- Tak - odpowiedziała uważnie Joce, gdy wsiadała do furgonetki. Czy był jakiś sekret dotyczący dziadka Luka?

- Podejrzewam, że pojechał do drugiego dziadka, ojca mojej żony.

- Och - powiedziała Joce i zamilkła. Tak jak podejrzewała, przed furgonetką stały trzy motory: ubłocona Honda, stary Indian i lśniące, czerwone Kawasaki. Gdy już siedziała w aucie, chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Luku, ale Jim nie był skłonny, żeby cokolwiek o nim opowiedzieć. Właściwie, to wyglądało na to, że nie chciał z nią rozmawiać o niczym, więc przez jakiś czas jechali w ciszy.

- Mógłbyś mi powiedzieć coś więcej na temat tego całego zamieszania z babeczkami?

- Nie wiem za dużo - powiedział Jim. - Luke powiedział mi, że chce, żebym zorganizował wielkie przyjęcie, na którym będziesz sprzedawała babeczki po trzy dolary dwadzieścia pięć centów każda, albo coś koło tego. Brzmi nieźle. Co będzie ci potrzebne do kuchni?

- Wszystko, co można zdobyć za darmo - powiedziała bez namysłu.

- A co byś powiedziała, gdybym załatwił ci kredyt z odroczeniem spłaty o osiemnaście miesięcy?

- Żeby uzyskać takie warunki, musiałbyś zaprzedać duszę diabłu.

Jim zachichotał.

- Komuś gorszemu niż diabłu, moja dusza należy do kompani węglowej - Jim zacytował słowa piosenki, a Joce odpowiedziała z uśmiechem:

- Czego się spodziewasz, jeśli załadujesz I6 ton? -Dziewczyna, która cytuje Tennessee Ernie Forda

jest zawsze w moim typie. Co powiesz na sześciopalnikową kuchenkę z grillem, wysokość sto dwadzieścia centymetrów?

- Jaką ma moc?

- Co najmniej 1600J.

- Wiesz co, jestem przekonana, że byłeś znakomity w swojej pracy. Pewnie łatwo namawiałeś kobiety na seks.

Zabrał ją do magazynu za Richmond i przedstawił chyba stu mężczyznom, których kiedyś sam szkolił i którzy wciąż go podziwiali. Jim kierował całym południowo-wschodnim rejonem Stanów Zjednoczonych i zawsze przekraczał swoje roczne normy sprzedaży o cztery procent.

Pomógł Jocelyn w wyszukaniu uszkodzonego sprzęt, z którego większość miała po prostu ledwo widoczną rdzę z tyłu, a żaden klient nie zapłaciłby całej kwoty za taki towar. Załatwił jej też ogromną bladożółtą zamrażarkę, model wycofany z produkcji.

- Wygląda jak masło - powiedziała.

- W tym tkwi problem - powiedział Jim. - W dzisiejszych czasach ludzie nawet nie chcą myśleć o maśle. Wolą myśleć o sałacie. - Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że się roześmiała.

Gdy wrócili do Edilean Manor, na drodze wjazdowej stały aż trzy samochody.

- Widzę, że moja żona ciężko pracuje, żeby się mnie pozbyć - powiedział Jim. - Może powinniśmy zacząć razem prowadzić firmę?

- A co mielibyśmy robić? - spytała.

-Jeszcze nie wymyśliłem, ale jak mi coś wpadnie do głowy, to dam ci znać.

- A co z Lukiem? Może moglibyście razem... -Pozabijalibyśmy się w ciągu pierwszego tygodnia.

On lubi pracować sam.

-Ale on przecież nie zarabia za dużych pieniędzy jako ogrodnik. Nie jestem z agencji nieruchomości, ale jego dom wygląda, jakby kosztował parę ładnych tysięcy.

- On potrzebuje czasu, żeby wylizać rany - powiedział Jim, wysiadając z furgonetki. - Wszystko będzie dobrze. On cię bardzo lubi, wiem to. Nie widziałem go tak mało nieszczęśliwego już od dłuższego czasu.

Jocelyn siedziała w furgonetce i obserwowała Jima, gdy szedł do jej domu. Nieszczęśliwy? Dlaczego Luke miałby być nieszczęśliwy? Nigdy jej się taki nie wydawał.

Kilka chwil później rudowłosa kobieta, którą spotkała dzień wcześniej, podeszła do swojej furgonetki i wyciągnęła z niej duży mikser. Joce wyskoczyła z pikapa Luka.

- Pomogę pani - wyciągnęła rękę i wzięła od kobiety drugie pudełko, które ta jej podała.

- Spotkałam cię w kościele, ale jestem pewna, że mnie nie pamiętasz. Jestem Mavis...

- Matka Kena.

-Zgadza się - powiedziała zadowolona. - Gdzie byliście z Jimem?

- Kupowaliśmy różne rzeczy. Wszystko powinno być tu na miejscu jutro.

- Ha! O ile znam Jima Connora, to wszystko może się tu zjawić w każdej chwili. Jest już na miejscu fachowiec, który podłącza przewody z gazem. Ty naprawdę chcesz otworzyć w Edilean sklep i sprzedawać babeczki w całych Stanach, wysyłając je pocztą?

Jocelyn musiała chwilkę odczekać, nim przetrawi wszystkie wiadomości.

- Na pewno nie chciałabym zajmować się pieczeniem babeczek do końca moich dni i nawet o tym nie myślę. Tak naprawdę, to chciałabym napisać książkę o historii Edilean.

Słyszałam o tylu przeróżnych tajemnicach, którymi mogę się podzielić z całym światem.

Mavis uśmiechnęła się lekko do Jocelyn, a potem pospiesznie udała się w stronę domu.

-Na twoim miejscu nie mówiłabym o tym nikomu, bo w przeciwnym razie możesz kiedyś znaleźć w babeczce arszenik - rzuciła przez ramię.

Joce poszła za nią do domu. Interesujące, pomyślała. Z pewnością dotknęła czułego miejsca taką uwagą.

Mavis miała rację. Całe wyposażenie, które zamówili, zjawilo się w domu jakieś dwie godziny później. Jim krzywił się i pytał, dlaczego aż tak długo zajęło im wykonanie tak prostej pracy.

-Czy oni świętowali, jak odszedł na emeryturę -szepnęła Joce do Tess.

- Tak naprawdę to płakali. Wydobywał z nich najlepsze cechy.

- Tak jak ty z prawników?

Tess wzruszyła tylko ramionami, bo zobaczyła, że zbliża się do nich Susan.

- Mogę wam w tym pomóc? Czasem mam dość papierkowej roboty. Robienie czegoś innego może być całkiem interesujące.

-Nie mam pojęcia, jak dużo rąk do pracy będzie potrzebne, ale podejrzewam, że będę potrzebowała każdej najmniejszej pomocy.

Dopiero później przekonała się, jak prawdziwa była jej wypowiedź. Na początku kilka kobiet z kościoła zatrzymało się, żeby zobaczyć, co się dzieje, i jedna z nich próbowała dekorować babeczki, ale gdy Jim i Tess zaczęli rozkazywać, wkrótce kobiety odeszły.

- Widzisz teraz, co muszę znosić - powiedziała matka Luka do drugiej kobiety, gdy wychodziły.

Na końcu w kuchni została Tess, Jocelyn i Jim. Jocelyn piekła babeczki i wkładała je do zamrażarki, a potem Tess

je dekorowała. Jim czuwał, żeby kobiety miały wszystko, czego potrzebowały i trzymał w gotowości miski i torebki. Tess wkrótce doszła do wniosku, że nie odpowiadają jej pergaminowe torebki, więc Jim wszedł na Internet i znalazł dla niej duże płócienne torby. Zamówili też tak dużo rękawów, klipsów, barwników i podstawek do robienia róż, że w końcu przesyłka przyszła w kwadratowym pudle szerokim na metr. Na spodzie znaleźli płytę z instrukcją obsługi wszystkich zamówionych rzeczy. Tess użyła swego przenośnego odtwarzacza i w mig wszystko załapała, tak jakby robiła to całe swoje życie. Wkrótce wszędzie były róże z masy cukrowej.

Drugiego dnia wieczorem zjawił się Ramsey z teczką pełną papierów i listą pytań do Tess. Niemal wszystkie z nich zaczynały się od: „Gdzie jest...?”

Tess formowała z masy cukrowej skrzydła motyla na pergaminie. Gdy już wyschły, zdjęła je z papieru, skleiła razem i położyła na babeczkach.

-Nie wiem - odpowiedziała Ramseyowi. - Poproś którąś z dziewczyn, żeby znalazły to, czego szukasz. Ukończyły już kurs czytania?

-Tess, to nie jest śmieszne. Mam jutro w sądzie sprawę o dziewiątej rano i nie mam pojęcia, co się stało z pisemnym zeznaniem.

- Czy ktoś je spisał? - spytała Tess, nie patrząc na niego. -Oczywiście, że tak. Jeśli zostało spisane z taśmy,

to na pewno... - przerwał. - Proszę, nie mów mi, że cały materiał jest wciąż na taśmie.

- Ja nie mówiłam dziewczynom, że mają to zrobić, więc jeśli ty też nie, to przypuszczam, że zeznanie wciąż jest na taśmie. Która zapewne jest jeszcze w odtwarzaczu. Mam nadzieję, że sprawdziłeś baterie. Upewniłeś się, że małe kółeczka w środku się obracają?

- Muszę już iść - powiedział Ramsey takim głosem, jakby zaraz miał zwymiotować. Gdy przebiegał obok Joce-



lyn, zatrzymał się, tak jakby przyszło mu do głowy, że powinien się zatrzymać i coś powiedzieć.

- Idź! - powiedziała. - Sprawdź ten odtwarzacz. Rób, co musisz zrobić.

Szedł pospiesznie korytarzem i krzyknął.

- Do jutra, Tess. Chcę cię zobaczyć w biurze jutro rano. Chcę, żebyś poszła ze mną do sądu. - Usłyszały jak zamyka za sobą drzwi.

Joce mieszała coś w rondlu i odwróciła się do Tess.

- Nie chciałabym cię stracić za żadne skarby, ale jeśli musisz wrócić do pracy...

- Nie zamierzam wracać do biura, dopóki Ramsey i jego wspólnicy nie zaoferują mi podwyżki.

- I samochodu służbowego - powiedział Jim, stojąc w drzwiach.

- I nowej kuchni - powiedziała Jocelyn, a potem spojrzała na Tess. - No dobrze, bez nowej kuchni. A może w takim razie służbowa karta kredytowa i czterotygodniowe, opłacone wakacje?

- To mi się podoba - powiedziała Tess, podnosząc do góry słodkiego, babeczkowego trzmiela. - A może się zwolnię i zajmę się tym.

Żartowała, ale Joce i Jim popatrzyli na siebie z uniesionymi brwiami.

Była godzina czwarta popołudniu, dzień przed przyjęciem, a Joce była już tak zmęczona, że ledwo trzymała się na nogach.

- A co będą jeść dorośli? - spytał Jim.

- Myślałam, że dla nich będzie jakiś posiłek i coś do jedzenia.

- Tak - powiedział Jim. - Viv zamówiła dla nich catering, ale może powinniśmy zrobić i dla nich babeczki? Albo ciastka? Na pewno cieszyliby się, gdyby mogli zjeść coś, co nie będzie miało kilkucentymetrowej warstwy masy cukrowej.

- A może jadalne kwiaty?

Cała trójka odwróciła się i zobaczyła w drzwiach Luka, który trzymał w dłoniach wielkie, drewniane pudło pełne kwiatów.

- Gdzie ty byłeś? - rzuciła Joce. - Nie widziałam cię od kilku dni. Co robiłeś?

Każdy spoglądał to na Luka, to na Jocelyn, ponieważ w jej głosie niemal słychać było złość.

- Dobrze wiedzieć, że ktoś za mną tęsknił - powiedział spokojnie, stawiając pudło na rogu stołu.

- Przepraszam, ja... - Jocelyn nie wiedziała, co ma powiedzieć, tak była zażenowana swoją reakcją. - Chodzi o to, że potrzebowaliśmy twojej pomocy i tyle.

- Z tego, co słyszałem, cała wasza trójka doskonale sobie radzi. Więc, tato, które dekorowałaś?

- Mhh! - mruknął Jim. - Ja jestem tu kierownikiem. Więc gdzie byłeś? U ojca matki, w jego bogatym domu na partyjce golfa?

Luke popatrzył na Jocelyn. - I jak tu nie kochać rodziny?

- Twoją tak, mojej nie - powiedziała szybko, co sprawiło, że Jim zaczął chichotać.

- Mógłbyś zabrać to brudne pudło daleko od babeczek?

- Nie jest brudne - odpowiedział Luke. - Właściwie...

- Wyjął piękny kwiat nasturcji i zjadł go. - Te kwiaty są nie tylko czyste, ale też jadalne.

Jocelyn spojrzała na niego z otwartymi oczami.

- Kwiaty - wyszeptwała. - Lubię smażone kwiaty cukinii.

- Dokładnie - powiedział Luke, uśmiechając się do niej.

- Czy to jakieś jankeskie wymysły? Smażone kwiaty?

- spytał Jim. - A nas, Południowców, oskarża się, że za dużo rzeczy smażyliśmy.

- Obędzie się bez smażenia - powiedział Luke. - Ozdobimy nimi babeczki i ciastka dla dorosłych. - Patrzył intensywnie na Joce, jakby chciał jej coś przekazać telepatycznie.

- Nie zrobiłeś tego!

- Zrobiłem. W furgonetce.

- Czy my mamy zgadywać, co wy dwoje robiliście w furgonetce? - spytała Tess, ale Jocelyn już zdążyła wybiec za drzwi, a Luke tuż za nią.

Cała czwórka stanęła z tyłu auta Luka, a on odwiązał plandekę. Pod nią stały dwa trzydziestopięciolitrowe koszyki, w których znajdowały się dwie plastikowe torby pełne suszonych, purpurowych gałązek.

Joce przez moment zaniemówiła, a potem odezwała się:

- Będę potrzebowała...

Luke odsunął plandekę dalej i ich oczom ukazał się biały, marmurowy moździerz, który miał trzydzieści sześć centymetrów obwodu, a w jego środku był duży tłuczek.

Joce wydała okrzyk radości i spontanicznie rzuciła się Lukowi na szyję.

-Zrobiłeś to! Jesteś cudowny! Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Tess i Jim cofnęli się, obserwując ich dwoje.

-Lepiej zacznij robić listę gości na wesele - Tess szepnęła Jimowi do ucha, ale on nic nie odpowiedział. Zmarszczył jedynie czoło.

- No dobrze - powiedział. - Czy któreś z was może mi wyjaśnić, co to ma być? Wygląda to jak sprzęt dla Merlina. Zamierzacie zamienić to wszystko w złoto?

Nagle Joce zawstydziała się, gwałtownie puściła Luka i cofnęła się o krok.

- Znalazł lawendę, a to jest moździerz i tłuczek do jej zmielenia. Mogę teraz upiec moje lawendowe ciasteczka. Są doskonałe na południowe herbatki.

- Brzmi świetnie! - powiedziała Tess z entuzjazmem. - Kiedy my... - przerwała, gdy spojrzała na Jima. - Brzmi

naprawdę cudownie, ale lepiej pójdę zobaczyć, w czym mogę pomóc Ramseyowi. Jeśli nie znajdzie tej taśmy, przegra sprawę. Powinnam mu pomóc.

- A ja jestem wykończony - powiedział Jim. - Jestem już za stary na takie rzeczy. Przyjadę juro rano, żeby przewieźć wszystko do Viv, więc nie śpij zbyt długo. - Popatrzył znacząco na swojego syna.

Jim wyjął kluczyki do samochodu z kieszeni i odjechał, a Tess poszła do swego mieszkania.

Gdy byli już sami, Luke zapytał:

-Co my takiego powiedzieliśmy? A może powinienem wziąć prysznic.

- Przestałam się wysilać, żeby zrozumieć to miasteczko, już w pierwszej godzinie pobytu. Chodźmy do środka i wszystko mi opowiesz. A tak przy okazji, robisz mi ziołowy ogródek za darmo. A może twój ojciec za niego zapłaci.

- Ten dusigrosz! Nigdy. Co ci powiedział, że mam pracować za darmo?

- Byłam grzeczna. Twój ojciec uwielbia słowo *tak*.

- Użyłaś przy nim tego słowa? - spytał Luke z jękiem. - Gdy miałem sześć miesięcy, moja mama i ja zawarliśmy pakt, że nigdy, przenigdy nie powiemy mu tego słowa i dotrzyaliśmy przyrzeczenia. Proszę, powiedz mi, że tego nie zrujnowałaś.

- Sześć miesięcy - powiedziała z uśmiechem, idąc do kuchni. Każdy jej skrawek był pokryty bajecznymi babeczkami. Były na nich kwiaty, owady i zwierzątka. Ponad tuzin z nich miało rysunki butów na wysokim obcasie i sukienek.

- Niech zgadnę - powiedział Luke. - Sara je zrobiła.

- Słusznie. Chciała, żebym zrobiła kilka ciastek w kształcie wysokich obcasów, ale zajęłoby to zbyt dużo czasu.

-A kto robił te? Ty? - Podniósł do góry babeczkę z twarzą brązowo-białego szczeniaczka.

- Tess.

- Tess? - spytał Luke. - Tess, która pracuje dla Ramseya? Tess, która gardzi tym, co piękne lub sentymentalne?

- Właśnie ta. Myślę, że chce otworzyć jakiś interes z twoim tatą.

Luke usiadł na krześle i wpatrywał się w Joce.

- Mój ojciec i Tess? Ale przecież każde z nich to typ szefa. Lubią mówić ludziom, co i jak mają robić. Mój tata nigdy nie lubił pracować z ludźmi, którymi nie mógł rządzić. A Tess wcale nie jest lepsza. Kieruje biurem Ramseya, jakby to ona była kapitanem okrętu.

Joce wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, w jaki sposób udaje się im razem pracować, ale to robią. Powinieneś ich zobaczyć razem w akcji. Są jak maszyna. Gdy Tess kończy się niebieska masa cukrowa, nie mówi nic, ale następnym razem, gdy po nią sięgnie, twój ojciec zdąży ją napełnić.

- Mój tata? Robi masę cukrową?

-I napełnia nią wielkie rękawy do dekoracji. Pierwszego dnia spędzili prawie dwie godziny, zamawiając przez Internet ogromne ilości rękawów, toreb i... całej reszty.

- Szkoda, że tego nie widziałem.

- Więc gdzie się podziewałeś? - spytała Joce, smarując papierowe foremki masłem.

- Pozwól mi to zrobić - powiedział Luke. - Nie chcę, żeby mój tata się za mnie wstydził. - Mył sobie ręce przy zlewie i patrzył na babeczki rozłożone na blacie. Były naprawdę śliczne i wyglądały profesjonalnie.

- Czekam - powiedziała Joce.

- Przepraszam, wciąż zatrzymuję na czymś swój wzrok.

- Nie o to chodzi, czekam, aż mi powiesz, gdzie byłeś.

- Tak, mamciu... - powiedział. Ale Joce nie uśmiechnęła się. - Pokaż mi, jak się to robi.

Joce pokazała mu, jak się używa miski i łopatkki, żeby napełnić foremki. A potem, jak wstawić blachę do pieca i nastawić czasomierz.

-Musimy powkładać wszystkie do pudełek, które przywiózł twój ojciec, i w tym czasie możesz mówić.

- Jak sądzisz, dlaczego panna Edi nie powiedziała ci nigdy o Edilean?

-Nie wiem - powiedziała Joce i usłyszała w swym głosie cierpienie. - Powiedziała mi tak dużo na temat swego życia. Mogłabym napisać książkę o latach, które spędziła z dr. Brennerem, a pominęła zupełnie historię o miejscu, w którym wyrosła.

-Nic ci nie mówiła o swoim dzieciństwie?

-Powiedziała, że dorastała w małym miasteczku na południu i to wszystko. Mówiła, że jej życie zaczęło się naprawdę dopiero, gdy spotkała Davida. I dopóki nie zjawiłam się tutaj, sądziłam, że David zginął w czasie II wojny światowej, ale Sara powiedziała, że ją porzucił. Panna Edi wróciła z wojny z nogami pokrytymi bliznami, a mężczyzna, którego kochała, był już żonaty z jakąś zdziwą, z którą zaciążył.

- Można i tak na to spojrzeć - powiedział Luke, napełniając pudełko tuzinem babeczek.

- Co to znaczy? To zabrzmiało, jakbym powiedziała coś strasznego. Powtarzam tylko to, co usłyszałam.

-Stare dobre Edilean pełne plotkarzy. Gdzie mam to położyć? - Podniósł do góry napełnione babeczkami pudełko.

-Myślę, że możemy je ustawić w przedpokoju. Potrzebuję miejsca, żeby tu wstawić moździerz, chcę już zacząć mielenie.

- Wiesz, że są urzędnicy, które mogą same to zrobić?

- Tak, ale kto takich potrzebuje. Na pewno nie ja. Zauważyła, że Lukowi podobała się ta odpowiedź,

bo zaniósł pudełko do przedpokoju i wrócił stamtąd z wielkim moździerzem i tłuczkiem, a potem przyniósł koszyk z lawendą.

- Myślę, że masz mi coś do powiedzenia, ale się wahasz - powiedziała Joce. - Wyrzucić to z siebie.

- Gdybyś mogła wybrać sobie pracę, gdziekolwiek na świecie, to co byś wybrała?

- Pisałabym biografie - powiedziała bez namysłu. Luke spojrział na nią zaskoczony.

- Gdy byłam jeszcze w college'u, panna Edi powiedziała, że jej przyjaciółka chce napisać biografie swojej praciotki sufrażystki. Nie miała jednak pojęcia, gdzie i czego ma szukać. Nie wiedziała nawet nic o materiałach źródłowych.

- Materiałach źródłowych - powiedział Luke, umieszczając kolejne babeczki w pudełku. - Listy, niepublikowane dokumenty, coś w tym rodzaju?

-Dokładnie. Spędziłam z tą kobietą tydzień wiosennej przerwy semestralnej na myszkowaniu w starych kufrach i przetrząsaniu strychów u kilku krewnych.

- Napisała w końcu tę książkę?

-I tak, i nie - powiedziała Joce, wyjmując w tym czasie babeczki z piekarnika. - Napisała ją, ale nie znalazła wydawcy, więc książka krążyła wśród jej krewnych, ale to nie miało dużego znaczenia. Cudownie było przeszukiwać stare rzeczy i dowiadywać się coraz więcej o tej osobie. Ta kobieta dowiedziała się, że jej prababcia zapraszała po prostu sufrażystki na herbatkę do domu, ale gdy jej mąż dowiedział się o wszystkim, spotkania się skończyły. Mimo tamtego niepowodzenia, nadal uwielbiałam to robić. Potem panna Edi zachęciła mnie, żebym napisała listy do kilku wydawców i dostałam pracę u niektórych, pomagałam szukać materiałów do pisania książek. Nie miałam z tego za dużych pieniędzy, ale za to moja radość była ogromna.

- Więc o kim chciałabyś napisać?

- Ja... - Jocelyn zawahała się, jakby zbierała odwagę, żeby mu powiedzieć. - Myślałam o napisaniu książki o pracy panny Edi z dr. Brennerem. Zmarł kilka lat temu, ale jego żona wciąż przechowuje listy, które pisał do niej,

i powiedziała, że z przyjemnością mi je wypożyczy. Ale ona myśli, że ja chcę pisać o jej mężu, nie o jego asystentce. To może być przeszkodą.

- A co byś zrobiła, gdybym ci powiedział, że mam początek historii o doświadczeniach panny Edi z czasów wojennych, napisany przez nią samą, a dostałem go od Davida, o którym myślisz, że ją porzucił?

- Co proszę? - Jocelyn spojrzała na niego znad moździerza. - Czy ten dupek napisał jej list pożegnalny, gdy leżała w szpitalu z poparzonymi do kości nogami?

Luke musiał przełknąć ślinę i poczekać chwilę, nim się odezwał.

- Okay. Najpierw musimy sobie coś wyjaśnić. Musisz przestać powtarzać kłamstwa, które opowiada to miasto. Ten David, o którym myślisz, że porzucił pannę Edilean Harcourt, jest moim dziadkiem, a zdzira, z którą zaciążył, jest moją babcią, która urodziła moją mamę.

- Och - powiedziała Jocelyn, opadając ciężko na krzesło. - Twój dziadek zalecał się do niej gorliwie, a potem...

-Zanim powiesz coś więcej, myślę, że musisz wiedzieć, że był drugi David, który zginął w czasie II wojny światowej.

- Drugi David? - wyszeptała Joce. - Panna Edi była zakochana w dwóch Davidach.

- Ostatnie kilka dni spędziłem z moim dziadkiem i...

- On żyje? David panny Edi żyje?

- Jak najbardziej. I wciąż jest żonaty z Mary Alice, i wciąż za sobą szaleją, i dał mi pierwszą część historii, którą panna Edi wysłała swojemu przyjacielowi. Nie czytałem jej jeszcze, ale mój dziadek powiedział, że dowiemy się, co się z nią działo w czasie wojny.

Jocelyn była tylko w stanie na niego patrzeć.

- Jeśli nie zaczniesz mieć lawendy tą maszyną, to będziemy tu siedzieć całą noc i nie upieczemy tych ciastek.

- Chcę zobaczyć tę historię teraz - wyszeptała Joce.



- Nie - powiedział stanowczo Luke. - Jeśli ja mogłem poczekać z jej przeczytaniem, to ty również. Najpierw skończymy całą pracę, zarobimy trochę pieniędzy, a potem przeczytasz mi ją na głos, gdy będę robił ziołowy ogródek.

Jocelyn wstała powoli i zaczęła znowu mielić lawendę.

- Chcę wiedzieć wszystko, co ty wiesz. Nie możesz niczego zostawić dla siebie.

- Nie jest tego wiele, a poza tym musiałem grać z dziadkiem Davidem w golfa, żeby dowiedzieć się nawet tego, co wiem teraz. Nienawidzę golfa.

- Za to uwielbiasz łowić ryby.

- Nie chcę tego znowu słyszeć! - Luke prawie to wykrzyczał, a potem dodał. - Przepraszam. Nasłuchałem się już o tym przez ostatnie kilka dni od zazdrosnego dziadka.

- Więc czego się dowiedziałeś? Luke przez chwilę nic nie mówił.

- Dlaczego to jest takie istotne dla ciebie?

- Nie wiem - powiedziała powoli. - Czasem mam wrażenie, że całe moje życie było kłamstwem. Ale nawet, jeśli było prawdą, to i tak go nie rozumiem. Nim poznałam pannę Edi, miałam dziadków. Mój dziadek mógł godzinami opowiadać mi o mojej mamie, ale on nie wybielał swoich opowiadań. Mój dziadek traktował mnie jakbym była dorosła. W każdym razie moja mama spędziła swoje życie w prywatnych szkołach. Umiała grać na pianinie na tyle dobrze, że mogła występować. Była piękna, inteligentna i znana. Miała całe tuziny wielbicieli, ale odrzucała każdą propozycję małżeństwa i moja babcia myślała już, że jej córka nigdy nie wyjdzie za mąż. Ale wiesz co zrobiła?

- Nie mam pojęcia.

- Zakochała się do szaleństwa w mężczyźnie, który pracował jako złota rączka w miejskim klubie, do którego należeli moi dziadkowie. Porzucił on szkołę w dziesiątej klasie i nigdy nie otworzył już książki. Mieszkał w rozwalającym się pokoju z jednym łóżkiem i każdego centa wyda-

wał na motory. Moi dziadkowie zrobili wszystko, co tylko przyszło im do głowy, żeby wybić jej z głowy tego mężczyznę, ale moja matka powiedziała, że ucieknie z domu, jeżeli nie dadzą jej błogosławieństwa i miejsca do mieszkania.

Jocelyn przerwała na chwilę, odmierzyła łyżkę zmielonej lawendy i zaczęła szyc pozostałe składniki do lawendowych ciastek.

- W tym czasie moja matka miała już trzydzieści trzy lata i jej rodzice wiedzieli, że ma swoje własne zdanie. Poddali się i udawali, że są zachwyceni, że ich piękna córka wychodzi za mąż za majster-klepkę. Zachowywali się tak, jakby nie mieli nic przeciwko temu, że nowożeńcy wprowadzili się do ich domu. Mój dziadek załatwił ojcu pracę w jego agencji ubezpieczeniowej i tata chodził codziennie do pracy, ale ani trochę nie mógł się w niej odnaleźć. Jednak bardzo kochał moją matkę.

-I to się liczyło - powiedział Luke.

- Tak, ale wciąż... Moi dziadkowie nigdy nie powiedzieli złego słowa na mojego ojca, ale wiedziałam, co o nim myślą. W każdym razie urodziłam się cztery lata po ślubie moich rodziców, a pięć lat potem moja mama zmarła na tętniaka. Gdy miałam dziewięć lat, moi dziadkowie zginęli w wypadku samochodowym i...

- I zostałaś sama ze swoim ojcem.

- Tak - powiedziała, spoglądając na ciastka. - A on wrócił do swoich starych zajęć. Na zawsze porzucił krawaty. Nigdy już nie szukał stałej pracy od dziewiętej do siedemnastej. Moi dziadkowie zostawili mi dom, a niewielką ilość pieniędzy zarządzał prawnik rodzinny. Gdy miałam dwanaście lat, pieniędzy już nie było. - Jocelyn uśmiechnęła się. - Ale w tym samym czasie spotkałam pannę Edi i w ten sposób samotność zniknęła z mojego życia w dużej mierze.

- Dobrze - powiedział Luke po chwili. - Potrafisz gotować i słuchać?

-Pytasz mnie, czy mogę robić ciasteczka i słuchać historii panny Edi?  
Masz ją ze sobą?

- Mam pierwszy rozdział.

- Czy to jest napisane w formie książki?

-Tak sędzę - westchnął Luke. - Nie żartowałem, gdy mówiłem ci o zazdrości mego dziadka Davida. On był lekarzem, więc znał wszystkich i zawsze był otoczony ludźmi. Gdy pojechaliśmy do dziadka na Święta Bożego Narodzenia, połowa miasteczka ustawiała się do niego w kolejce, żeby mu pokazać odcisk albo krostę, mając nadzieję na darmową poradę medyczną.

- A ty byłeś samotnikiem, więc trzymałeś się daleko od tłumów - stwierdziła Joce.

-Dokładnie. Więc teraz, gdy dziadek Joe nie żyje, a dziadek David jest na emeryturze, chce...

- Chce, żebyś spędzał z nim więcej czasu?

- Zgadza się - potwierdził Luke - i dlatego nie było mnie przez ostatnie kilka dni. Babcia Mary Alice też miała mi kilka rzeczy do powiedzenia, więc...

- Więc zaszantażowali cię, żebyś został w ich domu i coś dostałeś w zamian. Ile przytyłeś?

-Nic. Musiałem spędzać czas na polu golfowym, nosząc dziadkowi torbę z kijami. Ważyła koło siedemdziesięciu kilogramów.

- Więc co za to dostałeś?

Luke wstał, poszedł do swojej kurtki, którą rzucił na krzeselko, i wyjął z kieszeni gruby plik papierów, zgięty w połowie. Papier był stary i pożółkły, a brzegi kartek podniszczone.

Jocelyn usiadła naprzeciwko niego z miską pełną ciasta w kolorze lawendy.

- Czy to jest ta historia?

- Pierwszy rozdział. Zdaje się, że panna Edi opisała całą historię i wysłała do swego przyjaciela Alexandra McDowella, gdy leżała w szpitalu i leczyła poparzenia.

- Tego samego, który potem powierzył jej swe pieniądze. Tego, który miał u niej dług wdzięczności za coś, ale nikt nie chce nam powiedzieć za co. Dużo ludzi czytało ten dokument?

- Nie sądzę. Wujek Alex dał zapisane kartki mojemu dziadkowi dawno temu. Dziadek je przeczytał i od tamtej pory leżały w skrytce depozytowej w Richmond.

Przyglądała się kartkom, które trzymał Luke, i jednocześnie mieszała lawendowe ciasto.

- A gdzie jest reszta?

Mój ukochany dziadek zamierza mi je dawać po jednym rozdziale. Myślę, że będę musiał pograć z nim więcej w golfa.

- Albo możesz z nim jechać na ryby - powiedziała. - Albo na przejażdżkę jednym z twoich motorów.

- Skąd...? Aaa, pożyczyciście ode mnie furgonetkę. Jak tylko będziesz się chciała przejechać, daj mi znać.

- Pewnie - powiedziała, a on zdawał się nie słyszeć wahania w jej głosie.

- Ty czytasz, a ja robię ciasteczka. - Gdy tylko otworzył usta, żeby coś powiedzieć, rzuciła. - Zaczekaj chwilkę! Przyszła mi do głowy pewna przerażająca myśl i chcę ci zadać pytanie.

- Już mi się to podoba.

- Pewnego razu, na jedno z dobroczynnych przyjęć panny Edi, zrobiłam babeczki z margerytek. Dodałam trochę tequili do ciasta i polałam lukrem z limonki z tequillą. Myślisz, że mogłabym zrobić takie coś na przyjęcie do Viv?

- Masz wszystkie składniki?

Otworzyła dolną szafkę, przesunęła na bok stertę papierowych torebek i ich oczom ukazały się dwie butelki tequili i duży worek limonek.

- Nie wiedziałam, jak twój ojciec zareaguje, więc poprosiłam Tess, żeby je dla mnie przemyciła.

-Nie powiemy nikomu. Nazwiemy je limonkowe babeczki i nie piśniemy słówkiem. Może nalejemy sobie po łyżku, co?

Uśmiechając się, postawiła na stole dwie szklaneczki z tequilą w środku i podała mu jedną.

- Gotowa? - spytał.

- Myślę, że tak.

Luke rozłożył kartki i zaczął czytać.

## Rozdział 12

LONDYN, ANGLIA 1944

- Clare! - wrzeszczał kapitan Owens na jednego ze swoich sierżantów, który oparł się o dżipa i gapił się gdzieś w dal. Gdy nie reagował, machnął mu ręką przed oczami, ale nie było żadnej reakcji. - Co do cholery się z nim dzieje? - spytał, spoglądając na kaprała, który stał po drugiej stronie dżipa.

- Ona - powiedział kapral Smith, sięgając jednocześnie po papierosa, który David Clare trzymał w ustach. Dopalał się już i niedługo mógł go poparzyć.

- Kto? - spytał niecierpliwie kapitan. Czasem wydawało mu się, że ci faceci nie zdają sobie sprawy, że toczy się wojna.

Kapral zaciągnął się ostatni raz papierosem Clare'a, a potem skinął głową na duży budynek przed nimi. Kiedyś był piękny, a teraz zniszczony w jednej czwartej. Na jego schodach stał generał Austin, mały jak buldog mężczyzna, który, jak się wydawało, sądził, że wszystkie słowa powinny być wypowiedane tak szybko, zwięźle i tak głośno, jak to możliwe. Był znany z tego, że jego rozkazy wyciskały łzy z oczu dorosłych mężczyzn. Żołnierze grali w grę, którą nazwali „Gorsze niż Austin”. Pierwsza linia frontu, czy piętnaście minut sam na sam z Austinem? Tortury czy Austin? W ostatnim roku wojny upowszechniło się powiedzenie. „Lepsze niż Austin”. Używali go, gdy szli do ataku.

- To lepsze niż Austin - mawiali, nim włożyli bagnet na broń i przystąpili do ataku.

Niski i korpulentny generał wydzierał się na trzech młodych oficerów, a sierżant Clare wpatrywał się w niego, jakby był w transie.

- Austin? - powiedział zdegrustowany kapitan. - Sparaliżowało go, bo zobaczył Austina? O cholera! Niech ktoś inny wozi tego drania. Clare! Chodź ze mną.

Sierżant Clare nawet nie drgnął.

- Nie on - powiedział kapral Smith. - *Ona*\ Kapitan Owens odwrócił się w momencie, kiedy „ona”

wyszła zza kolumny i wtedy się uśmiechnął. No tak, *ona*. Panna Edilean Harcourtr, sekretarka generała. Nietykalna. Kobieta, której pożądała chyba cała armia, ale żaden mężczyzna nie mógł się do niej zbliżyć. Mówiono, że podobno jej nogi mają prawie metr długości i dużo się dyskutowało, co mężczyzna mógłby z takimi nogami zrobić.

Pomijając wszystkie żołnierskie fantazje, prawda była taka, że żaden mężczyzna nie dostał niczego więcej poza uśmiechem od panny Edilean Harcourt, ale wciąż nie brakowało śmiazków. Mężczyźni różnego pokroju próbowali na niej przeróżnych sztuczek. Poczynając od Anglika, wysławiającego się niemal tak wytwornie, jak członek królewskiego rodu, po amerykańskiego żołnierza, który wychował się w slumsach w Los Angeles.

Kwiaty, słodczyce, wiersze miłosne, nylonowe pończochy, a nawet baner z napisem „Panno Edi, kocham Cię”, rozwieszony na budynku w jedną noc, nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia.

Mężczyźni, którzy znali już całą sytuację, mieli niezły ubaw z tych, którzy dopiero przyjechali i po raz pierwszy zobaczyli pannę Edilean Harcourt. Była o trzydzieści centymetrów wyższa od generała i biło z niej arystokratyczne piękno. Mężczyźni nie spuszczaali z niej oczu. Nowi żołnierze powtarzali najczęściej:

- Ona jest boginią.

Kiedy nowy zaczynał właśnie w taki sposób patrzeć na nią, pozostali żołnierze zakładali się między sobą o to, ile dni minie, nim nowy spojrzy na pannę Edi zrezygnowany i o to, co ten biedy nieszczęśnik zrobi, żeby ją zdobyć.

Wiedzieli, że generał zachowa czekoladki przesłane dla niej, a kwiaty wyrzuci za okno. Dostawał wtedy białej gorączki. A jeśli chodziło o pończochy, to wszyscy wiedzieli, że kobiety w biurze generała Austina nosiły nylony pierwszej jakości.

Teraz kapitan Owens na chwilę zamknął oczy i potrząsnął głową. Kolejny oczarowany nią mężczyzna.

- Jak długo jest w takim stanie? - spytał kaprała.

- Od wczoraj. Myślę, że nie spał całą noc, leżał, gapiąc się w sufit.

-Cudownie - powiedział kapitan z sarkazmem. -Tylko tego mi potrzeba. Przysłali tu Clare'a jako kierowcę generała Austina. Przewiózł jakiegoś innego generała ostrzeliwany przez nieprzyjaciela i nawet okiem nie mrugnął. Jest mianowany do jakiegoś medalu i Austin chce go mieć.

Kaprał spojrzał na Davida Clare'a. Był wysokim, młodym mężczyzną, o włosach ciemnoblonde, niebieskich oczach i wciąż trwał w martwej ciszy, wpatrując się w kobietę przy wyjściu z budynku naprzeciwko.

- Patrząc na niego, można by powiedzieć, że już mu odbiło na jej punkcie.

- Tak jak nam wszystkim, ale ona pewnie go podepcze.

- Rozumiem, kapitanie - powiedział kaprał. - Woli pan być zimny jak Królowa Śniegu.

- Lepsze to, niż wspomnienie róż, które ukradłem ze spalonego domu, a potem dostałem nimi w twarz od starego Austina o twardym sercu.

- Rozumiem, kapitanie.

- A jak było z tobą? - spytał kapitan, który, opierając się o dżipa, wyjął papierosy i poczęstował nimi kaprała.

-Jedwab do wyrobu spadochronów - powiedział kaprał, odpalając papierosa kapitanowi, a potem sobie. -Ukradłem go kwatermistrzowi. Mogłem stanąć za to przed



sądem wojskowym - dodał, a potem spojrzał szybko na kapitana.

- Nie martw się. Nikt nie pisze raportów, jeśli chodzi o przestępstwa dla panny Harcourt.

Palili w ciszy papierosy, oparci o dżipa, a między nimi stał nieruchomo Clare'a. Po jakimś czasie generała Austina najwyraźniej znudziło wydzieranie się na oficerów i zaczął schodzić schodami w dół. A za nim panna Harcourt, jak zawsze. Stanowili całkiem niedopasowaną parę, ona wysoka, szczupła i elegancka, on - niski, gruby i zwyczajny. Podobno, gdy miał szesnaście lat, sędzia postawił go przed wyborem: więzienie albo armia. Mówiono też, że generał powiedział, że armia jest prawie jak wojna gangów, z wyjątkiem lepszego jedzenia i możliwości awansu. Cokolwiek zrobił, żeby zdobyć to, co osiągnął, było pewne, że sztukę wojenną miał opanowaną do perfekcji.

Kapral i kapitan wpatrywali się w generała z wielką uwagą, gdy zbliżał się w ich kierunku, a kapitan odciągnął sierżanta Clare'a na bok. Austin mógł oskarżyć najbliższą stojącą osobę o to, że Clare nie funkcjonuje normalnie - co oznaczało, że wypadłoby na kapitana Owena.

Jednak nie docenił sierżanta Clare'a. Gdy generał podszedł, sierżant powrócił do świata żywych i otworzył mu drzwi.

Co by nie mówić o generale Austinie, to był jednak uprzejmy dla panny Harcourt. Nim ona się pojawiła, wszystkie jego sekretarki były zmieniane co trzy miesiące. Kilka młodych kobiet odesłano do domów z powodu zszarganych nerwów. Mężczyźni mówili:

-Nie boją się bomb, za to Austin zapędził je do szpitala.

Panna Harcourt została mu przydzielona ponad rok wcześniej. Wśród żołnierzy krążyła historia, którą opowiadali nowo przybyłym, gdy ci zdążyli się już zorientować, że ich kwiaty i słodczyce nie skutkują, o tym, jak generał po raz

pierwszy krzyknął na pannę Edi. Nikt nie znał całej opowieści, ale podobno wyprostowała się, spojrzała na niego spod nosa i powiedziała, że chce z nim porozmawiać na osobności.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, wszyscy przyłożyli do nich uszy, żeby coś usłyszeć, ale panna Harcourt mówiła ściszym głosem. Udało im się usłyszeć jedynie słowa *tyran, nie waź się już nigdy tak mówić i szacunek*.

W ciągu ubiegłego roku słowa te zostały podkoloryzowane i opowieść urosła do rozmiarów legendy. Powtarzano, że gdy panna Harcourt spotkała panią Austin po raz pierwszy, przytuliła ją mocniej niż swego męża, ale też bardziej dbała o jej wygody niż swego męża.

Jakakolwiek byłaby prawda, generał Austin traktował pannę Harcourt z wielką kurtuazją. Usiadł na miejscu pasażera z tyłu i czekał cierpliwie, aż ona zajmie miejsce po prawej stronie kierowcy. Gdy sierżant wszedł do środka, wręczyła generałowi teczkę.

- Może pan chce to przeczytać - powiedziała. Kapitan i kapral przyglądali się, jak stary mężczyzna posłusznie wziął teczkę i otworzył ją.

-Posłuchaj - powiedział kapitan, tak żeby tylko sierżant Clare mógł go słyszeć. - Równie dobrze możesz się od razu poddać. Nie zdobędziesz jej.

Sierżant Clare popatrzył na kapitana wzrokiem mówiącym, że nikt dotąd jej nie zdobył, bo *on* nie próbował.

Sierżant Clare odpalił dżipa i jechał, mijając pojazdy i otaczających ich ludzi.

- Skąd jesteś? - spytał panny Harcourt.

- Myślę, że powinien pan patrzeć na drogę.

David musiał skrócić kilka razy kierownicą, żeby uniknąć zderzenia z ciężarówką i wjechał między mężczyznę i dwie ładne dziewczyny. Nie przejął się tym, że prawie przejechał po stopach mężczyzny, a bok dżipa musnął spódniczki dziewczyn. Mężczyzna pogroził mu kulą i krzyknął na niego, a obie dziewczyny zachicho-

tały. Generał wychylił tylko głowę zza papierów, które niby czytał, i uśmiechnął się złośliwie. Niczego nie lubił bardziej, niż przyglądanie się mężczyźnie, który robił z siebie idiotę przy jego sekretarce.

- Z południa - powiedział David. - Słyszę to po twoim głosie.

Edi nie siliła się nawet na odpowiedź.

- Więc gdzie na południu? - naciskał David. - Luizjana? Nie, za daleko na południe. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i w tym samym czasie ominął dużą dziurę w ziemi. - Nie, nie potrafię sobie wyobrazić ciebie przy stole pełnym ugotowanych krabów. Jesteś bardziej jak srebrna zastawa i chińska porcelana.

Edi wskazała mu palcem drogę i za chwilę musiała złapać za pulpit, żeby przez niego nie przelecieć, gdy David nacisnął na hamulec. Z tyłu generał wcisnął pięty w podłogę, ale nie odezwał się nawet słowem.

David poczekał, aż ciężarówka przejedzie przez drogę przed nimi.

- Ja jestem z Nowego Jorku - powiedział, naciskając na gaz, przejeżdżając kilka centymetrów od ciężarówki. - Jeżdżę tam taksówką i mam mały garaż. Potrafię naprawić niemal wszystko, co ma silnik.

David przyglądał się jej i znowu prawie uderzył w kolejny pojazd, tym razem jechało w nim czterech brytyjskich oficerów. Wjechał w kałużę i cała woda chlusnęła na nich, wtedy w jego stronę zaczęły się sypać przekleństwa.

- Sierzancie - powiedziała Edi z zaciśniętymi zębami. - Nalegam, żeby pan przestał mówić i zaczął patrzeć na drogę. Ma pan w samochodzie bardzo ważnego pasażera.

- Zajmę się tobą, nie martw się.

- Nie chodzi o mnie! - warknęła. - To generał. Wiezie pan generała Austina.

- Jego? - powiedział David, spoglądając w środkowe lusterko, podczas gdy generał zdążył ukryć twarz za teczką.

- On jest z Nowego Jorku. Mamy tam większe korki niż na Manhattanie. Ale ty wyglądasz na zdenerwowaną.

-Nie jestem... - przerwała, bo pokazała na ogromną ciężarówkę, która właśnie przejeżdżała przed nimi i kolejną, która jechała z prawej strony prosto na nich.

- Widzę ją. Panuję nad sytuacją - powiedział David, nacisnął na gaz i przejechał przed nimi. Przez kilka długich sekund jechał prosto na nadjeżdżającą ciężarówkę. Edi chwyciła za drzwi i górę przedniej szyby. David skręcił gwałtownie na sekundę przed zderzeniem z ciężarówką zapakowaną po brzegi żołnierzami, którzy wiwatowali na cześć jego odwagi. Zatrąbił na nich i pomachał ręką, gdy ich mijali.

- Widzisz - powiedział. - Jesteś ze mną bezpieczna. Edi popatrzyła na niego z pogardą, mimo że od strony

generała doszedł do niej odgłos, który brzmiał zupełnie jak chichot. Ale gdy się do niego odwróciła, miał twarz zasłoniętą teczką.

- Wirginia - powiedział David. - Jesteś z Wirginii. Stara, dobra kraina TJ'a. To znaczy...

- Wiem kim był TJ - powiedziała. - Thomas Jefferson.

- Uczysz w szkole?

- Nie. Wydaję przyjęcia dla nowojorskich taksówkarzy w ogrodzie z tyłu domu - szydziła z niego.

- Miałaś ciężki dzień, prawda?

- Nie, dopóki nie spotkałam ciebie.

- Mnie? Więc jesteś jedną z tych nadętych mieszkanek Wirginii, tak? Przepelniona dumą z powodu dorastania na ziemiach naszych ojców założycieli, czy coś podobnego? Nie winię cię za to, że jesteś dumna ze stanu, w którym się urodziłaś, ale myślę, że nie powinnaś zadzierać nosa na biednego Jankesa. My...

- To, że pochodzę z Wirginii, nie ma nic wspólnego z moim niechęcią do ciebie. Jesteś najgorszym kierowcą, jakiego kiedykolwiek widziałam.

- Ja złym kierowcą? - zapytał z niedowierzaniem. - Nigdy nie miałem wypadku. Zaliczyłem kilka wgnieceń zderzaka i zgmiotłem jedną albo dwie chłodnice, ale nic, co można by było nazwać prawdziwym wypadkiem.

Generał Austin opuścił teczkę i zaczął się przyglądać swojej sekretarce i nowemu kierowcy, jakby występowali w obwoźnym teatrze.

- Prawie rozjechałeś człowieka, potem prawie zderzyłeś się z ciężarówką, prawie wjechałeś na samochód z czterema oficerami brytyjskimi i prawie doprowadziłeś do zderzenia dwóch samochodów ciężarowych, które przewoziły żołnierzy - powiedziała, dając upust swej złości.

- Naprawdę, często używasz słowa „prawie”, co? Na pewno wiesz, że spudłować o centymetr, to tak jakby spudłować o kilometr? Więc *jestes* z Wirginii. Miałem rację.

- Niech cię nie interesuje skąd pochodzę. Ty masz patrzeć na drogę, to jest twoja praca!

- O wiele bardziej wolę patrzeć na ciebie. Masz chłopaka?

- Tak! - warknęła. - Jestem zamężna i mam dwójkę dzieci.

- Może i jeżdżę za szybko, ale ty za to nie mówisz prawdy. Mówili mi o tobie, gdy dowiedziałem się, że generał Austin chce, żebym dla niego pracował. Nie chcesz wiedzieć, co mówili?

Edi przytuliła się do ściany dżipa, patrzyła wprost przed siebie i milczała.

David nachylił się w jej stronę, tak że jego twarz była kilka centymetrów od jej. Mimo to udało mu się ominąć dwie furgonetki i motor z przyczepką.

- Mówili, że wystarczy tuzin róż i wielkie pudło czekoladek, a zrobisz wszystko dla faceta.

Edi tak bardzo się wściekła, że odwróciła swoją twarz do niego, żeby go spoliczkować.

David przytrzymał kierownicę lewą ręką, prawą chwycił jej dłoń i pocałował.

Wyrwała mu rękę i spojrzała na niego tak, jakby chciała go zastrzelić.

- Nie - powiedział - oni tak nie mówili. Ale nie jest fajnie, jak ktoś cię okłamuje, prawda? Kłamstwa mogą ranić.

Edi odwróciła od niego głowę na chwilę, potem spojrzała na drogę.

- Tak, jestem z Wirginii i nie mam chłopaka.

- Dziękuję, prze pani - powiedział, a potem spojrzał w lusterko na generała. Nie był pewien, ale chyba zobaczył uśmiech na twarzy starego buldoga.

## Rozdział 13

- Tak - powiedziała Jocelyn, przygotowując trójkątne kanapki, które lubił Luke. Wyciągnęła ostatnią porcję lawendowych ciasteczek z pieca, zegar pokazał godzinę pierwszą w nocy, a ona padała już z nóg, ale nie mogła jeszcze usiąść. Wiedziała, że Luke jest głodny, więc zrobiła dla niego kanapki z szynką i serem, wysypała na talerz niebieskie chipsy i wyjęła z lodówki butelkę piwa.

Gdy postawiła przed nim talerz, wymamrotał podziękowania.

-No i koniec gadania o tym, że mój dziadek był potworem. Ona kochała Davida Clare'a.

- Nie znosiła go.

- Tak, pewnie - powiedział Luke z pełnymi ustami. -Zrobiłaś mi nędzną kanapkę, wiesz o tym?

- Wszystko, co robię o tej porze nocy, jest nędzne.

- No dobrze - odparł Luke i sięgnął po ostatnią porcję kanapki i piwa.

- Lepiej już pójdę. Potrzebujesz trochę snu. Jutro twój wielki dzień.

Gdy Jocelyn nie odezwała się, spojrzał na nią.

- Wszystko w porządku?

-Nie zupełnie. Za dużo tego wszystkiego na raz. Wszystko dzieje się tak szybko.

Luke odłożył swoje jedzenie, położył ręce na jej ramionach i usadził ją na krześle.

- Powiedz mi, co się dzieje.

- Myślę, że ludzie oczekują ode mnie, żebym była panną Edi, Wielką Damą, Panią na Edilean Manor. Myślę, że oni już wiedzą, jak ma wyglądać moja przyszłość, a ja sędzę, że nie dorastam do ich wyobrażeń.

- Prawdopodobnie masz rację. Spojrzała na niego.

- Nie powinienes mi powiedziec, ze sobie to wszystko zmyslam? Ze nikt ode mnie niczego nie oczekuje?

- Wolę powiedziec ci prawde. Jutro wszyscy mieszkańcy Edilean będą u Viv, będą ci się przyglądać i porównywać do...

- Wcale mi nie pomagasz, a wręcz przeciwnie.

- A jeśli powiem, że robisz kawał dobrej roboty, to będziesz mniej zdenerwowana?

- A skąd oni będą to wiedzieć?

- Wiesz jak to miasto było przerażone, gdy usłyszało, że panna Edi zostawiła komuś obcemu Edilean Manor? Zostawiła ten duży, stary dom samotnej kobiecie, która nie ma męża i dzieci. Baliśmy się, że przybędziesz... -pomachał ręką.

- Z tatuażami i kolczykami w każdym możliwym miejscu?

- Nawet gorzej, z pomysłami na „ulepszenia”.

- Takie jak chromowane parkany i szklane fontanny? -Tak - powiedział z półuśmiechem. - Takie jak

chromowane parkany i szklane fontanny. Posłuchaj. - Objął jej dłonie swoimi. - Wszystko będzie dobrze. Poradzisz sobie. Załóż jutro jedną z tych sukienek Alicji i opaskę na włosy, a wszyscy pomyślą, że jesteś cudowna.

Kiedy Luke uśmiechał się do niej w taki sposób, poczuła, że coś ją do niego przyciągało. Chciała, żeby ją przytulił, ale gdy nachyliła się w jego stronę, on się odsunął. Jocelyn natychmiast się wyprostowała.

- Do łóżka! - powiedział. - Wyśpij się, żebyś jutro wyglądała świeżo.

- Tak, masz rację - powiedziała z wahaniem. - Muszę jutro polukrować ciasteczka i to wszystko.

- Jestem pewien, że mój ojciec zjawi się tu rano, żeby ci pomóc.

Wstała z krzesła i ziewnęła.

- Ty też tu będziesz, prawda?



- Żartujesz sobie? Muszę pojechać do Williamsburga zabrać dziadków i przywieźć ich na przyjęcie. Nie mogą się doczekać, żeby cię poznać.

- Dlaczego?

- Kobieta, która ma zastąpić pannę Edi? Oczywiście, że chcą cię zobaczyć.

Jocelyn się skrzywiła.

- Poradzisz sobie. A teraz marsz do łóżka.

- Ale muszę... - rozejrzała się po kuchni.

- Kuchnia wygląda dobrze. Zamknę dom. A ty idź już spać.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona, dopóki nie weszła na pierwszy schodek. Gdy była już na górze, uśmiechnęła się do Luka, pomachała mu ręką, a potem poszła do sypialni.

Pomimo całego zmęczenia wzięła prysznic, umyła włosy i włożyła na siebie czystą koszulę nocną. Gdy kładła się do łóżka, miała w głowie kalejdoskop myśli i wyobrażeń. Nieomal widziała pannę Edi jako młodą kobietę, wielbioną przez całą armię. Ale jej zimna powłoka nie była odporna tylko na jednego mężczyznę, sierżanta Davida Clare'a. Pokochała go bardziej niż samą siebie.

Jocelyn usłyszała jakiś hałas na dole i pomyślała, że Luke wciąż tam jest, zamyka drzwi albo jeszcze pakuje ciasteczka.

Dwóch cudownych mężczyzn, pomyślała. W jej życiu pojawiło się dwóch przystojnych mężczyzn i żaden nawet nie próbował jej pocałować. Całowała się z Ramseyem, ale to ona zainicjowała pocałunek. Z pewnością nikt nie wywiesił dla niej na budynku baneru z wyrazami miłości.

## Rozdział 14

Podwórko z tyłu domu u siostry Ramseya zajmowało około półtora hektara wypielegnowanego ogrodu, o który troszczyło się codziennie czterech ogrodników, z których tylko jeden mówił po angielsku. Pod drzewami ustawione były stoły przykryte śnieżnobiałymi obrusami, a przy nich stali ludzie, którzy mieli obsługiwać przyjęcie. Goście wyglądali, jakby kupili sobie ubrania w katalogu Talbota, mężczyźni mieli na sobie sztywne marynarki i jeszcze sztywniejsze spodnie. Kobiety - lniane bluzki i spódnice, a na głowach kapelusze z wywinętymi rondami, dzieci były tak samo czyściutkie jak ich rodzice, na czele z dziewczynkami, które były ubrane w bawełniane sukienki. To miejsce ociekało pieniędzmi i etykietą z dawnych czasów.

- Dobrze się bawisz? - szepnęła Sara do Jocelyn.

- W porównaniu z tym, jak czuje się wrak statku? Który zderzył się z górą lodową? - wymamrotała kątem ust.

- Twoje babeczki dadzą mi trochę pracy. Jutro będę pewnie musiała przerobić z tuzin sukienek.

Uśmiechając się, Jocelyn dała babeczkę z kwiatem nasturcji mężczyźnie o siwych włosach.

- Ma pani jeszcze te ciasteczka z limonką? - spytał.

- Przepraszam, ale wszystkie już rozdałam.

- Sądziłaś, że nikt nie pozna smaku alkoholu? - szepnęła Sara, wywołując uśmiech na twarzy Jocelyn - Chodź, zrobimy sobie przerwę. Widziałaś już dom Viv?

- Nie widziałem jeszcze niczego ani z nikim nie rozmawiałam - powiedziała Joce. - Właściwie, to za każdym razem, jak zbliża się do mnie jakiś przystojniak, porywa go jedna z tysiąca twoich kuzynek. Ramsey jest tak zajęty rozmową z szychami z Williamsburga, że nie zamieniłam z nim nawet słowa, a Luke kradnie chyba rośliny z ogrodu.

Do tego, gdy tylko pojawi się przy mnie jakiś mężczyzna, który ma poniżej pięćdziesiątki, zjawiają się nagle przy mnie kobiety z kościoła i mają mi akurat coś ważnego do powiedzenia.

- Chodź do środka, to pogadamy - powiedziała Sara, a potem chwyciła Joce za rękę i zabrała ją od stołów, przez trawnik, patio, a potem przez francuskie drzwi do długiego i wąskiego ogrodu zimowego. Stały tam meble z białej wikliny, obleczone tkaniną w kolorze niebieskim i białym.

- Pięknie tu - powiedziała Joce.

- Oto, co może wytworzyć nieograniczona wyobraźnia i pieniądze. Wiesz o tym, że Viv jest dzisiaj w siódmym niebie dzięki tobie? Wszyscy mówią tylko o przyjęciu.

- Oprócz niej poznałam dziś chyba ze sto innych ludzi. Gdyby nie była w ciąży, to chyba bym jej nie poznała, gdybym ją znowu spotkała.

- To nic. Ona zna ciebie i twoje babeczki, a te purpurowe ciasteczka zrobiły taką furorę wśród kobiet zajmujących się dobroczynnością, że chcą cię prosić o dostarczenie ciastek na ich przyjęcie w następnym tygodniu.

- Nie chcę się zajmować cateringiem - powiedziała stanowczo Joce.

- Ja to wiem, ale one nie. Chodź na górę, obejrzymy sypialnie.

- Nie powinnyśmy najpierw spytać o pozwolenie? Sara wyjrzała przez okno.

- Idą tu cztery starsze osoby i chyba szukają ciebie.

- Idziemy! - powiedziała Jocelyn, wybiegając z pokoju. Szła za Sarą do tylnych schodów, a potem pobiegły korytarzem.

- Dziecięcy, dziecięcy, dziecięcy - mówiła Sara, gdy przechodziły obok sypialni. - Główna sypialnia. - Otworzyła drzwi. - A to pokój gościnny. Usiądź.

Wdzięczna Jocelyn usiadła w dużym krześle, a Sara rozciągnęła się na łóżku.

- Co jest między tobą i Ramseyem? - spytała Sara.
  - Przyprorowadziłaś mnie tutaj, żeby usłyszeć najnowsze plotki?
  - Pewnie, że tak. A ty myślałaś, że chce od ciebie przepis na burgundowe babeczki?
  - Dodałam do nich tequili.
  - Wszystko jedno. Więc co jest między tobą a Ramseyem?
  - Nie wiem. Mówiłam ci przecież, że widziałam go dzisiaj, ale nie zamieniliśmy ze sobą słowa. On trochę mi przypomina polityka.
  - Zna wszystkich, a wszyscy znają jego. Właśnie w ten sposób prowadzi swoje interesy. Zatem jak późno wyszedł od ciebie Luke wczoraj?
  - Nie wiem. Poszłam spać - powiedziała Joce, przyglądając się, co powie Sara, ale ona milczała. - Powiedz mi, czy to miasto już mnie zeswatało z jednym z nich?
  - Myślę, że Rams rości sobie prawo do ciebie.
  - Interesujące - powiedziała chłodno Joce.
  - Nie podoba ci się ten pomysł?
  - Jestem ciekawa, czy do tego miasta dotarł już dwudziesty pierwszy wiek. Co się stało z namiętnością? Zalotami? Z mężczyznami, którzy walczą, żeby cię zdobyć? Prezentami? Banerami? Niebezpieczną jazdą, tylko po to, żeby zostać zauważonym?
  - Nie wiem, co czytałaś, ale chcę to od ciebie pożyczyć.
  - Nic takiego - powiedziała Joce, bo nie chciała mówić Sarze, co jej czytał Luke. - Z kim spotyka się Luke?
  - Z nikim - powiedziała krótko Sara. - Mieszka sam i nie umawia się z nikim na randki.
- Jocelyn czekała, aż Sara powie jej coś więcej, ale ta zamilkła.
- I to wszystko? Dlaczego za każdym razem, gdy wspomnę Lukę, wszyscy milkną? Czy on uciekł z więzienia i ukrywa się tutaj?

- Coś w tym sensie - powiedziała Sara, przyglądając się swoim dłoniom.

- Chcesz mi coś powiedzieć, prawda?

- Nic takiego, po prostu... - Sara przerwała.

- Poznałaś jakiegoś faceta?

- Tak! - odrzekła Sara. - Joannę Langley przedstawiła nas sobie.

- A ona jest?

- Miejscową pośredniczką w handlu nieruchomościami. Czasem zapominam o tym, że nie zawsze tutaj mieszkałaś.

- To chyba największy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam - powiedziała sucho Joce. - Opowiadaj.

- Wysoki blondyn i do tego bogaty. Oczywiście to się nie liczy, ale...

- Nie odrzucisz go z tego powodu. Opowiedz mi o nim wszystko.

- Greg Anders - tak ma na imię - kupił niedawno stary dom na obrzeżach miasta. Właściwie, to najstarsza część domu była kiedyś chatką nadzorcy Edilean Manor.

- Nie brzmi to za dobrze - i nie waź się nazwać mnie Jankeską!

- Okay - powiedziała Sara z uśmiechem.

- Jaki on jest?

- Byliśmy dopiero na jednej randce, ale mogę powiedzieć, że jest czarujący, inteligentny i... i czuję, że jest samotny i to sprawia, że chcę...

- Zaadoptować go?

- Właściwie, to wyjść za niego i mieć trójkę dzieci. Wczoraj kupiłam sobie numer „Modnej Panny Młodej”.

- O mój Boże! Takie poważne plany w tak krótkim czasie?

- Zgadza się. I wiesz co? Myślę, że to przeznaczenie.

- Jak to?

- Znasz Joannę... to znaczy nie znasz jej, ona jest tutejszą swatką. Jeśli ktoś jest samotny i szuka z jej pomocą

mieszkania, to ona zaczyna szukać towarzysza albo towarzyszki dla tej osoby. Jej szwagierka jest konsultantką ślubną, więc świetnie się składa.

- Więc jak przeznaczenie zadziało w twoim wypadku?

- Greg mnie wybrał. On i Joannę zjedli razem długi lunch, na którym ona opowiedziała mu o każdej samotnej kobiecie w okolicy i...

- O mnie też?

-Nie... - a potem się zreflektowała. - Z pewnością

o tobie też.

Jocelyn postanowiła nie zwracać uwagi na takie przejęzyczenie.

-Więc Greg wybrał ciebie z czego? Ze zdjęć? To mogę zrozumieć. - Sara miała dziś kwiaty w swoich blond włosach, była ubrana w miękką, kremową bawełnianą sukienkę, która miała wyhaftowane na gorsecie róże.

-Nie. Joannę nie miała zdjęć. Opowiedziała mu po prostu o tych kobietach. A ponieważ Greg jest biznesmenem, opowiedziała mu najpierw o Tess, ale Greg powiedział, że nie sądzi, żeby chciał spędzić życie z kobietą, która jest otoczona prawnikami.

- Może Joannę powiedziała mu prawdę o tym, że Tess ma... Jak to można nazwać? Trudną osobowość?

Sara uśmiechnęła się.

-Możesz mieć rację. Cokolwiek mu powiedziała, jestem jej wdzięczna, ponieważ poprosił o mój numer

I zadzwonił do mnie. Spędziliśmy razem wspaniały czas. Rozmawialiśmy o wszystkim. Nie śmieję się, ale on zainteresował się nawet moim szyciem. Powiedział, że powinnam otworzyć sklep. - Sara odetchnęła głęboko. - Wiem, że to za wcześnie, ale naprawdę myślę, że to ten jedyny.

-To cudownie - powiedziała Joce, wzdychając. -Dobrze całuje?

- Najlepiej. - Sara spojrzała na Jocelyn. - Wiem, że Ramsey to mój kuzyn, ale jaki on jest w te klocki?

-Ach, znakomity - powiedziała Joce. - Naprawdę wielki całusnik. Nie potrafi trzymać rączek przy sobie.

Wydawało się, że Sara ucieszyła się ze słów Joce i zaczynała coś mówić, ale przerwał jej odgłos dochodzący z dołu. Wyglądało na to, że coś się stało, bo słychać było krzyki dzieci.

- Co się tam dzieje? - spytała Joce, podskakując i podbiegając do okna, żeby spojrzeć na ogród.

Gdyby dziś rano obudziła się i pomyślała: „Jaka jest najgorsza na świecie rzecz, która może się jej dziś przytrafić?”, odpowiedziałyby: „Pojawienie się jednej albo obu Siostruń”. Na dole, otoczona ze wszystkich stron gośćmi, jakby była jakąś królową, stała jedna z nich. Jak zawsze towarzyszyło jej pół tuzina wielbicielek ze słuchawkami w uszach, a obok stała wysoka, wychudła kobieta z wyciosanymi jak ze szkła kośćmi policzkowymi i szyją długą jak żyrafa.

- To one - powiedziała szeptem Sara. - Albo jedna z nich.

-Bell - powiedziała Jocelyn, opierając się o ścianę i przez moment waliła o nią głową. - Powinam była powiedzieć Ramseyowi, żeby do nich napisał, że nie mam pieniędzy, tylko niszczący, stary dom. Powinam...

- Kim są ludzie, którzy ją otaczają? - spytała Sara. -To jej świta. Wydają jej pieniądze szybciej, niż ona je zarabia.

-Jedna z nich przypomina mi... - Sara otworzyła szeroko oczy, przyglądając się uważniej ludziom na dole. - Boże, strzeż nas! Tak jest! - powiedziała pod nosem, a potem spojrzała na Jocelyn. - Tak mi przykro - powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Joce. - A może zmyjemy się stąd, żeby ich nie spotkać? Wślizgniemy się przez garażowe drzwi, dostaniemy się do samochodów i uciekniemy. Nie będziesz musiała się z nią spotkać.

-Brzmi cudownie. Prowadź. Będę tuż za tobą -powiedziała Joce, biegnąc za Sarą. - Jak ona się dowiedziała o tym przyjęciu?

- Edilean ma swoją stronę na Internecie. Nie widziałaś?

- Musiałam przegapić to ogłoszenie. Poza tym wydaje się, że widzę tylko te rzeczy, które inni chcą, żebym zobaczyła.

Joce szła za Sarą schodami w dół tak szybko, że prawie się potknęła.

-No chodź! - syknęła Sara, która przykucnęła, a potem przebiegła za kuchenną wyspą w kierunku drzwi.

Nigdy wcześniej Jocelyn nie spotkała się z taką reakcją na widok jej Siostruni. Ludzie zwykle przepychali się, żeby dotrzeć do modelek. Ale Sara chciała, żeby Jocelyn uniknęła spotkania, które może być dla niej przykre. Co za cudowna przyjaciółka!

Sara, kucając, sięgnęła do gałki w drzwiach, które prowadziły do garażu i stanęła oko w oko z chłopcem, który miał może pięć lat. Posłał Sarze szelmowski uśmieszek, a potem krzyknął.

- Mamo, znalazłem ją!

- Czekaj, aż zobaczysz, co dostaniesz na swoje kolejne urodziny, Jamie Barnes, ty mały skarżypyto! - powiedziała Sara.

- Mamo! Ciocia Sara nazwała mnie... Sara zakryła małemu usta.

- Krzyknij jeszcze raz, a pożałujesz - powiedziała dziecku do ucha.

-Tutaj jesteście! - powiedziała Vivian, wysoka i piękna siostra Ramseya w zaawansowanej ciąży.

- Mamusiu, ciocia Sara powiedziała....

- Tak, wiem kochanie, zdradziłeś ją, a ona cię postraszyła. Myślę, że powinieneś się zastanowić dwa razy, nim



zacziesz paplać, bo ciocia Sara będzie się opiekowała tobą i twoim bratem w następną sobotę. Chłopiec zbladł na chwilę.

- Ciociu Saro, zjadłem dwie twoje babeczki w kształcie butów i były najpyszniejsze.

Po tych słowach wybiegł z garażu i zniknął z pola widzenia.

-Jocelyn - powiedziała Viv - nie miałyśmy zbyt dużo czasu, żeby porozmawiać i z pewnością jeszcze ci nie podziękowałam za to wspaniałe przyjęcie. Co za miła niespodzianka dowiedzieć się, że twoją siostrą jest...

-Przyrodną siostrą! - powiedziały Jocelyn i Sara jednocześnie.

-Przepraszam. Dowiedzieć się, że twoją przyrodną siostrą jest jedna ze sławnych bliźniaczych modelek. Poprosiła nas, żebyśmy cię znaleźli, bo nie może zostać zbyt długo. - Viv uśmiechnęła się, cofając ramię do tyłu, żeby Jocelyn i Sara mogły przejść przez kuchnię i wyjść do ogrodu. Nie zamierzała pozwolić im na ucieczkę.

- Saro - powiedziała Viv, gdy wyszły z domu. - Ingrid przyjechała z nią. Tak się cieszę. Może teraz wszystko się ułoży.

Jocelyn szła do przodu tylko dlatego, że Sara i Viv szły za nią. Tłum się rozstał i wszyscy uśmiechali się czule, spoglądając to na wysoką, bardzo szczupłą Bell z ciężkim makijażem na twarzy, to na Jocelyn. Bell miała na sobie ubranie uszyte z kilku dużych, skórzanych trójkątów, które odsłaniało lewą stronę jej talii i prawą nogę od połowy uda w dół. Miała na głowie burzę przedłużonych włosów, a jej kolczyki mogłoby użyć dziecko jako hula hop.

W porównaniu z ubranymi konserwatywnie ludźmi, była jak neon świecący w nocy. Inne kobiety z jej otoczenia próbowały wyglądać prowokacyjnie, ale Bell tak promieniała, że nie było widać ani jednej zmarszczki.

- Kochana - powiedziała Bell, gdy Jocelyn była już blisko, a następnie przesadnie się schyliła, jakby Joce była sześćdziesiąt centymetrów niższa od niej. Potem pocałowała jej oba policzki w powietrzu, cofnęła się i powiedziała.

-Jak słodko wyglądasz. Naprawdę. Dałabym ci nie więcej niż czternaście lat. Uwielbiam twarz bez makijażu.

Joce wiedziała, że dla zgromadzonych wokół słuchaczy Bell brzmiała jak kochająca siostra. Oto ona, super-gwiazda, przyleciała tutaj tylko po to, żeby uczestniczyć w małym przyjęciu swojej siostry. Joce nie śmiała otworzyć nawet swoich ust, bo wiedziała, że potrafi jedynie wydusić z siebie. „Co ty tutaj robisz.?”

Ale zarówno Bell, jak i Ash zawsze wiedziały, co powiedzieć.

- Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy Ingrid powiedziała, że jej mąż pracuje w Edilean Manor. Jaki mały ten świat. A gdy zobaczyłam jego zdjęcie, pomyślałam, że powinni być razem. Jestem niepoprawną romantyczką. Kiedy Ingrid powiedziała, że w Edilean będzie wielkie przyjęcie w ten weekend i zobaczyłam, że masz dostarczyć swoje fioletowe ciasteczka, wiedziałam, że muszę przylecieć, żeby udzielić ci mojego poparcia. Powiedz mi - powiedziała Bell, mrugając sztucznymi rzęsami - czy nadal dodajesz tej marihuany w płynie do czekoladowych babeczek?

Troje ludzi odłożyło babeczki na bok. Jedna kobieta zabrała babeczkę dziecku.

Jocelyn nie wiedziała co powiedzieć, bo do głowy przychodziły jej jedynie przekleństwa i fizyczna przemoc.

-Zatem, drogi Kopciuszk - powiedziała Bell. -Muszę już jechać, ale Ingrid zostaje tu na kilka dni, żeby pobyć ze swoim mężem. Mam nadzieję, że będziesz mogła zwolnić go z pracy w ogrodzie. A tak przy okazji, Ash i ja mamy dla ciebie prezent.

Wyjęła cienkie niebieskie pudełko z aksamitu, ale Jocelyn wiedziała, co jest w środku i nawet nie wyciągnęła ręki. Sara wzięła pudełko i otworzyła je. W środku był naszyjnik i kolczyki zrobione z białego metalu i wyszlifowanych węgielków od panny Edi. Były szczytem tandety.

- Mam nadzieję, że będziesz się z nich cieszyć tak samo jak ja i Ash. - Po tych słowach Bell złożyła kolejne dwa pocałunki w powietrzu, a potem odpłynęła w tłum dziewcząt, które ledwo mogły się powstrzymać od piszczenia z zachwytu.

Gdy tłum ludzi się rozstał, idąc za Bell, Sara spojrzała na biżuterię.

- Czy to węgiel?

Ale uwaga Jocelyn skupiła się na dziewczynie, którą zostawiła Bell, kobiecie, którą widziała z góry. Nie była tak wysoka jak Ash i Bell, nie nosiła też w sobie tego przekonania, że jest najwspanialszą kobietą, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi, ale sposób, w jaki trzymała ramiona, zdradzał, że jest modelką. Jej piękna twarz była tak umalowana, że ledwo było widać makijaż, a jej ubrania były proste, ale pewnie kosztowałyby tyle, co roczna pensja Joce.

- Ty pewnie jesteś Ingrid - zdołała w końcu powiedzieć Joce i kobieta uśmiechnęła się do niej.

- Przepraszam za taką prezentację. Bell potrafi być czasem mniej miła niż najmiłsza osoba na świecie, ale zorganizowała mi dzisiejszy przylot tutaj. Twoje przyjęcie wygląda wspaniale. - Spojrzała w bok. - Cześć Vivian. Czy on tu jest?

- Jeśli znowu złamiesz mu serce, to... - zaczęła Viv, ale jej mąż objął ją ramionami i wskazał głową tylne ogrodzenie.

- To jest ich sprawa - powiedział. - Niech Luke sam to rozwiąże ze swoją żoną. Chodź, ocaliłem dla ciebie kilka purpurowych ciasteczek.

Gdy odeszli, zostały tylko Jocelyn, Sara i Ingrid.

- Widzę go - powiedziała Ingrid, a jej piękną twarz rozjaśnił uśmiech, potem poszła w stronę kwitnących drzew, które rosły z tyłu posesji.

Jocelyn odwróciła się i zobaczyła Luka, gapiącego się beznamiętnie na Ingrid. Kiedy Ingrid doszła do niego, objęła jego szyję długimi ramionami i pocałowała w usta.

Minęło kilka chwil, nim Jocelyn wróciła do siebie, a potem odwróciła się do Sary.

- Teraz wszystko rozumiem. Niech się mną zajmie żonaty Luke, żebym nie widziała innego mężczyzny, tylko tego wybranego dla mnie: Ramseya. - Odwracając się, zaczęła iść w stronę swego samochodu.

- Joce! - wołała za nią Sara. - Pozwól mi wyjaśnić.

- Nie ma co wyjaśniać - powiedziała Joce, gdy Sara ją dogoniła. - Miasto sparowało mnie z Ramseyem, a jego żonaty kuzyn zajmował się mną, gdy Ramsey był zajęty dbaniem o swoje interesy. Doskonali plan. Nigdy nie widziałam lepszego. Wybraliście już dla mnie suknię ślubną?

- Jocelyn, proszę - wołała Sara, ale Joce szła dalej. Po dziesięciu minutach Joce była już w domu. Weszła

do środka, zamknęła drzwi wejściowe, a potem poszła i zamknęła pozostałe. Sprawdziła też wszystkie okna, żeby się upewnić, czy są dobrze zamknięte. Nie chciała, żeby ktokolwiek wchodził do jej domu bez jej zgody.

W pierwszym odruchu chciała się spakować i wyjechać, ale wiedziała, że musi się uspokoić i pomyśleć, co ma teraz zrobić. Jedną rzeczą było dostać list od ukochanej przyjaciółki, w którym pisała, że zna idealnego mężczyznę dla niej, ale zupełnie inną dowiedzenie się, że miasto pełne obcych jej osób, już ułożyło jej przyszłość.

Jocelyn była w domu może dwadzieścia minut, gdy usłyszała ciche pukanie do drzwi. Wyjrzała przez boczne okienko i nie była zaskoczona widokiem Ramseya i Luka.

Najpierw chciała im powiedzieć, żeby odeszli i nigdy nie wracali, ale zamiast tego otworzyła przed nimi drzwi.

- Chcielibyśmy ci wszystko wyjaśnić - powiedział Ramsey.  
- Nie ma co wyjaśniać - odpowiedziała Jocelyn.  
- Moglibyśmy wejść?  
- Oczywiście - powiedziała i odsunęła się na bok, prowadząc ich do salonu.

Usiedli obok siebie na żółtej kanapie panny Edi, a Jocelyn zajęła krzesło naprzeciwko nich. Ramsey był w swoim doskonałym ubraniu z przyjęcia, które miało mówić, że był dobrze zapowiadającym się biznesmenem, a Luke miał na sobie koszulkę i dżinsy.

- Co słyhać u twojej żony - spytała Luka. - Wszystko dobrze - odpowiedział z uśmiechem. -

Bardzo smakowały jej twoje purpurowe ciasteczka.

- Zjadła chociaż połowę jednego?

- Coś koło jednej czwartej.

- Moglibyście przestać! - powiedział Ramsey. - Jocelyn, przyszliśmy tu z kuzynem, żeby ci wyjaśnić pewne rzeczy, które mogłaś opacznie zrozumieć.

- Tak? A o co chodzi?

- O nasze intencje.

- Intencje? - spytała Joce. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Mówiłem ci, że będzie wściekła - powiedział Luke, opierając się wygodniej o kanapę.

- Ponieważ mój kuzyn niewłaściwie się przedstawił

- powiedział Ramsey prawniczym tonem głosu - to nie oznacza, że ja też. Zawsze miałem szczerą i czystą intencję względem ciebie.

- A co to dokładnie oznacza?

- Co oznacza...? - spytał Ramsey, nie rozumiejąc jej pytania.

- Ona chce wiedzieć, jakie miałeś zamiary wobec niej

- powiedział Luke. - Poślubić ją czy osadzić w sklepie, tak jak chce zrobić nowy chłopak Sary.

Ramsey obejrzał się, żeby spojrzeć na Luka.

- To całe zamieszanie to twoja wina. Dlaczego jej nie powiedziałeś, że jesteś żonaty?

- Nie było okazji - powiedział Luke i spojrzął na Jocelyn. - Masz piwo?

- Nie, dla ciebie nie mam - powiedziała słodko Joce. -Dlaczego nie spytasz swej żony? A może ona tylko wysyła ci czeki, żebyś mógł dostatnio żyć, mając się nieskomplikowanych prac?

Twarz Luka zapaliła się na czerwono ze złości, ale Ramsey uśmiechnął się szeroko.

- Ona zna twój numer. Dlaczego nie zaczekasz na nas na zewnątrz? Albo lepiej, może po prostu wrócisz do domu i zostawisz nas samych?

Luke nie odezwał się ani słowem i zaczął się podnosić, żeby wyjść.

- Powiedz mi Ramsey - powiedziała Joce. - Co chciałeś tak bardzo, mnie czy mój dom?

Luke zamrugał na nią kilka razy i usiadł z powrotem.

- Jak możesz tak mówić? Lubiłem cię, zanim się spotkaliśmy.

-I jaką piękną parę moglibyśmy stworzyć. Pieniądze McDowellów i ziemia Harcourtów. Ja nie mam nazwiska, ale za to mam dom. Widziałam dziś tych wszystkich ludzi, których chciałeś oczarować. Pomyśleć tylko, co mógłbyś osiągnąć w tym domu. Nie myślałeś o tym, żeby utworzyć tu swoje biuro, prawda?

Luke wydał z siebie dźwięk podobny do chichotu.

- Rozgryzła cię.

Jocelyn zwróciła swe płonące gniewem oczy w jego stronę.

- A ty zajmowałeś mój czas, żebym nie mogła spotkać innego mężczyzny, gdy Ramsey był zajęty pracą. To było takie sprytne. Tak doskonale przeprowadzony plan.

- Joce, to nie było tak - zaczął Ramsey.

-Nie? Na drugim pikniku powiedziałeś mi o listach, które czytał ci twój dziadek. Co za wzruszająca historia. Powiedziałeś to tak, jakbyś był zakochany we mnie od dziecka. Ale oczywiście, po usłyszeniu tych wszystkich rewelacji, nie spotkaliśmy się przez kolejne dni.

- Myślę, że zostawię was samych - powiedział Luke.

- O nie, nie zrobisz tego! - powiedziała Joce i Luke znowu usiał na kanapie.

- Posłuchaj! - powiedział Luke. - Nigdy się fałszywie nie przedstawiłem. Jestem twoim ogrodnikiem i to tyle. Nigdy nie rozmawialiśmy o moim życiu osobistym.

-Nie zamierzam nawet zaszczyścić cię odpowiedzią na twoje słowa. Ogrodnicy nie... nie interesują się aż tak swoimi pracodawcami, jak ty mną. Jesteś jak mój ojciec, z jego gładką gadką, Harleyami i upodobaniem do kobiet, które nie wiedzą, z której strony otwiera się książkę.

- Twój...? - powiedział Luke z przerażeniem. - Jestem jak twój ojciec?

- Jesteś jego dokładną kopią, jeśli taka istnieje. A tak przy okazji, to twój kuzyn płaci ci pensję.

-Wiem o tym - powiedział Luke, którego twarz wciąż wyrażała szok, jakiego doznał, gdy usłyszał słowa Joce. - Zawyżalem wartość czeków o połowę.

- Dlaczego ty...? - zaczął mówić Ramsey.

- Wynoście się! - powiedziała Jocelyn. - Chcę, żebyście obaj opuścili mój dom w tym momencie i nie chcę tu widzieć żadnego z was... chyba nigdy.

- Jocelyn - powiedział Luke, który próbował dojść do siebie. - Przepraszam za wszystko, co myślisz, że ci zrobiłem, ale ogrodnik potrzebuje...

- Trzymaj się z dala od mojego ogródka i ode mnie.

- Ale on wymaga troski. Wymaga...

- Myślę, że znajdę jakiegoś chłopca ze szkoły średniej, który skosi mi trawnik.

- Jocelyn - powiedział Ramsey błagalnym tonem. -Nie jesteś sprawiedliwa względem mnie. Wiem, że twoja przyrodnia siostra zachowała się dziś wobec ciebie jak mała zmiyka i myślę, że na to też się wściekasz, ale nie zasłużyłem sobie, żebyś kazała mi się trzymać od ciebie z daleka. Cokolwiek zrobił Luke, żebyś myślała, że on jest... - Ramsey spojrział na swego kuzyna. - Co do cholery zrobiłeś, że tak się wściekła, gdy dowiedziała się, że jesteś żonaty? Jeśli dobierałeś się do niej w jakikolwiek sposób, to ja...

- Nie jestem niczyją własnością! - krzyknęła Jocelyn, wstając na równe nogi i patrząc się na nich. - Nie jestem kawałkiem ziemi, żebyście mogli o mnie walczyć i w końcu wygrać. Albo w tym przypadku, kawałkiem, który można podzielić między sobą. Ja jestem...

- Joce, proszę - powiedział Ramsey. - Jeśli Luke stał się dla ciebie kimś bliskim, to nie moja wina, nie wiń za to mnie.

-Dlaczego nie pójdziesz do Tess, żeby się z nią podzielić tym problemem?

Kiedy Luke zachichotał, Jocelyn spojrzała na niego.

- A ty idź do swojej żonki. Natychmiast! Wynoście się obaj!



## Rozdział 15

Jocelyn siedziała za biurkiem i gapiła się nieobecny wzrokiem przez okno. Znowu trzeba było skosić trawnik i wyglądało na to, że jakieś robale dobrały się do tych... krzaków, które rosły wokół domu. Mogłaby też przysiąc, że pewnego ranka słyszała, jak termyty zjadają ścianę, ale okazało się, że to znowu Sara i jej chłopak.

Spojrzała w dół na pochylony blat stolika kreślarskiego, który kupiła, i na kartki. Biurko nie było może szczytem jej marzeń, ale było ją stać tylko na takie.

Zrobiła dużo przez ostatnie sześć tygodni, od kiedy kazała Ramseyowi i Lukowi wynosić się z jej życia. Po pierwsze, pojechała do banku w Williamsburgu i pożyczyła pięćdziesiąt tysięcy pod zastaw domu. Przeliczyła sobie, że taka suma pieniędzy będzie jej potrzebna, żeby przetrwać dni, gdy z całych sił postara się napisać biografię, którą potem sprzeda wydawcy. Kusilo ją, żeby napisać o Thomasie Jeffersonie, bo takie książki szybko się sprzedają, ale jej serce nie zgadzało się z rozumem. Chciała napisać książkę o pannie Edi.

Jocelyn wiedziała z doświadczenia, że żadne wydawnictwo nie zgodzi się wypłacić zaliczki pisarce, która nigdy wcześniej nie wydała żadnej książki, musiała więc znaleźć inny sposób, żeby się utrzymać, gdy pisała książkę. Czynnosc opłacała z pieniędzy, które dostawała za przeszukiwanie osiemnastowiecznych dokumentów w Williamsburgu dla powszechnie znanej powieściopisarki, której trylogia była osadzona w czasach wojny secesyjnej.

Wieczorami i nocami pracowała nad książką o pannie Edi. Tess powiedziała Joce, że nie wiedziała o tym, że Luke jest żonaty. Właściwie pokłóciła się straszliwie o to z Ramseyem. Powiedział jej, że to, co dzieje się w jego rodzinie, to wyłącznie jego sprawa.

Tess przysięgła, że gdyby wiedziała, to na pewno powiedziałaaby o tym Joce.

- Nienawidzę sposobu, w jaki to miasteczko ukrywa swoje małe, brudne tajemnice. Ktoś powinien był mi powiedzieć - i tobie - nam, że on jest żonaty.

Tess była taka wściekła, że Joce chciała od niej wyjść. Ale Tess dała jej klucz do strychu i Joce spędzała wszystkie wolne godziny, przeglądając każde pudło i kufer. Z tego, co się zorientowała, wszystkie wartościowe rzeczy były zabrane, a zostały jedynie książki rachunkowe. Może któregoś dnia coś z nimi zrobi, miała jednak nadal nadzieję, że natknie się na pamiętnik, w którym ktoś przyzna się do zabójstwa i po napisaniu biografii będzie mogła napisać kolejną historię, na której zarobi miliony.

- Wymyśl swoją własną opowieść - powiedziała Tess. - Zabij kogoś, a potem zastanawiaj się, kto to zrobił i dlaczego.

To brzmiało tak prosto, ale w przeszłości Joce próbowała już pisać podobne rzeczy i nic jej z tego nie wychodziło. Lubiła czytać o prawdziwych wydarzeniach i prawdziwych ludziach i takie rzeczy chciała opisać.

- Panna Edi - powiedziała Tess, zakrywając sobie uszy dłońmi. - Tak dużo nasłuchiwałam się o tej kobiecie, że gdyby jej duch stanął w moich drzwiach, to kazałabym mu się wynosić.

- Jeśli ją zobaczysz, to powiedz jej, proszę, żeby mi poradziła, co mam robić - stwierdziła ponuro Joce.

To była kolejna noc, którą Tess spędziła w kuchni Joce, robiąc babeczki. Po przyjęciu u Viv - po kompletnej katastrofie, jak myślała Joce - Tess przyjęła dwa zlecenia na kolejne przyjęcia. Jim powiedział, że jest najlepszą negocjatorką, jaką kiedykolwiek spotkał. Nie pozwoliła nikomu nawet zasugerować, co będzie serwowane na ich własnym przyjęciu. Tess mówiła im tylko, co przywiezie, a jej sposób bycia był tak apodyktyczny, że wszyscy zgadzali się na jej propozycje bez dyskusji.

Od tamtej pory Jim i Tess przygotowali catering na ponad tuzin dziecięcych przyjęć i popołudniowych spotkań przy herbatce dla pań. Wszystkie ciastka były przygotowywane w kuchni u Joce. Gdy pracowała nad książką, widziała, jak pudełka cudownie udekorowanych babeczek i ciasteczek znikają w jej frontowych drzwiach.

Co do Sary, sto procent swego czasu spędzała ze swoim nowym chłopakiem - planowali razem otwarcie sklepu z sukienkami. Sara mówiła tylko o tym, co Greg powiedział, zrobił czy pomyślał. Wydawało się, że każde jej zdanie zaczynało się od:

„Greg powiedział, że powinniśmy...”

Przez cały dzień - rano, w południe i nocą - Joce i Tess słyszały przez ścianę odgłosy namiętych uniesień miłosnych. Na początku krępowoło je to, a potem wybuchały śmiechem. Po kilku tygodniach stało się to tak zwyczajne, że patrzyły tylko na siebie i zgadywały, gdzie rozgrywa się gorąca scenka. Wszystko skończyło się nagle, pewnej nocy.

- Kuchnia - powiedziała Joce.
- Nie, spiżarnia - sprzeczała się Tess. Joce posłuchała.
- Masz rację. Ups. Przeszli do salonu.
- Sara powinna najpierw wyleczyć swoje dywanowe otarcia, nim znowu to zrobi. Ona... - Tess przerwała, bo gdy podniosła głowę, zobaczyła, że w drzwiach stoi Jim z pudłem potrzebnych artykułów. Nie odezwał się nawet słowem, tylko postawił pudło i wyszedł z domu.

Obie kobiety, z szeroko otwartymi oczami, chwyciły szklanki i przystawiły je do ściany. Wiedziały, że Jim poszedł do mieszkania Sary i chciały usłyszeć, co powie. Ale na nieszczęście mówił tak cicho, że nie usłyszały nawet słówka. Gdy wrócił do kuchni, Joce i Tess były zajęte pracą przy stole, a na ich twarzy malowała się niewinność. Cokolwiek powiedział Jim, już nigdy nie usłyszały żadnych miłosnych odgłosów zza ściany.

Tess stwierdziła po jakimś czasie:

- Nie wiem, czy cieszę się z tej ciszy, czy smucę.

- Ja również - zgodziła się Joce.

Przez pierwsze dwa tygodnie od dnia „Katastrofy”, Tess piekła, a Joce w tym czasie pisała listy i maile oraz dzwoniła. Wdowa po doktorze Brennerze była tak szczęśliwa, że Joce zamierza pisać książkę o jej mężu - Joce postanowiła nie mówić jej prawdy - że wszystkie pudła z papierami, które wysłała przez UPS zajęły pół furgonetki. Ale gdy Joce zaczęła je przeglądać, musiała się wysilać, żeby nie zasnąć. Dr Brenner był na pewno wspaniałym lekarzem, ale okropnym dziennikarzem. Znalazła notatki o śmierci kilku osób w jednym dniu, ale nie było ani słowa, jaka była przyczyna zgonów. Rozszerzyła swoje poszukiwania. Napisała do amerykańskich ambasad, które mieściły się w krajach, gdzie pracował dr Brenner. Z dwóch państw odpisano jej, że oficjalnie żaden dr Brenner nie pracował w ich kraju.

Joce czekała na pozostałe odpowiedzi i w tym czasie opisała wszystkie historie, jakie pamiętała z czasów, gdy panna Edi pracowała z doktorem. Joce wozila ze sobą zeszyt i pisała w każdej wolnej chwili.

W czasie swych poszukiwań i robienia notatek, myślała o Luku.

„Nie!” - mówiła do siebie, myślała o historii, którą jej czytał, gdy piekła ciasteczka. Joce uwielbiała słuchać opowieści o pannie Edi i jej Davidzie, kierowcy dżipa, którym gardziła, ale w końcu mocno pokochała. Ale jak do tego doszło? Co tak ich połączyło, że zakochali się w sobie? Joce miała nadzieję, że nie był to jedynie wynik potrzeby bliskości i namiętności w czasie wojny. Miała nadzieję, że poznali się bliżej i dopiero wtedy pokochali się mocno i prawdziwie.

Bardzo chciała skontaktować się z dziadkiem Luka i poprosić go o przekazanie jej całej historii, ale nie potra-

fiła tego zrobić. Nie wierzyła, że on da obcej kobiecie te opowieści, a szczególnie nie po tym, w jaki sposób potraktowała jego wnuka.

Myśląc o całej historii, wpisała nazwisko generała Austina w wyszukiwarce. Zobaczyła, że był odznaczony kilkoma medalami, była też informacja o jego synu, który odebrał w imieniu ojca pośmiertne odznaczenie. Joce sądziła, że istnieje niska szansa, że rodzina generała pamiętała jego sekretarkę z czasów II wojny światowej, ale napisała do nich uprzejmy e-mail z pytaniem, czy słyszeli o panie Edilean Harcourt.

Cztery dni później otrzymała entuzjastyczny e-mail, w którym William „Bill” Austin, wnuk generała, pisał, że pracuje właśnie nad biografią swego dziadka i że wie o panie Harcourt, ale niewiele. „Pokażę ci swoje materiały, jeśli ty udostępnisz mi swoje” - napisał.

Problem tkwił w tym, że ona знаła generała Austina tylko z historii opisanej przez pannę Edi i opis ten nie był zbyt przychylny, więc nie była pewna, czy wnuk generała będzie chciał to wszystko usłyszeć. Powiedziała mu, że do tej pory dotarła tylko do zapisków panny Edi z czasów powojennych i nie będzie to zbyt duża pomoc w pisanej przez Billa biografii. Jednak poprosiła go, czy mimo to mogłaby zobaczyć, co on ma o panie Edi.

Bill napisał, że jest kilka listów, w których panna Harcourt jest wspomniana, ale nie zostały jeszcze przepisane i wciąż leżą w pudełkach. Nie zamierzał pożyczać nikomu oryginałów. „Kobieta, która ma je przepisać, to moja była dziewczyna i nie zamierzam szukać innej osoby, która by to zrobiła, bo mnie na to nie stać, ani też nowej dziewczyny, która potrafi pisać na komputerze, a tym bardziej prosić moją byłą o rękę. Gdybym miał trzystronną monetę, to bym nią rzucił.”

Joce kupiła super glue, sklepiła ze sobą trzy dwudziestopięciocentówki - każda z innego stanu - tak, że tworzyły

kształt piramidy, i wysłała do niego bez słowa wyjaśnienia. Dwa dni potem dostała e-mail, w którym Bill pisał, że on i jego była dziewczyna mogliby kupić sobie dom za pieniądze, które jej rodzina zamierza wybulić na ślub i przyjęcie. „Przygotowania zajmą całe tygodnie. A potem jeszcze miesiąc miodowy. Moja praca nad biografią została odłożona bezterminowo. Nie wiem, czy mam ci dziękować, czy cię nienawidzić”.

- Ja czuję to samo - wymamrotała Joce. Wróciła do poszukiwań informacji na temat dr. Brennera. Dwukrotnie dowiedziała się ciekawych rzeczy od ludzi, którzy pamiętali pannę Edi i doktora. Kiedy odnalazła pielęgniarkę pracującą kiedyś dla dr. Brennera, Joce poleciała do Ohio i spędziła tam trzy dni, notując wszystko, co kobieta pamiętała. Ale ona pracowała dla dr. Brennera tylko przez sześć miesięcy i zapamiętała pannę Edi jako „przeróżającą osobę”.

-Najzimniejsza kobieta na świecie. Bez serca -mówiła. Joce musiała bardzo mocno pracować nad sobą, żeby nie powiedzieć starszej kobiecie kilku słów do słuchu.

A teraz, gdy Joce patrzyła przez okno znad biurka, które stało w drugim pokoju, nie wiedziała, czy się poddać, czy dalej walić głową w mur.

- Tęsknisz za nim, prawda?

Joce szybko pochyliła głowę nad kartkami papieru.

- Za panną Edi? - powiedziała do Tess, która stanęła w drzwiach. - Tak bardzo za nią tęsknię. Chciałabym, żeby ludzie zobaczyli ją moimi oczami.

- Nie za nią. Za *nim*.

- Masz na myśli Ramseya. Jest w Bostonie. Słyszałam, że przegrał tutaj dużą sprawę. Jego klient miał chyba na nazwisko Berner, czy coś takiego, więc musi pozyskać nowych klientów. Ale nie mogę stwierdzić, żebym za nim tęskniła. Nie spędziliśmy ze sobą aż tyle czasu. Może jak wróci... - Joce wzruszyła ramionami.

-Jeśli nadal zamierzasz się okłamywać, to proszę bardzo, ale *mnie* nie oszukasz. I przestań zostawiać otwarte drzwi w nadziei, że on przyjdzie - powiedziała, zamykając je.

Joce schowała swą głowę w dłoniach. Tak, tęskniła za Lukiem. Tęskniła za nim w każdej chwili dnia. Robiła, co mogła, żeby udawać, że nie ma czasu za nikim tęsknić, bo jest zbyt zajęta, ale to było kłamstwo.

Tęskniła za jego śmiechem, za tym, jak jej słuchał, za tym, w jaki sposób rozumiał wszystko, co chciała powiedzieć. Pierwszą rzeczą, jaką robiła rano i ostatnią wieczorem było wyjrzenie przez okno. Chciała zobaczyć jego furgonetkę, jego narzędzia. Pragnęła zobaczyć *jego*.

-To nie jest mężczyzna dla ciebie - wyszeptała. Nie chciała być podobna do matki i uciec z mężczyzną, a potem stawać na rżęsach, żeby zrobić wszystko, czego zechce. Pragnęła mężczyzny takiego jak Ramsey, który się *nią* zaopiekuje.

Ale takie rozumowanie w najmniejszym stopniu nie zmniejszało tęsknoty za Lukiem. Nawet wszystko, co powiedziała jej Sara o Luku i jego... jego... Ledwo mogła pomyśleć o tym słowie, a co dopiero, żeby go wypowiedzieć. ŻONIE. Luke był ze swoją żoną. Ingrid była w Edilean prawie sześć tygodni i Jocelyn stwierdziła, że pewnie są ze sobą szczęśliwi. Pewnie przeżywają drugi miesiąc miodowy.

Ale nie ważne, jak mocno się starała, to i tak, za każdym razem, gdy wsiadała do samochodu, jej myśli frunęły do Luka i Ingrid. Próbowwała się zmusić, żeby myśleć o książce, ale jej myśli płynęły własną drogą.

Oczywiste było, że Luke żył z dala od żony z powodu jej pracy. Luke Connor był jedynie mężczyzną, którego знаła przez kilka dni i kilka razy z nim rozmawiała. I to wszystko. Teraz spędzał czas z żoną i był z pewnością niezmiernie szczęśliwy. Wątpiła, czy ją jeszcze pamiętał.

Usłyszała hałas po swojej prawej stronie i spojrzała na drzwi. Ktoś wsunął pod nie kremową kopertę. Wstała, podniosła ją i zobaczyła swoje nazwisko. Otworzyła kopertę, a w środku znalazła zaproszenie na lunch od doktora Davida Aldredge.

-David Aldredge - powiedziała głośno. Pierwsza miłość panny Edi.

Był chyba osobą, którą chciała spotkać najbardziej na świecie. Pokazano jej go na przyjęciu u Viv, ale nie miała okazji z nim porozmawiać. Od tamtego czasu nie miała odwagi, żeby się z nim skontaktować. Prawdę mówiąc, robiła wszystko, żeby trzymać się z daleka od ludzi z Edilean. Zadawali jej zbyt wiele pytań. Chcieli wiedzieć, co się wydarzyło między nią a Ramseyem, pytali ją nawet o Luka.

-Wyglądaliście na dobrych przyjaciół - mówili, a potem czekali, aż Jocelyn wyjawi im wszystkie szczegóły swego prywatnego życia. Ona się tylko uśmiechała i odchodziła.

Ale teraz David Aldredge chciał się z nią spotkać. W zaproszeniu był jego adres e-mail i pięć minut później odpisała mu, że przyjmuje zaproszenie.

\*\*\*

Następnego dnia w Williamsburgu, gdy stała przy domu dr. Aldredge, była zaskoczona tym, że jego dom był dość mały i bardzo podobny do stojącego obok. Spędziła dość dużo czasu w Edilean i Colonial Williamsburgu, i może dlatego spodziewała się czegoś starszego i bardziej historycznego.

Zadzwoiła do drzwi, a potem próbowała się uspokoić, czekając, aż ktoś jej otworzy. Czy jest na nią zły, że wyrzuciła jego wnuka ze swego domu? Czy może bardziej go interesuje odległa przeszłość? Czy będzie musiała wysłu-



chać jakichś przerażających historii o tym, co panna Edi mu zrobiła, że wskoczył do łóżka innej kobiety? Ma już pewnie około dwudziestu lat, więc może już jeździ na wózku inwalidzkim z rurką tlenu w nosie?

Drzwi otworzył jej przystojny, siwowłosy mężczyzna i Joce miała już powiedzieć, że przyjechała zobaczyć się ze swoim ojcem.

- Pan jest Davidem panny Edi? - powiedziała z nutą wątpliwości.

Uśmiechnął się do niej rozbijając i odpowiedział:

- Rozświetliłaś mój cały tydzień. Nie, cały rok. Nie mogę się już doczekać, żeby powiedzieć o tobie Jimowi.

Jocelyn zaśmiała się.

- Słyszałam już o zazdrości między dziadkami, doktorze Aldredge, ale nie wiedziałam, że ona jest też między-pokoleniowa.

- O, tak. Ona rozciąga się w tą i z powrotem. Nie potrafię sobie wyobrazić jakby to były, gdyby Luke miał dziecko. - Po tych słowach zmierzył ją dokładnie wzrokiem.

- Mam odczytywać to spojrzenie jako egzamin na płodność? - rzuciła.

David mrugał przez moment, a potem się uśmiechnął.

- Jim mówił mi, że masz pikantne poczucie humoru, ale jest lepiej niż to opisywał. Nie wejdiesz? Moja żona ulotniła się gdzieś dziś popołudniu, więc możemy w spokoju porozmawiać. A tak przy okazji, mów mi Dave, albo tak jak całe miasto, dr Dave.

Gdy tylko Joce przekroczyła próg drzwi, zobaczyła, dlaczego kupił ten dom. Cała przednia ściana była oszklona, a za nią roztaczał się widok na mały, piękny port. Łódeczki, małe motorówki i małe pomosty prowadziły do przepięknej Rzeki James.

- Wow! - tylko tyle mogła powiedzieć.

- Nam też się podoba - powiedział dr Dave, wyraźnie zadowolony z jej reakcji.

Na parterze znajdował się właściwie jeden otwarty pokój, w którym był jednocześnie salon, pokój śniadaniowy i kuchnia. Z boku była kiedyś jadalnia, która została przerobiona na telewizyjny zakątek z filmami. Z przodu domu znajdowała się oszklona weranda, w której stały wiklinowe meble. Wyglądało na to, że właśnie tam domownicy spędzali najwięcej czasu.

Wiedziała, że się nie pomyliła w swoich domysłach, gdy zobaczyła niewielki stolik dla dwóch osób, który stał w przedłużonej części werandy. Kolor serwetek i podkładek współgrał z kolorem zastawy, więc domyśliła się, że ktoś zadał sobie wiele trudu.

- Wiem, że powinienem zapytać, co lubisz jeść, ale...

- Luke pewnie wszystko ci powiedział - dokończyła.

- Nie - dr Dave był zaskoczony. - Mój wnuk walnąłby mnie zapewne w głowę kijem golfowym, gdyby się dowiedział, że cię tutaj zaprosiłem. On jest święcie przekonany, że potrafi sam rozwiązać swoje wszystkie problemy.

- A ty tak nie uważasz?

- Nie wierzę, że ktokolwiek jest w stanie sam sobie radzić z problemami. A co ty o tym myślisz?

- Nie wiem - powiedziała uważnie. - Chyba nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale chyba masz rację. Wiem, że dorastałam pod skrzydłami panny Edi, która mi pomagała, gdy miałam jakiś kłopot.

- No tak, a teraz przystąpmy do rzeczy - powiedział, unosząc do góry pokrywkę wazy, która stała na środku stolika. - Lubisz chłodnik z porów?

- Uwielbiam. Ale pod warunkiem, że jest z ekologicznymi kartofelkami.

Dr Dave zachichotał.

- Spędziłaś trochę czasu blisko Ellie.

- Nie, z jej córką i innymi krewnymi. - Joce zarumieniła się na wspomnienie Sary.

- Sara ma nowego chłopaka, prawda? Są trochę głośni? Joce wypila łyk zupy. Była pyszna.

- Jim ich uciszył.

- Tak słyszałem, a moja żona wyprosiła mnie z pokoju, gdy zacząłem się śmiać. Jim zawsze był nieco pruderyjny. Nie wiem, dlaczego moja córka za niego wyszła.

Joce wiedziała, że się z nią drażnił, ale nie spodobały się jej te słowa. Jim Connor był dla niej bardzo dobry.

- Może dlatego, że jest typem mężczyzny, który troszczy się o ludzi i pomaga im, gdy tego potrzebują.

- Rozumiem - powiedział dr Dave, siadając i popijając zupę. - Jaki ojciec, taki syn.

- A co to znaczy?

- To, że Luke i jego ojciec są do siebie bardzo podobni. Dlatego Luke dogadywał się tak dobrze ze swoim drugim dziadkiem. Proponowałem Lukowi wycieczkę do Disneylandu, a Joe dwa dni na śmierdzącej łodzi. Zawsze przegrywałem.

- Byłeś rozczarowany, że Luke nie został lekarzem? - spytała.

-Dlaczego? Nie, nie byłem - odpowiedział, jakby nigdy wcześniej o tym nie pomyślał. Wstał, żeby wyjąć z pieca bułeczki. - Dostałoby mi się od Mary Alice, gdybym o nich zapomniał. Tylko Henry, ojciec Sary, chciał zostać lekarzem. Reszta z nich zrobiła, co chciała.

Jocelyn przełamała bułkę, posmarowała masłem i ugryzła. Miała dosyć takiej pogawędki.

- Więc co zaszło między tobą a panną Edi?

- Ludzie nie wiedzą o tym, że zerwaliśmy ze sobą, nim wyjechaliśmy na wojnę.

Jocelyn zamrugła oczami.

- Aleja myślałam...

-Wszyscy, my również, myśleliśmy, że weźmiemy ślub. Oświadczyłem się jej, a ona się zgodziła i włożyłem na jej palec pierścionek zaręczynowy. Ale kilka tygodni potem zbombardowano port w Pearl Harbor i wszystko się zmieniło.

- A może zmieniło się wcześniej, w tym samym roku? Tym razem dr Dave wyglądał na zaskoczonego.

- Nie próżnowałaś w swych poszukiwaniach, co?

- Wiem, że Alexander McDowell utrzymywał pannę Edi, gdy odeszła na emeryturę, podejrzewam, że to jego pieniądze przysyłała mi do college'u. Dlaczego miałyby robić takie rzeczy?

- Może jeszcze trochę zupki?

- Z przyjemnością.

- Mam też kanapki i sałatki z ogórków, tuńczyka i kurczaka oraz jajeczną. Częstuj się - powiedział, stawiając na stole duży talerz.

- Okay - powiedziała, po czym wzięła kanapkę z tuńczykową sałatką i ugryzła. - Coś się wydarzyło w Edilean w czasie ataku na Pearl Harbor, siódmego grudnia 1941 roku i przez to wiele rzeczy uległo zmianie.

- Proszę, nie mów mi, że będziesz drażyła temat, dopóki nie dowiesz się prawdy.

- Obawiam się, że będę. Dr Dave westchnął.

- Młodzi ludzie zawsze chcą znać rodzinne sekrety.

- Od ludzi, którzy je znają - powiedziała Joce. Dr Dave zachichotał.

- Wiedziałem, że miałem rację, gdy poprosiłem Mary Alice, żeby kupiła nam ciasto czekoladowe z „The Trellis”.

- Masz na myśli jedno z tych dziewięciowarstwowych ciast ociekających czekoladą? Czy to tylko legenda?

- Nie, mam jedno w domu. Więc czego chcesz się dowiedzieć najbardziej?

- Teraz interesuje mnie rok 1944.

- Historia napisana przez Edi - powiedział, zabierając ze stołu puste naczynia. Pokazał Jocelyn, żeby została na miejscu. - Więc przeczytałaś historię, którą dałem Lukowi.

- W pewnym sensie. Bo to on mi ją przeczytał.

Dr Dave postawił naczynia na kuchennej wysepce, potem wolno się do niej odwrócił.

- Jak mam to rozumieć, że on ci ją przeczytał?

Joce wstała i spacerowała przez chwilę, patrząc na zdjęcia wiszące na ścianie. Jeśli się nie myliła, były one autentycznymi fotografiami, robionymi na terenie całych Stanów.

- Po prostu. Ja piekłam babeczki na to... to *przyjęcie*, a on czytał mi całą historię. - Powiedziała to słowo z taką złością, że musiała kilka razy nabrać powietrza. Skąd ta Bell przyleciała? Z Milanu? Londynu? Paryża? Wszystko, żeby tylko zepsuć pierwsze spotkanie Joce ze społecznością ludzi z miasteczka, w którym teraz mieszkała. Między czasem, w którym pracowała tamtego dnia, a nienawistnym widowiskiem, które urządziła Bell, Joce nie zdołała zamienić z nikim nawet słowa na temat panny Edi, co było przecież jej głównym celem tego dnia. Poza zarobieniem pieniędzy oczywiście.

- Kto był z wami w domu? - spytał dr Dave.

- Tylko my - powiedziała Joce, a potem ostro na niego spojrzała. - Czy ludzie gadają, że Luke i ja...

- Nie, nic takiego nie słyszałem, a dzięki e-mailom, SMS-om i telefonom, moja żona i ja wiemy prawie wszystko, co się dzieje w tym miasteczku. Więc ty i mój syn siedzieliście sami w twoim domu, ty piekłaś babeczki, a on ci czytał?

- Tak - odpowiedziała, rzucając mu zdziwione spojrzenie. - Czy ja czegoś tutaj nie rozumiem? Czy może przekroczyłam jakieś południowe tabu? Sara wciąż mi powtarza, że jestem Jankeską, a Tess... Kto wie, co myśli Tess?

- Nie - powiedział spokojnie dr Dave. - Nic złego nie zrobiłaś. Tylko ja nie znałem Luka z tej strony. Zawsze myślałem, że jest typem samotnika.

- Samotnika? - powiedziała Joce. - On jest żonaty. Zapomniałeś o tym?

Dr Dave zajął się zdejmowaniem przykrywki z dużego naczynia na ciasto, a pod nią było czekoladowe ciasto.

-Nie chciałabyś usłyszeć prawdy na temat małżeństwa Luka, prawda?

- To nie moja sprawa - powiedziała Joce twardo. -Wiem, że przesadziłam z reakcją, gdy się o tym dowiedziałam, i choćby przez wzgląd na obecny wygląd mojego ogrodu, powinnam była trzymać język za zębami, ale w ostatnich miesiącach mojego życia przeżyłam więcej zdrad niż mogłabym znieść. Nawet, jeśli są zainteresowani tobą tylko jako przyjaciółką, żonaci mężczyźni zwykle nie przesiadują w kuchni u kobiety noc w noc i... - Wzięła głęboki oddech. - Wszystko jedno. Nie potrzebujesz może pracy przy koszeniu trawników? Płacę babeczkami.

-Nie - powiedział dr Dave z uśmiechem. - Noc w noc, co? - Wręczył jej talerzyk z ogromnym kawałkiem czekoladowego ciasta. - Może to umili ci czas, gdy będę ci opowiadał o małżeństwie mojego wnuka.

- Czy on wie, że opowiadasz o tym ludziom?

- Luke nawet nie wie o tym, co zamierzam ci powiedzieć.

- Zatem - powiedziała, biorąc do ust pierwszy kawałek niebiańskiego ciasta - cała zamieniam się w słuch.

- Luke mieszkał i pracował w... - dr Dave machnął ręką. - Na północy. Nieistotne gdzie. Ważne, że spotkał tam wysoką, szczupłą i piękną kelnerkę, a reszta potoczyła się jak zwykle. Sześć tygodni później powiedziała mu, że jest w ciąży. Historia stara jak świat, co?

- Najstarsza - przytaknęła Jocelyn.

- Różnica polega na tym, że mój wnuk bardzo się przejął. Luke Dobry. Luke Honorowy. Ożenił się z nią. Powiedział mi, że ją lubił i sądził, że miłość przyjdzie z czasem. A co ważniejsze, powiedział, że nie opuści swego dziecka, które nosiła.

Dr Dave spojrzał na swój kawałek ciasta.

- Byłem jedyną osobą, która śmiała mu zasugerować, żeby poczekał ze ślubem i zrobił test na ojcostwo. - Spojrzał na Jocelyn. - Luke niemal wymazał mnie wtedy ze swego życia. Żartuję sobie z tego teraz, ale to boli.

Wziął głęboki wdech.

- W każdym razie, po ślubie pojechali na miesiąc miodowy do Nowego Jorku. Chciała tam jechać Ingrid, a Luke zrobiłby wszystko dla kobiety, która nosiła jego dziecko. Byli tam zaledwie dzień, gdy dostała wizytówkę od fotografa, który zaprosił ją na sesję zdjęciową. Ingrid sądziła, że to żart, ale Luke słyszał nieco o tym mężczyźnie i zachęcił ją, żeby poszła. Oczywiście poszedł razem z nią.

Dr Dave przerwał na chwilę, żeby zjeść kawałek ciasta.

- Zdjęcia były tak dobre, że fotograf spytał, czy mógłby je pokazać pewnym ludziom. W ten sposób pobyt Luka i Ingrid w Nowym Jorku przedłużył się o dwa tygodnie. Żeby nie przedłużyć, Ingrid szybko odniosła sukces. Wiesz jak to jest. Oni chcą mieć w branży jak najmłodsze dziewczyny.

- Wiem więcej o świecie mody niż bym chciała -powiedziała Joce.

-Luke musiał wracać do pracy, ale Ingrid błagała go, żeby z nią został. Myślę, że dla Luka to wszystko było trochę jak dobry żart. Sądzę, że myślał, że któregoś dnia pokaże jej zdjęcia swoim dzieciom.

- Nie chciała z nim wracać? - spytała Joce. Dr Dave wbił widelczyk w ciasto.

- Nie. Chciałbym, żeby tak właśnie było, ale nie. Ona jest może głupia, ale jeśli chodzi o jej osobę, to potrafi być naprawdę sprytna. Spakowała się i powiedziała, że jedzie z nim, że wszystko dla niego zostawi, bo go bardzo kocha. Potrzebowała tylko jednego zlecenia i oczywiście Luke się zgodził. Jak mógłby odmówić? Więc poszła na swoją ostatnią sesję, a Luke został w hotelu i przebukował wszystkie bilety powrotne.

- Kolejny raz Luke spotkał Ingrid w szpitalu. Poroniła i powiedziała mu, że jest tak nieszczęśliwa, że chce się zabić. Luke nie mógł jej tak zostawić, a ona tak cierpiała, że nie była w stanie polecieć samolotem.

- Co się stało? - spytała Joce.

- Luke został z nią ostatecznie w Nowym Jorku. Mieszkał tam i pracował.

- Pracował jako ogrodnik w Nowym Jorku?

- Mój wnuk potrafi robić wiele rzeczy, ale cokolwiek by nie robił, nie cierpi pracować w mieście, ale mieszkali tam razem przez osiem miesięcy. Aż pewnego dnia Luke przypadkiem odkrył, że Ingrid nie poroniła. Jej „ostatni kontrakt” w Nowym Jorku to była aborcja.

- Luke musiał się czuć... - Joce nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- Był zdruzgotany po stracie dziecka... i wszystkiego, co miał. Wrócił do Edilean i zajął się ogrodnictwem. Dziadek jego rodziców zostawił mu w spadku stary dom i Luke go odremontował, a potem zaczął pracę w Edilean Manor.

Spojrzał na Jocelyn.

- Z tego, co wiem, Luke nie miał żadnych wiadomości od Ingrid przez ostatnie dwa lata.

- Dlaczego nie wystąpił o rozwód?

- Gdyby przysłała mu papiery, jestem pewien, że z radością by je podpisał, ale on nie należy do mężczyzn, którzy wysyłają kobiecie papiery rozwodowe.

- Ale teraz są znowu razem.

- Mogę ci zaufać? - spytał dr Dave.

- Masz na myśli, czy nie rozpowiem całemu miastu tego, co mi powiesz?

- Dokładnie to miałem na myśli. Czasem dobrze jest żyć otoczony ludźmi, których znałeś całe życie, ale czasem to może być straszne. Na początku Luke nie chciał z nikim rozmawiać o swojej porażce małżeńskiej. Myślę, że czuł



się jak głupek, bo zakochał się tak szybko w kimś tak... -wzruszył ramionami.

- Bezdusznym? Skupionym na sobie? Wiem, jaka ona jest. Mieszkałam z dwiema takimi jak ona.

- Ale nie wiesz za to, jaki *ja* jestem?

- Chodzi ci o ciebie i Mary Alice Welsch?

Dr Dave uśmiechnął się, słysząc te słowa, i wtedy zobaczyła, jak będzie wyglądał Luke za więcej niż czterdzieści lat.

-Nie to miałem na myśli. Wynająłem prywatnego detektywa, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o wygodnym „poronieniu” Ingrid. Zajął to kilka miesięcy, ale odnalazł klinikę, w której dokonała aborcji, a potem upewniłem się, że mój wnuk przypadkowo natknie się na te dokumenty.

- Gdyby Luke dowiedział się, co zrobiłeś... - szepnęła Joce.

- Teraz widzisz, jak bardzo ci zaufałem. Oparła się mocniej o krzesło.

- Mówisz mi o tym, bo odkryłeś coś jeszcze?

- Tak. - Wstał i otworzył szufladę w stoliku, wyciągnął grubą teczkę i wyjął z niej kopertę. - Wczoraj dostałem to od tego samego detektywa, który dowiedział się o aborcji. Tutaj pisze, dlaczego Ingrid wróciła.

Wzięła do ręki kopertę, ale jej nie otworzyła.

- Mam nadzieję, że nie prosisz mnie, żebym powiedziała Lukowi o tym, co jest w środku.

-Nie. Niedługo i tak napiszą o tym gazety. Chcę ci tylko powiedzieć, że gdy Luke spędzał z tobą czas... - uniósł do góry rękę, nim znowu zaczął mówić. - Tak, wiem, że to tylko kilka dni, ale nie widziałem Luka tak szczęśliwego od lat. Nawet grał ze mną w golfa.

- Ale ty wiesz, że on nienawidzi tej gry?

- Wiem - powiedział dr Dave, chichocząc. -I do tego jest w tym strasznie kiepski.

- Więc dlaczego...?

-To taki rodzinny żart. Spędzał tak dużo czasu z drugim dziadkiem... No cóż. Wszystko się ułoży. - Wyjął z teczki stary, pożółkły plik papierów i oczy Joce zabłyśły. - Wiesz, co to jest?

Joce nachyliła się i wyciągnęła ręce w stronę papierów, niczym kobra zahipnotyzowana grą na flecie.

Dr Dave cofnął rękę i schował wszystko z powrotem do teczki.

- Jeśli sprawisz, że mój wnuk znowu się uśmiechnie, dostaniesz drugą część.

- Czytałeś je? - powiedziała nikłym szeptem. - Pewnie, że tak. Najbardziej podoba mi się fragment,

gdzie wślizgują się do rzeki w przewróconym na dach samochodzie. Edi musi... - No tak. Może nie jesteś zainteresowana.

- Jestem, ale...

- Ale co?

- Ramsey. Powiedziałam jemu i Lukowi, żeby się wynieśli z mojego życia.

- Śmieszne, że akurat teraz wspominasz Ramseya, ale ma jakieś nowe sprawy sądowe w Massachusetts i z pewnością będzie zajęty przez najbliższe tygodnie.

- Boże dopomóż! - powiedziała przerażona. - To ty go tam wysłałeś, prawda? Naprawdę, jestem traktowana jak nieruchomość. Chcesz mnie dla swego wnuka, tak?

- Jestem już za stary, żeby myśleć z takim wyprzedzeniem. W tej chwili chcę zrobić, co tylko możliwe, żeby wyrzucić z życia Luka tę małą, zachłanną poszukiwaczkę złota, którą poślubił. I chcę, żebyś zawarła te historie w swojej książce o Edi.

- Skąd ty o tym wiesz? Zresztą, nieważne.

- Poczta - powiedział. - Adresy zwrotne, poszukiwania w Internecie - łatwo było się domyślić, co robisz.

- Klnę się na swoje życie, że nie rozumiem, dlaczego panna Edi chciała wyjechać z tego miasta - powiedziała sarkastycznie.

- Z tego, co słyszałem, doskonale tu pasujesz. Lubisz, by ludzie wiedzieli, kim jesteś, i lubisz mieszkać w Dużym Domu.
- Jaką masz specjalizację? Psychiatra?
- Internista - powiedział, przeszukując teczkę.
- Proszę, nie mów mi, że mam czytać coś jeszcze. Może jakiś zwój z Morza Martwego?
- Mam coś lepszego. O, jest tutaj. To przepis mojej córki na duszoną wołowinę.
- Duszoną wołowinę?
- Tak jest. Zrób ją, zamroź i bądź gotowa na chwilę, kiedy sprawię, że Luke poczuje się tak nieszczęśliwy, że wróci do kopania dziur przy twoim domu, a wtedy będziesz mogła go nakarmić.
- To się nazywa głębokie przekopywanie i... Dlaczego mi się tak przyglądasz?
- Tęsknisz za nim, prawda?
- Właściwie byłam tak zajęta, że nawet nie miałam czasu... - przerwała, gdy zobaczyła jego uśmiech. - Ty coś wiesz? Jesteś tak samo wkurzający jak on.
- Biorę to za wielki komplement. Pamiętaj. Zamroź wołowinę i bądź gotowa.

## Rozdział 16

Jocelyn obudziła się późno następnego ranka. Po opowieściach dr. Dave'a i czekoladowym cieście czuła się lekko otępiąła do końca dnia i poszła wcześniej spać.

Jedna jej część chciała odrzucić niektóre słowa, usłyszane od dr. Dave'a, ale jej druga część wiedziała, że miał rację. Tęskniła za Lukiem - i była tak bardzo, bardzo zadowolona, że jest nieszczęśliwy.

Wzięła prysznic i ubrała się, a potem spojrzała na dużą kopertę, którą dostała wczoraj od doktora. Przeczytała jej zawartość, gdy leżała już w łóżku, i nie była zaskoczona ani jednym słowem. Ingrid miała romans z bogatym, wpływowym i żonatym mężczyzną z Nowego Jorku i jakiś reporter się o tym dowiedział. Jeśli żona tego mężczyzny odkryje, że ma romans i zacznie się domagać rozwodu, będzie splukany, bo pieniądze należą do niej, a intercyza, którą podpisali, nie była wcale przychylna dla niego.

Ingrid wróciła do swego męża w nadziei, że nowojorczyk ugłaszce swoją bogatą i wściekłą żonkę.

- Biedny Luke - powiedziała Joce, związując sobie włosy w kucyka, ale nie potrafiła odgonić smutku z twarzy. Powiedziała, że jest „biedny”, ale czuła, że te słowa wcale do niego nie pasują. Może dziś ją odwiedzi. Może mógłby...

Zatrzymała myśli, bo wydawało jej się, że usłyszała jakiś dźwięk na zewnątrz. Może to furgonetka, ale gdy wyjrzała przez okno, zobaczyła, że to Greg, chłopak Sary. Na pewno będą dziś pracować przy sklepie, który zamierzają otworzyć. Prawdą było, co Sara o nim mówiła, że ma chyba w banku konto bez dna, i kupił stary sklep, w którym wcześniej sprzedawano meble na rogu ulicy McDowell i Lairdton, równoległe do Wielkiego Dębu, którego nazwę odkryła jakiś czas wcześniej.

Gdy patrzyła na Sarę i Grega przez okno w sypialni, musiała się wysilić, żeby nie czuć zazdrości i uczucia, że była idiotką. Gdy przyjechała do miasta, w jej życiu pojawili się dwaj mężczyźni, ale ona wyrzuciła ich obu ze swego życia, a oni nie zrobili nic, żeby do niej wrócić.

-I to by było tyle, jeśli chodzi o „zarliwe zaloty” -powiedziała głośno.

Kuchnia na dole była pusta, bo był poniedziałek rano i Tess nie przygotowywała cateringu na przyjęcie. Joce nie miała pojęcia, jak Tess to robi, że pracuje na cały etat i jeszcze dostarcza catering na cztery przyjęcia w weekendy. Oczywiście pomagał jej Jim, ale to i tak było dużo pracy.

Joce zjadła muffinkę z otrębami, napiła się mleka i poszła do swego biurka, żeby popracować, choć z każdym dniem wpadała w większą frustrację. Kusiło ją, żeby napisać do Billa Austina, z pytaniem, czy mogłaby go odwiedzić i zrobić kopie listów, w których generał pisał o pannie Edi. Wzięłaby ze sobą przenośną fotokopiarkę, żeby listy nie opuściły terenu. Obiecałaby mu, że... Jak zwykle bywało ostatnimi czasy, jej umysł zaczął wymyślać, co mogłaby zrobić, co chciałaby zrobić, ale zawsze sprowadzało się to do uświadomienia sobie faktu, że trafiła na mur w biografii o pannie Edi.

Przypomniała sobie historię, którą zaczął opowiadać jej dr Dave. Dachujący samochód. Ratunek. Co się stało dalej?

Jocelyn poszła z powrotem na górę i wzięła do ręki zdjęcie, które było skarbem dla panny Edi. W dniu, kiedy odeszła, Jocelyn umyślnie zepchnęła je ze stolika przy łóżku i ukryła pod koszulą. Myślała wtedy, że wszystko zostanie przekazane na rzecz organizacji dobroczynnych, a chciała mieć tę jedną rzecz, żeby mogła wspominać swoją przyjaciółkę.

Jocelyn dobrze pamiętała moment, gdy po raz pierwszy spytała pannę Edi o pukiel włosów. Miała wtedy może dziesięć lat i wszystko ją ciekawiło.

-Trudno to sobie teraz wyobrazić - powiedziała panna Edi - gdy mężczyźni w dzisiejszych czasach noszą włosy długie aż do pasa, ale za moich czasów mężczyźni golili sobie boki głowy maszynką do golenia. A David nie strzygł się od kilku tygodni, więc udało mi się zdobyć pukiel jego włosów i wplotłam go w swoje.

- Jaki miał kolor oczu? - spytała Joce, patrząc na biało-czarne zdjęcie.

- Tak niebieski jak twoje - powiedziała panna Edi z uśmiechem. - Miał też w brodzie taki sam dołeczek, jak ty masz.

- Tak jak moja mama - powiedziała Joce.

- Takie brody jak twoja, to cecha dziedziczna.

- Mój dziadek mówił, że jego broda wyglądała tak jak nasze, ale pokryły ją kolejne cztery brody.

Panna Edi się uśmiechnęła.

- Szkoda, że nie poznałam twojej mamy i jej rodziców.

- Cieszę się, że się pojawiłaś, żeby mnie ocalić -powiedziała Jocelyn.

- Jestem jak jedna z twoich poparzonych pacjentek, tylko że moje rany są w środku.

Panna Edi potrząsnęła głową ze zdziwienia.

- Czasem mówisz takie mądre rzeczy. - Wymieniły się porozumiewawczymi uśmiechami, co zdarzało się im dość często.

Jocelyn oderwała się od swoich myśli i spojrzała w okno i jej reakcja była opóźniona. Odłożyła ramkę ze zdjęciem na bok i przysunęła się bliżej do okna. Właśnie zobaczyła coś, co wyglądało jak tylna część furgonetki. Furgonetki Luka. I była zaparkowana w miejscu, gdzie miał powstać ziołowy ogródek.

Jocelyn powoli się podniosła i spojrzała na siebie. Pana Edi byłaby przerażona, ale miała na sobie nowe džinsy -kupiła je od Sary, która nabyła je razem z innymi ciuchami na wyprzedaży z ciężarówki - i różową koszulę. Czy jej koszula była zbyt oficjalna? Może powinna się przebrać?

Ale w co? W bluzkę z wyciętymi plecami? Coś z cekinami i frędzelkami?

Śmiejąc się z siebie, zbiegła schodami w dół do kuchni, żeby wyjść tylnymi drzwiami, ale zatrzymała się, a potem pobiegła do zamrażarki, wyjęła z niej duszoną wołowinę i włożyła do mikrofalówki.

- Muszę być przygotowana - powiedziała, gdy wychodziła.

- Cześć - powiedziała, gdy Luke wbił szpadel i wykopał kupkę ziemi.

- Straszny tu jest bałagan - powiedział. - Zobacz, ile tu rośnie chwastów. Pewnie będę musiał je wypalić.

- Swoim ognistym temperamentem? - spytała bez cienia uśmiechu.

- Ziejącym ogniem oddechem - powiedział z grymasem na twarzy, a potem wbił łopatę w ziemię i spojrzał na nią. - Posłuchaj! Jestem żonaty. Przepraszam, że nie zapytałem, czy ci to nie przeszkadza. Z jakiegoś głupiego powodu sądziłem, że jestem twoim ogrodnikiem, a nie chłopakiem. Całe miasto myślało, że przyjedziesz i poślubisz Ramseya. Połączylibyście w końcu dwa znakomite rody McDowellów i Harcourtów. Nie rozumiem, dlaczego nie miałbym z tobą rozmawiać tylko dlatego, że jestem żonaty. I chciałbym ci przypomnieć, że *tylko* z tobą rozmawiałem. Przepraszam. Żyję sam. Czasem wydaje mi się, że każda osoba w tym mieście, to członek mojej wielkiej rodziny, więc o czym mam z nimi gadać? O dzieciństwie? O tym, jak pływaliśmy nago w twoim stawie? Więc postaw mnie pod ścianą i zastrzel, bo rozmawiałem z kobietą, która *nie* jest moją żoną. I której nie widziałem już tak długo, że prawie zapomniałem jak wygląda. Więc teraz wszyscy z miasteczka są na mnie źli. Mój ojciec jest na wpół w tobie zakochany, moja matka jest tak wściekła, że nawet raz nie zaprosiła mnie na kolację, więc jestem teraz na łasce Ingrid i mikrofalówki. A z kościoła przy-

szedł do mnie pastor, żeby porozmawiać ze mną o niewierności małżeńskiej i cudzołóstwie. Może miał na myśli Ingrid, ale dzięki botoksowi wygląda na czternaście lat. Więc przyjechałem tutaj pokopać. Nikt w mieście nie chce mnie dopuścić do swego ogródka, a ja potrzebuję takiej pracy. Widzisz w tym jakiś problem?

- Lubisz duszoną wołowinę?

- Duszoną wołowinę? - spytał głupkowato.

- Z marchewką i sosem Worcestershire. Zrobiłam go według przepisu twojej mamy. - Podniosła do góry rękę. - Jeśli zaczniesz płakać, to nie dostaniesz nawet kawałka.

Luke wyjął z ziemi łopatę i rzucił na tył furgonetki.

- Dlaczego czuję, jakbym był częścią jakiegoś spisku?

- Witaj w klubie - powiedziała Joce. - Twój dziadek używa mnie, żeby wyrzucić z twojego życia... Chcę go dokładnie zacytować... „tę małą, zachłanną poszukiwaczkę złota, z którą się ożeniłeś”. Tak to dokładnie powiedział.

- Czy nie powinnaś tego trzymać w tajemnicy?

- A czy tajemnice są dozwolone w tym mieście? - spytała, gdy zbliżali się do domu. - Sądziłam, że istnieje prawo, które tego zakazuje. Jeśli skrywasz jakiś sekret, to wsadzą cię do więzienia. Chociaż z drugiej strony, twoi kuzyni tak skrzętnie trzymali w tajemnicy, że jesteś żonaty, że nawet Tess o tym nie wiedziała. Słyszałam, że krzyczała na Ramseya tak długo i głośno, że będą musieli malować biuro.

Zamrugął oczami.

- Myślę, że już za długo mieszkasz w Edilean.

- Ale ty tutaj wróciłeś, nie wiadomo skąd i robiłeś tam nie wiadomo co... - Rozejrzała się dokoła, żeby zobaczyć, czy nikogo nie ma w pobliżu, i powiedziała ściszym głosem. - Na północy.

- O czy ty mówisz do cholery?

- Wiesz, że twoja prawa brew drga, gdy kłamiesz?

- To z głodu.



- Obojętnie, o co chodzi, ty i cała reszta trafiliście na wielką tajemnicę. Mam na myśli coś innego niż to, że jesteś żonaty.

- O tym, że nie jestem żonaty - powiedział, otwierając drzwi i wpuszczając ją do środka.

- Nie mów mi, że w końcu zdobyłeś się na odwagę, żeby złożyć pozew o rozwód.

- Chodzi o unieważnienie. Nie spędziliśmy ze sobą wystarczająco dużo czasu, żeby nazwać nas małżeństwem.

- A ona cię oszukała - powiedziała delikatnie Joce. - Sądziłeś, że bierzesz ślub z kobietą, którą znasz, a okazało się, że ona jest kimś zupełnie innym. - Joce w ten sposób chciała delikatnie powiedzieć, że Ingrid złapała go na ciążę, a potem poddała się aborcji.

- Tak - powiedział Luke - ale może powinienem mocniej się postarać. Może powinienem był....

- Więc wróciła, żeby się przekonać, czy nie możecie znowu być razem?

- Mniej więcej - powiedział, gdy podawała mu piwo.

- I jak wam idzie?

Luke uśmiechnął się krzywo.

- Nie za dobrze. Jak to się dzieje, że jeszcze się na mnie nie wściekłaś?

- Twój dziadek powiedział, że jeśli z tobą porozmawiam, da nam drugą część historii panny Edi.

-I to jedyna przyczyna?

- Jedyna. Jestem przekonana, że wiesz, że piszę książkę o pannie Edi, ale nie mogę znaleźć wystarczająco dużo informacji. Potrzebne mi są te historie.

- A więc to tylko praca, tak?

- Tylko praca - powiedziała Joce, ale się uśmiechała.

- Podejrzewam, że chcesz po prostu przeczytać historię, która wydaje się bardzo romantyczna.

- Pewnie, że chcę się dowiedzieć, co zrobiła panna Edi. Zawsze myślałam, że była dziewczicą.

- Dlaczego tak myślałaś? Jej David został ranny w to miejsce?
- Nie mogę jej teraz o to zapytać. Umyłeś ręce? -Nie. Czy to naprawdę duszona wołowina według przepisu mojej matki? - spytał, gdy mył ręce.
- Tak, pod warunkiem, że przyrządza się ją dokładnie według jej przepisu, chyba, że ma jakiś tajny składnik, o którym nie napisała. Może powinnam ułożyć na wierzchu kilka kwiatów ogórecznika.
- Znudziły ci się babeczki? Joce przewróciła oczami.
- Twój ojciec i Tess zaczynają myśleć o otwarciu sklepu w mieście. Z ekskluzywnym sklepem Sary i piekarnią Tess, Edilean przemieni się w Soho.
- To bardzo niesmaczny żart.
- Może Siostrunie i Ingrid zrobią sobie tam kilka ujęć. Mogłyby pozować z tyłu twojej furgonetki w strojach od Armaniego. To byłoby świetne tło. Czemu tak na mnie patrzysz?
- Mogłabyś już skończyć temat Ingrid? To już koniec.
- Nie, jeszcze nie. Wciąż jesteś żonaty, dopóki nie dostaniesz dokumentów, które powiedzą, że jest inaczej.
- Czy to ma dla ciebie znaczenie? - spytał. -Oczywiście, że nie - odpowiedziała szybko, gdy wyjmowała porcję wołowiny z mikrofalówki i wkładała ją do miski.
- Całowałaś się z Ramseyem?
- Sądzę, że to nie twój zakichany interes - powiedziała Joce.
- Mam swoje powody, żeby o to pytać.
- Tak, przynajmniej tysiąc razy. Naprawdę cudowne przeżycie. Luke opierał się o zlew, trzymając w dłoni piwo. Odstawił go i zaczął iść w jej kierunku bez słowa.
- Może powinnam wy dostać srebrną zastawę i...

Uniósł ręką jej podbródek i przyciągnął jej twarz do swojej, a potem ją pocałował. To był delikatny, słodki pocałunek, który sprawił, że jej kolana zaczęły się uginać.

Kiedy się wycofał, jej serce biło z całych sił, chciała otoczyć go ramionami i całować się z nim.

- Czy teraz rozumiesz? - spytał, cofając się i nie dotykając jej.

- Co rozumiem?

- O mnie i tobie. To, dlaczego dziadek zaprosił cię na lunch, dlaczego Ramsey został odesłany z miasta, dlaczego Ingrid wróciła?

- Chcesz z nią zostać?

- Muszę uregulować prawnie sprawy między mną a nią. Niech sobie sama walczy z grubą rybą w Nowym Jorku.

- Wiesz o nim?

- A ty myślałaś, że się łudziłem, że ona wróciła, bo mnie *kochał* Ożeniłem się z nią, bo nosiła pod sercem moje dziecko, a ona... - Obejrzał się za siebie. - Nie chcę tak żyć. Jak tylko biuro MAW załatwi całą papierową robotę, moje małżeństwo zostanie unieważnione, a wtedy planuję zacząć żarliwe zaloty.

- Żarliwe, tak? - spytała z uśmiechem. - A od czego zaczniesz? - Zrobiła krok w jego stronę.

- Zacnę od tego, że nie będę cię dotykał, dopóki będę żonaty. I dopóki nie zrozumiesz, że nie jestem taki, jak twój ojciec.

-Co?

- Powiedziałaś, że jestem jak twój ojciec.

- Wiem - powiedziała Joce, a potem wyprostowała się i nie nachylała się już w jego stronę. - Ale...

- Żadnych ale. Zacniemy jeszcze raz. Więc jaki podstępny plan uknuliście z moim dziadkiem, żebym zrobił to, czego on chce?

- Po pierwsze musisz wziąć lekcje golfa - powiedziała, nakładając na talerz dużą porcję duszonej wołowiny z warzywami i postawiła danie przed nim.

- Co? - spytał Luke z przerażeniem.
- Tylko kilka. Dwadzieścia albo coś koło tego, a potem on da nam drugą część historii.
- A co *ty* musisz zrobić?
- Poznać twoich licznych krewnych, sprawić, żeby ludzie uwierzyli, że zasługuję na dom, który uważają za ich własność, dorosnąć do porównań z panną Edi, być...
- Dobrze, już wiem, o co chodzi. I jak ci idzie?
- A jak myślisz?
- Luke spojrzał na nią z takim pożądaniem, że nawet jej cebulki włosów zrobiły się ciepłe.
- Co tutaj się dzieje? - spytała Tess stojąca w drzwiach. - Planujecie stanąć w konkury z wyczynami Sary? Uważajcie, żebyście nie pościerali sobie kolan i nie nabawili się drzazg.
- Czy ty mówisz o tym, co myślę? - spytał pruderyjnie Luke.
- Możesz sobie myśleć, co ci tylko wyobraźnia przyniesie - powiedziała Tess, patrząc z uśmiechem na Jocelyn.
- Będziesz potrzebowała kuchni? - spytała Joce. Luke zjadł już połowę porcji z talerza.
- Nie - powiedziała Tess. - Wpadłam, żeby dostarczyć dla was dwojga prezent.
- Więc kto wie, że siedzimy z Lukiem razem w kuchni? - spytała Joce.
- Wszyscy, którzy widzieli, jak Luke jechał ulicą Edilean w twoim kierunku.
- Co oznacza, całe miasto - powiedział Luke i wyglądało na to, że akceptował taki stan rzeczy.
- Więc jaki masz dla nas prezent? - spytała Joce.
- No tak. - Tess cofnęła się na chwilę do przedpokoju, a potem wróciła z dużym, piknikowym koszykiem z przypiętą do rączki kokardą.
- Zrobiliście to z Jimem? - spytała Joce z uśmiechem.
- Dlaczego mielibyśmy to zrobić? - spytała Tess.

- Bo oboje używacie jej kuchni i wszystkie rachunki za media są na jej głowie, a ty i mój ojciec dusigrosz, trzymacie cały dochód dla siebie.

- A, za to - powiedziała Tess, wzruszając ramionami. - Ale nie, ten koszyk jest od dr. Dave'a. - Położyła rękę na oparciu krzesła, na którym siedział Luke. - Jak to się dzieje, że Jim i jego teść tak bardzo się nie znoszą? Jim jest taki słodki. Nie potrafię zrozumieć... - zatrzymując się, poklepała Luke po plecach. - Czy wszystko w porządku?

- Nikt wcześniej nie powiedział, że jego ojciec jest „słodki” - powiedziała Jocelyn. - Luke i jego matka stworzyli drużynę grającą przeciwko ukochanemu mężczyźnie.

W następnym momencie Luke i Jocelyn spojrzeli na siebie z szeroko otwartymi oczami, jakby dopiero dotarło do nich, kto przesłał im koszyk. Jednocześnie rzucili się w kierunku Tess. Luke wstał tak szybko, że krzesło, na którym siedział, przewróciło się i z hukiem runęło na podłogę.

Tess otworzyła szeroko oczy, a potem zaczęła biec w kierunku drzwi wejściowych, bojąc się, że ją podepczą.

- Koszyk! - krzyknęła Jocelyn. - Postaw go!

Tess pochyliła się w biegu, stawiając koszyk na podłodze, a sama wybiegła za drzwi, zamykając je za sobą.

Joce i Luke dopadli koszyka i zaczęli w nim przewracać rzeczy. Na podłogę powędrowały: paczka sera, cienki bochenek francuskiego chleba, pojemniki z sałatkami. Na samym spodzie leżała plastikowa torebka, a w niej pożółkłe kartki, które Joce widziała u dr. Dave'a w domu.

Oboje chwycili ją w tym samym czasie.

- Zwariowaliśmy na ich punkcie - powiedział Luke. - Zgadzam się - przytaknęła głową Joce, ale nie wypuściła torebki z rąk.

- Pakujemy jedzenie do koszyka. Potem idziemy na dwór. Ty czytasz, a ja kopię.

- Doskonale - powiedziała Joce, jedną ręką trzymając kartki, a drugą pakując koszyk.

Gdy wszystko było gotowe, Luke spojrział na nią i zmrużył oczy.

- Musisz się poddać.

- Nie, to *ty* musisz się poddać.

- Kiedy skończysz książkę? - spytał Luke, tak jakby zamierzał stać w jednym miejscu cały dzień i z nią rozmawiać, żeby tylko nie wypuścić z rąk manuskryptu.

- Jak tylko pozwolisz mi iść, będziemy mogli to przeczytać!

Luke nie mógł się powstrzymać od śmiechu, gdy wypuszczał torebkę z kartkami z dłoni.

- Dobrze, ale nie znikaj mi z oczu.

- Myślę, że będę mogła spełnić twoją prośbę - powiedziała sugestywnie Joce, a Luke uśmiechnął się jeszcze szerzej. Do jednej ręki wziął koszyk, a do drugiej niezjedzony do końca kawałek wołowiny.

Dziesięć minut później byli już na dworze, a jedzenie było wyjęte z koszyka. Luke usiadł po jednej stronie biało-czerwonego obrusa, który dziadek dołączył do pikniku i jadł, gdy tymczasem Joce z czią odpakowywała stare kartki.

- Gotowy? - spytała. Kiwnął głową.

- Przestań gadać i czytaj! Spojrzała na kartki i zaczęła czytać.

## Rozdział 17

LONDYN 1944

- Panie generale, z całym szacunkiem, ale muszę odmówić wykonania tego zadania - powiedziała Edi, stojąc przy biurku generała Austina, wyprostowana jak struna i patrząc swemu przełożonemu prosto w oczy.

- Harcourt - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. - To jest wojna i musisz robić to, co ci każą - tak jak my wszyscy. Jeśli wyślę do domu dr. Jellicoe dwóch mężczyzn, zobaczą ich ludzie i zaczną go podejrzewać. Jego kryjówka będzie spalona. Dlatego chcę, żeby pani, jako kobieta, pojechała z moim kierowcą, żeby dostarczyć to czasopismo do dr. Jellie. Czy wyrażam się jasno?

- Bardzo jasno - powiedziała Edi. - Ale nie zgadzam się z pańską decyzją co do tego, kto ma tam pojechać ze mną. Może jakaś inna kobieta byłaby lepsza ode mnie do tego zadania, na przykład Dolores.

- Dolores to idiotka. Mogłaby wpaść w histerię przez zwykły kapeć w oponie. Potrzebuję kogoś, kto potrafi zachować zimną krew.

- A może mógłby pan wysłać mu to czasopismo pocztą? Generał Austin oparł się o krzesło, składając ręce razem.

- A właściwie, to dlaczego pani się sprzeciwia wykonaniu tego zadania? Boi się pani? Czy jest pani tak wielkim tchórzem, że nie potrafi pani zrobić czegoś, co nasi chłopcy robią na co dzień?

Edi nie odpowiedziała mu na to pytanie. Dowiodła już dawno, podczas każdego bombardowania, że nie jest tchórzem. Zawsze ostatnia wbiegała do schronu, dopóki nie przekonała się, że wszystkie kobiety opuściły bezpiecznie biuro.

- Co jest? - krzyknął generał.

-Może mógłby pan mnie wysłać z jakimś innym kierowcą albo mogłabym pojechać sama. Przecież pan wie, że często jeżdżę sama po Anglii.

-Z innym kierowcą? Czy pani sugeruje, że sprzeciwia się wykonaniu zadania tylko dlatego, że nie lubi sierżanta Clare'a?

Znowu Edi nic nie odpowiedziała.

Generał Austin wstał zza biurka, podszedł do okna, a potem się odwrócił i spojrzał na nią, jakby nie mógł uwierzyć w to, co powiedziała.

-*Lubić*, Harcourt? Czy sądzisz, że ci wszyscy żołnierze, którzy ruszają do ataku z okrzykiem na ustach „Lepsze niż Austin” mnie lubią? Do cholery! Moja własna żona mnie nie *lubi*. Nie wiem, czy lubienie albo nielubienie ma prawo istnieć w czasie wojny. - Pod koniec wypowiedzi głos Austina był tak donośny, że aż dziwne, że szklanka nie pękła.

- Nie, panie generale - powiedziała Edi. -Dobrze Harcourt, chcę, żeby się pani spakowała

i wzięła ze sobą jakieś ładne ubrania. Jest pani kobietą, która jedzie w podróż ze swoim chłopakiem i zamierzacie się zatrzymać, żeby zobaczyć się ze starym przyjacielem waszego przyjaciela, doktorem Sebastianem Jellicoe i dać mu to czasopismo. Nie będzie to historia, o której będą opowiadać, ale ma pani to zrobić. Czy ma pani do mnie jakieś pytania? Coś, czego pani nie *lubi* w tym zadaniu?

Edi nadal stała wyprostowana, ale niezastraszona przez niego.

-Tak, panie generale, mam pytanie. O co tu tak *naprawdę* chodzi?

Generał pomyślał, nim udzieli jej odpowiedzi.

- W zwykłych okolicznościach nie powiedziałbym pani, ale dr Jellie jest emerytowanym profesorem - Oksfordu, jak sądzę - i wie więcej o słowach niż ktokolwiek na



tym świecie. Wysyłamy mu ściśle tajne dokumenty, które muszą zostać rozszyfrowane. Problem w tym, że sądzą, iż dowiedzieli się o nim. Doskonale gra swoją rolę starszka, który stracił rozum i jest za głupi, żeby zdawać sobie sprawę, że toczy się wojna, ale ktoś odkrył jego kłamstwo i boimy się o jego życie. W czasopiśmie znajduje się zaszyfrowana informacja o tym, że to ja was wysłałem i ma wrócić z panią i sierżantem Clare'em. I jak tylko go tu sprowadzicie, będzie przetransportowany do Stanów Zjednoczonych. Czy to jest wyczerpująca odpowiedź na pani pytanie? Czy uważa pani, że panna Dolores poradziłaby sobie?

- Tak, panie generale. I Dolores byłaby bezużyteczna.

A zatem proszę odejść. Clare podjedzie do pani o 09.00 jutro rano. Proszę tu przyjechać o 07.00, to przekażę pani dalsze instrukcje.

Piętnaście minut później Edi była już w swoim maleńkim mieszkanku i pakowała się. Zamierzała założyć jutro na siebie mundur, który był dobrze wykrojony i wyglądał schludnie. Inne kobiety w biurze gadały w kółko o tym, że chciałyby wyskoczyć ze sztywnych mundurów i wskoczyć w piękne sukienki, ale Edi sądziła, że mężczyźni nie potrzebowali dodatkowych doznań wzrokowych i zachęty, więc ona wolała chodzić przykryta.

Miała też inne ubrania, kilka ładnych sukienek, które zamierzała włożyć na siebie dopiero, gdy ona i odrażający sierżant Clare znikną z oczu żołnierzom.

Po spakowaniu kilku sukienek i bielizny do małej walizeczki, była gotowa do drogi. Gdyby nie fakt, że w czasie wykonywania zadania, będzie musiała przebywać w towarzystwie Davida Clare'a, Edi mogłaby nawet przyznać, że była... podekscytowana. Zniknie z zadymionego biura i z oczu generała, który ma niekończący się zły humor... a pojedzie na wieś! Zobaczy drzewa! Prawie nie mogła się doczekać.

Rzadko dostawała wolny dzień, ale jeśli już to się stało, nie biegła, jak inne dziewczyny, do najbliższego miejsca, w którym można było kupić drinki i posłuchać głośnej muzyki. Edi miała wtedy nadzieję, że uda się jej wyjechać na wieś z kimkolwiek i spędzić tam cały dzień. A gdy miała na tyle szczęścia, że udało jej się wyrwać od generała na dłużej, zostawała na wsi na kilka dni. Spacerowała, siadała pod drzewami i obserwowała, jak krowy przeżuwają trawę. Edi chciała sobie przypomnieć, dlaczego ta wojna się toczy, i zobaczyć, co próbowali ocalić.

Czasami spędzała noce w wiejskim domku. W niedługim czasie zaczęła używać niewielkiego kłamstewka, mówiąc, że jest wdową, a jej mąż był brytyjskim żołnierzem. Ludzie byli podejrzliwi, gdy widzieli wysoką, młodą Amerykankę, włóczącą się samotnie, ale jako wdowa, która chciała poznać kraj swojego zmarłego męża, mogła liczyć na otwarte drzwi i przyjacielskie nastawienie. Gdy wróciła do biura generała po tygodniu nieobecności, miała już listę nazwisk, które podali jej ludzie. Chcieli wiedzieć, co się dzieje z ich synami i córkami. A ona, nielegalnie, ale bez najmniejszego poczucia winy, użyła kontaktów generała Austina oraz jego dokumentów, żeby zdobyć informacje o ludziach z listy. W ciągu godziny popełniła błąd, zapominając nieco o bliskości generała i ten zorientował się, co ona robi. Nic nie mogło umknąć jego uwadze. Ale on tylko chrząknął - to był jego sposób na pokazanie akceptacji - i dał jej jeszcze więcej pracy. Była to jednak mała cena w porównaniu z tym, że mogła pomóc ludziom, którzy byli dla niej tak mili. Dwukrotnie nie mogła znaleźć synów ludzi, których spotkała, i wręczyła wtedy nazwiska generałowi. W obu przypadkach jej pomógł. Jeden młody człowiek został zabity we Włoszech, ale drugi został ranny i leżał w szpitalu we Francji.

Po spakowaniu torby, Edi ugotowała sobie jajko i usmażyła tosty na małej elektrycznej kuchence, którą

miała w pokoju, i próbowała przeczytać dokumenty, które przywiozła ze sobą z biura. Ale jej umysł ciągle krążył wokół powierzonego jej zadania. Jeśli generał wysła z nią mężczyznę, to zadanie jest o wiele bardziej niebezpieczne, niż jej powiedział.

- Czym się naraziłeś generałowi Austinowi, że kazał ci założyć to świństwo? - spytał lekarz Davida Clare'a, gdy dokręcał wewnętrzne śrubki na długim aparacie ortopedycznym.

David siedział na stole chirurgicznym w samej tylko koszuli i bieliźnie, a lekarz przyczepiał mu do nogi okropną, stalową klatkę.

- Nie słyszałeś, że jadę z Harcourt?

Lekarz na chwilę się zatrzymał i otworzył usta z zachwytem, ale potem je zamknął.

- To nie zadziała. Nigdy jej nie zdobędziesz. A już na pewno nie z tym na nodze.

David spojrział na swoją nogę owiniętą metalowymi pasami i skrzywił się. Mówiono mu, że Austin to drań, ale dopiero dziś rano przekonał się, co to dokładnie znaczy. Wczorajszego wieczoru porucznik powiedział mu, że ma zawieźć pannę Edilean Harcourt na wieś, żeby mogła odwiedzić żonę przyjaciela generała. Jej mąż niedawno został zabity i generał chciał wdowie osobiście przekazać swoje kondolencje - „osobiście” oznaczało, że wysyłał tam swoją sekretarkę.

- Zaczekaj - powiedział porucznik. - Mam ci to przekazać. - Wyciągnął białą kopertę, taką na zaproszenia.

- Co to jest? - spytał David.

- Nie jestem pewny, ale sądzę, że to jest zaproszenie na bal oficerów w następnym miesiącu. Jeśli wrócisz cały, to powinieneś tam pójść. W zeszłym roku panna Harcourt

miała na sobie elektryzującą niebieską sukienkę, która... -Mężczyzna potrząsnął głową, żeby wyrzucić z niej swoje wyobrażenia. - Na twoim miejscu pilnowałbym tego zaproszenia jak oka w głowie. Nie dostaniesz się do środka bez niego.

- Będę pilnował tego jak skarbu - powiedział David, wsuwając zaproszenie do koszuli.

David i Edi mieli spędzić tam noc i wrócić następnego dnia. David miał tylko nadzieję, że w Niebie będzie mu tak samo dobrze, jak wyobrażał sobie te dwa cudowne dni.

Ale dziś rano przebiegły porucznik powiedział mu, żeby się stawił u kapitana Gulmana, który był między innymi lekarzem. Z pewnością do tego czasu wszyscy w Londynie i połowa Francji wiedzieli, że sierżant Clare spędzi z panną Harcourt całe dwa dni.

David powinien był się domyśleć, że w tym wszystkim jest haczyk. Doktor powiedział mu, że generał stwierdził, że zdrowy żołnierz podróżujący po kraju może wzbudzić zbyt duże zainteresowanie i niepotrzebne pytania. Czemu on nie jest na froncie?

-Przecież mogę być na przepustce - powiedział David. - Nie pomyślał o *tymi*

Doktor popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Czy prosisz mnie o to, żebym ci wyjaśnił tajniki funkcjonowania mózgu buldoga Austina? - Mówiąc dalej, stwierdził, że generał Austin uważa, że będzie lepiej, jeśli go zobaczą niezdolnego do walki, dlatego trzeba mu założyć metalową obręcz na nogę od uda aż do kostki. Na kolanie był dwunastocentymetrowy, okrągły zawias, który można było poluzować lub dokręcić za pomocą imbusa z dziwną końcówką.

Dziesięć minut później David leżał na stole, a lekarz mocował zawiły aparat na jego nogę.

- Nie luzuj tej śrubki - powiedział medyk, trzymając w dłoni narzędzie w kształcie litery L. - Jeśli to zrobisz,

to jedynym sposobem na zdjęcie tej obręczy będzie piła do metalu.

Między jego skórą a metalową obręczą była podkładka, ale jej materiał był już zniszczony i postrzępiony, a w niektórych miejscach wystawały bawełniane fragmenty tkaniny.

- Nie mogłeś znaleźć czegoś gorszego? - spytał David. - Może coś starszego i bardziej zużytego.

- Nie - powiedziała lekarz z uśmiechem. - To najgorszy aparat jaki mamy. Został nam po ostatniej wojnie.

- Po wojnie secesyjnej, czy po tej między Indianami i Francuzami?

- Po Wojnie Róż - powiedział żołnierz, który przechodził obok. - To prawdopodobnie ręczna robota kowala. Mogę się założyć, że pod spodem jest łańcuch.

- Oddam to do jednego z waszych muzeów - zawołał David za żołnierzem. - Tego, które dla was ocalimy.

Doleciał do niego odgłos śmiechu brytyjskiego żołnierza.

- Wszystko gotowe - powiedział lekarz. - Zobaczymy teraz, jak w tym będziesz chodził.

David przekręcił się na stole i delikatnie postawił stopę na podłodze, a potem drugą. Gdy zrobił kilka kroków w aparacie, przekonał się, że jest gorzej niż sądził. Był ciężki, niewygodny, a zawias poruszał się tylko do połowy, tak jak jego kolano.

- Co to jest do cholery! - powiedział David, unosząc do góry nogę. Mógł zgiąć kolano tylko na kilka centymetrów.

- Przepraszam za to - powiedział lekarz, ale się śmiał. Żaden żołnierz nie współczuł mężczyźnie, który miał spędzić dwa dni z panną Harcourt.

Lekarz dołożył imbus do zestawu trzech śrubek na zawiasie i odkręcił je o niecały centymetr. Zawias się poluzował i David mógł zgiąć kolano.

-Nienawidzę tego ustrojstwa - powiedział David, podejmując próby chodzenia.

- Ciesz się, że naprawdę tego nie potrzebujesz - odezwał się z tyłu jakiś głos.

- Boże, chroń mnie od tych, co chcą uszczęśliwić innych na siłę. Chcesz to założyć na siebie... - O, przepraszam pastora - powiedział David. - Nie chciałem... - nie wiedział, co ma powiedzieć.

Pastor uśmiechał się.

- Słyszałem już gorsze rzeczy. Na zewnątrz powinien na ciebie czekać samochód i młoda dama, którą masz podrzucić.

-Tak - wymamrotał, a w duszy przeklinał aparat, a w szczególności generała Austina za to, że kazał mu go założyć. Jeden z mężczyzn powiedział, że to pas cnoty, żeby generał miał pewność, że David nie dotknie jego cennej sekretarki.

Wszyscy czekali, aż David rzuci jakąś błyskotliwą ripostę o tym, że nie będzie potrzebował nogi do swoich planów, ale nie odezwał się nawet jednym słowem. Nie chciał, żeby coś złego, co powie, dotarło do uszu panny Harcourt.

David nie mógł założyć na siebie swoich spodni, więc lekarz dał mu parę za dużą o dwa rozmiary. Żeby się trzymały, musiał mocno zacisnąć pasek i wokół talii powstały niby-falbanki. „To na tyle upiększania się, żeby wyglądać dobrze przed najpiękniejszą kobietą na świecie” - pomyślał.

David był jeszcze bardziej zaniepokojony, gdy zobaczył samochód, którym mieli udać się w podróż. To był stary chrysler, a z odgłosu silnika było słychać, że jest już zużyty. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie był zbudowany w tym samym roku, co jego aparat.

Kilka razy próbował odpalić auto i marzył o tym, żeby mieć chociaż pół dnia na naprawienie silnika, ale nie było na to szans. Gdy wreszcie go odpalił, odkrył, że nawet kie-

rownica była uszkodzona. Na domiar złego, znajdowała się po prawej stronie, a on nie miał w zwyczaju kierować takimi autami. Wszystko znajdowało się w innym miejscu. Podsumowując, samochód stanowił potencjalne zagrożenie.

Czekała na niego, stojąc na krawężniku, a on czuł na sobie wzrok mężczyzn, którzy byli w pobliżu.

Jeśli to było możliwe, panna Harcourt wyglądała na jeszcze bardziej nieugiętą niż zwykle. Jej ciemne włosy były związane z tyłu tak mocno, że wyglądały, jakby je ktoś namalował, a jej wełniany mundur był na tyle sztywny, że stwarzał wrażenie wyciosanego z drewna. Przy jej nogach stała niewielka, brązowa walizka, a z ramienia zwisała torebka i czarna, skórzana aktówka, którą przyciskała do siebie, jakby to był sejf pełen klejnotów.

- Co za piękny dzień, prawda panno Harcourt? - powiedział, otwierając przed nią przednie drzwi od strony pasażera.

Kiedy ona otworzyła sobie tylne drzwi i wsiadła do środka, David usłyszał za sobą śmiech może stu żołnierzy, ale nie obejrzał się.

Ciężko mu było prowadzić samochód z metalową obrozą na nodze. Za każdym razem, gdy musiał nacisnąć sprzęgło podczas zmiany biegów, odczuwał ból. Podkładka ześlizgnęła się na jedną stronę i czuł, jak metal ociera się o jego skórę. Gdyby miał choć trochę rozsądku, zatrzymałby samochód na poboczu i poprawił podkładkę. Ale spojrzał na odbicie panny Harcourt w lusterku i zobaczył, że jej piękna twarz przybrała taki wyraz, jakby panna Edilean spodziewała się, że zaraz zrobi jej coś okropnego, więc zacisnął zęby i spróbował zignorować ból.

- Mówiono mi, że znasz drogę - powiedział, patrząc na nią w lusterku. Przytaknęła krótkim ruchem głowy, ale to był jedyny znak, że go słyszała.

- Mogłabyś podzielić się tymi wiadomościami ze mną?

- Kiedy znajdzie taka potrzeba.

Edi siedziała wyprostowana na tylnym siedzeniu. Tego ranka jeszcze raz zasugerowała generałowi, że może sama pojechać do domu dr. Jellicoe. Powiedziała, że może jak zwykle udać, że jest wdową po żołnierzu, i może sama pojechać na miejsce. Ale generał odpowiedział jej jednym słowem:

-Nie.

Nie krzyczał na nią ani nic nie wyjaśniał, ale w tonie jego głosu słyszała, że za całym zadaniem kryje się coś więcej, niż generał jej zdradził. Poza tym, jeśli chciał, żeby pojechał z nią mężczyzna, to musiało to być coś niebezpiecznego. Generał powiedział jej lekkim tonem, że pod tylnym siedzeniem starego samochodu jest ukryte pół tuzina karabinów M1 i wystarczająco dużo amunicji, żeby wystrzelać prawie cały batalion.

Po tych słowach generał wręczył jej *to* czasopismo. To był tygodnik Time z 15 maja 1944 roku, z portretem doktora Alexandra Fleminga na okładce. Był wydany kilka tygodni wcześniej, ale nie widziała go do tej pory.

- Zawieź go do Jellie'ego - powiedział generał Austin, a potem wręczył jej plik angielskich banknotów i mapę. Jeśli miała odnaleźć dr. Jellicoe, to mapa była niezbędna. Angielskie drogi były wyznaczone w czasach średniowiecza dla wozów i zwierząt. Gdy na drodze stało drzewo albo wzgórze, albo czyjś dom, to wóz je omijał. Granice posiadłości wyznaczały rzeki, poukładane kamienie albo cokolwiek, co ktoś wymyślił na oznaczenie granicy.

W nowoczesnych czasach nadal używano tych samych dróg, które wiły się i zakręcały wokół kamieni milowych, których już od dawna tam nie było. W czasie pokoju wszędzie były drogowskazy. Jeśli ktoś dojechał do skrzyżowania ośmiu dróg, jedynie po znakach można było się zorientować, gdzie która droga prowadzi. Ale w czasie wojny, zapobiegawczo, większość znaków zniknęła z dróg Anglii.



Bez mapy albo przewodnika, nigdzie nie można było dojechać.

Edi próbowała studiować mapę i nie zwracać uwagi na jazdę Clare. Jednak dziś jechał nieco uważniej. Nie pędził i nie popisывał się swymi umiejętnościami i, co najważniejsze, nie wymądrzał się na każdy temat.

Spędziła godzinę na uczeniu się mapy i dwa razy odtworzyła ją z pamięci. Jeśli gdzieś ją zgubi, to przynajmniej będzie wiedziała, jak jechać.

Czasopismo niemal bała się otworzyć. Traktowała je z takim namaszczeniem, jakby trzymała w rękach biblię Gutenberga, kartkowała je strona po stronie, czytając o tym, że penicylina wynaleziona przez doktora Fleminga będzie dostępna do użytku publicznego i że Amerykanka, Kathleen Kennedy, poślubiła mężczyznę, który miał otrzymać tytuł księcia Devonshire.

Bardzo chciała znaleźć jakieś notatki albo podkreślenia w teksie lub na marginesach, ale nie znalazła nic takiego.

- Ciekawa gazeta? - spytał David, obserwując ją w lusterku, ale ona milczała. - Zapowiada się na długą podróż, jeśli nikt nie będzie się odzywał - powiedział sierżant Clare.

- Nie widzę powodu, żeby tracić czas na próżną gadaninę - powiedziała Edi. Widziała profil jego twarzy i zauważyła, że zmarszczył czoło. Niech sobie marszczy, pomyślała. Ile tylko zapragnie. Musi tylko dostarczyć czasopismo do dr. Jellicoe, a w drodze powrotnej będą już jechać w trójkę. To odgrodzi ją jeszcze bardziej od odrażającego Davida Clare'a.

Jechali w milczeniu i około godziny trzynastej zaczął padać deszcz. Sierżant Clare zjechał z drogi głównej na zwirową.

- Co pan robi? - spytała zaniepokojona Edi. - Czy coś było nie tak?

Zatrzymał samochód przed niewielką chatą, na której był napis: „Domowy lunch i podwieczorek”.

- Panno Harcourt, zapewne jest pani tak zdyscyplinowana, że może pani narzucić sobie głódówkę, ale ja jestem człowiekiem i potrzebuję coś zjeść.

-Tak, oczywiście - powiedziała, nie patrząc mu w oczy. Cały czas myślała o tym, że muszą dotrzeć do dr. Jellicoe do godziny ósmej wieczorem. Generał Austin powiedział, że doktor nie wie o ich przyjeździe.

- Gdyby się dowiedział, to by się ukrył - powiedział generał. - Ważny jest element zaskoczenia. Edi pytała generała, jak zdołają przekonać dr. Jellicoe, żeby z nimi pojechał, ale nie uzyskała żadnej odpowiedzi, więc czy to właśnie czasopismo miało być przekonującym znakiem?

Gdy wysiedli z samochodu, Edi zauważyła, że coś dolega sierżantowi Clare, ale nie zamierzała go pytać, dlaczego utyka na jedną nogę i wygląda, jakby go coś bolało. Gdyby został ranny w jakiejś akcji, z pewnością by o tym wiedziała, więc jeśli miał jakieś obrażenia, to pewnie dlatego, że się potknął o coś albo, co bardziej prawdopodobne, wjechał na coś samochodem.

Przycisnęła do siebie mocno aktówkę i torebkę, gdy weszli do restauracji, która w rzeczywistości była salonem, używanym jako herbaciarnia, w domku pokrytym na zewnątrz różami.

- Biedactwo - powiedziała pulchniutka, miło wyglądająca kobieta, gdy tylko zobaczyła utykającego sierżanta Clare'a. - Jest pan ranny. Proszę sobie usiąść wygodnie, a ja zadbam, żebyście państwo otrzymali, cokolwiek potrzebujecie. Proszę bardzo menu. Jestem pani Pettigrew, proszę czuć się jak u siebie w domu - powiedziała i wyszła, pozostawiając Edi i Davida przy jednym z czterech stoliczków. Byli jedynymi klientami.

Edi przez chwilę poczuła wyrzuty sumienia. Może generał wysłał ją z sierżantem Clare'em, bo ten młody człowiek doznał obrażeń w czasie walki.

- Zostałeś ranny? - zapytała zza menu.

-Tak, dzięki twojemu cholernemu generałowi! -mruknął pod nosem David. - Myślisz, że mają tu dobre ziemniaki?

Menu było w całości wypełnione daniami z ziemniaków, więc nie wysilała się na odpowiedź. Rozglądała się za kobietą, żeby złożyć zamówienie, ale nigdzie jej nie widziała.

- Myślę, że... - Edi przerwała, bo nie chciała mówić, że chce iść do łazienki.

- No idź, ja zamówię za ciebie - powiedział, prawie rycząc. - Chyba, że chcesz coś innego niż ziemniaki.

Przebywała w towarzystwie generała Austina tak długo, że wiedziała, kiedy mężczyzna szuka pretekstu do kłótni i jeśli sierżant Clare nie zmieni tonu głosu, to zobaczy, co to znaczy kłótnia. Wystarczy, że była odpowiedzialna za ich dotarcie na miejsce i dostarczenie tygodnika; nie musiała jeszcze do tego znosić tego pewnego siebie faceta. Z tego, co zaobserwowała, jeśli sierżant Clare nie był niebezpiecznie zarozumiały, to był zły. Gdy wróci do generała Austina, to opowie mu szczegółowo, co myśli o mężczyźnie, którego z nią wysłał.

Edi wstała ze swojego miejsca, sięgnęła po torebkę i zamierzała też wziąć aktówkę, ale pomyślała, że przyciągnie tym zbyt dużo uwagi. Sądziła, że sierżant Clare nic nie wiedział o całej akcji i chciała, żeby tak pozostało.

Spędziła trochę czasu w łazience. W oknach wisały zasłonki w róże, a w szklanym słoiku leżały ładne, małe mydełka. Właśnie urok takich miejsc powodował, że tak często, jak mogła, uciekała od Londynu, żołnierzy i wszystkiego, co przypominało jej o wojnie. Umyła sobie twarz, nałożyła świeżą warstwę pomadki, a potem rozwiązała włosy, przeczesała je i ponownie ściągnęła do tyłu.

Gdy wróciła do stolika, jedzenie już na nią czekało i było bardzo smaczne. Danie składało się z dużej ilości ubitych ziemniaków, polanych zrobionym własnoręcz-

nie masłem, kawałka wołowiny, która musiała być gotowana godzinami, żeby osiągnąć taką miękkość, i porcji zielonej fasoli, która z pewnością była zerwana rankiem w ogrodzie.

Ani ona, ani sierżant nie mówili zbyt dużo, poruszyli jedynie temat deszczu, który przestawał już padać.

Po lunchu, gdy sierżant Clare dokuśtykał już do samochodu, otworzył przed panną Edilean przednie drzwi od strony pasażera, mówiąc:

- Byłoby miło, gdybyś mogła usiąść obok mnie, żeby mi mówić, gdzie mam jechać.

A ona znowu go zignorowała i usiadła na tylnym siedzeniu.

- Jedno, co mogę o tobie powiedzieć, to to, że nie poddajesz się łatwo - powiedział, wsiadając do samochodu, ponownie walcząc z lewą nogą, która wyglądała na sztywną.

- Czy mógłbyś wrócić na właściwą drogę? Za około pięć kilometrów będziemy musieli skręcić.

- Jesteś gotowa, żeby mi powiedzieć, gdzie jedziemy i po co?

- Generał Austin chciał, żebym złożyła w jego imieniu kondolencje wdowie po jego przyjacielu.

- Tak, już o tym słyszałem - powiedział.

Właśnie wtedy niebo jakby się otworzyło i zaczęło mocno lać. David włączył wycieraczki, ale nie pracowały zbyt dobrze. Deszcz tak głośno bębnił o auto, że musiał krzyczeć, żeby go usłyszała.

- Znasz tę drogę, w którą mamy skręcić?

Miała już powiedzieć, że nie zna, ale nie zamierzała mu dać tej satysfakcji.

- Mam mapę i...

- Więc niczego nie wiesz - powiedział głośno, wycierając jednocześnie rękawem zaparowane od wewnątrz szyby. - Może powinniśmy zawrócić i przeczekać tę ulewę. Ten samochód nie jest zbyt dobry na te drogi.

- Nie - powiedziała Edi z tylnego siedzenia. - Musimy dojechać do... - prawie powiedziała „doktora Jollicoe”, ale ucieła. Samochód zatrząsł się, gdy wjechał w jakąś dziurę w drodze, a potem wpadł w poślizg.

- Myślę, że powinniśmy zawrócić - powiedział David. - Nie widzę nawet, gdzie jadę.

-Więc pójdziemy piechotą, jeśli będzie trzeba -rzuciła Edi.

O co chodziło temu mężczyźnie, który przestraszył się małego deszczyku? Wzięła skórzaną aktówkę z siedzenia i otworzyła ją, żeby upewnić się, czy wszystko dobrze z czasopismem. Jeśli coś się stanie, nie mogła dopuścić, żeby zmokło. Cokolwiek ono zawierało, musiała je chronić za wszelką cenę.

Ale gdy otworzyła teczkę, nie było w niej nic prócz jej zeszytu, dwóch ołówków, długopisu i złożonej mapy. Z niedowierzaniem wyjęła wszystko na kolana. Ale czasopisma nie było. Włożyła z powrotem całą zawartość do aktówki i zaczęła przeszukiwać siedzenie. Może wypadło? Oparła się o ręce i kolana, i szukała pod przednimi siedzeniami, na podłodze i w tylnym bagażniku.

-Co ty wyprawiasz, do cholery? - sierżant Clare zdołał przekrzyczyć bębniący deszcz.

Pochyliła się do przodu i powiedziała prosto do jego ucha.

- Gdzie jest czasopismo?

- Jakie?

- Time! - krzyknęła. - Gdzie on jest?

- Co się z tobą dzieje? - odkrzyknął, przystawiając dłoń do ucha. - Nie wiem, co się stało z twoją gazetą. Tak długo byłeś w łazience, a mi się nudziło, więc zacząłem czytać to twoje czasopismo. Zostawiłem go chyba na krześle, nie wiem. Kupię ci drugie.

Edi nigdy w całym swoim życiu nie wpadła w panikę, ale teraz nie wytrzymała.

- Musimy zawrócić! - krzyknęła. - Teraz! Natychmiast. Zawracaj samochód i jedziemy z powrotem. Musimy odzyskać to czasopismo!

- Uspokój się... - zaczął mówić David, ale potem zobaczył przerażenie na jej twarzy i zaklął po cichu. - Dlaczego, do cholery, mi nie powiedziałaś, że ono jest takie ważne?

- Nie musisz niczego wiedzieć! - krzyknęła na niego. Gdyby nie prowadził samochodu, to z pewnością rzuciłaby mu się na szyję i ścisnęła rękami. - Wiedziałam, że się do tego nie nadajesz. Błagałam generała Austina, żeby przydzielił mi kogoś innego, ale nie, on musiał mnie wysłać z *tobą*. Więc pomóż mi, a kiedy wrócimy - jeśli wrócimy - to powiem, żeby cię postawili przed sądem wojskowym.

- Mogłabyś usiąść i się przytrzymać? - odezwał się David, który był tak samo zdenerwowany jak ona. Chwilę później obrócił samochód, który zaczął się ślizgać na błotnistej drodze. Stary grat prawie wysiadł, ale kilka razy wydał z siebie charczące dźwięki i pojechał dalej. David nacisnął na gaz, a auto zaczęło ślizgać się z jednego krańca drogi na drugi, ale on nad wszystkim panował i w końcu udało mu się wyprostować auto.

Edi przetaczała się z jednej strony na drugą. Próbowwała chwycić za podłokietnik, ale gdy był już prawie w zasięgu jej rąk, samochód skręcał w przeciwną stronę i chybiała. Dwa razy uderzyła głową o drzwi i połowa jej spinek z włosów latała po samochodzie, a jedna prawie trafiła ją w oko.

David zatrzymał samochód na kupce żwiru przed małą chatką, w której zjedli lunch.

- Jesteśmy na miejscu i ja...

- Idź do cholery! - powiedziała i wysiadła z samochodu, nie zwracając uwagi na ulewę.

W oknie wisiała kartka: „Zamknięte”. Edi zaczęła walić w drzwi, przekrzykując deszcz. David chciał jej coś powiedzieć, ale potem pokuśtykał na tył domu, żeby znaleźć tylne drzwi. Wrócił za chwilę.

- Znalazłeś coś? - krzyknęła. Deszcz spływał po jej głowie, ubranie miała przemoknięte do suchej nitki, a włosy przyklejone do twarzy.

- Nic. To miejsce jest już zamknięte.

- Musimy coś zrobić - powiedziała Edi. - Stłuczemy okno.

-Co?

- Stłuczemy. Wejdziemy do środka. Poszukamy cholernej gazety!

- Jeśli to ma być tajemnica, to nie możemy tego zrobić, bo się wydamy - krzyknął.

- Masz lepszy pomysł? - spytała.

- Tak, możemy...

David nie zdążył nic powiedzieć, bo otworzyły się drzwi i stanęła przed nimi pani Pettigrew.

- Wejdzie - odezwała się. - Przemokliście.

Edi niemal odepchnęła Davida na bok, gdy wchodziła do restauracji.

- Widziała panią jakieś czasopismo? - rzuciła.

- Tak. Time. Nie mamy ich tu zbyt wiele. Miło było poczytać o Cavendishes i...

- Gdzie ono jest? - spytała Edi tonem żądającym odpowiedzi.

David stanął przed nią.

- Chodzi o to, że ona obiecała tę gazetę swemu wujkowi i to moja wina, że ją tu zostawiłem. Czy pani ją ma?

- Przykro mi, ale nie - powiedziała pani Pettigrew z uśmiechem. - Ale mam kilka dobrych wydań Country Life. Może pani wujek zainteresuje się nimi.

-Nie - powiedział David nim Edi przemówiła. -W tej gazecie był artykuł o jej kuzynie i właśnie *tej* gazety potrzebuje.

- Aha, w takim razie pan Farquar ma z pewnością kilka starych wydań Time'a. Może tam też jest ten artykuł.

- Ale nam jest potrzebne właśnie to, które mieliśmy - powiedziała Edi z zaciśniętymi zębami. - Co się stało z tą gazetą?

- Aggie zabrała.

- Aggie zabrała - powtórzyła szeptem Edi.

- Aggie Trumbull. Pracuje dla mnie dwa razy w tygodniu. Nie stać mnie, żeby jej dużo płacić, ale pozwalam jej zachować rzeczy, które zostawią po sobie klienci. - Spojrzała na Edi z wyrzutem. - Takie jak stare gazety. Zwykle ludzie nie mają nic przeciwko.

David wyciągnął rękę, jakby chciał ochronić kobietę przed atakiem Edi.

- Więc gdzie możemy znaleźć tą Aggie?

- Wróciła do domu, w którym mieszka z dziadkiem. Jeśli przyjedziecie tu za trzy dni, ona tu będzie i wtedy możecie ją zapytać o pozostawioną gazetę. Jestem pewna, że zabrała ją dla swego starego dziadunia. On uwielbia czytać.

- Trzy dni - powiedziała Edi. - Trzy dni?

- Może moglibyśmy pojechać do jej dziadka i sami odnaleźć gazetę - stwierdził David. - Mogłaby nam pani wytłumaczyć, gdzie on mieszka?

- Trzy wioski stąd - powiedziała pani Pettigrew - ale w tym deszczu nigdy nie zdołacie tam dojechać samochodem. Most jest zalany do połowy w czasie takiej ulewy, o tej porze roku rzeka wylewa. Nie, lepiej zostańcie tu kilka dni i poczekajcie. Mogę was przenocować. Potrzebujecie jednego pokoju czy dwóch?

David ponownie stanął między kobietą a Edi.

- Nie będziemy potrzebować żadnych pokoi, ale może mogłaby pani narysować nam mapę, jak dojechać do domu dziadka Aggie. I jeśli to dla pani nie kłopot, to mogłaby pani zapakować nam kilka lunchów na wynos?

- Już po lunchu - powiedziała, nie ruszając się z miejsca.



- To poproszę podwieczorek, kolację i coś na śniadanie - powiedziała zimno Edi. - Kupimy całe jedzenie, jakie macie. A teraz będzie pani tak łaskawa i narysuje nam mapę?

- Z przyjemnością - powiedziała kobieta. - To zajmie mi tylko chwilkę i zaraz wracam z zapakowanymi posiłkami - wyszła z pomieszczenia.

Edi popatrzyła na Davida, jakby miała go zaraz zamordować.

- Nie patrz na mnie w taki sposób. To twoja wina, że mi nie powiedziałaś, o co chodzi - powiedział tak cicho, żeby nikt go nie usłyszał. - Gdybyś mi powiedziała, że ta gazeta skrywa jakąś tajemnicę, to byłbym...

- No, słucham sierżancie Clare? Nie grzebałby mi pan w mojej aktówce i nie ukradł gazety, a potem nie zostawił mojej własności na krześle, żeby ktoś inny mógł ją ukraść? Gdyby bezpieczeństwo krajów zależało od pana, to z pewnością przegralibyśmy tę wojnę kilka lat temu.

- Gdybyś nie była taką nadętą snobką, która uważa, że wszystko wie i nikt inny na świecie nie ma mózgu, nie byłoby nas tutaj.

- Snobką? Nazywasz zachowanie ściśle tajnych informacji snobstwem? Tak na to patrzysz?

- Ściśle tajnych? A od kiedy to sekretarka ma dostęp do ściśle tajnych informacji?

- Od kiedy to jest potrzebne.

- Żeby przekazać kondolencje wdowie? W tych czasach jest pełno wdów i one... - przerwał i spojrzał na nią. - Nie ma żadnej wdowy, prawda? Chodzi o coś zupełnie innego i ani ty, ani ten krzykliwy generał nie pisnęliście mi nawet słówka. Idź w cholere! - powiedział. - Mówimy o czymś niebezpiecznym, tak?

- To nie twoja sprawa wiedzieć, o co chodzi. Jesteś tylko kierowcą.

- A ty tylko sekretarką! - wykrzyczał, a jego twarz prawie dotykała jej twarzy.

- O kurcze - zza drzwi dotarł do nich głos kobiety.

- Obawiam się, że wywołałam spięcie między wami. To wszystko będzie kosztowało dziesięć funtów sześć pensów

- powiedziała.

- Dziesięć funtów? - powiedziała przerażona Edi. Była to naprawdę ogromna suma pieniędzy. - Myślę, że...

- Myślę, że jest w porządku - powiedział David, wyciągając z portfela pieniądze. - A teraz mogę dostać mapę?

- Oczywiście, skarbie - powiedziała, nie patrząc na Edi. Wręczyła mu złożoną kartkę papieru, którą wziął bez spoglądania do środka.

- Pomogłabym wam z pudełkami, ale na dworze jest nieco wilgotno, więc... - zakręciła się i opuściła pomieszczenie.

Na jednym ze stołów stało sześć dużych, białych pudełek, przewiązanych sznurkiem, z którego zrobione były uszy do trzymania.

- Myślę, że zrobiła to umyślnie - powiedziała Edi.

- I sądzę, że przygotowała je dla nas i czekała, aż głupi Amerykanie wrócą i zapłacą bajońską sumę za te pudła. Daj mi mapę.

- Po moim trupie - powiedział David, podnosząc cztery pudła. Sięgał po kolejne dwa, ale Edi je wzięła.

- Natychmiast daj mi mapę.

- Nie - powiedział, otwierając wejściowe drzwi i wybiegając na zewnątrz. Wrzucił zapakowane jedzenie na tylne siedzenia i otworzył przed Edi przednie drzwi od strony pasażera. Deszcz padał tak mocno, że ledwo widziała samochód i nie chciała tracić czasu na kłótnie z nim. Poza tym chciała dostać mapę.

Usiadła w środku, położyła pudełka na tylnych siedzeniach i czekała, aż on wsiądzie do auta. Włożył do środka sztywną, lewą nogę, a potem musiał wpackować całe ciało, żeby mógł wciągnąć drugą nogę.

Wyciągnęła z torby ręcznik i wytarła sobie twarz.

- Co ci się stało w nogę? Postrzeliłeś się?

- Wiesz co, gdybyś nie była dziewczyną, to...

- To co? - spytała z przymrużonymi oczami.

-Nie tym tonem do mnie i nie denerwuj mnie. -Zamknął drzwiczki, a kolejne dziesięć minut spędził, próbując uruchomić samochód.

- Myślałam, że umiesz uruchomić każdy silnik.

- Dostałem tę kupę złomu dziś rano. Nie miałem nawet czasu na sprawdzenie silnika. - Kiedy wreszcie udało mu się ruszyć, odetchnął z ulgą i wyjechał z parkingu.

- Możesz pokazać mi mapę? - spytała, a David sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął mapę. Była wilgotna, ale atrament się nie zmył.

-Dziesięć funtów za takie coś - powiedziała zde gustowana. - Z tej mapy wynika, że trzeba dojechać do kościoła, potem skręcić i jechać aż do farmy Hamisha Trumbulla. Tak prosto tam dojechać, że nawet ty trafisz.

David popatrzył na nią tak, że wiedziała, iż stąpa po cienkim lodzie i żeby lepiej uważała.

## Rozdział 18

- No tak - powiedziała Jocelyn, gdy skończyła czytać. W czasie słuchania lektury, Luke zdążył zjeść niemal wszystko z kosza oraz całą porcję duszonej wołowiny. - Niezbyt udana droga do miłości.

- Dla mnie brzmi całkiem dobrze - powiedział Luke. Leżał wyciągnięty na narzucie z rękoma założonymi za głowę. - A czego się spodziewałaś?

- No nie wiem, może spotkania dwóch podobnych umysłów. Może myślałam, że panna Edi i David rozejrzą się po pokoju, ich oczy się spotkają i zakochają się w sobie. Od razu i bez najmniejszego wahania. Myślałam, że pójdą gdzieś na kolację, porozmawiają i odkryją, że są bratnimi duszami. Ale ten mężczyzna...

- Ten mężczyzna, co?

- On jakoś do niej nie pasuje... Nie wiem, jak to nazwać, żeby nie zabrzmiała jak snobka. On nie jest chyba w jej guście. Ona jest wykształcona, pochodzi z wyższych sfer, ale on jest...

- Co? Są jak ogrodnik i właścicielka dworu?

- Znowu się mnie czepiasz?

- Chciałbym - powiedział lekko i zmierzył ją wzrokiem.

Nie mogła się powstrzymać i zbliżyła się do niego, ale on się przekręcił i wstał.

- Coś mnie niepokoi w tej całej historii - powiedział Luke, biorąc do ręki łopatę.

- Co na przykład?

- Nie wiem, ale coś mi tutaj nie gra. Wujek Alex i panna Edi, ty spotykasz pannę Edi, wszystko. Coś mi w kółko chodzi po głowie i mam wrażenie, że coś przeoczyliśmy.

- Ja nie widzę żadnej tajemnicy - stwierdziła Joce. -Moi dziadkowie przyjaźnili się z Alexandrem McDowellem, dlatego kupił ten dom w Boca i dlatego przeprowadziła się tam panna Edi.

- No tak - powiedział Luke - ale jest w tym coś dziwnego. Alex McDowell nie przyjaźnił się z nikim. Był mrukiem i lubił pracować. I sama wiesz, jakie jest Edilean. Wszyscy wiedzą o wszystkim. Ostatnim razem, gdy musiałem grać w golfa z dziadkiem, spytałem go, kiedy i gdzie wujek Alex zaprzyjaźnił się z twoimi dziadkami, ale dziadzio powiedział, że z tego, co wie, Alex opuszczał miast bardzo rzadko.

- A co z II wojną światową? - spytała Joce. - Mój dziadek produkował hełmy i był w Europie kilka razy. Może wtedy się spotkali.

- Wujek Alex nie brał udziału w wojnie. Miał jakąś przypadłość, która go z tego zwolniła, więc został w Stanach i obracał pieniędzmi.

- Był bankierem? - spytała Joce, ale Luke nie odpowiedział. Był skoncentrowany na kopaniu w ziemi. Joce zaczęła sprzątać rzeczy po pikniku, a drogocenną historię położyła na wierzchu kosza.

- Przepiszę ją.

- Masz baterie w komputerze? - spytał Luke.

- Tak... - uśmiechnęła się. - No dobrze, przyniosę go tutaj. - Gdy wstała, zauważyła jakieś rośliny w kartonowym pudle na furgonetce Luka. - A co to jest?

- Trochę rzeczy, które wykopałem tu i tam. Było tu kiedyś dużo ogrodów i niektóre z roślin przetrwały do dziś.

Dla niej wszystkie wyglądały jak chwasty.

- Więc spacerujesz sobie i gdy widzisz jakąś roślinę, to wiesz, co to jest i jak ją wykopać, żeby jej nie uszkodzić, tak?

- Tak - odpowiedział i wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

- Wrócę za kilka minut - powiedziała z uśmiechem, ale on był tak zajęty, że nie zauważył.

Jak tylko Jocelyn doszła do domu i zamknęła za sobą drzwi, Luke otworzył telefon i zadzwonił do dziadka.

- Cześć Luke! - powiedział dr Dave. - Właśnie zaliczyłem pierwszy dołek.

- Moje gratulacje - powiedział szybko Luke. - Mógłbym cię odwiedzić dziś wieczorem? Chcę o czymś z tobą pogadać.

- O tym, że okłamałem Jocelyn o wypadku samochodowym, który miał być w drugiej części?

- Nie - powiedział powoli Luke. - Akurat o tym kłamstwie mi nie wspomniała. Chodzi o coś zupełnie innego. Kto wie najwięcej o wujku Alexie?

- Powiedziałbym, że jego żona.

- Chodzi mi o kogoś, kto żyje.

- To w takim razie chyba ja.

- Czy wujek Alex pisał jakieś pamiętniki?

- Pamiętniki są z papieru, a papier kosztuje - powiedział dr Dave. - Może przyjechałbyś teraz, to moglibyśmy pogadać i rozegrać kilka partyjek golfa razem?

- Bardzo bym chciał, ale Joce ma przynieść do ogrodu swój komputer i będzie przepisywała całą historię, a ja będę pracował.

- To mi się podoba.

- Mnie też - powiedział Luke. - Muszę już kończyć, bo ona idzie.

- Więc to, co mi powiesz dziś wieczorem, ma być zachowane w tajemnicy przed Joce?

- Dodaj to do wszystkich sekretów o mnie, które jej zdradziłeś, i będziesz miał cały komplet.

Dr Dave śmiał się, gdy Luke rozłączał rozmowę.

- Krzywisz się - stwierdziła Joce - więc zapewne nie rozmawiałeś z przyjacielem?

- Tylko z moim dziadkiem. Kłócimy się ze sobą cały czas.

- Dziadek samotnik był twoim najlepszym kumplem, a dr Dave, kochany przez wszystkich, doprowadza cię do białej gorączki.

- Masz rację.

- Więc - powiedziała - myślisz, że chodzi o nich czy o ciebie?

- O nich.

- No tak. Wiedziałaś, że tak odpowiesz, nim się odezwałeś - powiedziała, a potem usiadła na ziemi i otworzyła laptopa.

- Jak szybko piszesz?

- Bardzo szybko, a potem spędzam dwie godziny na robieniu korekty, bo tyle mam literówek. A ty? Potrafisz pisać na komputerze?

Popatrzył na nią tym swoim spojrzeniem, które mówiło, że jest niesamowita, a potem wrócił do kopania w ziemi.

- O czym rozmawiałeś z dziadkiem?

- O niczym ważnym. Chce, żebym przyjechał do nich dziś wieczorem na kolację.

-Brzmi całkiem miło - powiedziała Joce, a potem zaczęła mu się intensywnie przyglądać, ale on pochylił głowę nad łopatą i nawet na nią nie spojrzał. - Nie poznałam jeszcze twojej babci.

- Nie poznałaś? - Poszedł do furgonetki i wyciągnął z niej widły.

- Czy ona jest miła?

- Bardzo miła.

- Myślę, że bardzo różni się od panny Edi, prawda?

- Z tego, co widziałem, to tak, ale spotkałem pannę Edi tylko raz.

-Naprawdę? - powiedziała. - Myślałam, że widywałeś ją częściej. Chociażby dlatego, że twój dziadek wybrał inną kobietę zamiast niej, mogłabym pomyśleć, że będziesz ciekawy, jaka jest panna Edi. Gdybym była na twoim miejscu, to chciałabym...

Luke przerwał kopanie.

-Nie mogę cię zabrać ze sobą - powiedział zniecierpliwiony. - Mam kilka... Muszę pogadać z dziadkiem o interesach i nie mogę cię zabrać ze sobą.

- Rozumiem - powiedziała Joce. - I wcale nie zamierzałam wymóc na tobie zaproszenia. Nawet by mi nie przeszło przez myśl, żeby się wpraszać do czyjegoś domu. Pytałam po prostu o twoich dziadków. Znam twojego tatę dość dobrze i spędziłam też dość dużo czasu z twoją mamą i była dla mnie taka miła, a twój dziadek był cudowny. Mówiłam ci, że specjalnie pojechał do „The Trellis” po czekoladowe ciasto na nasz wspólny lunch? On...

- Dziewiętnasta! - Luke prawie krzyknął. - Przyjadę po ciebie o dziewiętnastej. A teraz możesz sobie pisać dalej i mnie nie dręcz.

-Z przyjemnością - powiedziała Joce i opuściła swą twarz w dół, żeby nie mógł zobaczyć jej uśmiechu. Naprawdę tęskniła za nim całym sercem!

\*\*\*

-Jak myślisz, o czym rozprawiają mężczyźni? -Mary Alice spytała Joce, gdy po zjedzonym deserze, Luke i jego dziadek zniknęli w gabinecie doktora Dave'a i siedzieli tam do tej pory.

Joce była zafascynowana kobietą, z którą ożenił się mężczyzna niegdyś zaręczony z panną Edi. Dla Joce panna Edi była najcudowniejsza, ale widziała, jak iskrzy między dr. Dave'em i Mary Alice. Była naprawdę słodka i kochająca, i wyglądało na to, że najbardziej na świecie pragnie szczęścia dla swego męża i wnuczka. Przez cały czas trwania kolacji dwoiła się i troiła, biegając w tą i z powrotem do kuchni, żeby zapewnić każdemu najlepsze smakołyki.

Zewnętrznie bardzo się różniła od panny Edi. Mary Alice była niska, puszysta i swojska. Panna Edi nato-



miast była wysoka, szczupła i elegancka. Panna Edi nosiła w domu perły, a Mary Alice wyglądałaby dobrze w swetrze z wełny renifera.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Joce. - Luke był jakiś dziwny, od kiedy... - przerwała, bo miała właśnie powiedzieć, że Luke zachowywał się dziwnie, od kiedy przeczytała mu drugą część historii o pannie Edi. Joce doświadczyła już, że w Edilean nic nie wiadnie z wiekiem. Ludzkie twarze i ciała starzały się, ale historie, tajemnice były wciąż tak samo żywe, jak pięćdziesiąt lat wcześniej. Wolała więc nie wspominać o pannie Edi.

Zaczęła mówić o pracy Luka w ogrodzie, ale gdy Mary Alice wciąż kierowała spojrzenie w kierunku drzwi, Joce poddała się. Zastanawiała się, czy zajęcie Luka kryje w sobie jakiś sekret.

Później, gdy już siedziała w furgonetce z Lukiem i wracali do domu, zapytała go, o czym tak długo rozmawiali z dziadkiem.

- Przepraszam, że cię zostawiłem samą, ale musieliśmy pogadać o kilku sprawach.

- Właśnie o to przed chwilą pytałam, o czym rozmawialiście?

- O roślinach - odpowiedział szybko Luke. - Dziadek chce, żebym założył dla niego ogród.

- Pewnie - powiedziała powoli. - Dlatego rozmawialiście w tajemnicy, bo ja nie znam się na roślinach i musieliście się ukrywać.

- Nie chcieliśmy was zanudzać. A jak ci się rozmawiało z moją babcią?

- Nie miałyśmy sobie absolutnie nic do powiedzenia, a twoja brew drga.

Luke podniósł rękę, żeby dotknąć swoją brew.

- No dobrze - powiedział z westchnieniem. - Chciałem pogadać z dziadkiem o moich wątpliwościach dotyczących tej całej sprawy. Zapewne potrafisz sobie wyobrazić,

dłaczego nie rozmawiałem z nim o panie Edi w towarzystwie babci. I nim powiesz, że mogłem z nim porozmawiać w dzień, mogę ci przypomnieć, że wcześniej pracowałem i nie zamierzam spędzać dni na tachaniu worka z kijami na polu golfowym?

Jocelyn zauważyła, że jego brew wciąż drga, więc jeśli nawet mówił prawdę, to nie całą.

\*\*\*

Luke i Jocelyn byli w drodze do rezerwatu przyrody, który otaczał Edilean. On prowadził, a ona szła za nim. Oboje mieli przy sobie plecaki, które Luke skrzętnie wypełnił niezbędnymi rzeczami, w razie nieprzewidzianych okoliczności, na przykład burzy.

Minęło dwa dni, od kiedy odwiedzili jego dziadka i spędzali ze sobą każdą chwilę. Pierwszy dzień był przeznaczony dla Joce, która przejrzała wszystkie materiały dotyczące biografii panny Edi i powiedziała Lukowi, jak bardzo była rozczarowana listami doktora Brennera.

- Za dużo z nich nie skorzystałam. Wiem, że był taki dzień, w którym do nich strzelano, a on nawet o tym nie wspomniał, napisał tylko, gdzie się znajdowali. Nie pisał słówkiem, że znaleźli się w niebezpieczeństwie.

- Więc skąd wiesz, że do nich strzelano?

- Z historii i z opowiadań panny Edi - powiedziała Joce. - Porównałam też daty z nazwami kraju, w którym wtedy byli.

- Musisz trochę głębiej poszukać - poradził jej Luke. - Na pewno jest gdzieś ktoś, kto wie coś o tym. Sprawdziłaś nazwiska pozostałych osób, które są wspomniane w listach?

Joce wyciągnęła kartkę ze stosu leżącego na biurku i pokazała mu listę nazwisk wypisanych z listów dr. Brennera.

- Mieli przewodnika?

-Nie wiem - powiedziała Joce i otworzyła szerzej oczy. - Wiesz co, przypomniałam sobie, że panna Edi wspomniała raz o przodowniku. Charles jakiś tam.

- No właśnie - powiedział Luke. - Znajdź go. Albo jego krewnych. Na pewno są ludzie, którzy mieli z nimi styczność.

Kolejny dzień spędziła z nim w ogródku ziołowym. Pojechali w końcu do sklepu ogrodniczego, żeby kupić rośliny, a Luke powiedział, że wyśle rachunek do Ramseya.

-Nie martw się, odliczy sobie każdego centa od podatku, bo to przecież ogród o wartości historycznej.

- A co u niego?

-Masz na myśli Federalny Urząd Podatkowy czy księgową?

- Mojego przyszłego męża, jeśli mam być dokładna.

- Nie na długo - powiedział, uśmiechając się do niej.

Chciała go spytać o Ingrid, o unieważnienie małżeństwa i o kilka innych osobistych spraw, ale nie zrobiła tego. Uśmiechnęła się po prostu do niego i powiedziała:

- Te są ładne. Weźmy kilka z nich.

- To są nowoczesne krzyżówki. To, czego potrzebujemy, jest tam.

Rośliny, które wskazał Luke, bardziej przypominały chwasty niż kwiaty.

- Powąchaj je - powiedział, przystawiając jej do nosa szarozieloną, kosmatą roślinę.

- Niebiański zapach.

- Twoje nowoczesne hybrydy nie dają takiego zapachu. One tylko ładnie wyglądają i w większości są niejadalne.

- Ale nie róże. Można je wąchać i jeść - powiedziała, dumna, że o tym wie.

-Przypomniałaś mi o czymś. Musimy kupić kilka krzaków dzikich róż.

Nie wiedziała, co to dokładnie oznaczało, ale z tego, co nauczyła się do tej pory o Luku, domyślała się, że pewnie chodzi o roślinę, która ma więcej liści niż kwiatów.

- Dzikie róże.

-Tak. Na jesień przekwitają i mają duże owoce, z których można zrobić galaretkę.

- O kurcze - wymamrotała, idąc za nim. - Będę mogła robić galaretkę. Już nie mogę się doczekać.

Dzisiejszy dzień spędzali w rezerwacie, spacerując po ścieżkach, które Luke chyba dobrze znał. Chciała wziąć ze sobą mapę z zaznaczonymi szlakami, ale Luke powiedział, że chodził tędy tyle razy, że może jej sam narysować mapę. Prowadził ją do miejsca, które kochał, a szli tam, żeby zjeść pod gołym niebem i przy okazji przeczytać trzecią część historii panny Edi.

Przez ostatnie dni Luke często rozmawiał przez telefon i rzadko jej mówił, z kim rozmawiał. Po tym wieczorze spędzonym z dziadkiem, wydawało się, że przyrzekł sobie, że nic więcej jej nie powie, obojętnie, co ona zrobi, żeby od niego wyciągnąć informacje.

Jednak widziała, że coś go trapi i chciała wiedzieć co.

- Nie mam pojęcia, czego dokładnie chcę się dowiedzieć, po prostu to wszystko włączyło we mnie jakiś alarmowy przycisk - powiedział. - Coś mi tu nie gra i to wszystko.

- Nie rozumiem, co masz na myśli. Panna Edi zakochała się w mężczyźnie, który zginął w czasie II wojny światowej. Co w tym dziwnego?

- Nie w tym jest coś dziwnego - odparł Luke. - Chodzi o to, co się stało kilka lat później. Alex McDowell twierdził, że był coś winny pannie Edi i chciał się jej odwdzińczyć.

- Co był jej winien?

-Nie próbuj wyciągnąć ze mnie odpowiedzi na to pytanie, bo jej nie znam, tak jak i wszyscy inni. Wczorajszego wieczoru znowu próbowałem namówić dziadka, żeby mi powiedział, ale on milczał. Wspomniał tylko, że powinienem jedynie wiedzieć, że Alex dużo zawdzięczał pannie Edi. Więc, gdy skończyła pracę i musiała się

utrzymać z marnej emerytury, on kupił jej dom tam, gdzie panował ciepły klimat, i dał pracę, w której się doskonale spełniała. Wygląda na to, że był honorowym mężczyzną. Spłacił swój dług. Ale dlaczego Boca? - spytał Luke. - Dlaczego nie Miami? Albo Sarasota? Albo gdzieś w Arizonie?

- Dlaczego nie Weeki Wachee, mogłaby tam codziennie oglądać syreny? A dlaczego nie Boca Raton? Przecież to cudowne miejsce. A Alex miał tam przyjaciół.

-No tak. Twoich dziadków. Zadzwoń do Ramseya i powiedz mi, że jego dziadek nigdy nie wspominał nawet o ludziach o nazwisku Scovill, ale tak samo nie mówił nigdy o pannie Edi, więc nic mi to nie pomogło.

- Pytał o mnie?

Luke skrzywił się nieco.

- Sądzę, że tak. Wspomniał też o moim dziadku i powiedział, że przyjedzie po nas z bronią, jeśli... No, nie wypada mi powtórzyć jego słów w obecności damy.

-I znowu jestem traktowana jak czyjaś własność. Z zachowania ludzi można pomyśleć, że miałam wyjść za Ramseya, żeby spełnić pewnego rodzaju przepowiednię.

- Może po prostu wierzą w to, co uważają za słuszne. Wszyscy zawsze sądzili, że najbogatsza rodzina powinna się łączyć z najstarszym rodem.

- Ale ja nie jestem spokrewniona z panną Edi - powiedziała Joce. - Odziedziczyłam po niej dom, bo nie miała go komu przepisać.

Gdy Luke nie odezwał się ani słowem, spojrzała na niego.

- Chodzi ci coś po głowie, prawda?

- Chcę przeczytać listy, które pisał generał Austin do swojej żony.

-Bill Austin jest teraz w podróży poślubnej, a może jeszcze się nie ożenił, nie wiem. Ale wiem na pewno, że nie wypuści z rąk oryginałów.

Luke odwrócił się przodem do niej i zaczął iść tyłem.

- Ale przecież on nie jest właścicielem tych listów.
- Oczywiście, że jest. On... - Joce spojrzała na Luka. - No tak, nie jest. Żona generała wciąż żyje i to do niej należą listy. Myślisz, że mógłbyś ją namówić na przesłanie ich?
- Ja nie, ale mój dziadek tak. On jest w stanie oczarować ją do tego stopnia, że zrobi wszystko, czego on zechce.
- Na pewno byłoby dobrze zobaczyć, o czym pisał - powiedziała Joce.
- Może tam nic nie ma, ale jest szansa, że wspomniał o czasie, kiedy panna Edi wróciła z wyprawy z Davidem Clare'em. Hej! Czy to szum wody?
- Tak. To wodospad i jezioro. Lodowato zimne i piękne. - Luke odwrócił się przodem do ścieżki i szedł dalej.
- Bardzo dobrze znasz to miejsce, prawda?
- Spędzałem tu dużo czasu na spacerach, gdy dorastałem. Właśnie tutaj pokochałem przyrodę. Spacerowałem z zielnikiem w rękę i uczyłem się nazw wszystkich roślin.
- A co to jest? - spytała, schylając się nad roślinką o czerwonych kwiatach.
- Penstemon i więcej ci nic nie powiem. Nie jestem przewodnikiem.
- Nie, ty jesteś ogrodnikiem, który, jak mi mówiono, nie musi się martwić o pieniądze. Nie korzystałeś z pieniędzy zarobionych przez twoją żonę modelkę, co?
- A jak myślisz?
- Że prędzej poszedłbyś mieszkać na ulicę niż byś to zrobił.
- Ty mnie dobrze znasz, co?
- Uczę się ciebie - powiedziała.
- I czego się nauczyłaś do tej pory? - spytał. Powiedział to jakby odpowiedź nie miała dla niego znaczenia, ale Joce zauważyła, że napiął mięśnie.
- Tego, że jeśli ktoś chce czegoś od ciebie, to musi to wycisnąć. Ty nie siedzisz i nie opowiadasz ludziom o sobie.

- Czy to dobrze, czy źle? - spytał.

- Dla mnie to dobrze - odpowiedziała - bo wiem, jak cię zagadać, żebyś mi zdradził swoje sekrety.

Zatrzymał się i odwrócił, żeby na nią spojrzeć.

- Tak myślisz?

- No tak. Wiem już wszystko, co mam o tobie wiedzieć. Poza kilkoma drobnymi sprawami, to znaczy, dlaczego nie pokazałeś mi swego domu w środku, dlaczego ty i Ramsey wciąż ze sobą rywalizujecie, dlaczego mi nie powiedziałeś, że jesteś żonaty i co ty i twój dziadek knujecie. Poza tym rzeczami, wiem o tobie wszystko.

- A ja wiem, że zamęczyłabyś faceta na śmierć, żeby z niego wyciągnąć to, co chcesz wiedzieć - powiedział, a ona słyszała w jego głosie cień wesołości.

Luke odwrócił się, a ona poszła dalej za nim. Doszli do niewielkiego wodospadu, który wpadał do małego strumienia, który z kolei zmieniał się w jezioro. Było to piękne i spokojne miejsce i mogło się wydawać, że nikt wcześniej tutaj nie był, ale Luke wiedział dobrze, że swoje plecaki mają włożyć w małą wnękę za skałami.

- Często tutaj przychodziłeś, co?

- Miliony razy - powiedział Luke. - Gdy byłem małym chłopcem, ukrywałem się tutaj przed oczekiwaniami ojca i nadmierną troskliwością matki.

- Byłeś tu kiedyś z Ingrid?

- Nigdy.

- Nie mogła dopasować odpowiednich botków? - Nie mogła znaleźć mężczyzny, który chciałby się

z nią znaleźć w dziczy - powiedział miękko, patrząc na Joce.

W tej sytuacji wtulenie się w niego i pocałowanie, było dla niej jak najbardziej naturalne. Najpierw jego usta całowały ją wolno i delikatnie, ale namiętność pogłębiała się z każdą sekundą. Gdy zacisnął ramiona wokół niej i jego ciało przylgnęło do niej, poczuła, że ją pragnie. Gdy-

by to zależało od Jocelyn, mogłaby się z nim kochać tu, w tym pięknym zakątku, ale on odsunął ją od siebie.

- Nie mogę - powiedział.

- Nie to mówi twoje ciało - powiedziała zachrypniętym głosem.

- Nie, mam na myśli to, że to nie fair. Nie mam do tego prawa. To moje... małżeństwo. Muszę najpierw wyprostować tę sprawę. I my. Chcę, żebyśmy się lepiej poznali. Chcę...

- Nie chcesz znowu popełnić błędu - powiedziała. Nic jej nie odpowiedział, ale wiedziała, że właśnie to

miał na myśli. Kilka minut potem leżeli wyciągnięci na trawie w pobliżu wody, a on wyjął kolejną część historii panny Edi. Jego dziadek dał mu ją zeszłego wieczoru.

- Kto ma czytać, ja czy ty? - spytał.

Lubiła jego głos i podobało się jej, że zapytał ją o zdanie.

-Ty czytaj - odpowiedziała i założyła ręce za tył głowy, gotowa, żeby go słuchać.



## Rozdział 19

ANGLIA 1944

Deszcz padał coraz bardziej i trudno było dojrzeć most. Gdy wreszcie go zobaczyli, oboje zamarli. Woda w rzece osiągnęła już taką wysokość, że płynęła powierzchnią mostu, który mógłby nie utrzymać roweru, a co dopiero ciężkiego samochodu.

- Ten most pamięta chyba czasy przed Kolumbem - powiedział David, a potem zwolnił, wytarł przednią szybę i podjechał do przodu.

- Wygląda na średniowieczny - powiedziała Edi. - Spójrz na te kamienne filary. One...

- Pomóż mi, jeśli zamierzasz mi udzielać teraz lekcji historii, to cię zaraz wyrzucę.

Sądziła, że chciał ją nabrać, ale nie była pewna, więc nic już nie powiedziała.

David objął ramieniem swój fotel i zaczął cofać auto.

- Chcę się rozpędzić i przeskoczyć most. Albo się nam to uda, albo ześlizgniemy się bokiem i wpadniemy do wody, prawdopodobnie dachując. Jesteś gotowa?

Edi objęła się i przytaknęła głową.

- A tak po przemyśleniu, to może wysiądziesz i zaczekasz tutaj na mnie?

- Gdyby jakiś inny mężczyzna wątpił w moją odwagę, to wyciągnęłabym z bagażnika karabin i go zastrzeliła.

David zamrugał oczami.

- Karabin z bagażnika - powiedział, wstrzymując oddech. - Kieruję jakimś antycznym czołgiem. Mogę się założyć, że jeździli nim w Sarajewie.

Edi uśmiechnęła się mimo całej sytuacji, w której byli. I wojna światowa rozpoczęła się od zamordowania arcy-

księcia Austrii Franciszka Ferdynanda i jego żony w Sarajewie. Wyglądało na to, że grubiański sierżant Clare, znał jednak trochę historii.

Wstrzymała oddech, gdy wjechał na szczyt niewielkiego pagórka i dodawał gazu, potem zmienił bieg, nacisnął na gaz, cały czas trzymając nogę na hamulcu, by w kolejnej chwili ją zdjąć i wystartować w kierunku starego mostu, pokonując kałuże wody i deszczu. Edi nie widziała niczego. Przednia szyba pokryta była błotem, a wycieraczki odmówiły posłuszeństwa.

Wiedziała, że dotarli już do mostu tylko dlatego, że usłyszała, jak samochód uderzył o drewnianą część. Był to głuchy dźwięk, który od razu skojarzył jej się z bajką o trzech kozłatkach, które chciały przejść przez most.

Gdy pokonali most i znaleźli się po drugiej stronie, oboje wznieśli okrzyki radości.

I w tym momencie zobaczyli krowę. Deszcz zdążył już zmyć większość błota z przedniej szyby i ich oczom ukazała się droga i leniwie spacerująca po niej biało-czarna, ogromna krowa, która zupełnie nie zwracała na nic uwagi.

-Zatrzymaj się! - krzyknął David, który próbował zjechać na bok, żeby nie uderzyć w zwierzę. W tym momencie nie dbał o to, że ją przejedzie, ale zderzenie z tak wielką krową groziło poważnymi zniszczeniami.

I tak nie uniknęli zderzenia z nią. Samochód uderzył potem w żywopłot na poboczu drogi, wszedł w poślizg i dwa razy się obrócił, nim zaczął jechać w kierunku mostu. David walczył z kierownicą ze wszystkich swoich sił, ale aparat na jego nodze zacisnął się i nie mógł ruszyć kolanem. Gdy skręcał kierownicę, musiał się przechylić w kierunku Edi i wtedy mógł nacisnąć sprzęgło do końca i zredukować biegi, żeby samochód zwolnił. Ale sprzęgło, hamulec i błoto jednocześnie, to było zbyt wiele dla niego i starego auta.

Samochód przekręcił się na dach, Edi wisiała do góry nogami, a auto wślizgnęło się na dachu do rzeki, tuż obok mostu, który przed chwilą pokonali z sukcesem.

Oboje zamarli na kilka sekund, bo nie byli w stanie pojąć, co się stało. Z głowy Davida płynęła strużka krwi, a Edi zraniła się w ramię.

- Musisz wysiąść - powiedział David, wyciągając do niej dłoń.

Edi leżała na dachu przewróconego samochodu, ale David wciąż siedział za kierownicą z głową zwisającą do dołu. Popatrzyła w tym samym kierunku co on i zobaczyła, że poziom wody podnosi się w środku. Jedynie zamknięte okna samochodu stawiały barierę wodzie, ale to i tak na dłuższą metę nic nie da.

- Tak - zdołała powiedzieć. Była lekko zamroczona i nie do końca zdawała sobie sprawę, co się dzieje. - Otworzę okno i wypłyniemy. - Była z siebie dumna, że wymyśliła, co mają zrobić.

- Potrafisz pływać? - spytał.

- Tak, całkiem dobrze - odpowiedziała. Dochodziła szybko do siebie.

- A ty?

- Byłem w drużynie pływackiej w szkole średniej - powiedział i uśmiechnął się do niej szeroko.

- No dobrze - odparła. - Gotowy? Musimy wypłynąć, jak tylko otworzę szybę.

- Hej Harcourt - powiedział ciepło. - Oddasz mi przysługę? Pocałujesz mnie, nim popłyniesz?

- Pocałunek? Czy ty sądzisz, że teraz jest czas na... -przerwała, gdy zdała sobie sprawę, co powiedział. „Nim popłyniesz” - nie on, ale ona.

- Co się z tobą dzieje?

- Chodzi o tę cholerną nogę - powiedział. - Mam pecha. Aparat jest metalowy i gdzieś się zaczepił. Nie mogę ruszyć nogą.

Edi przyjrzała się wodzie, która ich otaczała i deszczowi, który wciąż lał. Za kilka minut oboje znajdą się cał-

kowicie pod wodą, ciśnienie prawdopodobnie zmiążdży szyby i utoną.

Nie było jej łatwo odwrócić się tak, żeby sięgnąć do nóg Davida, ale dała sobie radę. Jego stopa była uwięziona pod zmiążdżonym pedałem gazu, drugi kawałek metalu zaczepił o łydkę.

- Spróbuj ruszyć nogą, zegnij w kolanie i wyciągnij. Czy twoja noga jest złamana?

- Nie sędzę, ale jest uwięziona w metalowej obręczy. Musisz już iść. Nie ma czasu do stracenia. Musisz...

- Zamknij się - krzyknęła. - Jak mam cię z tego wyciągnąć?

- Nie dasz rady. Nie masz tyle siły. Noga uwięzła mi pod jakąś metalową częścią i....

- Choć raz w życiu przestań gadać! - wrzasnęła. - Jak mogę zdjąć tę obręcz?

- Mam w kieszeni imbusa. Jest...

- Wiem jak wygląda imbus. - Zobaczyła, że jego prawe ramię krwawi. Nie mógł sam włożyć ręki do kieszeni. Ułożyła się tak, że leżała na nim w poprzek, włożyła rękę głęboko do jego kieszeni i natrafiła na metalową część.

W chwili, gdy go wyjęła, pękła tylna szyba i wnętrze auta zaczęło wypełniać się wodą.

- Trzy śrubki przy okrągłym zawiasie na kolanie - powiedział David. - Idź już. Daj mi klucz i zmykaj.

Samochód pływał w wodzie do góry nogami i ostatnim miejscem, które miała zalać woda, były stopy Davida, ale jego głowa prawie dotykała dachu. Nawet jeśli poluzuje śrubki, może nie zdążyć go wyciągnąć z auta, nim utonie.

Edi przyklękła na dachu i próbowała znaleźć śrubki przy kolanie Davida. Znalazła jedną i poluzowała. Ale czuła już wodę wokół swoich nóg.

Spojrzał w dół, głowa Davida była już prawie pod wodą. Pochylał się do przodu tak daleko jak mógł, ale przeszkadzała mu w tym wielka kierownica.

Edi wzięła głęboki oddech, wsadziła głowę pod wodę, spojrzała na Davida i dotknęła jego ust. Zajął mu chwilę, nim zrozumiał, o co jej chodziło. Pocałowała go, dostarczając mu trochę powietrza, a potem wróciła do obręczy na jego nodze.

Poluzowała drugą śrubkę, potem wzięła głęboki oddech i znowu przekazała Davidowi powietrze.

Trzecia śrubka się zacięła i Edi myślała, że już nie da rady jej poluzować. Zostało tylko kilka centymetrów powietrza w samochodzie. Zanurkowała, żeby dać Davidowi trochę tlenu, a on pokazał jej, żeby uciekała. Nie traciła czasu na dyskusję z nim.

Musiała wynurzyć się, żeby zaczerpnąć powietrza przy dachu, a potem zanurkowała, żeby poluzować ostatnią śrubkę. Kiedy zawias puścił, mocno popchnęła jego nogę i nią poruszała. Był wolny!

Edi zanurkowała w kierunku twarzy Davida, żeby mu pokazać, że musi spróbować się wydostać, ale on miał zamknięte oczy i był bezwładny. Odepchnęła się nogami, żeby zaczerpnąć powietrza pod dachem. Ale tam była już tylko woda.

Zaczęły ją boleć płuca. Sięgnęła do korbki, która otwierała okno i ją przekręciła. Było jej ciężko się poruszać i czuła, że traci siły, a jej głowa stawała się coraz lżejsza. Ale odsunęła dużą szybę na tyle, że chyba mogła go wydostać.

Woda sprawiła, że był lżejszy, więc przeciągnęła go przez okno, ale prąd rzeki był na tyle silny, że prawie go wessał. Edi prawie całkiem spanikowała, gdy ciało Davida gdzieś zniknęło, ale w następnej chwili ją też porwał prąd i uniósł do góry.

Gdy wypłynęła na powierzchnię, wzięła głęboki oddech i znowu została wciągnięta pod wodę. Gdy wynurzyła się po raz drugi, zaczęła się rozglądać za Davidem, zobaczyła go leżącego na korzeniach drzewa kilka metrów

od niej. Oczy miał zamknięte, ale na szczęście jego głowa nie była pod wodą.

Próbowała płynąć w jego stronę, ale nurt porwał ją w przeciwnym kierunku.

- Złap się tego - usłyszała jakiś głos, odwróciła się i zobaczyła długą tyczkę kilka centymetrów od swojej głowy. Wydawało się jej, że jest do czegoś przyczepiona, ale nie widziała do czego, nie widziała też, kto do niej mówił. Musiała rzucić się na tyczkę dwa razy, nim ją chwyciła, a potem trzymała się ramionami.

- On! - krzyczała do niewidocznej osoby, która ją uratowała. - Przy drzewach. Tam!

Edi trzymała się tyczki i przetarła sobie oczy dłonią, a potem ujrzała na brzegu kogoś w zielonym płaszczu. Z jego kształtów i przygarbionych pleców wynikało, że jest to jakiś starszy mężczyzna. Był jednak bardzo silny, bo chwycił Davida za kołnierz i wyciągnął z wody, jakby był wielką rybą, dopiero co schwytaną.

Edi walczyła z włosami i deszczem, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale nie śmiała wypuścić z rąk tyczki. Odwróciła się w lewą stronę i zobaczyła, że tyczka była przyczepiona do mostu. Może używali jej do przepławiania barki przez rzekę. Powoli zaczęła przesuwać się w kierunku mostu, żeby spróbować wyjść na ląd.

Gdy się poruszała, myślała o tym, co ten starszy człowiek robi teraz z sierżantem Clare'em. Może pomyśli, że nie żyje i nie będzie próbował go uratować? Gdyby tylko Edi mogła do niego dotrzeć, zastosowałyby jakieś nowoczesne techniki ratowania życia i może udałoby się jej wypompować wodę z płuc sierżanta, żeby nie umarł.

- No chodź! - usłyszała wołającego ją mężczyznę. - Jeszcze tylko troszkę i już będziesz w domku.

Jej ramiona były bardzo słabe i cała trzęsła się z zimna i wysiłku, ale spojrzała w górę i zobaczyła sierżanta Clare'a. Deszcz lał się z nieba, a mgła była tak gęsta, że

sądziła, iż może widzi ducha. Może on umarł, a jego duch pospieszył jej na ratunek?

- No dalej Harcourt! - krzyknął. - Wyłaż z tej wody. Poszedłbym do ciebie, żeby cię uratować, ale za bardzo jestem poturbowany. Musisz sama coś dla siebie zrobić tym razem. Nie myśl, że będę cię ciągle ratował.

- Ty? - zdołała powiedzieć. - Dlaczego ty... - Wypełniła ją ogromna złość, a wraz z nią przybyło jej sił i zaczęła kopać długimi nogami i mocniej trzymać się tyczki. Ale nawet jej złość i chwilowy przypływ energii nie wystarczała, żeby dopłynęła do brzegu. Zamiast zbliżyć się do mostu, wydawało się, że odpływała od niego coraz dalej.

Mocno zamruwała oczami, żeby usunąć z nich wodę, ale wszystko było zamazane.

Po chwili poczuła, że chwytają silne ramię.

- Mam cię - usłyszała. - Teraz jesteś bezpieczna. Puść tyczkę i ja cię wezmę.

Posłuchiwała głosu. Jej ramiona oderwały się od metalu i otoczyły szyję ratownika, jej głowa też spoczęła na nim. Czowała, że wynosi ją z wody, czuła też na sobie ręce kogoś innego.

- Nie żyje? - usłyszała męski głos.

- Nie, wszystko w porządku - odezwał się sierżant Clare. To on ją niósł, czuła, że powłóczy nogą z żelastwem, które wciąż miał na sobie. Zdołała jedynie poluzować śrubki, ale aparat wciąż się trzymał.

- Jak twoje ramię? - zdołała wyszeptać, gdy przypomniała sobie, że krwawiło.

- Nie mogę się zdecydować, czy bardziej mnie boli ramię, czy noga. Ten dylemat powstrzymuje mnie od utraty przytomności.

- No i dobrze - powiedziała i wtuliła się w niego. Zamknęła oczy i zasnęła.

Gdy się obudziła, leżała na łóżku z miękkim materacem, a przez okno było widać słoneczne światło. Bolała ją głowa i ramię, ale nie czuła się źle. Rozejrzała się po pokoju. Był mały, z dwoma łózkami, a ściany były oklejone tapetą w kwiatki. Łóżko, które stało obok, było przykryte starą narzutą, a na niej leżały duże poduchy. Przy jednej ze ścian stała wielka szafa, a przy drugiej toaletka. W oknie, które było naprzeciwko jej łóżka, wisiały firanki.

Gdy próbowała usiąść, zakręciło się jej w głowie, ale za chwilę jej przeszło. Usłyszała ciche pukanie do drzwi, a potem do środka wszedł sierzant Clare, niosąc w dłoni tacę. Jego prawe ramię było na temblaku.

- Obudziłaś się - powiedział z uśmiechem, a potem skierował swoją uwagę na tacę, która zaczęła mu się przechylać.

- Pozwól, że ja... - powiedziała Edi, próbując wstać z łóżka, ale uświadomiła sobie, że ma na sobie jedynie jej brzoskwińowe body ze sztucznego jedwabiu. Szybko nakryła się kołdrą. - Gdzie są moje ubrania?

- W kuchni, już wyschły i czekają na ciebie - powiedział David, kładąc tacę na końcu jej łóżka, potem wstał i rozciągnął ramię. - Możesz przestać już na mnie się patrzeć, jakbym miał się na ciebie rzucić. Za późno na skromność.

Edi wciąż była okryta kołdrą po samą szyję.

- A co to ma znaczyć?

Usiadł na drugim łóżku, wziął sobie kawałek tostu i zaczął jeść.

- Jeśli nie chcesz jeść, to ja z chęcią zrobię to za ciebie.

- Muszę coś na siebie włożyć - powiedziała. Natychmiast wstał, podszedł do szafy i wyjął z niej

męską koszulę. Była ogromna i znoszona, ale Edi ją wzięła i włożyła ręce w rękawy. Kiedy była już okryta, schyliła się w kierunku tacy i nalala sobie filiżankę herbaty.



- Opowiedz mi, co się stało - powiedziała. - Gdzie jesteśmy? Kiedy możemy stąd wyjechać i dostać gazetę?

- Na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć?

- Na wszystkie - odpowiedziała.

- Wczoraj mieliśmy wypadek, a teraz przebywamy w domu Hamisha Trumbulla.

Edi przestała na chwilę jeść tost.

- Wydaje się, że pani Pettigrew była tak pewna, że nie damy rady pokonać mostu, że zadzwoniła do sąsiada, który powiedział staremu Hamishowi, żeby poszedł nad rzekę nas uratować.

-Ale przecież przejechaliśmy przez most - powiedziała Edi lekko obrażonym tonem. - Gdyby nie ta krowa...

- Która należy z resztą do Hamisha.

- Gdyby nie *jego krowa*, udałoby się nam.

- Dziękuję - powiedział David. - Dokładnie to samo powiedziałem Hamishowi, ale on nie uwierzył. Powiedział, że ominęliśmy most i wpadliśmy do rzeki. Powiedział, że jestem najgorszym kierowcą, jakiego spotkał.

- Szkoda, że nie uderzyłeś w jego krowę - powiedziała Edi z pełnymi ustami.

- Jestem zbyt sentymentalny. Pozwól, że ci naleję herbaty. - David użył lewego ramienia i prawej ręki, żeby manewrować czajniczką, jego noga odstawała sztywno od jego ciała.

- A co z czasopiśmie?

- Ma go wnuczka Aggie i nie wiadomo, gdzie ona teraz jest.

Edi się skrzywiła.

- A ile ona ma lat, że przebywa sama poza domem?

- Szesnaście i nawarzyła sobie piwa. Pani Pettigrew powiedziała, że jedzie do dziadka do domu, a dziadkowi, że musi pracować. Biedne dziecko. Jak tylko się pojawi, będzie miała przekichane.

- Więc jak długo będziemy musieli czekać, aż wróci nie wiadomo skąd?

- No właśnie: my - powiedział David, wstając z łóżka i podchodząc do okna. - Jeśli chodzi o „nas”. No wiesz, Hamish jest nieco staroświecki i musiałem mu trochę nakłamać.

Gdy nie powiedział nic więcej, tylko wciąż wyglądał przez okno, Edi zaczęła układać sobie wszystko w głowie.

- Powiedziałeś mu, że jesteśmy małżeństwem, tak?

- Miałem do wyboru to albo spanie w oborze. Przepraszam, ale wolę jednak materace niż słomę.

Pomyślała o tym, jak ją wczoraj wyciągnął z wody, i nie potrafiła pożałować mu łóżka.

- No dobrze, więc jesteśmy małżeństwem i... co? David odwrócił się do niej z błyskiem w oczach.

- Chyba w twoich snach, żołnierzu - powiedziała.

- Gdyby marzenia fruwały jak motyle... - powiedział David, a potem pokuśtykał do łóżka. - Wygląda na to, że Aggie Zaginiona zjawi się tutaj pojutrze. Możemy tylko mieć nadzieję, że będzie miała ze sobą gazetę.

- Nie powiedziałeś Hamishowi...

- Nic nie powiedziałem temu staremu człowiekowi. Pani Pettigrew zmyśliła jakąś niewiarygodną historię o tym, że od tej gazety zależą losy całej wojny i musimy ją odzyskać. Ona... Dlaczego tak na mnie patrzysz? Powiedz mi, proszę, że to nie jest prawda.

- Nie wiem - wymamrotała, jedząc ostatni tost.

- Chcę, żebyś mi powiedziała wszystko, co wiesz, i nawet nie myśl o ukryciu czegoś przede mną.

Zeszło jej dobre cztery minuty, nim powiedziała mu wszystko. Nie było tego zbyt wiele.

- Więc masz oddać temu mężczyźnie gazetę...

- Doktorowi Sebastianowi Jellicoe.

- Potem mamy go zawieźć do Londynu, żeby mógł spokojnie wrócić do Minnesoty, albo w inne miejsce w Stanach. Zgadza się? - spytał David.

- Tak mi powiedziano.

- Ale jego adres i mapa jest w samochodzie, który leży teraz na dnie rzeki, która wylała.

Edi oparła się o zagłówek.

- Nauczyłam się mapy na pamięć.

- Co zrobiłaś?

- Gdy kierowałam samochodem, marudząc, że nie masz z kim pogadać, ja siedziałam z tyłu i uczyłam się mapy. Miałam nadzieję, że znajdę w gazecie jakieś znaki i też się ich nauczę, ale niczego nie znalazłam.

- Marudziłam? - powiedział David, skupiając się tylko na tym jednym słowie. - Gdybyś tak bardzo cierpiała, to też byś marudziła.

- Co ci się stało w nogę? - spytała Edi i w tym momencie przypomniała sobie jak nurkowała, żeby poluzować śrubki i jak go całowała, żeby mu dać powietrze.

Ich oczy spotkały się na chwilę, jakby on pomyślał dokładnie o tym samym, ale odwrócił wzrok i wyjął ze spodni nogę.

- Twój generał, ten diabeł, dla którego pracujesz, zdecydował, że zdrowy mężczyzna podróżujący po Anglii, wzbudzi zbyt dużo podejrzeń, więc postanowił zrobić ze mnie inwalidę.

Edi spojrzała na metalowy aparat i na okrągły zawias, który tak dobrze знаła i nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedział David. - Na całej nodze mam rany, bo to żelastwo wciąż mnie gdzieś uwiera i... Mogłabyś przestać się śmiać?

- Myślę, że zrobił to, żeby mnie chronić - powiedziała Edi, wciąż się śmiejąc. - On jest jak stary sułtan i traktuje wszystkie kobiety, które dla niego pracują, jak swoje dziewicze boginki.

David przestał się krzywić.

- To się zgadza, ma najpiękniejsze ze wszystkich kobiet.

- Połowa z nich to idiotki - stwierdziła Edi. - Zatrudniłam kobietę, która potrafiła pisać z prędkością stu wyra-

zów na minutę bez najmniejszego błędu, ale ten buldog ją zwolnił, bo była brzydka. Powiedział, że nie zamierza chronić bomb i brzydkich kobiet. David się śmiał.

- To chyba ta, która pracuje dla pułkownika Osborne'a?

Edi przytaknęła głową.

-Umie pracować szybciej niż trzy dziewczyny zatrudnione u generała Austina.

- Pomijając ciebie.

- Pomijając mnie - zgodziła się Edi. - Ale nie radzę sobie z nimi. Pewnego dnia omal nie zostałam przygnieciona przez spadający dach, bo jedna z dziewczyn wróciła się po szminkę. Powiedziałam jej, że najlepszym cieniem do powiek jest proch strzelniczy i na pewno spadnie go na nią dużo, jeśli się nie pospieszy. I wiesz co? Ona mi uwierzyła!

- Żartujesz.

- Ani trochę. Znasz Lenny...

- Escobat? - David otworzył szeroko oczy. - Widziałem, jak wysypywała proch z łusek. Czy to dla...?

- Tak.

Śmiejąc się, David położył się na łóżku i ułożył na nim swoją nogę.

- No dobrze. Teraz możemy jedynie czekać, aż pojawi się Aggie, w nadziei, że będzie miała ze sobą gazetę. W międzyczasie, myślę, że Hamish chciałby, żebyśmy oboje mieli zajęcie?

- Co masz na myśli?

- Zagonił mnie dziś rano do obory... - odwrócił wzrok i Edi wydawało się, że jego twarz poczerwieniała.

- Co robiłeś w oborze?

- Pamiętasz tę krowę?

- Będę pamiętała ją aż do śmierci - powiedziała Edi. - Co z nią?

- Właśnie. „Nią”, to kluczowe słowo.
- Aha - powiedziała Edi z uśmiechem. - Kazał ci ją wydoić.
- I obrządzić. Myślę, że to słowo dobrze określa wynoszenie obornika widłami. Popatrzyła uważnie na niego.
- Jak to zrobiłeś z ręką w temblaku i twoją nogą? Możesz nią ruszać?
- Ani trochę. Myślę, że zawias zardzewiał.
- Musimy to zdjąć - stwierdziła Edi. - Może ten mężczyzna ma imbusa.
- Nie - powiedział David ze smutkiem. - Nie ma żadnego imbusa, który by pasował, ani niczego podobnego. Byłem w oborze o czwartej rano, bo o tej godzinie podobno doi się krowy i zmienia się słomę koniom. Wypróbowałem każde narzędzie, które ma ten stary człowiek, ale nic z tego. Śrubki tkwią głęboko w metalu, są zardzewiałe i nic nie jest w stanie ich ruszyć. A może przypadkiem... no wiesz...
- Co wiem?
- Nie zabrałaś ze sobą małego imbusa, po tym jak...
- Po tym jak ocalałam ci życie? Nie - powiedziała Edi. - Nie myślałam o tym, żeby go ze sobą zabrać. Myślę, że byłam zbyt zajęta szybą, wodą i całą resztą.
- Wolałem zapytać.
- Z zewnątrz usłyszeli donośny głos.
- Clare! Jesteś tam? David przewrócił oczami.
- Wolałbym walczyć na pierwszej linii frontu, niż mieć do czynienia z tym dziadkiem. Mówię ci, ten twój Austin to niewiniątko w porównaniu z tym staruszką.
- Wstanę i zobaczę, co mogę zrobić, żeby pomóc -powiedziała Edi.
- Lepiej będzie, jak cię ostrzegę - on chyba chce, żebyś gotowała.

Po tych słowach Edi zbladła i przykryła się znowu kołdrą.

- Nie umiem gotować.
- Nie umiesz gotować?
- Nie śmiej się ze mnie! - rzuciła. - Dorastałam w domu, w którym pracował kucharz. Nic nie wiem o gotowaniu. Jedzenie po prostu podawano mi na talerzu. Nie potrafię nawet zaparzyć herbaty.
- Naprawdę? - powiedział David, a jego uśmiech z każdą chwilą stawał się szerszy.
- A co w tym takiego zabawnego, sierzancie Clare?
- To, że ja *umiem* gotować.
- Naprawdę? - powiedziała zdziwiona.
- No i kto tutaj myśli stereotypowo? Moja matka jest Włoszką. Naprawdę potrafię gotować. A może mu powiemy, że jesteś ranna i musisz leżeć w łóżku, a ja się zajmę gotowaniem?
- A kto będzie doił krowy?
- Niech stary Hamish to robi. Przecież jak nas nie było, to musiał to robić sam.
- Więc twierdzisz, że jestem jedynie biedną, słabą kobietką, która nie umie ciężko pracować. O to chodzi? Mam leżeć w łóżku i nic nie robić?
- Jeśli nawet potrafisz wydoić krowę i sprzątnąć po koniach, to myślę, że i tak nic więcej nie umiesz robić.
- Tak się składa, że prawie dorastałam na koniu.
- No pewnie - powiedział David. - Bogata dziewczynka. Robota w kuchni jest ponad twoje możliwości, ale za to jesteś stajenną.
- Jesteś najbardziej wstrętnym mężczyzną, jakiego spotkałam w całym swoim życiu - powiedziała Edi. Wstał i patrzył na nią, idąc w kierunku drzwi.
- A ty, panno Edilean Harcourt jesteś najpiękniejszą, najinteligentniejszą, najzaradniejszą i najodważniejszą kobietą, jaką spotkałem. I tak przy okazji, chcę ci powie-

dzieć, że zamierzam cię poślubić. - Wyszedł z pokoju, zostawiając Edi z ustami otwartymi ze zdziwienia.

-Jesteś cała brudna, wiesz o tym? - powiedział David, oglądając otwarte dłonie Edi i odciski na nich. - Co w ciebie wstąpiło, że to wszystko zrobiłaś?

-Nie wiem - powiedziała, wzruszając ramionami. -Dobrze mi to zrobiło. Byłam już chyba zmęczona ciągłym siedzeniem w pomieszczeniu i słuchaniem stukotu maszyn do pisania przez cały dzień. Lubię być na świeżym powietrzu.

Byli w kuchni Hamisha Trumbulla, która wyglądała teraz o niebo lepiej niż tego samego ranka. David narzekał, że Edi pracowała zbyt ciężko, ale sam spędził w kuchni cały dzień, szorując każdą szafkę i patelnię. Naniósł do domu drzewa i pilnował, żeby ogień palił się w piecu cały dzień, bo gotował. Wewnątrz domu było teraz przyjemnie ciepło, a w powietrzu unosiły się cudowne zapachy.

- Ty też nie siedziałeś - powiedziała, gdy przyglądał się jej dłoniom.

- Nie, ale miałem pomocnika - powiedział bez uśmiechu na twarzy, a za chwilę oboje wybuchnęli śmiechem, czując absurdalność tej sytuacji, a potem ucichli.

- Gdzie on jest? - spytała Edi, mając na myśli Hamisha. -Chyba go wymęczyłem ubijaniem śmietany na

masło - powiedział David, biorąc odrobinę masła i przykładając jej na odciski na dłoniach.

- Masło? To ty potrafisz *zrobić* masło?

- Pewnie, że tak. A myślałaś, że skąd je mam?

- Sądziłam, że wystarczy podnieść krowi ogon w górę i w dół - odpowiedziała.

David zaczął się śmiać.

- No dobrze, może nie jestem rolnikiem, ale umiem się posługiwać kuchennym sprzętem. Spróbuj. - Zanurzył

drewnianą łyżkę w garnku, który gotował się na kuchence i przystawił ją do jej ust. Spróbowała.

- Przepyszne - stwierdziła. - Nigdy nie jadłam czegoś podobnego. Co to jest?

- Sos Alfreda do makaronu.

- Do czego?

- Spaghetti - powiedział. - Wy, Amerykanie, każdy makaron nazywacie spaghetti. Gotowa do uczy?

Wstała powoli. Rano pomyszkowała w szafie, która stała w ich pokoju, i znalazła jakieś męskie spodnie, które były prawie dobre. Były wystarczająco długie, ale w pasie tak szerokie, że musiała zrobić w starym, skórzanym pasku dziurkę, żeby utrzymał spodnie. Oboje naśmiewali się z siebie, że noszą spodnie o kilka rozmiarów za duże.

Edi spędziła cały dzień na zewnątrz, a David został w domu. Oboje w niedługim czasie zauważyli, że to niewielkie gospodarstwo podupada. Wszyscy młodzi i silni mężczyźni wyjechali walczyć na wojnie i większość gospodarstw była zaniedbana, ale to wyglądało gorzej niż pozostałe.

Rankiem Edi po raz pierwszy spotkała Hamisha i nie zobaczyła w nim starego, mrukliwego człowieka, jak opisywał David, ale smutnego mężczyznę.

- O nic go nie pytaj - szepnęła do Davida. - Nie zniosłabym odpowiedzi. - Słyszała już tyle okrutnych historii o stracie najbliższych osób, że nie zniosłaby ani jednej więcej.

- Zgadza się z tobą - powiedział David. Odkryła rozwalającą się starą szopę, która była

kiedyś kurnikiem, i znalazła tam kilka jajek. Po śniadaniu zaczęła sprzątać na podwórku. David miał rację, że nie bardzo miała pojęcie o pracy w kuchni, gdy dorastała, ale uwielbiała pracę w stodole i kurniku, jak też wszystkie inne rzeczy, które powodowały, że Edilean Manor było miejscem niemal samowystarczalnym.



Gdy weszła do domu, żeby zjeść lunch, cała kuchnia lśniła czystością, a David wyjmował właśnie chleb z pieca. Uśmiechnęła się do niego, doceniając tym jego wysiłek, bo przecież robił to wszystko z jednym ramieniem na temblaku i z usztywnioną nogą.

Po lunchu rozprawiła się z kurnikiem. Jeden ze słupków podtrzymujących płot otaczający podwórko, przewrócił się razem z częścią płotu. Gdyby przywędrował tu jakiś lis, to nic by go nie zatrzymało. Wiatr przybierał na sile, a Edi chciała zdążyć z naprawą, nim znowu zacznie lać.

Kopała w ziemi dziurę i próbowała jednocześnie trzymać kołek, gdy zjawiał się David, idąc dziwnym krokiem, i przejął jej pracę. Ona trzymała słupek, a on wkopywał go. A potem układali razem kamienie wzdłuż krawędzi płotu.

- Muszę już wracać - powiedział głośno, przekrzykując wiatr, który wiał z dużą siłą. - Nie siedź tu zbyt długo.

-Nie będę - odkrzyknęła, ale gdy tylko wszedł do domu, ona chwyciła za widły i zaczęła czyścić środek kurnika. Z tego, co było widać, nikt tam nie sprzątał od lat. A to nie było dobre ani dla kur, ani dla ludzi, którzy je potem jedli.

Nie zauważyła, że ma na rękach odciski, dopóki nie skończyła pracy. Wywalila za płot cały stos obornika, a z obory przyniosła świeżą słomę i wyścieliła nią kurnik. Szukała w stodole jakichś rękawiczek, ale nie znalazła, więc pracowała dalej gołymi rękoma. Gdy zbliżał się wieczór, zdołała już wykonać całą pracę w stodole, naprawiła to, co umiała, i wyniosła obornik.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona, dopóki nie weszła do domu i usiadła. David tylko na nią spojrzał i już był przy niej. Otworzył jej dłonie, umył je, posmarował masłem, żeby złagodzić ból odcisków.

-O nie, nawet o tym nie myśl - powiedział, gdy prawie zasnęła na krześle. - Musisz najpierw coś zjeść.

- Jak bym słyszała moją matkę.
- Uznam to za komplement - powiedział David, stawiając przed nią talerz z porcją domowego makaronu ze śmietanowym sosem.
- Chcę, żebyś wszystko ładnie zjadła i wypła całe mleko. Potrzebujesz się wzmocnić.
- Tak jest - powiedziała. Była tak zmęczona, że nie potrafiła nawet siedzieć prosto podczas spożywania posiłku, uśmiechnęła się tylko, gdy pomyślała, co powiedziałyby jej matka, gdyby zobaczyła swoją córeczkę.
- Chcesz się podzielić ze mną powodem tego uśmiechu? - spytał David, nakładając swoją porcję na talerz.
- Myślałam właśnie o swojej rodzinie.
- Opowiedz mi o nich - poprosił. - To pewnie bogaci rolnicy, tak?
- Kiedyś tak - powiedziała - ale teraz już nie. Moja rodzina miała w posiadaniu całe miasteczko, ale...
- Ale co?
- To bez znaczenia. Wydaje się, że to było całe wieki temu. To jest naprawdę smaczne. Nie myślałeś kiedyś o otwarciu restauracji?
- A ty myślałaś kiedyś o odwiedzeniu Nowego Jorku? Na każdym rogu jest włoska restauracja.
- Myślisz, że on się dobrze czuje? - szepnęła, wskazując głową na sypialnię Hamisha.
- Po odgłosie jego chrapania, to myślę, że przespał cały dzisiejszy dzień. W przeciwnym razie można by pomyśleć, że ktoś powrzucał petardy do jego pokoju.
- Jesteś okropny - powiedziała Edi z uśmiechem. -Biedy człowiek jest po prostu wykończony. Nie zapominaj, że to on ocalił nam życie.
- Hmm! - powiedział David. - Chcesz wiedzieć, jak mnie ocalił?
- Widziałam, że wyciągnął cię z wody, a ja miałam nadzieję, że nie umarłeś.

- Skoczył nogą na mój brzuch.
- Co?
- Mniej więcej tak - powiedział David i uderzył o podłogę swoją usztywnioną nogą. - Łup! Prawie się zakrztusiłem, gdy zacząłem wymiotować wodą i lunchem pani Pettigrew.
- Edi próbowała się nie roześmiać, ale nie wytrzymała.
- A zastanawialiśmy się, dlaczego Aggie nie wróciła do domu.
- Gdyby mi przyszło z nim mieszkać, wołałbym wstąpić do wojska. Nawet, gdybym był szesnastoletnią dziewczynką.
- No coś ty, on nie jest aż taki zły.
- Ty nie spędziłaś z nim całego dnia w domu. Szkoda, że nie słyszałaś, jak narzekał na twoją pracę przy kurniku.
- Co takiego mówił?
- David pokiwał głową z niedowierzaniem.
- Powiedział... - zniżył głos. - Powiedział, że gdyby miał żonę z tak długimi nogami jak twoje, to na pewno nie zmywałby w domu podłogi, a przynajmniej nie mopem.
- Nie.
- Przysięgam - powiedział, robiąc znak krzyża na klatce piersiowej - Chciał wyjść i ci pomóc, ale mu to odradziłem.
- A jak to zrobiłeś?
- Pokazałem mu swoją pięść, a potem spojrzałam na jego starą, pomarszczoną twarz.
- Edi głośno się roześmiała, zakrywając usta ręką, żeby nie obudzić gospodarza.
- Więc kto jest gorszy, ty czy on?
- Mam nadzieję, że ja, ale on wiele się nauczył przez te wszystkie lata.
- Gdy David zobaczył, że oczy Edi zaczynają się powoli zamykać, wziął ją za rękę i podciągnął do góry. Przez moment stali bardzo blisko siebie. W jednym momencie luźna atmosfera zniknęła i pojawiło się między nimi napięcie.

- Mam dla ciebie gorącą wodę - powiedział David, przerywając niezręczną ciszę. Udał się do zlewu. - Możesz umyć to, co zdołasz dosięgniesz. Albo możesz się rozebrać, a ja potrzynam ci ręcznik.

Edi znowu się roześmiała, napięcie między nimi gdzieś zniknęło.

-Nie, dziękuję. Myślę, że umyję tylko twarz i ręce, a resztę zostawię do czasu, gdy będę miała wannę. Jestem zbyt zmęczona, żeby zawracać sobie głowę tym, jak jestem brudna.

- Lubię swojskie kobiety.

- Myślę, Davidzie Clare, że ty lubisz wszystkie kobiety.

- Tak sądzisz? A więc dowiedz się, że jesteś w ogromnym błędzie. No dobrze, umyj się, a ja sprawdzę pranie. Nie spiesz się.

Mycie nie zajęło Edi zbyt dużo czasu. Mówiła prawdę, że nie przejmuje się tym, jaka jest brudna. Pochlapała wodą twarz, szyję i ramiona, poszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy zaczęła się rozbierać, popatrzyła na oba łóżka. Zadziwiające było to, co może z człowiekiem zrobić dziesięć godzin fizycznej pracy. Jeszcze dwa dni temu, gdyby jej ktoś powiedział, że spędzi noc w jednym pokoju z żołnierzem, powiedziałyby, że prędzej przespałaby się na kamiennym, prowizorycznym łóżku w deszczu. Ale teraz wydawało jej się zupełnie naturalne, że David - nie sierżant Clare, ale David - spał z nią w jednym pokoju.

Na krześle, które stało na końcu łóżka, wisiał czysty szlafrok i wiedziała, że David powiesił go tam dla niej. Prawdopodobnie należał do Aggie. Był taki czysty, a Edi taka brudna, że długo się wahała, nim go włożyła. Naciągnęła go na brudne ciało, odwinęła nakrycia i kołdrę na łóżku, które stało bliżej drzwi i za moment już spała.

Gdy się przebudziła, w pokoju było ciemno i coś szarpało jej łóżko. Najpierw spanikowała. Musi uciekać do

schronu przeciwlotniczego! Musi znaleźć dziewczyny i je tam zaprowadzić!

- Ciii - powiedział David. - To tylko ja. Śpij sobie dalej.

Uniosła się na łokciach, próbując dojrzeć coś w ciemnościach. -  
Włącz światło.

- Tu nie ma światła - powiedział. - Pamiętasz? Nie ma prądu.

-No tak - powiedziała, kładąc się z powrotem. -Hamish.

- No właśnie - powiedział uspokajającym tonem. - Po prostu zaśnij.

I tak też uczyniła, ale obudziła się, gdy coś znowu uderzyło o jej łóżko.

- Przepraszam - powiedział David. - To ta cholerna obręcz na nodze, a łóżka są przecież tak blisko siebie. Jak tylko uda mi się przekręcić na drugą stronę, to przestanę uderzać o twoje łóżko. A teraz śpij.

Tym razem rozbudziła się bardziej i nie mogła zasnąć.

- Mógłbyś przynieść lampę?

- Po co?

- Chcę zobaczyć twoją nogę.

Nim David się odezwał, zapanowała cisza. -To brzmi kusząco, ale moja noga ma się całkiem dobrze.

Edi wyprostowała się na łóżku.

- Myślę, że jutro to ja się zajmę gotowaniem, a ty powinieneś pozbierać jaja od kur i wydoić krowę.

-No dobrze, wygrałaś - powiedział, nim opuścił pokój i wrócił do niego z lampą naftową w ręku. Nie miał na sobie ani koszuli, ani butów, tylko za duże spodnie.

Postawił lampę na stoliku między ich łózkami i spytał:

-I co teraz?

- Zdejmuj je - powiedziała Edi, wstając z łóżka, potem podeszła do szafy i wyjęła z niej starą koszulę, którą nosiła

dziś rano. Oceniając po rozmiarze ubrań, Aggie była niższa i nieco szersza od Edi, co sprawiało, że koszula nocna była trochę za krótka, a góra rozchyłała się przy każdym ruchu.

- Podoba mi się ta koszulka - powiedział David, odpinając pasek przy spodniach.

- Siedź cicho, albo powiem Hamishowi prawdę o nas i będziesz spał w kuchni na podłodze.

- Straszysz mnie, że mnie ukarzesz, jak nie zdejmę spodni, a ja przecież jestem sam jeden w pokoju z najpiękniejszą kobietą na świecie. Kobietą, którą zamierzam...

- Przestań - powiedziała Edi, ale uśmiechnęła się. David usiłował zdjąć spodnie przez aparat, a Edi

chwyciła za nogawki i pociągnęła. Zaczął opowiadać jej dowcipy, żeby odwrócić jej uwagę, ale ona była zbyt przerażona tym, co zobaczyła, żeby się uśmiechnąć. Jego noga była obdarta przez metal. Stara podkładka prawie w całości odpadła i metalowy pasek wyglądający jak klatka, ranił i ciął, aż noga pokryła się bolesnymi ranami i pęcherzami.

- Kocham generała Austina - powiedział David.

- Możesz być pewny, że powiem mu parę słów o tym - powiedziała z ustami wykrzywionymi złością. - Zostań tu, a ja pójdę znaleźć coś na oczyszczenie ran.

- Jestem cały twój, kochanie - powiedział, kładąc się na poduszkach. Zasnął natychmiast. Gdy się obudził, Edi siedziała na kuchennym krzeselku, na stoliku przy łóżku stała miska z gorącą wodą, a ona próbowała przemyć rany i je zabandażować.

- Boli, prawda - spytała delikatnie.

- Nie za bardzo - odpowiedział, ale ona wiedziała, że kłamie. Myślała, że jej dłonie nie są w najlepszym stanie, ale teraz nie potrafiła sobie wyobrazić, co on przeżywał przez cały dzień, gdy to żelastwo wbijało mu się z skórę ostrymi końcami.

Poszła do szafy, wyjęła kolejną starą koszulę i zaczęła ją drzeć na paski.

- Pęcherze i rany przykleiły się do metalu, więc będzie bolało, ale obwiążę wokół tego żelastwa skrawki materiału, żeby nie raniły ciebie za bardzo. Dasz radę wytrzymać?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Gdy tylko zaczęła, zobaczyła jak zaciska szczękę z bólu i chciała odwrócić jego uwagę.

-Opowiedz mi o swojej rodzinie. Masz braci albo siostry?

- Mam ośmioro rodzeństwa. Ja urodziłem się jako drugi, ale... - wciągnął głęboko powietrze z bólu. - Bannerman. Jest o rok starszy ode mnie. Opiekuje się nami wszystkimi. Najlepiej jak można. On... - David przerwał, bo kawałek skóry oderwał się razem z metalem.

Edi pomyślała, że będzie lepiej, jak to ona zacznie mówić.

- Mój brat Bertrand to najbardziej leniwy człowiek na świecie - powiedziała.

- Naprawdę? A co to dokładnie oznacza?

- Gdy miał trzy lata i zobaczył pod choinką swoje prezenty, zapytał: „Kto je dla mnie otworzy?”

David lekko się zaśmiał.

- Słyszałem o gorszych przypadkach.

- Gdy miał sześć lat, ojciec kupił mu rower i chciał go nauczyć jeździć.

-I?

- Bertrandowi całkiem dobrze szło. Mój ojciec biegał za nim, trzymając za kij, a mój brat świetnie trzymał równowagę. Ale gdy ojciec puszczał, rower się zatrzymywał, a Bertrand pytał, dlaczego. Gdy mój ojciec powiedział mu, że musi naciskać na pedały, mój brat zostawił rower na środku drogi i nigdy już na niego nie wsiadł.

David wciąż krzywił się z bólu, gdy czyściła kolejną ranę, ale już nie tak bardzo.

- Nieźle, ale słyszałem o gorszych przypadkach.

- Gdy miał dwanaście lat, moi rodzice pierwszy raz w życiu zabrali nas do restauracji i ojciec zamówił dla

każdego po steku. Kiedy zjawił się mój brat, popatrzył na swoją porcję i spytał, jak ma ją zjeść. Mój ojciec pokazał mu, jak kroić stek i jak go jeść. Mój brat zawołał kelnera i zamówił miskę purée z ziemniaków.

- Okay - powiedział David. - To już było lepsze, ale słyszałem o kilku cięższych przypadkach.

- Gdy miał szesnaście lat, moja matka zorganizowała swemu ukochanemu synkowi wyjście na tańce z bardzo miłą, młodą dziewczyną. Miał po nią podjechać o szóstej wieczorem. Trzydzieści minut po osiemnastej Bertrand wciąż siedział w salonie, a mój ojciec spytał, dlaczego nie poszedł na randkę. Mój brat odpowiedział: „Bo dziewczyna do tej pory po niego nie przyjechała”.

David się zaśmiał.

- To wszystko kłamstwa, prawda?

- To szczerą prawdą.

- W takim razie, jak mu się udało przeżyć? Jak sobie radził w życiu? Jakim cudem skończył szkołę?

- Mój brat jest niesamowicie bystry. W szkole prosił kogoś, żeby mu opowiedział, o czym jest dana książka, a pięć minut później potrafił już dyskutować na jej temat. Uwielbiał siedzieć i gadać. - Edi włożyła kawałek materiału. - I plotkować. Znał wszystkich w mieście i wszyscy powierzali mu swoje sekrety.

- Podejrzewam, że nie poszedł walczyć na wojnie.

- Dostał kategorię D: Płaskostopie. - Gdy Edi włożyła kolejny pasek materiału, David jęknął z bólu. - Opowiedzieć ci coś więcej?

- Tak - powiedział z zaciśniętymi zębami. - Znasz jakieś historyki o Austynie? Coś soczystego i ostrego?

-Nie, mogę ci tylko poopowiadać o Bertrandzie. Chcesz usłyszeć, dlaczego nie przybył na własny ślub? David otworzył szeroko oczy i spojrzał na nią.

- Dlaczego?



- Moja matka zaaranżowała spotkanie. Bertrand zobaczył dziewczynę, powiedział, że będzie do niego pasowała i to wystarczyło mojej matce i dziewczynie.

- Chodziło o poślubienie bogatego mężczyzny z rodzimym nazwiskiem, tak?

- Mówiłam ci już, że nie mieliśmy pieniędzy. Ale nazwisko tak - powiedziała Edi. - Moja matka była w siódmym niebie i spędziła kilka miesięcy na przygotowaniu najwspanialszego przyjęcia weselnego, jakie nasze miasteczko kiedykolwiek widziało. Ojciec musiał wziąć pożyczkę pod hipotekę. Jeden wieczór przed ślubem mój ojciec poszedł porozmawiać z synem o nocy poślubnej.

- O nocy poślubnej - wyszeptał David. - Ta historia podoba mi się najbardziej ze wszystkich, jakie mi opowiedziałaś. A może nawet bardziej niż wszystkie, jakie słyszałem w całym moim życiu.

- Nikt dokładnie nie wie, co powiedział ojciec, ale chyba wszyscy słyszeli krzyk Bertranda. Wrzasnął:

- Co muszę zrobić? David zaczął się śmiać.

- Masz mnie. To najgorsza historia, jaką w życiu słyszałem. Co się stało potem?

- Bertrand siedział cały kolejny dzień w domu i nikt ani nic nie było go w stanie stamtąd wyciągnąć.

- A jego narzeczona?

- Przyszła na ślub, który nigdy się nie odbył. Biedactwo. Jej rodzina została upokorzona i pół roku później wyprowadzili się do Atlanty.

- A jak twój brat to wszystko wytłumaczył?

- Wcale nie tłumaczył. Z tego, co wiem, już nigdy nie wspomniał nawet o tym dniu. Nie obchodziło go to, że inni ludzie włożyli tyle pracy i starań w przygotowanie uroczystości.

- A jak zareagowała twoja matka?

-Przestała kierować życiem swojego syna, a mój tata stwierdził, że dla takiej zmiany warto było wydać tyle pieniędzy.

David śmiał się teraz do rozpuku, a Edi skończyła bandażowanie. Widziała po jego oczach, że wreszcie będzie mógł spokojnie zasnąć. Przykryła go narzutą i poszła do swego łóżka.

David szepnął:

- Dobranoc.

A ona uśmiechnęła się i zasnęła.

## Rozdział 20

Jocelyn śmiała się, gdy Luke skończył czytanie.

- Słyszałam już tyle rzeczy o Bertrandzie, że chciałabym go poznać.

- Pokochałby ciebie.

- Naprawdę? - spytała, czując, że jej pochlebia.

- Zostawiasz otwarte drzwi, a ludzie mogą wchodzić i wychodzić przez cały dzień. Karmisz każdego, kto do ciebie zajrzy, i zawsze masz czas, żeby wysłuchać ludzi. Tak, myślę, że ty i Bertrand stanowilibyście wspaniałych współlokatorów.

- Wcale taka nie jestem - powiedziała Jocelyn. - Ja...

- To jaka jesteś? Bardziej podobna do panny Edi? Tak jak opisała ją pielęgniarka, jako zimną i bez serca?

- Powinna wysłać tej kobiecie kopię tej historii. Ciekawe, czy wciąż myślałaby, że Edi była bez serca. - Joce zamilkła na chwilę i wpatrywała się w wodę, tuląc kolana do piersi. - I pomyśleć, że panna Edi go straciła. Była na wojnie, otoczona żołnierzami, którzy robili z siebie idiotów, żeby tylko zwrócić na nich uwagę, ale ona zachowała swe serce dla prawdziwej miłości, a gdy już znalazła tego jedyne...

- To on został zabity - powiedział delikatnie Luke. - A zaraz potem panna Edi została strasznie poparzona. Zastanawiam się, czy to przez ten wypadek panna Edi nie wyszła za mąż i nie miała dzieci.

- Masz na myśli to, że *nie mogła* mieć dzieci?

- Nie wiem. A jak poważne były jej obrażenia?

- Aż do samego końca pomagałam jej się ubrać, a blizny miała od kolan w dół. Nie sądzę, żeby ogień dostał się wyżej. Mówiła, że tego dnia było bardzo zimno, więc każdy chodził opatulony i dwóch żołnierzy w płaszczach rzuciło się na nią. Gdyby nie oni, ogień rozprzestrzeniłby się, bo ubranie miała nasiąknięte benzyną.

- Rzucili się na nią - Luke powiedział, potrząsając głową. - A David już wtedy nie żył.

- Tak. Mówiła mi, że wołała go, będąc w szpitalu. Przenosili ją z jednego miejsca w drugie i czekali, aż umrze.

- Uważali, że tego nie przeżyje?

- Tak - powiedziała Joce. - Benzyna, ogień i spalona wełna z płaszczy żołnierzy spowodowały u niej poważną infekcję. Przez kilka tygodni leżała w wysokiej gorączce. Myślę, że to generał Austin kazał ją odesłać do Stanów, choć wtedy już dla niego nie pracowała.

- Rzuciła prace u niego? Myślisz, że mu powiedziała, że już dłużej nie zniesie jego charakteru?

- Nie wiem. Nigdy jej o to nie pytałam, bo nawet nie wspomniała o tym, że miał trudny charakter. Powiedziała tylko, że gdy się poparzyła, była jeszcze w Anglii, ale nie pracowała już dla generała Austina. Nie mam pojęcia, co robiła. Podejrzewam, że wciąż pracowała dla wojska, bo inaczej wróciłaby do domu, do Edilean.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał Luke.

- A dlaczego pytasz?

- Po co miałyby wracać do Edilean? Co tu na nią czekało? Stary dom, którego utrzymanie kosztowało fortunę, i brat, który wyznaczał standardy lenistwa?

- I twój bardzo szczęśliwy dziadek - powiedziała Joce.

- Tak, mój szczęśliwy dziadek, który zerwał z Edi na dzień przed atakiem na Pearl Harbour.

- Czy twój dziadek powiedział ci kiedyś, dlaczego zerwali zaręczyny?

- Tak. Gdy pojechaliśmy do Richmond, powiedział mi, że oboje zrozumieli, że już więcej nic wielkiego ich nie łączy - powiedział Luke.

- Dziadek mówił, że gdy on i Edi zauważyli, że cieszą się z pójścia na wojnę, stwierdzili, że ich idealne życie wcale nie jest tak idealne, jak sądzili. Panna Edi powiedziała dziadkowi, że przecież powinni

być zrozpaczeni, że ich wspólna przyszłość, której wyczekiwali z ogromną niecierpliwością, ulegnie zmianie, ale oni nie byli. Dziadek powiedział mi, że ona oddała mu pierścionek zaręczynowy, podali sobie ręce i się roześmiali, szczęśliwi, że zerwali zaręczyny.

- Ale nigdy o tym nikomu nie powiedzieli.

-Całe miasto pogrążyłoby się w żalu. Wystarczyło, że była wojna, choć odległa. Edi i David znali się przez całe życie.

Joce odwróciła się, żeby popatrzeć na Luka, który rozłożył się na kocu, opierając głowę na dłoniach.

- Cieszę się, że nie znałam cię przez całe życie. Zrobił taki ruch, jakby chciał ująć jej dłoń w swoją, ale zrezygnował.

- Jocelyn, myślę, że... - zaczął, ale nie skończył i znowu położył się na kocu. - Wciąż myślisz, że jestem taki jak twój ojciec?

- A kto chce być podobny do ojca swojej dziewczyny? Słowa „swojej dziewczyny” sprawiły, że przeszedł ją dreszcz.

- Im więcej się dowiaduję o pannie Edi, tym bardziej myślę, że byliśmy do siebie podobne. I moja matka też. Wydaje się, że podobają nam się mężczyźni, którzy... - nie wiedziała, co ma powiedzieć.

- Którzy nie są prawnikami? - powiedział Luke. -Twoja matka zakochała się w złotej rączce, a panna Edi pokochała mechanika samochodowego, a tobie podoba się ogrodnik.

Słyszała w jego głosie złość.

- Luke, nie miałam wcale tego na myśli.

- Jesteś gotowa do powrotnej drogi? - spytał, wstając. Ona też się podniosła.

- Jesteś na mnie zły?

- Za to, że mi powiedziałaś... co? Że mnie lubisz niezależnie od tego, kim jestem i co robię? A co, jeśli został

bym lekarzem, jak mój dziadek? Czy wtedy bardziej byś mnie lubiła?

-Nie, ale wtedy byłoby mnie stać na umeblowanie tego dużego domu

- powiedziała z uśmiechem. Luke się nie uśmiechnął.

- Więc tu chodzi o pieniądze? Jak tylko Rams wróci do miasta, to rzucisz mu się w ramiona, dlatego że jest bogaty?

- Ja tylko sobie żartowałam - wyjaśniła Joce. - Nigdy nie wyszłabym za mąż dla *pieniędzy*.

- Jesteś tego pewna? Może chcesz być z moim kuzynem, bo on może ci zaoferować dostatnie życie. Wakacje na Orient, niańki do dzieci, srebrną zastawę na stole. Czy nie to się dla ciebie liczy?

Kiedy chciał się oddalić, ona położyła mu rękę na ramieniu.

- Te rzeczy się dla mnie zupełnie nie liczą - powiedziała. - Gdyby to zależało ode mnie, to mieszkałabym w domku z dwoma sypialniami i pisałabym, gdy dzieci by drzemały. Ale panna Edi zostawiła mi ten dom i...

- Panna Edi! - powiedział Luke. - Czy tylko o niej myślisz? O jej życiu, a nie o swoim?

- Oczywiście, że nie! Myślę o swoim własnym życiu, ale panna Edi powiedziała, że Ramsey idealnie do mnie pasuje. - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zakryła swoje usta dłońmi.

- Co ona powiedziała?

Joce wzięła swój plecak i zaczęła pakować do niego rzeczy.

Luke chwycił ją za ramię i odwrócił jej twarz do siebie.

- Chcę wiedzieć, o czym ty gadasz. Kiedy powiedziała ci o Ramseyu?

- Napisała mi o tym w liście, który dołączyła do testamentu. Ty jej nie znałeś, ale ona była świetna w przewidywaniu, która para ze sobą będzie całe życie, a która nie, i napisała, że w Edilean jest mężczyzna idealny dla mnie.

Luke puścił jej ramię i cofnął się o krok.

- Pisała o moim kuzynie *Ramseyu!*

- Tak - potwierdziła - ale ona nie знаła ciebie. Ona...

- Nie znała też Ramseya, do cholery! - Luke prawie krzyknął. - Wiedziała tylko, że ma pieniądze i dobrych przodków. Czy nie pomyślałaś kiedyś, że stałaś się częścią planu Alexandra McDowella i panny Edi? Może chciała się odwdzińczyć wujkowi Alexowi, oddając mu stary dwór, który utrzymywał całe swoje życie.

- To, co mówisz, jest niedorzeczne.

- Mieszkasz tu już jakiś czas. Czy naprawdę sądzisz, że to jest niemożliwe?

- Nie wiem. - Joce zakryła swe uszy dłońmi. - Nie chcę już tego słuchać.

Gdy Luke nie odezwał się już ani słowem, odsłoniła uszy i spojrzała na niego. Wydawało się jej, że czeka, aż ona coś powie, ale nie miała pojęcia, jak miała odpowiedzieć na jego oskarżenia.

- Zamierzasz przeżyć całe życie dla panny Edi? - spytał Luke. - Mieszkasz w jej domu, poświęcasz swój czas, żeby o niej pisać i czytać. Wydaje się, że o nikim innym nie myślisz. Masz zamiar wyjść za mąż za kogoś, kogo nie kochasz, tylko dlatego, że ona tak ci powiedziała?

- Nie - stwierdziła Joce. - Odkręcasz kota ogonem. Poza tym, nikt do tej pory nie poprosił mnie o rękę.

-Ale poprosi - powiedział Luke - i dobrze o tym wiesz. Gotowa, żeby wracać?

-Tak - powiedziała, ale wcale nie miała ochoty odchodzić z tego miejsca. Chciała zostać i wyklócić się z Lukiem. To był taki cudowny dzień, z miłosną historią w tle, ale wszystko skończyło się razem z kłótnią i nie miała zielonego pojęcia, od czego to wszystko się zaczęło.

Miała już powiedzieć, że nie chce nigdzie iść, ale niebo rozświetliła błyskawica, a potem zagrzmiało i lunął deszcz. Joce instynktownie zaczęła szukać schronienia, ale

Luke sięgnął do ich plecaków i wyciągnął z nich płaszcze przeciwdeszczowe. Jedną ręką pomagał Joce przy zakładaniu, a drugą nakładał swój.

- Musimy stąd zmykać - powiedział. - Dasz radę iść?

- Pewnie.

- Trzymaj się blisko mnie.

Jego długie nogi narzuciły tak szybkie tempo, że trudno było za nim nadążyć, ale dała radę. Kiedy doszli do furgonetki, otworzył przed nią drzwi, żeby szybko wskoczyła, a sam pobiegł do drzwi od strony kierowcy.

- Wysłuchasz mnie? - spytała, gdy zaczął odpalać auto. - Nie zamierzam nikogo poślubiać. Przepraszam, że tak dużo mówię o pannie Edi i żałuję, że powiedziałam ci, co mi napisała.

Nie spojrział na nią, ale kiwnął tylko głową i wyjechał z parkingu, a kilka minut później był już na drodze dojazdowej do Edilean Manor.

- Jak długo zamierzasz się na mnie złościć? - spytała, czując, że zaraz wybuchnie płaczem.

Nagle Luke pochylił się w jej stronę, przyciągnął jej głowę ręką i pocałował długo i namiętnie, z pasją, której Jocelyn nigdy wcześniej nie czuła.

Gdy wreszcie ją puścił, jej głowa przechyliła się w kierunku szyby, a oczy miała zamknięte.

- Zapomnij o Ramseyu - powiedział Luke. - Jesteście do siebie za bardzo podobni i znienawidzicie się nawzajem.

Gdy poczuła, że znowu się nad nią nachyla, otworzyła oczy, gotowa na kolejny pocałunek, ale on otworzył drzwi auta.

- Idź do środka i weź gorącą kąpiel - powiedział. - Muszę wyjechać z miasta na kilka dni, ale gdy wrócę, dostaniemy kolejną część historii od dziadka.

- Okay - powiedziała i wysiadła z furgonetki. Zamknęła za sobą drzwi i poszła do domu.



## Rozdział 21

Następnego ranka, w piątek, Jocelyn siedziała w kuchni i kończyła dopijać herbatę, gdy Tess weszła do środka i krzyknęła.

- Wystraszyłaś mnie - powiedziała Tess, podchodząc do lodówki. - Co tutaj robisz?

- Ostatnio słyszałam, że tu mieszkam.

- O rany, ale ktoś ma dziś humorek. Pokłóciliście się z Lukiem?

- No pewnie, że nie - odpowiedziała Joce, którą bolała głowa po nieprzespanej nocy. Słowa Luka, jego złość i niewyjaśniony wyjazd z miasta - wszystko to ją martwiło.

- Ramsey dziś wraca - rzuciła Tess. - Jego samolot ląduje w Richmond dziś o dziesiątej, więc przypuszczam, że przyjedzie tu na lunch. Dzwonił do mnie zeszłej nocy i pytał o ciebie i Luka.

- Dlaczego nie zadzwonił do *mnie!* - spytała Joce. - Jeśli chce się dowiedzieć czegoś o mnie, to powinien właśnie *mnie* o to zapytać.

- Masz dziś zły humor. Więc o co się pokłóciliście z Lukiem?

- Przypuszczam, że o Ramseya - powiedziała Sara, która stała w drzwiach. - Luke i Ramsey rywalizowali ze sobą od dnia urodzin. Teraz walczą o Joce.

- Nie jestem... - Joce powtarzała te słowa już tyle razy, że nie przeszły jej kolejny raz przez gardło.

Sara podeszła do lodówki i wydostała z niej pojemnik z jajkami z gospodarstwa jej matki.

- Smażę jajecznicę. Czy ktoś się na nią pisze?

- No pewnie - powiedziała Tess. - Zrób trochę więcej, bo Jim może się tu zjawić lada chwila. Wiesz, ile on potrafi zjeść.

Jocelyn siedziała po środku swojej kuchni, obserwowała dwie kobiety, które się po niej poruszały, i przypomniała sobie słowa Luka o wiecznie otwartym domu. I co w tym złego? - zastanawiała się. To, że jego dom był zamknięty na cztery spusty dla wszystkich, to nie oznaczało, że ona też tak powinna robić.

- Dlaczego się smucisz? - spytała Sara. - I gdzie jest Luke?

- Dlaczego od pierwszej chwili, gdy moja noga stanęła w tym mieście, wszyscy łączą mnie albo z Ramseyem, albo z Lukiem? Dlaczego nie mogę być po prostu sobą?

Tess i Sara spojrzały na siebie, jakby wymieniały myśli.

-Może pojedziesz dziś do miasta i obejrzysz mój nowy sklep? - spytała Sara. - Jesteś tak zajęta pisaniem książki, że nawet jeszcze go nie widziałas.

- Ty też jesteś ostatnio dość zajęta - powiedziała Joce.

- Co słyhać u twego ukochanego, jak twój nowy biznes, pewnie jesteś bardzo szczęśliwa?

- Może spędzisz dziś trochę czasu ze mną i Gregiem?

- pospieszyła z zaproszeniem Sara. - Przecież nawet go dobrze nie poznałaś, a to naprawdę wspaniały człowiek.

- To nie jej wina - odezwała się Tess. - Oboje spędzacie czas albo w łóżku, albo w sklepie. Żadne z was nie ma czasu na nic, ani na nikogo.

- Mówisz tak, bo jesteś zazdrosna - powiedziała Sara, ledwo spoglądając na Tess.

- Ha! Nie jestem o nikogo zazdrosna. Tylko dlatego, że wy dwoje...

-Dziewczyny! - zawołał Jim, stojąc w drzwiach z torbami pełnymi zakupów.

To było już za wiele dla Jocelyn: za dużo ludzi, za dużo wszystkiego. Odstawiła filiżankę i poszła na górę do sypialni. Przynajmniej tutaj mogła spokojnie posiedzieć i była pewna, że nikt nie przyjdzie.

Usiadła na oparciu łóżka i wzięła do ręki ramkę ze zdjęciem, na którym David stał po jednej stronie, a młoda i piękna panna Edi po drugiej. Zazdrościła jej, że wiedziała, którego mężczyznę wybrać.

Gdy usłyszała ciche pukanie do otwartych drzwi, podniosła wzrok i zobaczyła Sarę.

- Cześć. Mogę wejść?

- Tak, zapraszam - powiedziała Joce. - Właśnie... -nie mogła wymyślić na poczekaniu, co właśnie robiła.

- Może chcesz z kimś pogadać?

- Tak. Nie. Nie wiem - powiedziała Joce. - Chodzi o...

- Mężczyzn - stwierdziła Sara. - O to zawsze chodzi i będzie chodziło. O mężczyzn.

- Spotkałaś mężczyznę, w którym szaleńczo się zakochałaś od pierwszego wejrzenia, więc co ty wiesz o problemach z mężczyznami?

- Więcej niż myślisz i to nieprawda, co mówi Tess. Między mną i Gregiem jest coś więcej niż seks i biznes.

- Jestem tego pewna.

Sara oparła się o łóżko na łokciach.

-A teraz mi powiedz, co ci zrobili moi zepsuci kuzyni, a ja odpowiem na wszystkie wątpliwości. Znam swoich kuzynów od podszewki.

- Nie mówiłaś mi przypadkiem, że Luke jest od ciebie na tyle starszy, że prawie go nie znałaś?

- Tak mówię obcym ludziom - powiedziała Sara. -Ale mam nadzieję, że teraz mogę cię nazwać moją przyjaciółką. Dzień spędzony u Viv pokazał mi to.

Jocelyn uśmiechnęła się szeroko.

-Nawet mi nie przypominaj. Bell przyjechała niemal nago, ty i ja uciekałyśmy przez kuchnię jak dwie złodziejki, a Luke...

- Tak - powiedziała Sara. - Luke wiesz już co. Mam nadzieję, że ci powiedział, że to już skończone. Pracują z Kenem z MAW, żeby unieważnić to małżeństwo.

- Mówił mi - powiedziała Joce.
  - Więc wkrótce nie będzie już żonaty. Prawnie będzie tak, jakby nigdy wcześniej nie wziął ślubu, więc w czym tkwi problem?  
Jocelyn przystawiła dłoń do głowy.
  - We mnie! To ja jestem problemem. Jeśli mogę tak powiedzieć, mam wybrać między dwoma cudownymi mężczyznami, ale nie jestem pewna, czy któryś z nich chce mnie, czy to tylko czysta rywalizacja między nimi.
  - Przy kim bije ci szybciej serce?
  - Przy Luku.
  - Z kim chcesz spędzać każdą chwilę dnia?
  - Z Lukiem?
  - Kogo widzisz, gdy wyobrażasz sobie dom i dzieci?
  - Ramseya.
  - O kurcze - powiedziała Sara. - No to masz problem. Myślę, że musisz się zdecydować na jednego z nich. Nie możesz skakać z kwiatka na kwiatek.
  - Chodzi o to, że żaden z nich mnie nie prosił, żebym... jak to się mówi? Żebym z nim chodziła.
  - Luke nie odezwie się ani słowem, dopóki nie uzyska unieważnienia małżeństwa.
  - A Ramsey?
  - On może wrócić z pierścieniem zaręczynowym. Lubi wielkie gesty.
  - Ale ja go prawie nie znam!
  - A to ciekawe - powiedziała Sara. - Zastanawiam się, co byś powiedziała, gdybym ci oznajmiła, że Luke przywiezie ci prezent.
  - Gdzie on jest? Gdzie pojechał? Wyjechał z miasta i nawet nie wiem dokąd.
- Sara usiadła na łóżku i popatrzyła na Joce.
- Możesz myśleć, że nie potrafisz wybrać między dwoma mężczyznami, ale sądzę, że ty już zdecydowałaś. Luke zabrał cię na wycieczkę?

-Tak.

- Nad jezioro?

- Tak. Siedzieliśmy tam, jedliśmy kanapki i czytaliśmy kolejno historię panny Edi. Sara, musisz to przeczytać! To najbardziej romantyczna historia, jaką kiedykolwiek czytałam.

Sara wstała.

- Wiesz co uważam za romantyczne? To, jak sprawiłaś, że mój kuzyn znowu się uśmiecha. Luke może się zachowuje jak twardziel, jakby nic go nie obchodziło, ale w środku niego kryje się wrażliwa dusza. Poślubił kobietę, której nie kochał, bo nosiła jego dziecko. Czy to nie słodkie? To on pomógł jej zacząć karierę modelki, a ona mu odpłaciła... - Sara przerwała.

- Wiem - powiedziała Jocelyn - aborcją.

- Kto ci o tym powiedział?

- Dr Dave.

- O rany, rozkręcasz się. Dr Dave powiedział ci o osobistych problemach swego wnuka.

- Tak. I co z tego?

Sara stała, patrząc przez chwilę na Jocelyn.

- Wiesz co ja myślę? Możliwe, że tak bardzo zakochałaś się w Luku, że jeśli wyjedzie nawet na kilka dni, to jesteś nieszczęśliwa.

- Ostatnia rzecz, jaka mi się mogła przydarzyć, to zakochanie w jakimkolwiek mężczyźnie na ziemi. Ile ja znam Luka? Dwa miesiące?

- A ile dni panna Edi знаła mężczyznę, którego pokochała?

- Kilka dni.

- No właśnie. Umaluj się trochę, załóż na włosy jedną z twoich opasek i spędzisz dzisiejszy dzień w moim sklepie ze mną i Gregiem. Musisz odpocząć od tego domu, od historii, w którą tak się zaangażowałaś i powinnaś też, dla odmiany, porozmawiać z innymi ludźmi niż moi kuzyni.

- Czy to możliwe w tym mieście?

- Zabawne, ale żarty ci nie pomogą w tej sytuacji - powiedziała Sara. Ujęła Joce za dłonie i pociągnęła ją, żeby wstała. - A teraz się pozbieraj i jedziemy. Mam jeszcze tyle pracy, że nie wiem, w co najpierw ręce włożyć.

\*\*\*

- Nie, nie tam - mówił Greg Anders do Sary. - To powinno być tu, a nie tam.

Jocelyn siedziała na podłodze po turecku i malowała dół jednej ze ścian w sklepie. Od kilku godzin przebywała z Gregiem i Sarą, obserwując ich, i stwierdziła, że zachowanie Grega sprawiło, że chciała znaleźć Luka i pobiec do niego z otwartymi ramionami. Joce nie rozumiała, jak to się stało, że słodka Sara mogła polubić tak władczego mężczyznę.

Odnowiony sklep będzie na pewno piękny. W środku pełno było starych mebli, bo przez lata był tam sklep meblowy. Sara powiedziała Joce, że właściciel był taki stary, że sklep był rzadko otwarty, a gdy już był, to jego właściciel zasypiał.

- Ludzie zostawiali mu pieniądze albo czek na ladzie i zabierali to, co chcieli kupić. Gdy moja mama widziała, że do sklepu wchodził jakiś turyści, wysyłała tam jednego z dostawców, żeby obserwował sklep i upewnił się, że turyści niczego nie ukradną.

- A teraz ty kupiłaś to miejsce - powiedziała Jocelyn, rozglądając się dokoła. Pomieszczenie było dość duże, a gdy ściany będą już pomalowane i podłoga odnowiona, to miejsce będzie prześliczne.

Niedługo po tym, jak obie kobiety przyjechały do sklepu, zjawił się w nim Greg, objął Sarę w pasie i pochylił ją, żeby ją pocałować, czego, według Joce, nie powinien robić na jej oczach. Ale Sara najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu.

- Jocelyn przyjechała dziś, żeby nam pomóc - powiedziała, gdy w końcu skończyli się całować.

Greg przyciskał Sarę do siebie, jakby chciał pokazać ludziom, że ona „należy” do niego, a jednocześnie zmierzył Joce wzrokiem tak przenikliwym, że ledwo się powstrzymała od gniewu.

- Jesteś właścicielką tutejszej rezydencji - powiedział. - Może chcesz ją sprzedać?

- Przestań! - powiedziała Sara z uśmiechem. - Pomyśli, że mówisz serio.

- Bo mówię - powiedział Greg, patrząc na Joce.

- Sprzedaj ten dom mnie i Sarze, a ja uczynię z niego atrakcję turystyczną.

- Mógłbyś przestać? - powiedziała Sara, chichocząc, jakby to, co mówił Greg, było niesłychanie zabawne.

- Myślę, że jednak zatrzymam dom - odrzekła Joce z wymuszonym uśmiechem.

- Zatem Jocelyn - odezwał się Greg, puszczając Sarę

- może dałbym ci jakąś pracę przy malowaniu? To, że jesteś panią Edilean Manor, nie oznacza przecież, że nie możesz zrobić małego malowanka.

- Greg! - powiedziała Sara.

- Wszystko w porządku, Joce wie przecież, że sobie żartuję, prawda Joce, staruszeko?

- Pewnie - wymamrotała Joce. - Bardzo śmieszne żarty.

Spędziła już prawie trzy godziny w nowym sklepie, a Greg zdążył już w tym czasie prawie zamęczyć Sarę i Jocelyn, podczas gdy sam zniknął co chwilę. Wchodził i wychodził ze sklepu, nie mówiąc nikomu, dokąd idzie i kiedy wróci. W ten sposób nie robił praktycznie nic.

Podczas jego drugiego zniknięcia, Sara podeszła do miejsca, które malowała Joce. Trzymała w ręku wiertarkę, bo naprawiała stare, dębowe ramy, które zamówił Greg. Joce pomyślała sobie, że skoro Greg jest tak bogaty

jak mówi, to dlaczego nie wynajmie do pracy jakiegoś stolarza, żeby Sara nie musiała robić takich rzeczy?

-Wiem, że jest trochę szorstki - powiedziała Sara, patrząc w dół na Joce - ale on sprawia, że czuję, że żyję. Większość życia spędziłam z igłą w dłoni albo przy maszynie do szycia i jedyną rozrywką, jaką miałam, było DVD. A Greg ma głowę pełną pomysłów i chce je wszystkie wcielić w życie *natychmiast*. Gdybym powiedziała któremuś z moich kuzynów, że chcę otworzyć sklep z odzieżą, spędziłby kilka miesięcy nad badaniem, czy to dobry pomysł, czy nie. A ja rozmawiałam o tym z Gregiem przy kolacji, a na drugi dzień dowiedziałam się, że kupił stary sklep z meblami.

- Szybki jest - stwierdziła Joce. - Ale może w takich sprawach należałoby przemyśleć dłużej kilka rzeczy. Jak przyciągniesz do siebie klientów?

-Greg już to wszystko przemyślał i zaplanował. Wynajmie agencję reklamową, żeby zareklamowała nas w Richmond.

- Wow. Richmond - zdziwiła się Joce. - A co z Williamsburgiem?

- Greg stwierdził, że Williamsburg jest za mały dla nas. Musimy strzelać do dużej tarczy. Chce, żebyśmy jeździli do Nowego Jorku kilka razy w roku, żeby kupować markowe ubrania, a potem przywozili je tutaj i sprzedawali dwa razy drożej. On naprawdę ma głowę do interesów.

Albo jest marzycielem, pomyślała Joce, ale nie odezwała się ani jednym słowem.

- O, oto i on. Lepiej wróć do pracy.

- Co ja widzę? Obie się objacie jak tylko wychodzę? - powiedział Greg, gdy tylko wszedł do sklepu. - Będę musiał obciąć wam za to pensje.

- Nie miałam pojęcia, że będziesz nam za to płacił -powiedziała Joce z większą wrogością niż zamierzała.

- Zaraz, zaraz - powiedział Greg. - Damy powinny trzymać swój temperament na wodzy. Hej Joce, a może



chciałabyś tu pracować. Mogłoby ci to pomóc w utrzymaniu tego wielkiego domu.

Jocelyn czuła, że cała krew odpłynęła jej z twarzy. Wyglądało na to, że wiadomość o braku pieniędzy na utrzymanie domu została ujawniona.

- Greg! - krzyknęła Sara z wściekłością. - Powiedziałam ci o tym w zaufaniu!

- No dobrze. Przepraszam Joce. Jocelyn podniosła się.

-Posłuchajcie, już pora lunchu i muszę iść. Tess powiedziała, że Ramsey wraca dzisiaj, a ja muszę się z nim spotkać w pewnej prawniczej sprawie.

- Pewnie - powiedział Greg. - Słyszałem, że masz dwóch chłopaków i nie możesz się zdecydować, którego wybrać.

- Okay. Lepiej już pójdę. Ja... - Jocelyn spojrzała na brudny pędzelek, który trzymała, i wiedziała, że powinna go oczyścić, ale nie chciała zostać w tym miejscu ani minuty dłużej. - Do zobaczenia Saro, twój sklep będzie piękny.

- Do zobaczenia wieczorem - zawołała Sara, gdy Joce wychodziła.

Usłyszała jeszcze, jak Greg mówił do Sary:

- Co ja takiego zrobiłem? Tylko się z nią droczyłem. Joce odetchnęła z ulgą, gdy znalazła się na zewnątrz i niemal pobiegła do biura Ramseya.

- Tak myślałam, że cię tu dziś zobaczę - odezwała się Tess, gdy tylko Joce weszła. - Przyszłaś, żeby się zobaczyć z Ramseyem, czy uciekłaś od Grega Ohydneho?

- Uciekłam - powiedziała Joce. - Napiałabym się teraz tequili. Co za dupek z niego. Jak Sara może go lubić?

- Myślę, że nikt dotąd nie przeżył na tyle długo, żeby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ktoś lubi kogoś drugiego. Ona śmieje się z jego kawałów i uważa, że jego wielkie plany są cudowne.

-Naprawdę myślisz, że ludzie będą przyjeżdżać do Edilean z Richmond na zakupy?

- Nie - stwierdziła Tess. - Może wejdziemy do mojego gabinetu?

Joce rozejrzała się dokoła i zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej tu nie była. Przechodziła albo przejeżdżała obok wiele razy, ale nigdy nie była w środku. Budynek był stary, zbudowany około 1900 roku, a potem przekształcony w wygodne i eleganckie biuro. Przy wejściu była poczekalnia, w której stały osiemnastowieczne meble.

- To z Colonial Williamsburga? - spytała Joce.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Tess, gdy szły na drugi koniec budynku. Przeszły obok dwóch biur, za którymi siedziały kobiety, uważnie przyglądające się Joce, gdy ta przechodziła obok nich.

- Są w szoku, że przyjaźnię się z jakąś kobietą - powiedziała Tess, gdy zamknęła drzwi do swego gabinetu. Był piękny, ale lekko przygnębiający, i Joce nie mogła ustać zbyt długo. Na biurku nie było żadnych fotografii ani niczego osobistego gdziekolwiek. Zupełnie jak w mieszkaniu Tess - pomyślała Joce. Wyglądało na to, że jej przyjaciółka nie chciała, żeby ktoś znał szczegóły jej prywatnego życia.

- Więc do czego się dziś przyczepił? - spytała Tess, siadając za biurkiem, wskazując Joce jedno z krzeseł naprzeciwko.

Joce nie podobało się, że są odgródzone biurkiem, ale nic nie powiedziała.

- Masz na myśli Grega?

- No pewnie. Tak bardzo zaangażowałam się w catering, a ty w książkę, że żadna z nas nie zwróciła uwagi na nowego chłopaka Sary. Teraz będzie nam trudniej.

- To prawda - odparła Joce uważnie. - Nie sugerujesz chyba, że powinniśmy coś z tym zrobić, co? Poza tym, z tego co widzę, Sara go lubi. Myślę, że ona nie potrzebuje naszej interwencji.

-Gdy tylko go poznałam, namawiałam ją, żeby powierzyła MAW prowadzenie sklepu od strony prawnej.

- Co masz na myśli?

- Przypomniałam jej, że ona nie ma żadnych pieniędzy i że nie powinna podpisywać żadnych dokumentów. Niech on płaci za wszystko i w razie niepowodzenia, to niech on weźmie wszystko na barki.

- Jesteś taka pewna, że ten sklep upadnie? - spytała Joce. -Myślę, że gdyby Sara otworzyła mały sklepik

z sukienkami własnego projektu i do tego robiłaby przeróbki sukienek dla swoich klientek, to utrzymałaby się na rynku. Sara jest dobra w tym, co robi, ale nie umiem sobie wyobrazić, że angażuje się w pokazy mody w Nowym Jorku. A ty jak myślisz? Jocelyn zmrużyła oczy.

- Nie uważam, żebyśmy wiedziały lepiej, co jest dobre dla Sary. Niech sama decyduje o swoim życiu.

-To jest myśl - powiedziała Tess i spojrzała na okienko w drzwiach do gabinetu. - Rams wrócił.

Przez moment Joce siedziała i przyglądała się Tess. Nie była pewna tego, co zobaczyła, ale wydawało jej się, że przez sekundę albo przez jej ułamek, widziała w oczach Tess blask, gdy zobaczyła Ramseya... Joce nie była pewna, co to oznaczało, ale wiedziała, że Tess ucieszyła się, że go widzi.

Joce odwróciła się na krześle i obserwowała, jak Ramsey idzie przez korytarz, prosto do gabinetu Tess. Nie zwolnił, żeby odłożyć walizkę albo odpowiedzieć na pozdrowienia ludzi, którzy go witali. Zignorował nawet sekretarki, które chciały mu wręczyć różowe notatki z zapisanymi pilnymi telefonami. Zamiast tego pędził prosto do biura Tess. Otworzył drzwi z takim impetem, że prawie uderzył nimi Joce - ale nawet tego nie zauważył.

- Co się działo, gdy mnie nie było? - spytał Tess.

Joce siedziała na krześle, niemal w całości zasłonięta drzwiami, i patrzyła raz na Ramseya, raz na Tess, i zauważyła, że ich oczy widzą tylko siebie - wtedy zapragnęła odtańczyć taniec radości. Czuła się, jakby gdzieś w środku jej głowy ktoś grał na dudach, miała ochotę otulić głowę ramionami i zatańczyć szkocki taniec ludowy.

Joce powiedziała z szerokim uśmiechem.

- Cześć Ramsey. Dobrze się bawiłeś w Bostonie? Gdy Ramsey się odwrócił, w pierwszej sekundzie jej nie poznał.

- Jocelyn! - krzyknął, jakby była osobą, którą najbardziej na świecie chciał teraz zobaczyć. Za chwilę objął ją ramionami i przytulił.

- Tęskniłaś za mną? Czy mój okropny kuzyn chciał z tobą uciec?

- A którego kuzyna masz na myśli? Masz ich tylu.

- Luka - powiedział Ramsey i ułożył swoją głowę na jej szyi, tak jakby zamierzał ją pocałować.

Joce spojrzała na Tess i zobaczyła, że ona usiadła z powrotem za biurkiem i zajęła się jakimiś dokumentami. Joce odepchnęła Ramseya.

- Jak ktoś mógłby chcieć ze mną uciec, gdy jestem przykuta do tego domu? Właśnie miałam powiedzieć Tess, że Greg Anders zaoferował mi jego kupno. Dowiedział się, że nie mam pieniędzy na jego utrzymanie, więc zgłosił się na ochotnika, że może mnie pozbawić ciężaru.

-A kto to, do cholery, jest Greg Anders? - spytał Ramsey Tess.

- Nowy chłopak Sary - odpowiedziała Tess. - Kupił tu dom, ma dużo kasy i otwierają razem sklep z sukienkami, tam gdzie kiedyś był sklep meblowy.

Ramsey otworzył szeroko oczy. -I to wszystko się stało w tym krótkim czasie, gdy mnie nie było?

-Aha - odrzekła Joce. - Dużo się wydarzyło, gdy byłeś w podróży. Odwrócił się do niej z poważną miną na twarzy.

- To znaczy?

- Myślę, że będzie lepiej, jak Tess opowie ci o wszystkim - stwierdziła Joce. - Próbowała się nie uśmiechać, ale jej się to nie udało. - Muszę już iść.

- Nie zamierzasz chyba malować? - spytała Tess.

- Malujesz Edilean Manor? - spytał Ramsey z przerażeniem w oczach.

- Na lawendowy kolor - odpowiedziała Joce. - Zresztą mój ulubiony. Pomyśl tylko, jak będzie wyglądał lawendowy dom w blasku porannego słońca. Ten widok szokuje, prawda?

-Nie możesz... - zaczął mówić Rasmey, ale Joce zamknęła już za sobą drzwi i usłyszała, jak Tess mówi:

- Ona sobie żartowała, więc potraktuj to z humorem i nie rób z siebie głupka.

Joce, śmiejąc się, opuszczała biuro ze świadomością, że sekretarki przyglądają się jej z niedowierzaniem. Joce była chyba pierwszą osobą, która opuściła gabinet Tess z uśmiechem na twarzy.

## Rozdział 22

Luka nie było już prawie dwa tygodnie. Przez ten cały czas nie kontaktował się z nią w żaden sposób. Ale Joce czuła się dobrze. Wiedziała już, dokąd chce iść i co robić. Sądziła, że przyczynił się do tego sposób, w jaki Sara patrzyła na Grega oraz ten błysk w oczach, który zauważyła u Tess, gdy zjawił się Ramsey. W miłości nie ma miejsca na słowo *powinna*. *Powinna* się interesować Ramseyem, bo panna Edi powiedziała, że jest dla niej idealnym mężczyzną i żeby opiekować się tym ogromnym domem, *powinna* dzielić go z Ramseyem. On wiedział, jak trzeba go urządzić i odnowić. Luke pewnie powsadzałby jakieś chwasty w słoiki po majonezie i stwierdził, że wyglądają świetnie.

Ale to wszystko nie miało znaczenia. Jocelyn wiedziała w końcu, do kogo należy jej serce i to nappełniało ją spokojem.

Większość czasu pod nieobecność Luka, Joce spędziła na poszukiwaniach w Williamsburgu. Jednego dnia przeszukała dokładnie wszystkie materiały związane z nazwiskiem Angus Harcourt i odkryła, że był jednym z założycieli kraju. Nigdy nie został politykiem, ale zawsze miał dużo do powiedzenia na temat oderwania się od Anglii.

Joce nie myślała nigdy zbyt dużo o tym człowieku, uśmiechała się tylko na wspomnienie historii, którą opisała panna Edi w liście dołączonym do testamentu. To było takie romantyczne. Młody Szkot porywa córkę swego pana, ucieka z nią i wozem pełnym złota. Nigdy nie zastanawiała się, co zrobili potem.

Jocelyn żartowała sobie nieraz o tym, że napisze książkę o Edilean, a teraz, gdy imię Angusa Harcourta było wspomniane razem z Thomasem Jeffersonem, pomyślała, że mogłaby taką książkę rzeczywiście napisać.

Joce poukładała wszystkie informacje, które znalazła na temat czasu, który panna Edi spędziła z dr. Brennerem, potem to wszystko spisała na komputerze, a następnie przejrzała historie napisane przez pannę Edi. Znowu śmiała się z Bertranda, zachwycała miłością między Edi i Davidem, a potem, jak zwykle, pojawiły się w jej oczach łzy na myśl o śmierci Davida. Szkoda, że nie mogli spędzić całego życia razem! - pomyślała Joce.

## Rozdział 23

Kiedy zadzwonił telefon i zobaczyła, że to Luke, położyła dłoń na sercu, bo myślała, że jej zaraz wyskoczy z piersi.

- Tęskniłaś za mną? - spytał bez żadnych wstępów. - Czy może nawet nie zauważyłaś, że mnie nie było?

Chciała go zapytać, czyjego małżeństwo jest już unieważnione, czy jest wolny i pomyślała też, że chciała mu powiedzieć, że go kocha.

- Tak i nie - powiedziała. - Byłam bardzo zajęta. Poznałam nowego chłopaka Sary i pomogłam im malować nowy sklep.

- Miły facet, co?

Jocelyn dała upust swoim emocjom.

- Rozmawiałeś z kimś stąd przede mną - prawie krzyknęła.

Luke chrząknął i tym samym dał jej znać, że słyszał zazdrość w jej słowach.

- Nie było tak jak myślisz. Babcia spotkała tego chłopaka Sary, powiedziała o wszystkim dziadkowi, a on przekazał to mi. Czy to polepszyło ci humor?

- Nie za bardzo. Więc rozmawiałeś z dziadkiem, gdy wyjechałeś. - Wiedziała, że brzmi jak nadąsana, mała dziewczynka, ale nie mogła się powstrzymać.

- Można tak powiedzieć - powiedział Luke i było słychać, że dobrze się bawi. - Był ze mną przez część drogi, a potem podrzuciłem go w jedno miejsce, a sam poleciałem dalej. Rozmawiał z babcią w czasie, gdy byliśmy razem, i stąd się dowiedziałem.

- Czy to ma sprawić, że poczuję się lepiej? Gdzie byliście?! I nie waż się nazwać mnie „Mamuśką”.

- Najpierw w New Hampshire, a potem w Londynie. Zostawiłem dziadka w New Hampshire, a ja poleciałem do Londynu. Wróciłem godzinę temu.



- W Londynie? - powiedziała spokojnie. - Szukałeś czegoś o panie Edi, prawda?

-Tak! Aha, zatrzymałem się też w Nowym Jorku. Dziadek ma tam trochę przyjaciół. Czy odpowiedziałem wyczerpująco na twoje pytania?

- Tak i teraz jestem zadowolona. To kiedy przyjedziesz tutaj, żeby mi opowiedzieć, co ty i twój przebiegły dziadek robiliście przez ten czas?

- On jest przebiegły? No nie! Dobrze zaobserwowałaś.

- A może spotkamy się u *ciebie* w domu? To będzie miła odmiana. Chciałabym zobaczyć, jak go urządziłaś. Uprawiasz orchidee pod prysznicem?

-Tylko wtedy, gdy nie biorę prysznicza przez kilka tygodni. Rosną mi wtedy w lewym uchu. Nie wiem, dlaczego akurat zawsze w lewym, a nie w prawym. A mój pępek...

- Przestań! Zostaw kiepskie żarty mnie. Chcę się dowiedzieć, co robiliście z dziadkiem przez te dwa tygodnie.

- Węszyliśmy i szpiegowaliśmy na dużą skalę.

- Luke - powiedziała na wpół ostrzegawczo i na wpół błagalnie.

- Dziadek polecał do Hampshire, żeby porozmawiać z wdową po generale Austinie i przekonać ją słodkimi słówkami do wypożyczenia listów.

Jocelyn wzięła głęboki oddech. -Dostał je?

- Tak - odpowiedział Luke z wahaniem. - Posłuchaj Joce, odkryliśmy coś, co...

-Tak?

- Co może cię trochę zasmucić.

- O mój Boże, co znowu?

- To nic złego - powiedział. - Chodzi o to, że... Przyrzekłem dziadkowi, że nic ci nie powiem, więc muszę trzymać język za zębami. Gdyby to zależało ode mnie, już byłbym u ciebie z dokumentami, które...

- Jakimi dokumentami?

- Historycznymi - powiedział szybko Luke. - Dziadek musi dziś odpocząć. Nie za dobrze znosi tak dalekie podróże, więc może podjadę po ciebie o czwartej po południu i pojedziemy razem do niego?

-I on będzie przy tym, jak będę oglądać te dokumenty? -To jest częścią umowy z nim. Poza tym, on jest lekarzem.

- A co to ma do rzeczy?

-Nic - powiedział szybko Luke. - Zapomnij, że o tym wspomniałem. Czy czwarta godzina ci odpowiada, czy może zamierzasz pracować niewolniczo przy malowaniu sklepu?

-Mam z Ramseyem spotkanie w sprawie podpisania zezwolenia na zawarcie małżeństwa o trzynastej, ale myślę, że się wyrobimy.

- Joce? - powiedział Luke. - Ciekawe, czy kiedykolwiek zażartowałaś sobie w ten sposób w obecności Tess.

-Niech pomyślę... Wciąż mam głowę na karku, oba ramiona i nawet stopy. Myślę, że nie popełniłam tego błędu.

- Nareszcie to zobaczyłaś.

- Mogłeś mi *powiedzieć*.

- A ty powiedziałaabyś Ramseyowi i Tess? Nie, niech sami to odkryją.

- Wiesz przecież, że możesz przyjechać po mnie przed szesnastą. Mój ogród nie wygląda za dobrze i potrzebuje trochę twojej troski.

-Nie próbuj mnie kusić. Jeśli spędzę z tobą choć dziesięć minut, to wszystko ze mnie wyciągniesz, a dziadek mi powiedział, że jeśli jego nie będzie, gdy się dowiesz, to będę musiał z nim grać w golfa codziennie przez miesiąc. Postraszył mnie nawet, że użyje swego starego zwrotu, „już długo tu nie zagoszczę”, który mnie zawsze porusza.

- Mam nadzieję, że nie odziedziczyłeś po nim okrucieństwa.

- Przypuszczam, że tak, bo przecież nie pozwoliłem ci do tej pory obejrzeć mojego domu.

Joce zamilkła na moment. Droczyła się z nim, że nie obejrzała jeszcze jego domu, ale nie sądziła, że jest w tym coś złego. A może nie złego, tylko dziwnego.

- A co... co jest w twoim domu?

- Zdjęcia innych dziewczyn - powiedział Luke. - Muszę już kończyć. Potrzebne mi kilka godzin snu, a potem muszę załatwić kilka spraw. Przyjadę po ciebie o czwartej. A tak przy okazji, babcia wykrciła się ze spotkania, więc będzie nas tylko troje.

Gdy się pożegnali, Jocelyn trzymała jeszcze przez chwilę słuchawkę i myślała o tym, co jej powiedział Luke. Listy od generała Austina, a potem Luke polecił do Londynu... po co? Czy w listach było coś, co kazało mu tam jechać?

Joce zadzwoniła do Tess.

- Chcę zrobić porządek z moimi włosami, żeby... No nie wiem... żeby wyglądały odłotowo. Gdzie mam iść?

- Więc Luke wrócił - stwierdziła Tess. - Zadzwonię w jedno miejsce i oddzwonię do ciebie.

Dziesięć minut później siedziała już w swoim aucie i jechała do Williamsburga na „pilne spotkanie” - jak to nazwała Tess.

- Nie wyglądam źle - wymamrotała Joce, ale dziś wieczorem chcę wyglądać naprawdę dobrze.

Luke przyjechał po nią swoim ciemnoniebieskim BMW. Wysiadł, żeby otworzyć przed nią drzwi.

- Wow! Co za cudo - stwierdziła Joce, siadając na skórzanych siedzeniach. - Powiedziałeś, że chcesz, żeby twój dziadek był z nami, bo jest lekarzem. Czy jesteś dla mnie tak miły, bo chcesz mi powiedzieć, że zostało mi tylko pół roku życia?

Gdy nie odpowiadał, popatrzyła na niego ostro.

- Luke?

- Życie ludzi się zmienia - powiedział tajemniczo. - Czasem na dobre, a czasem na złe.

- Nie strasz mnie.

Wyciągnął swoją rękę i ujął jej dłoń.

- Przepraszam za tę całą tajemnicę, ale obiecałem to dziadkowi. Myślę, że w tej chwili jest on najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Rozmawialiśmy w samolocie i powiedział mi, że bardzo kochał pannę Edi. Oczywiście, nigdy nie może tego powiedzieć przy babci, ale ją kochał. Powiedział, że on i panna Edi spędzili razem całe dzieciństwo, i to z jej powodu został lekarzem. Gdy zobaczył jej poparzone nogi, wrócił na studia i... - Luke uściśnął dłoń Joce. - Jakoś inaczej dziś wyglądasz.

- Tess wysłała mnie do salonu piękności, gdzie mnie wyskubali, pofarbowali i wypolerowali. Zajęło to kilka godzin, a ja tak się denerwowałam, że ledwo mogłam usiedzieć na krześle.

- Nie o to mi chodzi, choć podoba mi się ten różowy połysk. Widziałem peonie dokładnie w takim samym kolorze.

Puścił jej dłoń i położył rękę z powrotem na kierownicy.

- Coś innego się zmieniło.

- Zdecydowałam, że lubię cię bardziej niż Ramseya.

- Naprawdę? - powiedział Luke, jakby to dla niego nic nie znaczyło, ale zauważyła, że jego brew zaczęła drgać. Więc nie tylko kłamstwa to powodowały, ale też ogromne emocje.

- Ja też lubię cię bardziej niż Ramseya - powiedział spokojnie.

- Może go poprosimy, żeby nam niósł obrączki? Luke się roześmiał.

- Umowa stoi. Ale pod warunkiem, że założy na siebie niebieską, aksamitną marynarkę.

Serce Jocelyn waliło jak młot kowalski, tak że trudno jej było złapać oddech. Nie była pewna, ale chyba przed

chwilą Luke się jej oświadczył. A może to ona oświadczyła się jemu. Było jej wszystko jedno, wiedziała tylko, że nigdy wcześniej nie była szczęśliwsza.

Kiedy dotarli do domu doktora Davida, w całym domu było jasno, ale najjaśniejsza była jego twarz. Wyglądał, jakby odkrył sekret życia.

- Chciałabym, żebyście powiedzieli mi, co się dzieje - powiedziała Joce.

-Myślałem, że najpierw napijemy się herbatki -stwierdził dr Dave.

-Chyba żartujesz - powiedzieli jednocześnie Joce i Luke, a potem wybuchnęli śmiechem.

-Czuję się zażenowany na myśl, gdzie spędziliście całe popołudnie.

- U fryzjera - powiedziała Joce.

- A ja drzemałem - stwierdził Luke.

Dr Dave spoglądał raz na jedno, raz na drugie.

- Ale widzę, że coś się jednak stało. - Poniósł do góry rękę. - Nie mówcie. Mój mózg nie zniesie ani jednej informacji więcej.

Zwrócił się do Jocelyn.

- Mój wnuk i ja wiemy, co mamy ci powiedzieć, ale nim dowiesz się o wszystkim, musisz poznać pewne fakty, które my znamy. Jeśli nie chcesz czekać, aż skończymy pić herbatę, proponuję ją wypić, gdy mój wnuk będzie nam czytał ostatnią część historii Edi. Jesteś gotowa, Jocelyn?

- Czy herbata jest gorąca?

- Jeszcze paruje.

- W takim razie jestem gotowa.

## Rozdział 24

ANGLIA 1944

- Czuję się nieco złąkniony - powiedział Hamish przy śniadaniu, a Edi i David musieli ukryć uśmiechy. Złąkniony, to potoczne słowo na określenie, że ktoś jest głodny i w takiej sytuacji można jedynie coś zjeść, żeby sobie poradzić. Najpierw rzucił kilka uwag w stronę Davida, że jest zdrajcą, bo gotuje włoskie dania, a Włosi są przecież sprzymierzeni z Niemcami.

- Jeśli nie chce pan tego jeść... - powiedział David i chciał mu zabrać talerz, ale Hamish wziął go z powrotem.

- Myślę, że światu nie zaszkodzi, jak zjem jeden talerz spaghetti.

-To przecież... - zaczął David, ale przerwał. Nie widział sensu tłumaczenia temu człowiekowi, jaka jest różnica między pizzą, spaghetti i makaronem. Ucieszył się, gdy staruszek poszedł po śniadaniu do swojego pokoju.

Rankiem Edi znalazła podniszczoną szklarnię, która stała tuż za stodołą. Była przykryta zwiędłą winoroślą, i gdy zaczęła ją wyrywać, natknęła się na szklany domek, w środku którego rosły pomidory, które same się wysiały. Winorośl, która przykryła ziemię, utrzymała ciepło przez całą zimę w glebie, a na wiosnę promienie słońca przedostały się przez pozbawione liści badyle.

- Mógłbym cię za to pocałować - stwierdził David, wyjmując jeden z największych okazów z małego koszyka, który wręczyła mu Edi. - A tak właściwie, to mógłbym cię pocałować za cokolwiek innego.

Wycofała się, tak że dzielił ich stół, ale uśmiechała się.

- Czy ty nie wiesz, że ja jestem Nietykalna?

- Słyszałem - powiedział David ochryłym głosem, idąc w jej kierunku, ale tym razem Edi się nie ruszyła.

Niestety David zawadził sztywną nogą o kant krzesła, obrócił się i prawie upadł. Przytrzymał się za krawędź stołu, a potem klapnął ciężko na krzesło.

- Mam nadzieję, że Austin zgnije w piekle - mruzczał pod nosem, pocierając obolałą nogę. - Jak facet może się zalecać do kobiety, mając takie żelastwo na nodze?

Kiedy Edi nie odezwała się, podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć i w jej oczach zobaczył coś dziwnego.

- Co się dzieje w tej twojej małej główce?

Podrapała się w głowę. Nie przejmowała się dziś układaniem włosów, które opadały jej po prostu na ramiona, a potem natknęła się na spinki i wsunęła je po bokach. David uważał, że Edi wyglądała olśniewająco w za dużej koszuli, za wielkich spodniach, które były ściągnięte paskiem w talii, i rozpuszczonych, ciemnych włosach. Gdyby nie jego noga, to na pewno zrobiłby już jakiś ruch w jej kierunku.

- Muszę się wykąpać - powiedziała Edi. - Chyba mi coś przeskoczyło od kurczaków we włosy.

- Widziałem w oborze naftę. Myślisz, że możemy jej użyć?

- Nie - powiedziała Edi ze śmiechem. - Wykąpię się w rzece.

- To nie jest najlepszy pomysł. Stan wody jest wciąż wysoki, a nurt...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo usłyszał, jak drzwi zamknęły się za Edi. Gdy podszedł do okna, żeby wyrzucić, zobaczył, że ona biegnie. Było oczywiste, że wypełnia jakiś plan, ale jaki? Gdy po kilku chwilach wybiegła z obory, niosąc ze sobą sznur, domyślił się, co chciała zrobić.

-Nie - powiedział, gdy weszła do kuchni. - Nie, nie i jeszcze raz nie. Jeśli spróbujesz to zrobić, to zwieję stąd, znajdę jakiś telefon, zadzwonię do generała Austina i powiem mu, co chcesz zrobić.

- Umiesz dobrze robić węzły na sznurku?  
- Nie - powiedział twardo David siedzący nadal na krześle.  
- Okay. Więc będziemy musieli to zrobić z moimi więzaniami. -  
Wzięła jeden koniec liny i obwiązała się nim w pasie. - No i proszę.  
Ładny i mocny węzeł, prawda?  
David podszedł do niej, chwycił za jeden koniec sznurka i rozwiązał  
supel jednym ruchem.  
- Może powinnam zrobić trzy węzły.  
- Proszę, nie rób tego - powiedział David prawie ze łzami w oczach. -  
Nie warto tak ryzykować. Jeszcze jeden dzień i wróci Aggie,  
weźmiemy od niej magazyn, a potem...  
- A co myślisz o tym wiązaniu?  
David pociągnął za oba końce i nic się nie stało.  
- Idealne - powiedziała. - Użyjemy tego.  
- A co będzie, jeśli zaklinujesz się tam na dole i nie będziesz się mogła  
wydostać? - spytał niskim głosem. - Weźmiesz ze sobą nóż i rozetniesz  
linę?  
- A ty ją później naprawisz - powiedziała. - Nie chcę słyszeć  
wykładów na temat, dlaczego nie powinnam tego robić. Doskonale  
pływam.  
- Edi - nie chciał się podnieść z krzesła. - To bardzo szlachetne z  
twojej strony, ale ja nie chcę, żebyś to dla mnie robiła.  
Pochyliła się i pocałowała go w usta.  
- Zostało nam niewiele czasu - powiedziała. - Jak chcesz się ze mną  
kochać z tym czymś na nodze? Zamierzam to zrobić, obojętnie co  
powiesz, ale twoja pomoc będzie dla mnie bezcenna.  
David był tak zszokowany jej słowami, że potrzebował trochę czasu,  
żeby dojść do siebie. Gdy zaczęła odchodzić, złapał ją za nadgarstek i  
pociągnął do siebie, tak że usiadła mu na kolanie.  
Pocałował ją. Najpierw delikatnie, a potem namiętnie i zachłannie.



- Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia - wyszeptał. - Czułem się, jakbym już cię gdzieś spotkał. Może w niebie. Wiedziałem, że jesteś moja i zawsze moja będziesz.

Pogładziła jego szyję dłonią.

- A ja ciebie nie cierpiałam. David zachichotał.

- Z pewnością wiesz, jak się kochać z mężczyzną. - Muszę cię zmartwić, ale nic o tym nie wiem, ale

zawsze mi mówiono, że szybko się uczę.

Zatopił dłonie w jej włosach i znowu ją pocałował. Czar prysł, gdy Edi zaczęła się drapać po głowie.

- Coś mi chodzi po głowie, więc muszę wskoczyć do rzeki, żeby się tego pozbyć i może przy okazji uda mi się wyłowić tego jednego małego imbusika. Jesteś gotowy?

David skrzywił się i wyglądał, jakby miał znowu zacząć ją odwozić od jej planów, więc położyła mu palec na ustach.

- Popatrz na to trochę pozytywniej. Możliwe, że go wcale nie znajdę. Może być już dawno w Tamizie i będziesz chodził w tym aparacie do końca wojny.

David oparł się o kuchenny stół i podniósł się do góry.

- Prowadź - powiedział z uśmiechem, ale ona słyszała w jego głosie strach.

-No chodź - powiedziała, drażniąc się z nim. - Naszykowałam dla ciebie powozik.

- Powozik - powiedział, idąc za nią do drzwi. Może stary Hamish miał gdzieś ukryty samochód wśród porozrzucanych w stodole rzeczy. Może...

Wszystkie jasne myśli uciekły mu z głowy, jak tylko zobaczył Edi wyjeżdżającą ze stodoły na czymś, co było zbudowane w 1890 roku. Był to powóz konny, który z tyłu miał dwa duże koła, a z przodu dwa małe. Siedzenie z przodu miało postrzępione i zniszczone obicie, a z tyłu znajdowało się stojące miejsce. Do wozu był zaprzężony

stary koń Hamisha, a on sam stał na wozie tak zadowolony, że prawie się uśmiechał.

- Umiesz powozić, prawda? - spytał Edi, która wyglądała, jakby się urodziła, siedząc w powozie.

W dłoni trzymała długi bat i strzelała nim nad głową konia, a potem kilka razy cmoknęła i koń zatoczył piękne koło.

- No tak - powiedział Hamish. - Potrafisz powozić. -W domu mam prawie sto wstążek i pucharów -

powiedziała. - Proszę spojrzeć na niego, podoba mu się.

Miała oczywiście na myśli Hamisha, a nie Davida, który wycofywał się w kierunku domu.

- Pewnie, że mu się podoba - powiedział Hamish, głaskając konia po nosie. - W swoich dobrych czasach wygrał wiele wyścigów i na pewno je pamięta. Ludzie, którzy szli na wojnę, powiedzieli, że jest za stary i do niczego się nie przyda, ale w nim wciąż drzemie dużo energii.

-Niedługo wrócimy - powiedziała Joce. - David przywiąże mnie do drzewa, a ja zanurkuję do samochodu, żeby wydostać z niego kilka rzeczy. Może zdołamy zdjąć to ustrojstwo z jego nogi.

- On przecież tego nie potrzebuje, prawda? - powiedział Hamish.

Edi zaśmiała się. Może i był stary, ale dużo już w życiu przeżył.

- No chodź - zawołała Davida. - Hamish pomoże ci wejść na tył wozu. Będziesz się musiał mocno trzymać, gdy będziemy zjeżdżali ze wzgórza, ale myślę, że dasz radę.

- Może powinniśmy go przywiązać? - spytał Hamish. -Nie potrzebuję żadnego wiązania - powiedział

David, a Edi i Hamish wymienili między sobą uśmiechy. Nietrudno było zauważyć, że dla Davida nie istniała różnica między powozem a mamutem. Dla niego jedno i drugie było stare i niebezpieczne.

Stary koń niecierpliwie przebierał kopytami w miejscu, przypominając sobie zapewne czasy swojej świetności, gdy był młody i szybki. Hamish pomógł Davidowi wejść na powóz, który z tyłu był otwarty i nie nadawał się na przewożenie czegokolwiek. Było tam kilka uchwytów, ale David nie był w stanie usiąść z wyprostowaną nogą i przytrzymać się za nie.

- Do czego służy ten wóz? Nie można w nim nawet niczego przewieźć.

- A do czego służy samochód wyścigowy? - spytała Edi, a Hamish ją poparł.

-Dobrze dziewczyno, ruszaj. Tylko uważaj, bo koń ściąga na prawo.

- Niech się pan nie martwi, nie pozwolę mu - powiedziała, a potem cmoknęła na konia, który ruszył z miejsca, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu. David trzymał się wozu dwoma ramionami, metal wbijał mu się w nogę przy każdym wstrząsie, a zęby grzechotały.

- Musisz tak pędzić? - krzyknął do Edi, ale w odpowiedzi usłyszał tylko jej śmiech.

Davidowi wydawało się, że minęły trzy godziny, nim dotarli do rzeki, a to było zaledwie kilka minut drogi. Mogli przejść przez las, ale David przeżyłby katusze ze swoją nogą.

Zobaczył, że woda w rzece opadła na tyle, że już nie zakrywała mostu, a w rzece widać było czubek kół samochodu. Jeśli woda opadałaby w tak szybkim tempie, to za dzień lub dwa koła będą widoczne do połowy.

Gdy zwłókł się z powozu, Edi wiązała już sznur wokół pasa. Odsunął jej ręce na bok i sam zawiązał sznur.

- Posłuchaj mnie - powiedział spokojnie. - Jeśli coś pójdzie nie tak i będziesz chciała, żebym cię wyciągnął, to pociągnij za linę. Jeśli się zapłaczesz i będziesz chciała się odwiązać, to wystarczy, że pociągniesz za ten koniec. Widzisz? - Mocno szarpnął i sznur się rozwiązał. - Będę

liczył i jeśli nie wynurzysz się za dwadzieścia osiem sekund, to pójde po ciebie. Rozumiesz?

- Doskonale - powiedziała i zdjęła z nóg botki, które nosiła już od dwóch dni. Potem poszła na most i pociągnęła za sobą sznur. Woda już opadła i drewno wyschło, ale wciąż nie było tam bezpiecznie.

- Co ty robisz? - spytał David.

- Nie dam rady pływać w tych ubraniach. Chyba nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli je zdejmę?

- Nie mam pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie - powiedział szeptem, a potem przyglądał się, jak rozpina guziki przy koszuli i ją zdejmuje. Pod spodem miała na sobie body w kolorze brzoskwini, to samo, które miała, gdy rozebrał ją pierwszej nocy. - Nigdy nie widziałem kobiety piękniejszej od niej.

Rzuciła koszulę na most i zaczęła odpinać pasek, ale koń zaczął niespokojnie rzeć i Edi udała się w jego kierunku.

-Zamknij się! - krzyknął David i koń od razu się uspokoił.

Edi, uśmiechając się, odpięła pasek i spodnie opadły na most.

- Mylili się - szepnął David.

- O czym ty mówisz?

- Twoje nogi. Muszą mieć chyba ponad sto dwadzieścia centymetrów.

- Nie mam pojęcia. Nigdy ich nie mierzyłam. Możesz teraz zawiązać linę na mnie?

-Tak - powiedział, ale zbliżał się do niej powoli, sycąc wzrok każdym centymetrem jej ciała.

Owinął sznur wokół jej talii, przywiązał koniec do mostu, a potem wskazał ruchem głowy na drugą linę w powozie.

- Do czego to?

- Jeśli zostało coś w aucie, zamierzam to wyciągnąć.

- Masz na myśli swoją walizkę?

- Tak, moje własne ubrania - powiedziała, patrząc na wielkie spodnie, które miał na sobie. - Wziąłeś ze sobą jakieś ubranie, które będzie pasowało na ciebie, gdy zdejmemy to żelastwo.

- Tak, ale nie chcę, żebyś się tym przejmowała. Jak znajdziesz nimbusa, to dobrze, jeśli nie, to reszta się nie liczy. Rozumiesz?

- Zachowujesz się jak mój ojciec - powiedziała. - Myślę, że skoro auto jest zakryte wodą, to woda jest na tyle głęboka, żeby w niej zanurkować, nie sądzisz?

- Nie! - David prawie krzyknął. - Możemy dojść do brzegu i wejdiesz do wody. Nie wiesz przecież... - przerwał, bo Edi weszła na poręcz i dała nurka do wody. Wziął głęboki oddech i czekał, aż się wynurzy, a przez ten czas zdążył sobie wyobrazić najgorsze rzeczy. Może uderzyła głową o dno? Straciła przytomność? Przechylił się już przez poręcz, gdy Edi się wynurzyła.

- Zimna! - stwierdziła.

- A myślałaś, że jaka będzie? Podgrzewana? - mówił, robiąc wszystko, żeby ukryć przerażenie. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Jest cudownie. Umyję sobie teraz włosy. Rzucisz mi mydło, które jest w powozie?

- Mydło! - mruknął pod nosem. Chciał, żeby już wszystko zrobiła i żeby mogli już stamtąd odjechać. Ze swoją sztywną nogą pokuśtykał tak szybko, jak mógł do powozu, wziął kostkę mydła i rzucił jej.

- Dobry chwyt - powiedział.

- Byłam najlepszym pałkarzem w drużynie baseballowej w szkole - powiedziała. - Moja piłka leciała na odległość tylko 3 metrów, a ja i tak zaliczałam wszystkie bazy. - Namydliła włosy, dreptając w miejscu. Potem odwróciła się, spojrzała na samochód, podpłynęła bliżej i wspięła się na niego.

- Spójrz na mnie - krzyknęła.

- Tak, patrzę na ciebie. - Jej mokre body przylgnęło do ciała i stało się przezroczyste, poza tym stała na samochodzie, który był przykryty wodą. Wyglądało, jakby stała na wodzie.

- Królestwo za aparat - szepnęła. - Uważaj! - krzyknął do niej. - Spód samochodu może być śliski jak lód.

Cały czas mydliła włosy, a potem rzuciła mu z powrotem kostkę mydła. Na swoje nieszczęście, nie złapał go i musiał za nim ganiać po całym moście. Kiedy spojrzął z powrotem w jej kierunku, już jej nie było, a jego serce zatrzymało się na chwilę.

Wydawało mu się, że mijają minuty, a jej wciąż nie było. Pociągnął za linę, ale ona nie zareagowała.

- Wiedziałem, że to był zły pomysł - powiedział. - Wiedziałem. Powinienem ją zatrzymać. Powinienem ją zmusić...

- Do czego? - powiedziała, wynurzając się tuż pod nim, kładąc rękę na filarze.

- Zmusić cię, żebyś tego nie robiła.

- Chciałabym zobaczyć jak próbujesz - powiedziała sugestywnie. - Możesz mi podać rękę?

David schylił się i wyciągnął do niej dłoń, a ona podała mu imbusa. Ścisnął go i przez moment przycisnął do piersi. Taka mała rzecz, a cieszy.

- Mamy go - powiedział - więc teraz możesz już wyjść. Ale gdy spojrzął w dół, już jej nie było. Z szybkością błyskawicy David odpiął swoje spodnie i ściągnął je, spojrzął ostatni raz na metalową obręcz, w której była uwięziona jego noga i zaczął odkręcać śrubki. Dla bezpieczeństwa były one schowane, żeby wystające łebki nie uszkadzały skóry, ale żeby je odkręcić, trzeba było użyć specjalnego klucza.

Połowa z nich była zardzewiała od wody i trudno było je odkręcić. Jedna już pękła. Ale David był tak zdeter-

minowany i wściekły na to żelastwo - nie wspominając o tym, jak bardzo pragnął panny Edilean Harcourt - że nie poddawał się.

Rozerwał kilka odcisków i poranił nogę, gdy zdejmował to coś, ale zdołał oderwać je od skóry, a potem wyrzucił na sam koniec mostu.

Później musiał się wysilić, żeby się podnieść, ale w końcu mu się udało. Musiał zrobić kilkanaście przysiadów, żeby jego kolano znowu zaczęło pracować. Jego noga była w strasznym stanie, cała pokryta ranami, sińcami i przyklejonymi do ran kawałkami materiału, ale dla niego wyglądała świetnie.

- Wreszcie się uwolniłem! - krzyknął i odwrócił się w stronę rzeki, ale Edi mu nie odpowiedziała.

Odpiął koszulę, rzucił ją na most, wspiął się na poręcz i skoczył do wody.

- Co ci tak długo zeszło? - spytała, gdy podpłynęła i wtuliła się w jego ramiona.

## Rozdział 25

-I to koniec - powiedział David Aldredge.

- Co masz na myśli? - spytała Joce.

- To już koniec historii napisanej przez pannę Edi, a przynajmniej ja nie mam już więcej. Alex McDowell zostawił mi je w testamencie i nie mam pojęcia, czy to było wszystko, czy może Edi napisała więcej, a ta część zaginęła. Pod koniec życia Alex czuł się bardzo źle.

- Źle? - spytała Joce. - Co masz na myśli?

- Był chory na Alzheimera. Nie pamiętał nawet kim jest, a tym bardziej historii przesłanych mu wiele lat wcześniej. Jednakże... - Dr Dave przerwał, jakby chciał podgrzać napięcie. - Kilka lat temu znalazłem coś interesującego. Wiesz jak to jest, nudny dzień, usiadłem na Internecie i wystukałem na klawiaturze imię dr Jellie.

- Mam tu fragment z serii książek o II wojnie światowej. Z tego, co wiem, tylko w tym fragmencie wspomniane jest imię dr. Jellicoe. Chcecie, żebym wam przeczytał?

- No pewnie - powiedzieli Jocelyn i Luke.

\*\*\*

Wkład doktora Sebastiana Jellicoe w przebieg wojny nigdy nie został zbadany, tak za jego życia, jak i po jego śmierci. Każdy, kto go spotkał, nie mógł się nadziwić jego inteligencji i mądrości oraz temu, jak jednym spojrzeniem potrafił odczytać sens rozsypanych wyrazów. Ludzie pamiętali też dobrze, że miał dar opowiadania. Nawet idąc do sklepu spożywczego, potrafił wrócić z historią, którą warto było opublikować.

Byłem w tamtym czasie młodym i spragnionym wiedzy studentem, który chciał się uczyć od mistrza, i z tamtych czasów pamiętam najlepiej jedną opowieść o parze



młodych ludzi, którzy najprawdopodobniej ocalili mu życie. Zbliżał się wielki dzień - „Operacja Neptun” - i dr Jellie siedział przy kominku w zimną i deszczową noc, przysypiając na krześle, gdy usłyszał rzenie konia i głos przeklinającego mężczyzny. Przez moment był tak zmieszany, że pomyślał, iż to może gruby Mikołaj zderzył się z dachem.

Zamiast niego pojawiło się w drzwiach dwoje młodych i atrakcyjnie wyglądających Amerykanów, a przybyli do niego w środku nocy na przedpotopowym powozie jego gburowatego sąsiada Hamisha. Doktor Jellie powiedział mi, że nikt nie mógł wytrzymać z tym mężczyzną i w rezultacie mieszkał sam. W wiosce mówiono, że kiedyś ścigał się wozem konnym i wygrywał wszystkie zawody po kolei, aż do wypadku, który uniemożliwił mu dalsze starty. Osiadł w domu na gospodarstwie swego ojca i spędził resztę życia, narzekając do swojej żony i dzieci na swój los.

Ale tamtej zimnej, dżdżystej nocy, przyjechał do niego jeden z powozów zaprzężony w konia prawie tak starego, jak sam Hamish, i powożony przez dziewczynę tak wysoką i piękną, że dr Jellie pomyślał, że może już umarł i poszedł do nieba. Wyglądała jak bogini, która jedzie na bitwę.

Z tyłu powozu siedział młody, przystojny mężczyzna, wyższy od niej. Widać było, że nie cierpiał jazdy powozem tak samo bardzo, jak kochał kobietę, która nim powoziła.

- Odpłaciłaś mi się - powiedział do niej po tym, jak wysiadł i oddał całą kolację w krzaki.

- Ja nie lubię, jak ty prowadzisz, a ty, jak ja powożę. Jesteśmy kwita - powiedziała, uśmiechając się do dr. Jellie i przedstawiając się mu ich jako Eddie i Davida. Przez lata doktor zapomniał ich nazwiska i często zastanawiałem się, kim oni byli i co się z nimi stało.

Zaprosił ich do środka na herbatę. Młody David wszedł za nim do środka, a Eddie, jak przystało na kobietę, która

kochała konie, zaprowadziła najpierw zwierzę do stodoły. Gdy weszła, jej ciemne włosy były całe mokre, a obaj mężczyźni patrzyli na nią przez chwilę w milczeniu, które ona przerwała.

- Mam coś dla pana - powiedziała, wręczając mu tygodnik Time.

- A co ja mam z tym zrobić? - spytał dr Jellie.

- Jest tam dla pana wiadomość od generała Austina - powiedziała. - Ja jestem jego sekretarką.

- Stary buldog Austin. Mój Boże, nie widziałem go już od dłuższego czasu. Nikt go jeszcze nie zastrzelił?

- Kay chce to zrobić - powiedział David - ale póki co, nikt się nie odważył.

- Myślę, że powinien pan przeczytać wiadomość - zachęciła go Eddie.

- Myślę, że to coś ważnego. Ma pan z nami wrócić do Londynu.

- Naprawdę?

- Wygląda na to, że ktoś się dowiedział, co pan robi - stwierdził David.

- Albo już wszyscy wiedzą. Pani Pettigrew dostarcza mi razem z lunchem koperty, które są oznaczone jako Ścisłe Tajne.

David i Eddie popatrzyli na siebie z otwartymi ustami.

- Ale - zaczął David.

- Myśleliśmy...

Dr Jellie przejrzał magazyn.

- Już go widziałem. To ten, który zabrała Aggie? Czy wy jesteście tymi Amerykanami, którzy go szukali?

- Nie mieliśmy pojęcia, że mieszka pan tak blisko - powiedziała Eddie.

- Ale i tak nie mogliśmy do pana przyjść bez czasopisma. Nalegam, żeby pan go przejrzał. Myślę, że jego zawartość może się okazać bardzo pomocna.

- Nonsens! - powiedział. - Oni nigdy nie przekazują wiadomości w rzeczach oznaczonych jako ważne.

Te koperty ze znaczkiem Ściśle Tajne? Są tam katalogi z nasionami. To listy od mojej córki zawierają tajne informacje.

- Pańska córka pracuje w Londynie? - spytał David.

- Nie mam córki.

- O - powiedziała Eddie.

Chwilę potem dr Jellie wrzucił tygodnik do ognia, a David i Eddie podskoczyli do góry.

- Tylko do tego się nadaje - powiedział. - Myślę, że już wszyscy w wiosce zdążyli go obejrzeć. Zrobiliście trochę zamieszania, gdy nie trafiliście w most i wylądowaliście samochodem w rzece.

- My nie... - zaczął David, ale powstrzymał się, spoglądając na płonący magazyn. - W takim razie, obawiam się, że odbyliśmy tę podróż na darmo - powiedział, ale po tych słowach spojrział na piękną Eddie tak gorąco, że dom prawie stanął w płomieniach.

- Czy generał Austin dał któremuś z was jeszcze coś? - spytał dr Jellie.

- Mnie nic - stwierdziła Eddie. - Dał mi mapę, która i tak nie była dokładna, i pieniądze. Zostawiłam je w domu Hamisha. Może pójde i je przyniosę?

Zagrzmiało i dr Jellie powiedział. -Nie, moja droga, myślę, że to może poczekać. -Spojrział na Davida. - A może ty dostałeś jakieś papiery?

- Nie. Generał Austin podarował mi tylko metalowy aparat na nogę, który działał jak średniowieczna sala tortur i...

- Ale nic papierowego?

David pokiwał przecząco głową.

- Nic oprócz zaproszenia.

- Pokaż mi je - powiedział dr Jellie.

- Jakiego zaproszenia? - spytała Davida Eddie.

- Na tańce, na których miałaś na sobie w tamtym roku elektryzującą, niebieską suknię.

- Bal Oficerów - stwierdziła Eddie. - Ale to nie ma nic wspólnego z tą sprawą. Te zaproszenia trafiają do wielu ludzi prosto z drukarni. - Obserwowała, jak David wyjmuje swój portfel z tylnej kieszeni i wyciąga kopertę. Wyglądało na to, że nawet się nie zamoczyła, ale Eddie wiedziała, że przecież była pod wodą.

- Jak udało ci się jej nie zamoczyć? - spytała go.

- Zawsze dbamy o rzeczy, które są dla nas ważne - powiedział dr Jellie, spoglądając na Davida z uśmiechem.

- To prawda, proszę pana.

- Wodoodporny materiał? Specjalne opakowanie?

- Tak, proszę pana - powiedział David, uśmiechając się do niego. - Wyłowiliśmy nasze walizki z samochodu w rzece, a zaproszenie było tak suche, jak wtedy, gdy go tam wkładałem.

- Dobry chłopak - powiedział dr Jellie, podnosząc się z krzeselka. Położył zaproszenie na stole i otworzył pudełko, które zawierało dwa szklane naczynka, wypełnione substancją wyglądającą na alkohol.

- Przydałoby mi się jedno - powiedział David, wyciągając rękę.

- Wypij któreś z nich, a poczujesz nieprzyjemne łaskotanie na języku. David cofnął natychmiast rękę.

- Niech się zastanowię, którego powinienem użyć? - powiedział dr Jellie.

David położył rękę na ramieniu Eddie i podszedł z nią do kominka, żeby dr Jellie mógł chwilę pomyśleć w spokoju. Po chwili doleciał do nich ohydny zapach i dr Jellie w końcu się odezwał.

- Mam już. Mam z wami jechać do Londynu, a stamtąd wyślą mnie do Stanów.

David odezwał się pierwszy.

-I to wszystko? Przecież to już wiedzieliśmy. Sami panu powiedzieliśmy.

- Szpiedzy lubią często znikać, więc papier jest od nich lepszy.

- Ale ten papier skończył na dnie rzeki.

- No tak, ale nawet wtedy był chroniony. Domyślam się, że generał Austin wiedział, że to zaproszenie będzie dla ciebie tak wartościowe, że będziesz je chronił.

- Tak - powiedział David, patrząc na Eddie z uśmiechem. - Bardzo wartościowe.

- A teraz, gdy już wszystko wiemy, proponuję położyć się spać, nim wyruszymy jutro do Londynu. Chcecie jeden pokój czy dwa?

- Jeden! - powiedziała szybko Eddie i pokazała mu obrączkę. - Jesteśmy małżeństwem.

- Więc to tak - rzekł dr Jellie z uśmiechem. Doktor Jellie powiedział, że rankiem bogini wsiadła na powóz i odprowadziła go do Hamisha, a godzinę potem zbiegała ze wzgórza. Stwierdził, że nigdy w swoim życiu nie widział piękniejszego widoku niż ten, gdy zobaczył młodą dziewczynę, biegnącą wprost w ramiona swojego kochanka. Doktor Jellie zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby miał u swojego boku kobietę, która patrzyłaby na niego w taki sposób, ale nigdy taka się nie pojawiła.

Opowiadał, jak we trójkę wsiedli do pociągu i pojechali do Londynu i stwierdził, że nigdy w życiu nie widział bardziej zakochanych w sobie ludzi. Nie widzieli nikogo prócz siebie i chcieli być tylko ze sobą. Gdy dotarli do Londynu, na stacji czekał ktoś na dr. Jellie, a piękna Eddie i jej kochany David zniknęli gdzieś w tłumie. Nigdy potem o nich nie słyszał.

## Rozdział 26

Joce siedziała w gabinecie doktora Dave'a i myślała o pannie Edi i jej ukochanym Davidzie. Wiedziała, co się stało potem. On został zabity, a ona poparzona.

- To dopiero początek całej historii - powiedział Luke spokojnie.

- Początek? To jest przecież koniec.

- Nie - odezwał się dr Dave. - Gdy powiedzieliście mi o generale Austinie, chciałem jechać do New Hampshire, żeby zobaczyć, czy uda mi się uzyskać listy generała.

Joce spojrzała na Luka.

- To o tym rozmawialiście po kolacji w gabinecie.

- Tak - powiedział. - I dlatego nie chciałem, żebyś ze mną szła, ale nalegałaś, aż w końcu pękłem i pozwoliłem ci ze mną pojechać, a potem twoje uczucia zostały zranione, bo...

- Przekomarzacie się jak stare małżeństwo - powiedział dr Dave. - Zostawcie tę dyskusję na potem. Pokaż jej listy.

6 października 1944

Pamiętasz Harcourt, najlepszą sekretarkę, jaką miałem kiedykolwiek? Wysłałem ją z moim kierowcą na misję i wygląda na to, że zrobili nawet więcej niż ich prosiłem. Ona jest w czwartym miesiącu ciąży. Tak się wściekłem, że chciałem ich zmusić do małżeństwa, ale on został odesłany do innej jednostki i nawet ja nie jestem w stanie go odnaleźć. Harcourt zażądała przeniesienia, ale jej nie pozwoliłem.

18 grudnia 1944

Pamiętasz Harcourt? Ten facet, którego poślubiła, został zabity. Ona ma rodzić na wiosnę, więc będę ją

musiał odesłać po Bożym Narodzeniu. Dzięki Bogu nie ma jeszcze dużego brzucha, więc na razie nikt się nie domyślił. Bez niej moje biuro się rozpadnie.

21 kwietnia 1944

Pamiętasz Harcourt? Właśnie się dowiedziałem, że miała wypadek i została poważnie poparzona. Raczej tego nie przeżyje. Pielęgniarka, z którą rozmawiałem, powiedziała, że dziecko urodziło się martwe. Żadna inna śmierć nie zabolala mnie tak bardzo jak ta. Kazałem ją przetransportować do Stanów, żeby mogła spokojnie umrzeć w ojczyźnie.

Jocelyn przeczytała fragmenty listów trzy razy, nim spojrzała na Luka i dr. Dave'a.

- Dziecko? - wyszeptała i łzy zaczęły jej płynąć po policzkach. - Biedna kobieta. Straciła więcej niż myślałam.

-Nie - powiedział dr Dave, ujmując jej dłonie. -Powinnaś podziękować za wszystko mojemu wnukowi, to on zaczął coś podejrzewać.

- Co podejrzewać? - spytała, gdy Luke podawał jej chusteczkę.

- Że coś tu nie gra - powiedział Luke. - Gdybyś znała wujka Alexa, to na pewno byś zrozumiała. Powiedział, że całe swoje życie był dłużnikiem Edilean Harcourt i chciał się jej odwdzińczyć. Dał jej pracę, pozwolił mieszkać w swoim domu za darmo, ale to nic dla niego nie znaczyło. Zrobił to samo dla kilku ludzi, którzy dla niego pracowali całe życie.

- Luke, co ty mi chcesz powiedzieć?

- Z pomocą dziadka wynająłem w Anglii całą drużynę badaczy i razem przeszukaliśmy wiele dokumentów z II wojny światowej.

- Żeby się dowiedzieć gdzie... gdzie było pochowane dziecko? - spytała spokojnie Joce.

-Tak i nie. - Usiadł na pufie naprzeciwko niej. -Pomogło mi nazwisko Clare. Pamiętasz, jak panna Edi opowiadała ci, że wołała Davida, gdy wszyscy myśleli, że ona umrze?

-Tak.

- David Clare.

Joce spojrzała na doktora Dave'a.

- Nie rozumiem. Czy coś przeoczyłam?

- Czy znasz kogoś o nazwisku Clare?

- Nie znam nikogo o takim nazwisku. Obaj mężczyźni patrzyli na nią.

- Moja mama miała na imię Claire.

Dr Dave i Luke uśmiechnęli się do siebie.

- Czekaście! - powiedziała Joce. - Chyba nie chcecie mi powiedzieć, że moja mama...

- Była córką Davida Clare'a i Edilean Harcourt. Tak, była. - Pokaż jej dziadku - powiedział Luke.

Doktor Dave wręczył jej kilka wykresów, jakie nie raz widziała w programach w telewizji. Wykresy DNA. Spojrzała na nie obojętnie.

-Przepraszam cię za tajemniczość, ale gdyby to wszystko okazało się nieprawdą, to tylko byśmy cię zranili - powiedział dr Dave. - Łatwo było wziąć DNA od ciebie i niebyłoby trudno od Edi. Lubiła pisać dużo listów, a każdą kopertę musiała polizać, żeby ją zamknąć.

-To panna Edi była moją babcią? - spytała Joce nikiym szeptem.

-Ona o tym nie wiedziała - powiedział dr Dave. - Gdyby wiedziała, to z pewnością by ci powiedziała. Sądzę, że Alex wiedział o jej ciąży, ale nikt oprócz niego. Mieszkała w Londynie, gdzie nikt jej nie znał, więc nie musiała odpowiadać na pytania. Została poparzona na kilka tygodni przed terminem porodu.

- Ale generał Austin powiedział, że dziecko urodziło się martwe.



- Podejrzewamy, że tak mu powiedziano. Nie mamy na to żadnych dowodów, ale podejrzewamy, że Alfred Scovill był w tym czasie w Europie, podpisując kontrakty na hełmy, i była kobieta, która dopiero co urodziła dziecko i miała umrzeć od ciężkich poparzeń. Dowiedzieliśmy się, że w akcie urodzenia jako rodziców wpisano nazwisko Alfred i Frances Scovill, co oczywiście nie było prawdą, bo pani Scovill była w domu w Stanach. Ale to był czas wojny i różnych rodzinnych tragedii, a sierot było bardzo dużo. Nikt nie zadawał pytań. Podejrzewamy, że pan Scovill zabrał niemowlę do swojej żony do Stanów, przenieśli się do Boca Raton, gdzie nikt ich nie znał i nigdy nikomu nie wyjawili prawdy. Jedynym powiązaniem z przeszłością było imię Claire, które powtarzała umierająca matka.

Jocelyn spróbowała wstać, ale jej nogi ugięły się pod nią i się zachwiała. Luke otoczył ją ramionami i tulił przez kilka minut. Ale Joce odepchnęła go i spojrzała na niego.

- Dlatego powiedziałeś, że mogę potrzebować lekarza. - Próbowała sobie zażartować, ale nikt się nie zaśmiał. Patrzyli na nią z poważnymi minami.

- Dobrze się czujesz? - spytał Luke.

- Jestem w lekkim szoku i tyle. Tak bardzo bym chciała, żeby ona wiedziała. Szkoda, że nie wiedziałam o tym, gdy ona żyła. Żebyśmy mogły dzielić taką radość!

-Ale przecież dzieliłyście - powiedział dr Dave, biorąc ją za rękę. - Alex dowiedział się o twojej matce i ludziach, którzy ją adoptowali, dlatego kupił dom blisko nich. Zorganizował wszystko i poprosił, żeby Edi kierowała jego funduszem, ale potem zaczął tracić pamięć.

- Alzheimer - powiedziała Jocelyn.

- Tak. Wszystko załatwiał przez MAW i zmyślił, że twoi dziadkowie byli jego przyjaciółmi. Podejrzewamy, że Alex chciał, żeby Edi najpierw cię poznała, a potem chciał powiedzieć jej prawdę. Ale Alex... po prostu *zapomniał*.

Luke poszedł do nocnego stolika i nalał jej drinka.

- Myślę, że potrzebujesz tego - powiedział, patrząc na dziadka.  
Jocelyn wzięła drinka i zaczęła go saczyć.

- Czuję, że macie mi coś więcej do powiedzenia.

- Znaleźliśmy krewnych Davida Clare'a. Spojrzała na obu wysokich mężczyzn, którzy czekali w niepewności i obserwowali ją, jakby miała w każdej chwili zemdleć. Ale ich słowa bardziej dodały jej siły, niż ją osłabiły. Minie dużo czasu, nim pogodzi się z tym, że panna Edi nie wiedziała, że była jej babcią, ale myśl o tym, że ma jakichś krewnych, była bardzo przyjemna.

- Twierdzicie, że mam krewnych z IQ powyżej siedemdziesięciu, którzy nie stawiają sobie za cel upokarzanie mnie i naśmiewanie się ze mnie.

- Uważam, że to robią wszyscy krewni - stwierdził Luke. - Moi kuzyni... - Auć! - krzyknął, gdy dziadek klepnął go w ramię.

- Masz ich numer telefonu? - spytał dr Dave Luka. - Pewnie. Mam go przy sobie. Myślałem, że tam zadzwonię, a potem Joce mogłaby... Wyrwała mu kartkę z ręki.

- To są moi krewni. Ja będę dzwoniła. - Podeszła do dużego telefonu, który stał na biurku doktora Dave'a. - Mam przełączyć na głośnik? Obaj mężczyźni przytaknęli głowami.

Joce zrobiła kilka głębokich wdechów, a potem wykręciła numer w stanie Nowy Jork. Od razu odebrał jakiś mężczyzna.

- Przepraszam, że pana niepokoję, ale szukam kogoś spokrewnionego z mężczyzną o imieniu David Clare, który walczył w II wojnie światowej.

- Przy telefonie.

Jocelyn wzruszyła ramionami ze zdziwienia, patrząc w kierunku Luka i dr. Dave'a.

- Czy jest pan jego krewnym?

- Przypuszczam, że tak - odpowiedział mężczyzna z chichotem.
  - Wie pan coś o sierżancie Davidzie Clare'u, który był kierowcą u generała Austina?
  - Młoda damo, nie wiem, jak mam ci jeszcze powiedzieć, że to ja jestem David Clare i to ja służyłem u starego buldoga Austina.
  - Pan - zaczęła mówić Jocelyn, ale jej głos zmienił się w szept. - Ale pan przecież został zabity.
  - Uznano mnie za zabitego, ale tak naprawdę siedziałem w więzieniu do końca wojny. Mogę cię zapewnić, że przeżyłem. Niezupełnie zdrowy, ale przeżyłem.
  - Czy znał pan Edilean Harcourt? Nastąpiła długa cisza.
  - Tak. Ona zginęła... w 1944 roku.
  - Nie. Panna Edi zmarła rok temu. Mężczyzna podniósł głos ze złości.
  - Nie życzę sobie takich insynuacji! Edilean Harcourt zginęła w pożarze dżipa.
  - Nie zginęła - powiedziała Jocelyn, bliska łez. Czy ona naprawdę rozmawia z Davidem panny Edi - z własnym dziadkiem? - Ona przeżyła. Miała strasznie poparzone nogi, ale przeżyła. Spotkałam ją, gdy miałam dziesięć lat, była dla mnie jak przybrana matka... Nie wiem, jak inaczej mogę ją nazwać. Po swojej śmierci zostawiła mi swój wielki dom...
  - Edilean Manor - szepnął.
  - Tak. Panna Edi nigdy nie wyszła za mąż. Większość swego życia spędziła, podróżując po świecie z dr. Brennerem, pomagając ludziom, którzy zostali ranni w różnych katastrofach. Oni... - Joce przerwała i spojrzała na Luka. - On chyba płacze. - Joce też nie mogła powstrzymać łez.
- Luke zabrał jej słuchawkę telefonu, w tym czasie jakiś mężczyzna przejął słuchawkę i krzyczał do niej.
- Nie wiem, kim ty do cholery jesteś, że doprowadziłaś wuja Davida do łez...

Gdzieś w głębi Luke usłyszał głos.

- Nie, nie, nie. Chodzi o Edi. Oni znają Edi. Wściekły mężczyzna przestał krzyczeć.

- Wiecie coś o pannie Edi?

- Słyszałeś o niej? - spytał Luke.

- Chyba żartujesz? Dorastałem, słysząc w kółko to imię. Stracona Miłość, jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochał wujek David. Wiecie coś o niej? Na przykład gdzie jest pochowana? Poczekajcie! Wujek David chce rozmawiać.

Luke przełączył telefon znowu na głośnik, żeby wszyscy mogli słyszeć.

- Kim jesteś? - spytał David Clare.

- Myślę, że jestem twoją wnuczką - zdołała powiedzieć Joce, nim znowu wybuchła płaczem i David też zaczął płakać.

Młody mężczyzna znowu przejął słuchawkę.

- Do cholery! Co się z wami dzieje? W głębi David mówił.

- Przyjedź tu. Dzisiaj. Teraz. Chcę cię zaraz zobaczyć. Młody mężczyzna powiedział:

- Wygląda na to, że on chce, żebyście tu przyjechali. Powinienem może włączyć defibrylator, jeżeli zamierzacie przyjechać.

- Mogą być potrzebne dwa, dla obojga - powiedział Luke, a potem przełączył telefon na słuchawkę i opowiedział w skrócie o tym, jak panna Edi była w ciąży, urodziła dziecko, ale wszyscy myśleli, że ona umrze, więc niemowlaka zaadoptował mężczyzna o nazwisku Scovill.

- To znaczy, że wujek David miał dziecko?

- Córkę o imieniu Claire.

- Clare Claire - powiedział zdziwiony mężczyzna.

- Tak - powiedział, patrząc na Joce, która mocno płakała. - Claire Clare. Możemy do was przyjechać? Będzie tak dobrze?

-Zastanawiam się, dlaczego, do cholery, gadacie wciąż przez telefon. Możecie przylecieć nocnym lotem?

-Nie wiem - powiedział Luke, patrząc na Joce. -Możemy tam polecieć jutro?

Przytaknęła głową.

- Posłuchaj... - nie znał imienia mężczyzny.

- Eddie - powiedział mężczyzna, a potem zamilkł na chwilę. - Nazywam się Edward Harcourt Clare. Byłem ostatnim urodzonym w rodzinie dzieckiem i pozwolili wujkowi nadać mi imię. Gdybym bym dziewczynką, nazywałbym się Edilean.

Luke spojrział na Jocelyn.

- Nazywa się Edward Harcourt Clare.

Joce zaczęła się śmieć i płakać jednocześnie.

- No dobrze. A teraz sprawdzę połączenia i zadzwonię do was za godzinę, żeby powiedzieć, kiedy przylecimy.

- Gdy tu będziecie, to oni chyba nie przestaną płakać - zatrzymał się i zniżył głos. - Chciałem powiedzieć, że jestem wam wdzięczny. Wujek David był dla nas wszystkich jak drugi ojciec. Nie starczyłoby mi czasu, żeby wam opowiedzieć, co zrobił dla naszego małego miasteczka. Nie czuje się najlepiej i nie zostało mu zbyt dużo czasu, ale będzie mógł zobaczyć swoją własną wnuczkę... Dziękuję. Tylko to mogę powiedzieć - bardzo dziękuję.

## Rozdział 27

W końcu, po licznych dyskusjach, David Clare zdecydował, że przyleci do Edilean, zamiast oni do niego.

-Nie zostało mi już wiele czasu - powiedział. -Chciałbym chociaż zobaczyć jej dom.

Opowiedział im, jak często chciał tam polecieć, a raz nawet kupił już bilety, ale nie potrafił tego zrobić. Wiedział, że to byłoby zbyt bolesne przeżycie dla niego.

Luke i Joce spędzili dwa szalone dni na przygotowaniach domu panny Edi do wizyty. Kobiety z kościoła baptystów pożyczyły im łóżka, pościel i meble, a matka Luka załatwiła wszelkie formalności związane z medycznym transportem. David Clare został przywieziony karetką z lotniska w Richmond do Edilean i rozśmieszał całą drogę obu sanitariuszy, którzy z nim jechali.

- Pana wnuczka jest taka jak pan - powiedział Luke. -Na każdym kroku opowiada najgorsze na świecie dowcipy.

- Zamilcz - powiedział dr Dave - albo znowu zaczną płakać.

Pierwsze spotkanie Joce i jej dziadka było tak pełne emocji, że żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Patrzyli tylko na siebie, trzymając się za ręce, gdy go przenieśli z karetki do samochodu i zabrali do Edilean Manor.

Pokój, który był na parterze, Joce zmieniła w sypialnię dla sierżanta Clare'a. Gdy wypoczął dwadzieścia cztery godziny, poruszał się o dwóch kulach, tak jak panna Edi pod koniec życia. Najpierw chciał pojechać na jej grób.

- Ale nim tam pojedziemy - powiedział. - Jest tam jakieś wolne miejsce dla mnie koło niej?

- Tak - powiedziała Joce, trzymając swoją rękę na jego ramieniu.

- Wszyscy - czyli prawie całe miasteczko - byli zdziwieni, jak bardzo Joce i David byli do siebie podobni. Mieli

kwadratowe brody z dołkami, bladą skórę i ciemnoniebieskie oczy. Byli nawet podobnie zbudowani.

- Jesteś bardziej podobna do mnie niż do Edi - stwierdził, patrząc z miłością na swoją wnuczkę. - Szkoda, że nie odziedziczyłaś jej nóg.

- To nic nie szkodzi - powiedział Luke. - Ja i tak wolę te wystające części.

- Luke! - powiedziała Joce, a David zaczął się śmiać tak bardzo, że prawie się zakrztusił.

- Jest zbudowana dokładnie jak moja mama, która podobała się mojemu tacie. Miałem ośmioro braci i sióstr.

- Czytaliśmy. - Joce otworzyła szerzej oczy. - To znaczy, że mam kuzynów i kuzynki.

- Setki - stwierdził David.

- Więc mam ich więcej niż on - powiedziała Joce, patrząc na Luka.

- Zachowujecie się jak małżeństwo - stwierdził David.

Panna Edi miała niewielki nagrobek.

- Zmienimy to - powiedział David i rozejrzał się za Lukiem. - Myślę, że wiesz, studenciku, gdzie można znaleźć jakiegoś rzeźbiarza.

- Pewnie, że wiem.

- Studenciku? - Joce powiedziała z uśmiechem. - Luke pracuje dla mnie. Nie stać mnie na pensję dla niego, ale jest moim ogrodnikiem. Pracuje też dla innych ludzi.

David spojrzał na Luka, kiwając głową.

- Może i jestem już stary, ale mój umysł wciąż pracuje. Jedna z moich prabratanic stała w kolejce, żeby zdobyć twój autograf, a do domu wróciła bardziej pragnąc ciebie niż książki. Ściągnęła sobie twoje zdjęcie z Internetu i powiesiła nad biurkiem. Rozpoznałem cię od razu, jak cię zobaczyłem.

Jocelyn przystanąła, spojrzała na Luka, potem wyjęła rękę spod ramienia dziadka i zaczęła biec w stronę domu.

- O nie - odezwał się David. - Powiedziałem coś nie tak? - Odwrócił się, podpierając się na kulach, gdy Luke popędził za Joce.

- Ty draniu! - krzyknęła, gdy ją dogonił.

- Nie zamierzałem cię okłamywać, ale...

- Dlaczego nie? Wszyscy inni mnie kłamali. Czy na tym świecie nie ma już uczciwych ludzi?

- Chciałem, żebyś mnie poznała takiego, jaki jestem - powiedział Luke. - Przepraszam, że ci nie powiedziałem, że piszę książki, i przepraszam, że ci nie powiedziałem, że jestem żonaty, ale Ingrid interesowały jedynie moje pokazne czeki.

- Wszyscy w tym mieście wiedzieli, że jesteś żonaty i wiedzieli, jaki masz zawód, ale nikt mi nie powiedział.

- Poprosiłem, żeby ci nie mówili.

-I tylko tyle? Powiedziałaś im, żeby nie mówili mi o tym, że piszesz, i cię posłuchali?

- Tak - powiedział Luke.

- Prawda, że miło mieć blisko ludzi, którzy kochają się bezgranicznie? Mnie się to nigdy nie zdarzyło. - Odwróciła się i znowu zaczęła iść w kierunku domu.

- Właśnie, że ci się zdarzyło - powiedział Luke. - Ja ciebie kocham tak bardzo. Pokochałem cię od momentu, kiedy wylałem na ciebie musztardę.

- To był wypadek - rzuciła przez ramię. Luke stanął przed nią.

- Tak, masz rację. Ale podobało mi się, że byłaś szczerą i powiedziałaś Ramseyowi prawdę.

- Szczerość? Czy ty w ogóle wiesz, co znaczy to słowo?

- Uczę się - powiedział. - Ale pamiętaj, że uczyłem się u mistrzów ukrywania prawdy. Ty, Ingrid, moja rodzina, Ramsey, a nawet panna Edi.

Jocelyn próbowała przejść obok niego, ale on blokował jej drogę. W końcu skrzyżowała ramiona na piersiach.



- No dobrze. Jakie książki piszesz?

- Thomas Canon.

Joce opadła szczęka. Thomas Canon był głównym bohaterem serii książek, które były bardzo popularne. Ich akcja toczyła się w osiemnastym wieku, tuż przed wojną o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Thomas kochał się w młodej, pięknej kobiecie o imieniu Bathsheba, którą znał od dzieciństwa, ale jej rodzice zmusili ją, żeby wyszła za bogatego kawalera, którego nie kochała. Załamany Thomas podróżował po całym, tworzącym się na nowo kraju, spotykając ludzi i wdając się w kolejne bójkę i kłótnie.

-Luke Adams - powiedziała Joce, bo takie było nazwisko autora całej serii książek.

-To ja.

- Więc ogrodnictwo...

- Skończyłem botanikę, a po związku z Ingrid byłem... - wzruszył ramionami.

-Kto dziś kończy botanikę? - spytała Joce. - Jak chciałeś zarobić na życie? Powinieneś... - Przerwała, bo chwycił ją w ramiona i pocałował.

- Jocelyn, kocham cię. Przepraszam, że tak długo mi zeszło, nim ci to powiedziałem, i że miałem przed tobą tyle sekretów, ale musiałem być pewny. Myślisz, że kiedyś będziesz mi w stanie wybaczyć?

- Pewnie, że tak - powiedział David Clare zza ich pleców. - Skoro Edi mogła mi wybaczyć mój brak wykształcenia, ona może ci wybaczyć udawanie niewykształconego.

Luke i Jocelyn uśmiechnęli się do niego, ponieważ zdążyli się już dowiedzieć, że od czasów wojny rozwinął swoją małą firmę, zaczynając od swojego garażu, a kończąc na sieci małych warsztatów, rozsypanych po całej północno-wschodniej części Stanów. Był multimilionerem. Swoją firmę zarejestrował pod imieniem swego ukochanego brata Bannermana, który zginął w czasie wojny. Zamiana imion sprawiła, że Edi nigdy nie dowiedziała się, że David żyje.

- Wybaczysz mi? - spytał Luke.

Jak mogła mu nie wybaczyć? - pomyślała. Ale nie zamierzała odpuścić mu tak łatwo.

- Pod jednym warunkiem. Musisz mi powiedzieć, czy Thomas Canon kiedykolwiek odzyska Bathshebę.

-I ty też - westchnął Luke. - W domu mam całe pudło listów od czytelników, którzy zadali mi dokładnie to samo pytanie. Nie wiem.

- Jak to nie wiesz. To ty kierujesz losem bohaterów.

- W pewnym sensie.

- A co to znaczy? - spytała Joce. David zaczął się śmiać.

-Lepiej się poddaj teraz - powiedział do Luka. -Może wygląda jak ja, ale charakter ma po Edi.

- Nie jestem ani trochę podobna do niej - powiedziała Joce z otwartymi szeroko oczami.

- Jesteś taka sama - odpowiedział David. - Opowiadała ci o tym, jak...

- Poczekajcie tutaj - powiedziała Joce. - Przyniosę magnetofon. Ja nie zmyślam swoich postaci, jak niektórzy.

Kiedy Luke i David zostali sami, staruszek wciąż chichotał.

- Będiesz miał nad czym pracować, chłopcze.

- Tak - stwierdził Luke z uśmiechem.

Po kolacji, gdy David poszedł spać, Luke i Joce siedzieli sami w kuchni i rozmawiali. Ona wciąż zachowywała lekki dystans, bo ukrył przed nią swój prawdziwy zawód, ale Luke ją udobruchał.

-Zeszłego wieczoru moja matka opowiedziała mi przedziwną historię - powiedział Luke, a potem obserwował, jak nastawiła uszu, gdy tylko usłyszała wyraz historia. - Odwiedziła pannę Edi sześć miesięcy przed jej śmiercią.

- Dlaczego? - spytała Joce.

- Nie jestem pewien - powiedział Luke. - Moja mama nigdy nie umiała za dobrze kłamać, ale...

- W przeciwieństwie do ciebie?  
- Tak - przyznał Luke z uśmiechem. - Powiedziała mi coś o sekrecie, który trzeba ujawnić.  
- Jakim sekrecie?  
- Nie wiem. Nie powiedziała mi, ale podejrzewam, że moja matka wie, dlaczego wujek Alex czuł się dłużnikiem panny Edi przez całe życie.  
- Ten sekret? - spytała Joce. - I twoja matka wie, dlaczego?  
- Być może tak. Może ją zapytasz?  
- Myślę, że to zrobię.  
- Tak czy siak - powiedział Luke - moja matka wyjawiała mi, że ona i panna Edi rozmawiały dużo o mnie,  
o pisaniu książek, umarłym małżeństwie i o tym, że spędzałem dużo czasu sam na sam z jej gburowatym teściem. Wiesz co? Pamiętasz, jak mój dziadek zabrał mnie po kryjomu z domowego aresztu na ryby? Moja mama wszystko wiedziała. Powiedziała, że zawsze dogadywałem się lepiej ze starszymi ludźmi.  
- Ja też - powiedziała Joce. - Mojej mamy... - Nie miała czasu pomyśleć o ludziach, którzy tak bardzo ją kochali, ale nigdy nie powiedzieli jej o adopcji. - Ci dziadkowie, a potem panna Edi. - Joce spojrzała na niego. - A co z Ramseyem?  
- Wszyscy wiedzą, że on i Tess...  
- Nie! Mam na myśli jej testament - powiedziała Joce  
I ukryła głowę w dłoniach. - Teraz rozumiem. Panna Edi wiedziała, że nie cierpię, gdy mi ktoś mówi, z kim mam się umawiać. Sama umawiała mnie z naprawdę miłymi mężczyznami, ale szłam na randkę z nimi z nastawieniem, że już ich nienawidzę. Byłam okropna! Nie śmiałam się z ich dowcipów. Nie lubiłam wszystkiego, co powiedzieli albo zrobili... - Spojrzała na Luka. - Myślę, że ona mi napisała, że Ramsey jest dla mnie idealnym mężczyzną, bo nie chciała, żebym z nim była.

Luke patrzył na nią, zastanawiając się.

- A moja mama powiedziała, żebym się trzymał z dala od ciebie. Wie, że nie mogę sobie odmówić zakazanego owocu.

- Sądzisz, że uknuły to razem? Czy to możliwe, że ktoś nami manipulował?

Spojrzeli na siebie.

- Nie - powiedział Luke.

- To byłoby zbyt diaboliczne - stwierdziła Joce.

- Zbyt podstępne. Zbyt...

- Oczywiście - dokończyła Joce.

- Z pewnością tak - powiedział Luke. Po chwili Luke dodał:

- Możesz być z Ramseyem, jeśli go chcesz.

-Nie - powiedziała z uśmiechem, a potem wyciągnęła rękę i położyła ją na nim. - Zdecydowałam, że nie zerwę tradycji rodzinnej i wyjdę za człowieka, który pracuje fizycznie.

Lukowi stanęły łzy w oczach.

- A może przyjdiesz do mnie, usiądziesz mi na kolanach, a wtedy ci pokażę, jak dobrze potrafię pracować fizycznie?

-Zgadza się - powiedziała Joce i rzuciła mu się w otwarte ramiona.